

DAGMARA DWORAK

KROMKA CHLEBA

PORUSZAJĄCE WSPOMNIENIA Z SYBERYJSKIEGO ZESŁANIA

PODRÓŻ PO 70 LATACH NA MIEJSCE ZSYŁKI



DAGMARA DWORAK

KROMKA CHLEBA

PORUSZAJĄCE WSPOMNIENIA Z SYBERYJSKIEGO ZEŚLANIA

POWRÓT PO 70 LATACH NA MIEJSCE ZSYŁKI



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

– Czego nauczył mnie Sybir? – powtórzył pytanie, a po chwili, jakby chciał szybko pozbyć się wspomnień, wyrzucił z siebie: – Szacunku dla ciężkiej pracy, szacunku dla drugiego człowieka i... szacunku dla kromki chleba.

Od autorki

Ta historia towarzyszyła mi od zawsze, z nią dorastałam i szłam przez życie, ale była poszarpana, chaotyczna, pełna niedopowiedzeń, nie do końca zrozumiała. Nigdy nie była moją własną historią, lecz historią przeżyć mojej rodziny z okresu drugiej wojny światowej. Dotyczy lat 1940–1946 i dziejów syberyjskiego zesłania moich dziadków – Leonarda i Sylwestry – i czwórki ich dzieci: ciotek Jadwigi, Róży i Danuty oraz najmłodszego z rodzeństwa – mojego ojca Bogusława.

We wrześniu 1939 roku, kiedy Armia Czerwona zbrojnie zajęła wschodnią część Rzeczypospolitej, rozpoczęły się prześladowania polskiej ludności. Wkrótce w ramach represji setki tysięcy Polaków zostały przez władze sowieckie przymusowo deportowane w głąb Związku Sowieckiego.

Moja rodzina 10 lutego 1940 roku – jak wiele innych w tym dniu – została wywieziona na Syberię. Miejscem zesłania była maleńka wioska Gramatucha, położona w syberyjskiej tajdze nad rzeką Kiją w nowosybirskiej obłasti (obecnie kiemierowskaja obłast'). W momencie deportacji dzieci miały: Jadwiga – jedenaście lat, Róża – dziewięć, Danuta – siedem, a Bogusław – trzy i pół roku. Przeżycia, jakie stały się ich udziałem w ciągu następnych sześciu lat, były z jednej strony indywidualne, a z drugiej – jakże wspólne dla wielu tysięcy polskich rodzin objętych wtedy wywózką.

Po latach wrywkowego obcowania z tą historią przyszedł czas, żeby w końcu wszystko uporządkować, zapisać, przekazać dalej... Wspomnienia

mojej cioci Danuty i ojca Bogusława rejestrowałam kamerą w trakcie realizacji filmu dokumentalnego *Kromka chleba* (2014 r.). Zajęło to wiele czasu. Zaskoczyła mnie wtedy drobiazgowość, obfitość i jasność ich relacji. Ponadto było tych wspomnień o wiele za dużo jak na jeden film, a wydawały się zbyt cenne, aby je ot, tak pozostawić. Dlatego ostatecznie przepisałam zarejestrowane wypowiedzi, wspominający je uzupełnili, doprecyzowali, a na koniec wszystko zostało uporządkowane zgodnie z chronologią wydarzeń.

Tak powstały wspomnienia rodzeństwa w formie przeplatających się wypowiedzi siostry i brata, układające się w jedną kompletną opowieść. Zdecydowałam się ostatecznie uzupełnić całość krótkimi wstawkami historycznymi. Fakty historyczne zostały odpowiednio dobrane, tak aby pokazać wpływ historii na losy deportowanych na Syberię zwykłych ludzi.

Kromka chleba jest zapisem pamięci dzieci. Relacja ta zawiera więc pewne niedoskonałości wynikające z dziecięcego sposobu postrzegania tego, co dzieje się wokół, tego, co i jak dalece jest istotne. Dzieci wobec okrutnych okoliczności zewnętrznych zmuszone są zazwyczaj szybko dorosnąć, pozostają jednak dziećmi.

Wielu zesłanym Polakom nie było dane powrócić do kraju. Ci, którym to się udało, próbowali, na ile tylko było to możliwe w nowej, powojennej rzeczywistości, normalnie żyć, pracować, zakładać rodziny i wychowywać dzieci – mimo wszystko. Jedni latami wspominali dużo, kwieście i zapamiętali, inni milczeli. Jednak to, czego doświadczyli, tkwiło w nich głęboko i siłą rzeczy zostało w najprzeróżniejszy sposób przekazane ich współmałżonkom, dzieciom, wnukom.

Jako córka sybiraka twierdzę, że ich trauma tkwi w nas, ich dzieciach, czy tego chcemy, czy nie. Jest czasami tylko mniej lub bardziej dokuczliwa, daje o sobie znać na różne sposoby.

Spróbowałam tę traumę oswoić przez wiedzę i zrozumienie. Pomogło.

Hajnówka

Miejsce nierozzerwalnie związane z Puszcą Białowieską – unikatowym w skali europejskiej kompleksem leśnym położonym na pograniczu polsko-białoruskim. Przez wieki była to osada, dziś nieduże miasto, ze względu na swe położenie często nazywane „bramą do Puszczy”, umiejscowione na zachodnim jej krańcu. Liczy około 22 tysięcy mieszkańców (dane GUS z 30 czerwca 2012 r.).

Miejscowość ta wyrosła z osady strażnika leśnego założonej w XVI wieku. Wtedy to Puszcza Białowieska stanowiła część tak zwanych dóbr stołowych dworu królewskiego i z tego względu była objęta szczególną ochroną. Po trzecim rozbiorze Polski (1795 r.), kiedy państwo polskie przestało istnieć, tereny te znalazły się w zaborze rosyjskim i podlegały zarządowi domen carskich.

Na przełomie XIX i XX wieku, za sprawą przecinających się w Hajnówce dwóch nowo powstałych linii kolejowych (Bielsk Podlaski–Białowieża i Siedlce–Wołkowysk), osada stała się węzłem kolejowym. W 1915 roku puszcę i Hajnówkę zajęli Niemcy. W Hajnówce zbudowano wtedy dwa tartaki, fabrykę suchej destylacji drewna, węzeł leśnych kolejek wąskotorowych, warsztaty naprawcze. W samej puszczy położono około 90 kilometrów torów kolejowych służących do transportu drewna. Rozpoczął się okres eksploatacji tutejszych kniei na skalę przemysłową.

Po pierwszej wojnie światowej, w 1919 roku, Hajnówka znalazła się w granicach państwa polskiego. Ludność osady szacowano wówczas jedynie na 118 mieszkańców. Tutejsze zakłady przemysłowe przeszły na

własność państwa i zostały wydzierżawione. Tylko fabryka terpentyny Terebenthen pozostawała w rękach prywatnych. Przez kilka lat (1924–1929) puszcze, kolejki i tartaki w Hajnówce dzierżawiła angielska firma The Century European Timber Corporation, ale wypowiedziano jej umowę ze względu na nadmiernie rabunkową eksploatację puszczy.

W okresie międzywojennym powstało tu wiele nowych miejsc pracy. Rozwijało się rzemiosło. Pociągnęło to za sobą napływ ludności z różnych stron Polski. Powstał swoisty konglomerat narodowościowy i kulturowy. W Hajnówce mieszkali Polacy, Białorusini, Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi i Niemcy. Polacy stanowili około 70 procent ludności.

Prężnie rozwijało się życie kulturalne i społeczne. Zbudowano trzy szkoły podstawowe, Państwową Szkołę Przemysłu Drzewnego, internat, dom kultury, a także robotnicze osiedla mieszkaniowe. Funkcjonowały: poczta, apteka, hotel, biblioteka publiczna, dwa kina – „Lux” i „Oko”, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Związek Strzelecki „Strzelec”, zespół teatralny, a także Spółdzielnia Spożywców „Społem” i Kasa Chorych. Powstała parafia rzymskokatolicka. Swoją bożnicę i szkołę wyznaniową mieli Żydzi, a ludność prawosławna kaplicę, tak zwaną czasownię. Miasteczko rozwijało się i tętniło życiem.

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej w Hajnówce największą rolę odgrywały cztery zakłady przemysłowe: Fabryka Chemiczna, Zarząd Kolei Leśnych, Terebenthen oraz rozbudowane i nowoczesnie zmechanizowane Zakłady Drzewne Lasów Państwowych. Te ostatnie w 1938 roku były największym pracodawcą (zatrudniały 1,5 tysiąca osób). Ludność liczyła 17 tysięcy mieszkańców.

Druga wojna światowa i okupacja zahamowały rozwój Hajnówki. W wyniku wojennej zawieruchy miejscowość mocno podupadła. Zniszczeniu i dewastacji uległy zakłady produkcyjne, część miasta, stacja i tory

kolejowe. Zginęło wielu mieszkańców, część z nich została przez władze sowieckie deportowana w głąb ZSRS. Po wojnie Hajnówka nigdy już nie odzyskała swej świetności, nie osiągnęła tempa rozwoju z okresu II Rzeczypospolitej, chociaż formalnie w 1951 roku nadano jej prawa miejskie.

1. Hajnówka – tu wszystko się zaczęło

(do 10 lutego 1940)

BOGUSŁAW

W momencie wybuchu wojny mieszkaliśmy w Hajnówce, na obrzeżach Puszczy Białowieskiej. Nasz ojciec, Leonard – były legionista – pracował jako leśnik w Lasach Państwowych. Mama, Sylwestra, prowadziła dom. Byłem najmłodszym z czwórki rodzeństwa, miałem trzy starsze siostry: Jadwigę, Różę i Danutę.

W Hajnówce nasza rodzina mieszkała od niedawna, bo od 1936 roku. Zamieszkała tutaj tuż przed moim urodzeniem. Wcześniej ojciec krótko pracował w Nadleśnictwie Narewka, ale wszystkie moje siostry urodziły się jeszcze we Włodzimierzu Wołyńskim.





Rodzina Żukowskich: Sylwestra i Leonard, dzieci: z lewej Danuta, z prawej Róża, pomiędzy rodzicami stoi Jadwiga, Bogusław na rękach matki, Hajnówka, 1936 r.

DANUTA

Jak przeprowadziliśmy się do Hajnówki i tata rozpoczął pracę w puszczy, dom, w którym mieliśmy zamieszkać, nie był jeszcze gotowy. Budowa była na ukończeniu. Na krótki czas zamieszkaliśmy u rodziny Binderów,

w wynajmowanym mieszkaniu. Nadleśnictwo opłacało nam tę kwaterę. To były dwa duże pokoje i kuchnia.

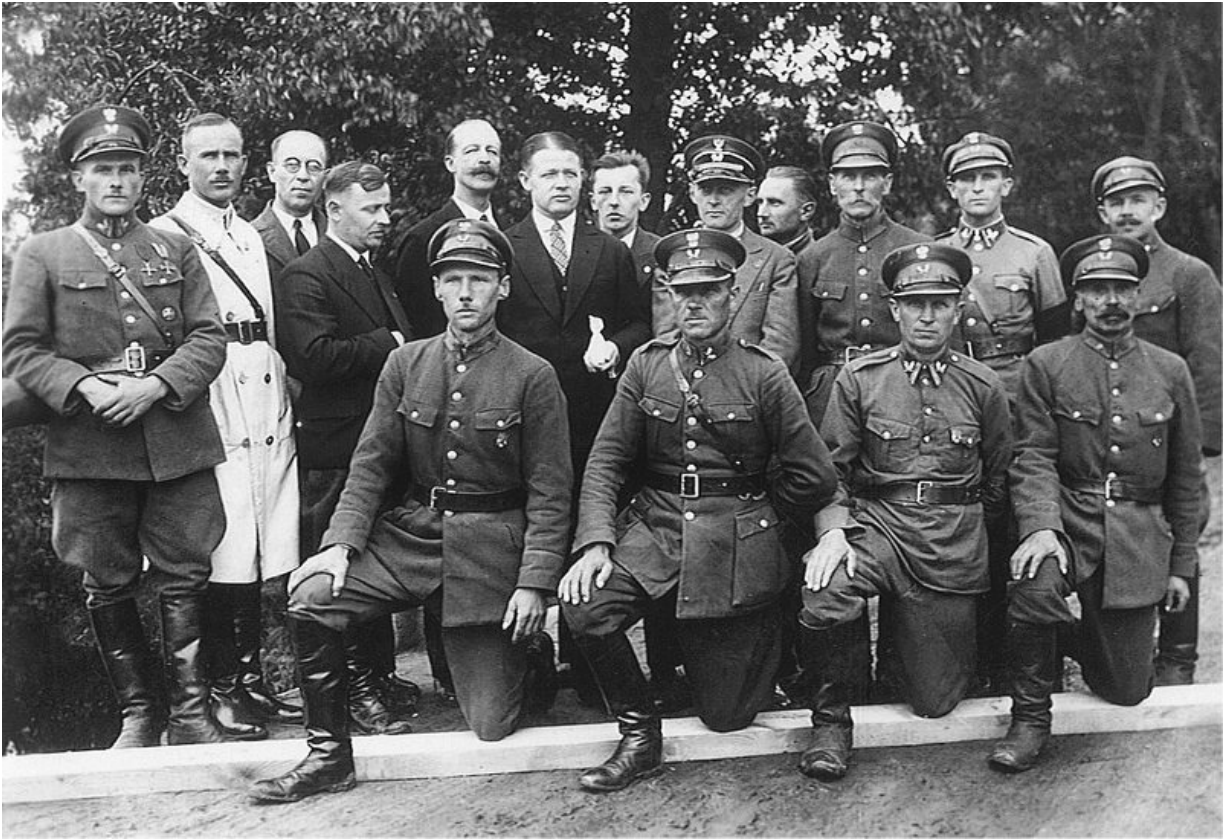
W tym samym domu mieszkanie wynajmowali także państwo Szyndeccy. Nasi gospodarze – państwo Binderowie – mieli czwórkę dzieci, a Szyndeccy dwoje. Samych dzieci, razem z naszą czwórką, w tym jednym domu mieszkało więc dziesięcioro. Mieliśmy towarzystwo i było wesoło. Wszyscy bardzo się lubili, a rodziny połączyła przyjaźń, która przetrwała mimo naszej przeprowadzki do nowego domu.

BOGUSŁAW

Urodziłem się 5 lipca 1936 roku w Hajnówce. Dom, w którym wkrótce zamieszkaliśmy, był własnością Lasów Państwowych. Stał na skraju puszczy, za tartakiem i węzłem kolejek wąskotorowych. Dziś jest tam osiedle o nazwie Celne. To był nowy drewniany, solidny budynek, którego budowę ukończono w 1936 roku. Miał duże – jak na owe czasy – okna. Były piękne, miały niecodzienne, bo zielone, drewniane okiennice z wykrojonym w każdym skrzydle znakiem karo. Dom i zabudowania gospodarcze były bliźniacze z sąsiednimi, zajmowanymi przez innego gajowego.

DANUTA

Otaczała nas puszcza. Mieliśmy co prawda za ścianą sąsiada w domu przylegającym do naszego, ale poza tym wokół był tylko las. Zabudowania były nowe, solidnie i przemyślnie wykonane. Dawały możliwość prowadzenia dostatniego, samowystarczalnego gospodarstwa. Budynki gospodarcze: stodoła, obora, chlew, piwnica, tworzyły wraz z domem zwarty prostokąt, ogrodzony wysokim drewnianym płotem, zabezpieczającym domostwo nasze i sąsiada przed leśnymi intruzami. Drugie ogrodzenie otaczało ogród i sad.



Leśnicy z Hajnówki (1937–1939): Leonard Żukowski (kłęczy drugi od prawej), wśród stojących m.in. nadleśniczy Józef Chorąży (szósty od lewej) i Antoni Rzedź (drugi od prawej). Zdjęcie ze zbiorów dzieci nadleśniczego – Jadwigi i Stanisława Chorąży

BOGUSŁAW

Nasza rodzina, niezbyt zamożna, wiodła tam dostatnie, spokojne, uczciwe życie. Ojciec był bardzo zadowolony z pracy, a w wolnym czasie oddawał się swojej pasji – hodowli pszczół, co przynosiło też dodatkowe finansowe profity.

DANUTA

Hajnówka w tamtych czasach tętniła życiem, rozwijała się, czuło się, że miasteczko podąża z duchem czasów. Entuzjazm ten udzielał się też dzieciom. Aż chciało się tam mieszkać.

Ja i Róża chodziłyśmy do przedszkola. Wtedy przedszkola nie były czymś oczywistym, wręcz odwrotnie. Były rzadko spotykane i postrzegano je jako szczególny przejaw postępu – takiego prawdziwego postępu przez duże „P”. Nasza starsza siostra Jadzia bardzo zazdrościła nam tego przedszkola. Gdy ona była w wieku przedszkolnym, nie mieszkaliśmy jeszcze w Hajnówce. Słuchając naszych codziennych opowieści, wzdychała nieustannie z wielkim żalem, że ona tego cudownego życia przedszkolnego nie doświadczyła.

Róża chodziła tam do drugiego oddziału, czyli do grupy starszych dzieci. A ja byłam taką szczęściarą, która chodziła do pierwszego, a potem do drugiego oddziału.



Danusia (druga u dołu w lewym rzędzie) w grupie pięciolatek w przedszkolu, 1937 r.

BOGUSŁAW

Nasz ojciec miał wtedy swoje marzenia. Wyczekiwał emerytury. Do jej wypracowania brakowało mu zaledwie kilku lat. Miał przemyślany plan pobudowania w Hajnówce własnego domu z deputatu drewna – odprawy emerytalnej – jaki przysługiwał mu na ten cel z Lasów Państwowych.

DANUTA

Pierwszą damą Hajnówki – nie tylko według nas, dzieci – czyli najlepiej ubraną osobą w okolicy, była pani Irena, wychowawczyni drugiej grupy przedszkolnej, do której chodziła Róża. To była młoda dziewczyna z Warszawy. Jeździła tam chyba co niedzielę. Kiedy wracała w poniedziałek i przychodziła do pracy, cały personel przedszkola kręcił się w pobliżu, żeby podziwiać, w jakiej nowej kreacji pojawiła się tym razem.

Róża była ze swojej pani wychowawczyni bardzo dumna. „Wasza pani to tak jest zwyczajnie ubrana... za to nasza pani Irena! Jaką ona miała dzisiaj sukienkę! A wczoraj przyjechała w białych śniegowcach” – relacjonowała moja siostra podekscytowana nowym strojem wychowawczyni. „Nasza pani Irena ma śniegowce we wszystkich kolorach! Wiesz?”

Przyznać trzeba, że rzeczywiście zawsze była pięknie ubrana. Tak samo było później, kiedy Róża poszła już do pierwszej klasy, a ja trafiłam do starszej grupy, pod skrzydła pani Ireny. Z tego okresu pamiętam jej piękną kreację – chabrową sukienkę z rękawami przypinanymi na zatrzaski, które były schowane pod specjalną pliską.



W grupie przyjaciół i leśników. Dzieci to od lewej: Danusia, Róża, mały Bogusław i – odwrócona od obiektywu – najstarsza Jadzia, 1938 r.

BOGUSŁAW

Ja wspomnień z Hajnówki nie mam. Byłem zbyt mały. Zachowałem w pamięci tylko rodzinne opowieści.

DANUTA

W Hajnówce był Dom Ludowy, w którym odbywały się ważne uroczystości. Wszystkie były bardzo pieczołowicie przygotowywane i realizowane przy udziale dzieci, które swoje występy ogromnie przeżywały.

Tam odbywały się między innymi bale dla przedszkolaków i młodzieży szkolnej. Dla dzieci organizowano mikołajkowe przyjęcia, podczas których brodaty, gruby Święty Mikołaj rozdawał paczki. Tam też chyba wyświetlano filmy. Czy było to prawdziwe, stacjonarne kino, czy objazdowe, tego nie pamiętam... ale do dziś pamiętam emocje związane z filmem *Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*. Potem w nocy nie mogłam spać, bo ciągle widziałam te krasnoludki idące na mnie... całą drużynę krasnali. To było takie przeżycie, że ja ten film pamiętam – co przecież nie jest możliwe – jako kolorowy! Ja wtedy naprawdę te krasnale widziałam w krwistoczerwonych czapeczkach! Ależ to były emocje...

Byłam też na bajce *Czerwony Kapturek*. Krzyczałam tak głośno, jak tylko mogłam – zresztą tak jak inne dzieci – żeby przestrzec Kapturka przed wilkiem, przed tym draniem, co w łóżku leżał z rozdętym brzuchem po zjedzeniu Babci.

BOGUSŁAW

We wspomnieniach moich sióstr Hajnówka z naszych dziecięcych lat, ta sprzed wybuchu wojny, jawi się jako raj na ziemi. Realia były zapewne bardziej brutalne, tyle że niedostrzegane oczami beztroskich dzieci.

DANUTA

W Hajnówce było jeszcze jedno absolutnie niezwykle – z punktu widzenia dziecka – miejsce: ogródek jordanowski. To było miejsce zabaw i wypoczynku dla rodzin, a przede wszystkim dla dzieci. Plac zabaw i to nie byle jaki! Tam był basen! No, może mnie jawił się on jako wielki basen, a był to tylko mały basenik... ale był! Woda w nim była czyściutka, połyskiwała błękitem. W sąsiedztwie basenu znajdowała się duża piaskownica z białutkim piaskiem, gdzie dzieci lepiły babki. Obok stała duża, cudna drewniana zjeżdżalnia, z dwoma rozgałęziającymi się torami. Jednym można było ześlizgnąć się do piaskownicy, a drugim wjechać z impetem do basenu. Zjeżdżało się na specjalnych ślizgach, takich sprofilowanych deseczkach-siedziskach. To były jakby saneczki pod pupę. Były oczywiście takie dzieci, które nie mogąc się doczekać swojej kolejki i otrzymania siodełka, siadały bez niego i pędem odjeżdżały. Świetnie się po tym zjeżdżało. Jadzia mówiła, że to drewno jest specjalnie wywoskowane.

Na terenie ogródka jordanowskiego były też huśtawki – takie, na których z dwóch stron siedzą dzieci i odbijają się na zmianę w górę i w dół, oraz zwykłe, pojedyncze huśtawki na łańcuchach.

Dla starszych dzieci była karuzela nazywana przez nas Gigantem. Wielki słup z talerzem na szczycie, do którego przyczepione były łańcuchy z pojedynczymi siedziskami. Ta karuzela musiała być bez silnika, bo pamiętam, że dzieci siadały na zwisających krzeselkach, nogami dotykając ziemi. Na hasło zaczynały biec i rozpędzały karuzelę. Łańcuchy unosiły siedziska w górę. Najstarsza z nas, Jadzia, latała w powietrzu na tym Gigancie, ale z nas wszystkich tylko ona. Bardzo jej tego zazdrościłam. Oj, jak to się świetnie fruwa, myślałam, patrząc z zachwytem. Już chciałam mieć tyle lat, żeby móc tak w powietrzu szybować...

W ogródku było również i mniej atrakcyjne, ale bardzo potrzebne wyposażenie, czyli ławeczki i stoły piknikowe, gdzie dzieci mogły grać w wypożyczane na miejscu gry. Stał tam też budynek gospodarczy, w którym przechowywano sprzęt.

Leśnicy, tacy jak nasz ojciec, mieli osobisty wkład w powstanie tego miejsca. Wydaje mi się, że pracowali społecznie przy jego budowie. Wstęp na teren ogródka był płatny. My mieliśmy albo darmowe bilety, albo zniżkowe... Na pewno mieliśmy przy wejściu jakiś bonus, ale nie wiem dokładnie, ile to kosztowało.

Potem ten ogródek, zaraz w 1939 roku, zdewastowali Rosjanie, jak się popili i zaczęli kręcić się na Gigancie i zjeżdżać ze zjeżdżalni. Wszystko zniszczyli.

BOGUSŁAW

To cudowne miejsce – ogródek jordanowski – też znam tylko z opowieści sióstr.

DANUTA

Ja pamiętam Hajnówkę jako wielonarodowościowe i wielokulturowe miejsce. Mieszkali tam Polacy, Żydzi i Rusini, było sporo rodzin mieszanych. Na osoby pochodzenia ukraińskiego i białoruskiego mówiło się „Rusini”. Oni na Polaka mówili „Lach”. Nie było z tym problemu. Każdy wiedział, że są różni ludzie, wyznają różne religie i mają różne obrzędy. Nie pamiętam jednak, żeby były na tym tle jakieś animozje czy otwarte waśnie między dorosłymi. Nam, dzieciakom, zdarzały się głupie wybryki, popełniane nie z niechęci do kogoś, ale bardziej dla hecy. Nie rozumieliśmy głębszego ich znaczenia.

BOGUSŁAW

Krążyły wśród dzieci złośliwe przyśpiewki czy rymowanki. Poznałem je przy okazji hajnowkowych opowieści moich sióstr. Jedne były głupawe, ale w swoim wydźwięku neutralne, jak piosenka: „Sara kozy doła, t’haj lili bom. I Łyjbusia poła, t’haj lili bom, t’haj lili bom. Łyjbuś mleko połyka, t’haj lili bom. Wiwat, wiwat wykrzyka, t’haj lili bom, t’haj lili bom”.

Były też i mniej przyjemne, o wyraźnie antysemitycznym wydźwięku: „Z tej żydowskiej szkoły wyleciał Żyd goły” albo „Przyjechał pan rabin, przywiózł rzecz na piśmie, że was wszystkich żydków do piekła wycisnie”.

DANUTA

Był już wtedy na świecie nasz Boguś. Mamusia zajęła się niemowlęciem, a my z Różą siłą rzeczy wpadłyśmy pod opiekę naszej starszej siostry Jadzi. A z niej był niezły prowodyr ze skłonnością do draki. I tak jednego dnia postanowiła zabrać nas na śpiewanie prześmiewczych przyśpiewek żydowskim dzieciakom.

„Ja tam nie pójde, bo będą nas gonić” – wykręciła się od tej niechybnej awantury Róża, a mnie przestrzegała: „Ty, Danusia, nie idź tam, bo oni uciekną, a ty nie zdążysz. Jesteś mała”.

Pomaszerowałam jednak z Jadzią. Nie byłyśmy same. Były dzieci Binderów, Rysio Szyndecki i dużo innych. Powstała z tego spora grupa dzieciaków w wieku szkolnym i ja. Byłam zdecydowanie najmłodsza i nie bardzo wiedziałam, o co chodzi, ale cieszyłam się, że mnie, smarkatą, przyjęli do swojej gromady.

Czy to była żydowska szkoła, czy bożnica, tego już nie pamiętam, ale było to miejsce, gdzie gromadziły się żydowskie dzieci.

„Widziałem, widziałem żydowskiego boga w czerwonych majteczkach na wysokich nogach”. Po wykonaniu tej przyśpiewki zaczajona za płotem nasza banda zmyła się z prędkością światła. Wszyscy uciekli, a ja nawet nie

wiedziałam, że trzeba uciekać. Zostałam pojmana w niewolę przez żydowskie dzieciaki. Byłam przerażona, bo Jadzia wcześniej mi mówiła, że jak Żydzi złapią dziecko, to najprawdopodobniej zrobią z niego macę.

W Hajnówce chyba się wtedy wszyscy znali, bo usłyszałam hasło: „Idziemy do pana Żukowskiego”. Zostałam poprowadzona przez zgodną grupę znieważonych dzieci. Największą niedogodnością tej sytuacji było dla mnie to, że musiałam iść z szeroko rozpostartymi rękami. Do obu moich rąk było doczepionych kilku chłopców. Każdy chciał mieć udział w prowadzeniu złoczyńcy, ale mnie nie szarpali, tylko z tak rozpostartymi rękami prowadzili do domu. Na progu przywitała ich mamusia.

– My z panem Żukowskim byśmy chcieli – zaordynował najwyższy z mojej eskorty.

– Męża nie ma w domu – odpowiedziała mama.

– Ale my chcielibyśmy sprawę z panem Żukowskim omówić, bo pani może pożałować dziecka i odpowiednio nie ukarać. Matki zawsze dużo dzieciom wybaczą, a my chcemy powiedzieć, co Jadzia zrobiła i jak małą siostrę w to wciągnęła – rzeczowo kontynuował dryblas.

– No, a pan Żukowski to jest porządny człowiek i na pewno pouczy dzieci, żeby tak nie robiły – dodał inny chłopiec.

Chłopcy zachowywali się bardzo kulturalnie. Ani mnie nie szarpali, ani nie krzyczeli, byli grzeczni wobec mamy. Po chwili zastanowienia ostatecznie się poddali:

– Proszę powiedzieć panu Żukowskiemu, tylko na pewno proszę mu powiedzieć – nalegał dryblas, przekazując mnie w ręce mamy.

Oj, miałam potem rozmowę z tatą. Na początku kazał mi powtórzyć, co myśmy tam śpiewali. Widać było, że stara się opanować śmiech, jednak do końca zachował powagę i dał mi niezłą reprimendę. Jadzi też się oberwało i to dużo bardziej niż mnie.

BOGUSŁAW

Nasza najstarsza siostra miała na swoim koncie i inne wybryki. Kiedy byłem już dorastającym młokosem, ojciec opowiadał mi, że kiedyś dostała nawet od niego lanie za złe potraktowanie jednego małego Rusina.

Przed wojną wśród ogromu społeczeństwa panowała bieda. Na porządną codzienną odzież czy obuwie niewielu było stać. Dzieci latem często biegały boso, a te z niezamożnych rodzin Rusinów ubrane były tylko w przaśne soroczki. Soroczka to nazwa dłuższej lnianej koszuli, najczęściej w kolorze lnu lub ceglastoczerwonym – te były farbowane w cebuli. Tak ubrane dzieciaki ganiały bez żadnych spodni czy bielizny pod spodem. O tym, że dzieci pod soroczką są nagie, musiało być powszechnie wiadomo, bo nasza Jadzia dobrze o tym wiedziała. Pewnego razu zaczęła się na chłopca, który jej dokuczał. Podbiegła do niego od tyłu i zanim on się zorientował, zadarła mu koszulę i wysmagała pokrzywą.

Nie było w zwyczaju ojca podnosić na nas rękę, ale tym razem nie wytrzymał.

– Za to, że ty masz w czym chodzić na co dzień, Bogu trzeba dziękować, a niedostatek tych, którzy nie mają w życiu tyle szczęścia, musisz nauczyć się szanować. Naigrawać się z biedy albo z niej szydzić nie wolno – tłumaczył jej zirytowany.

DANUTA

Boguś był uroczym dzieckiem, nie tylko z usposobienia, ale i z urody. Blond loki i duże niebieskie oczy. Aniołeczek. Kiedyś pod nieobecność rodziców Jadzia chciała zrobić z niego jeszcze piękniejszego aniołka. Dla dekoracji powklejała mu w blond kędziorki różnokolorowe landrynki, które stały na stole w salaterce. Jak rodzice wrócili do domu i zobaczyli radośnie wybiegające im na spotkanie najmłodsze dziecko, oniemieli. Powklejane

w loki synka kolorowe landrynki nie przypadły im do gustu. Efektem tych twórczych poczynań Jadzi była konieczność pozbycia się cudnych loków z główki Bogusia...



Mały Boguś (kopia tego zdjęcia towarzyszyła rodzinie przez całą zsyłkę), Hajnówka, 1936 r.

Zresztą nieobecność rodziców w domu tego dnia nie okazała się szczęśliwa także dla mnie i dla Róży. Jadzia chętnie rwała się do różnych czynności zastrzeżonych dla rodziców, dlatego właśnie tego wieczoru, gdy skończyła landrynkami dekorować głowę brata, zabrała się do wyręczania ojca w obcinaniu naszych – moich i Róży – włosów. Ależ nam je zmasakrowała!

Jeszcze długo potem, kiedy mama z nami wychodziła z domu, znajomi pytali z niepokojem, co się stało z włosami dzieci, i to prawie wszystkich naraz... bo z nas tylko Jadzia wyglądała normalnie.

BOGUSŁAW

Danusia zawsze trzymała się z Różą.

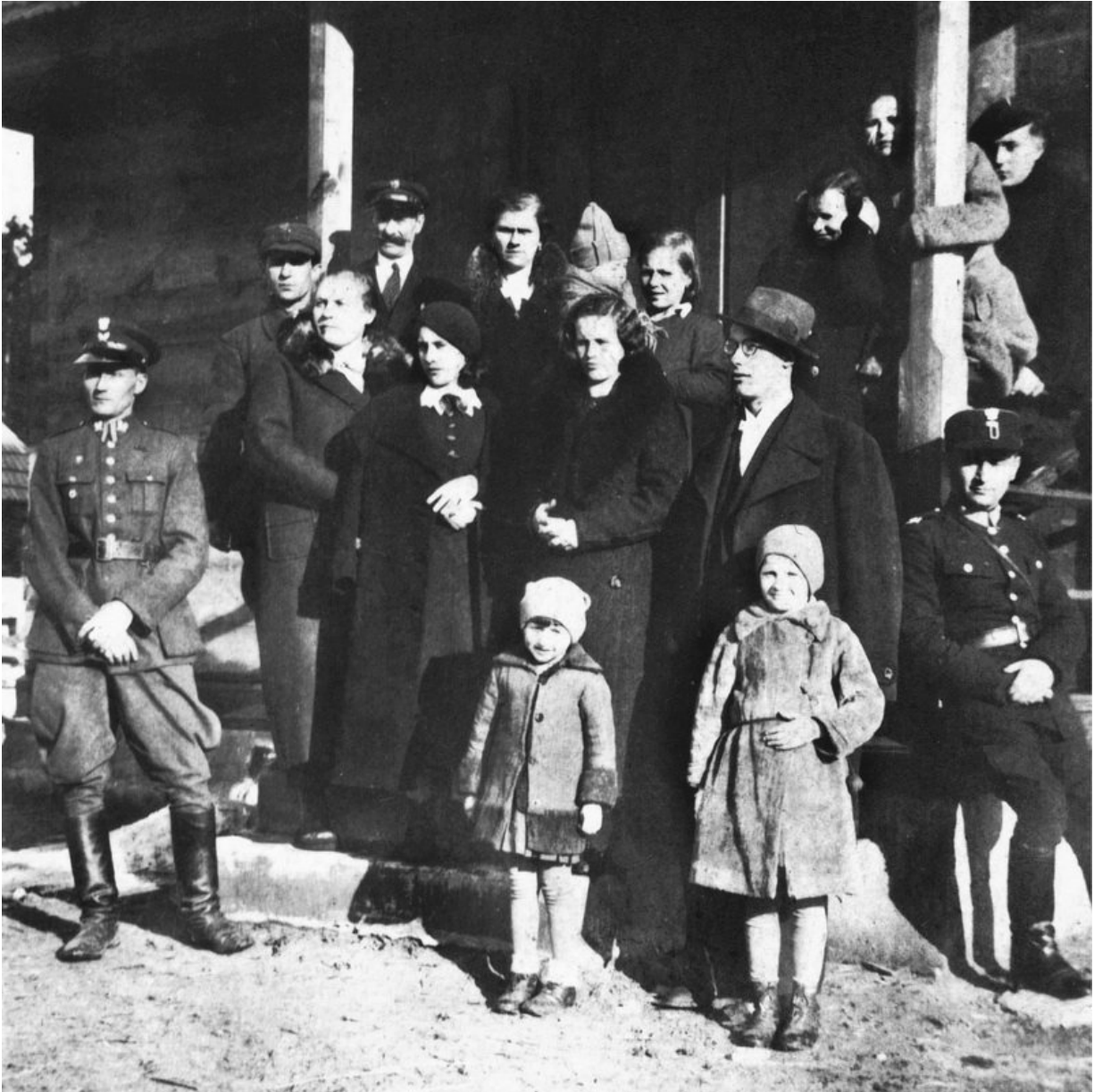
DANUTA

Z racji wieku towarzyszką moich dziecięcych zabaw była o dwa lata starsza ode mnie Róża. Nie zawsze panowała między nami zgoda. Pamiętam, jak kiedyś dostałyśmy nowe sukienki w tym samym kolorze, uszyte przez panią Szyndecką, i odpowiednio do nich dobrane kapelusiki, tak zwane panamki. To były białe, płócienne, bardzo modne wtedy letnie dziecięce nakrycia głowy, które w sklepie ułożone jeden na drugim tworzyły zabawne stosiki.

Nasze nowe kreacje były identyczne, więc problemu nie było. Do tego stroju tata dokupił nam maleńkie torebeczki, takie zwykłe, dziecięce, ale sztywne, wykonane z czegoś podobnego do masy perłowej. Jedna była zielona, a druga czerwona. Obie pasowały do tych nowych sukienek. Róża jako starsza miała dokonać wyboru swojej torebki. Ależ o to była wojna! Jak wybrała zieloną, to ja natychmiast chciałam mieć właśnie tę. Jak Róża

za namową rodziców zdecydowała się przyjąć jednak czerwoną, to ja natychmiast zmieniłam zdanie i wtedy pragnęłam mieć czerwoną. To była dla mnie niewiarygodnie ważna sprawa – pierwsza w moim życiu torebka – więc oczywiście chciałam mieć tę najładniejszą, ale nie wiedziałam, która to jest.

„Czerwony nie jest zbyt ładny” – powiedział do mnie tata, żebym przestała wyrywać z rąk Róży czerwoną torebkę. Jak Róża to usłyszała, natychmiast zrezygnowała z czerwonej. Zrozumiałe, jak czerwona nieładna, to ona nie chce tej torebki... i bierze zieloną. Istny cyrk...



Grupa znajomych i leśników przed gajówką w Hajnówce w 1938 r.: pierwszy od lewej w mundurze Leonard Żukowski, dzieci – Róża (większa) i Danuta

BOGUSŁAW

Jadzia jako najstarsza zawsze czuła się za nas odpowiedzialna i na swój sposób starała się nam matkować. Chciała też swoje młodsze siostry wprowadzać w „szeroki świat”.

DANUTA

Jadzia miała niesamowitą fantazję, a jako starsza siostra uważała za stosowne zaznajamiać nas z realiami ziemskiego padołu – tymi dotąd nam, dzieciakom, nieznanymi. Kiedyś opowiadała nam o spowiedzi w cerkwi.

– Wiecie, jak wygląda spowiedź w kościele? – spytała, po czym stwierdziwszy, że odpowiedzi nie znamy, od razu ciągnęła swą opowieść: – Trzeba po kolei wyznać wszystkie popełnione grzechy, a ksiądz w naszym kościele poucza i mówi: „Więcej nie grzesz!”. Na koniec daje rozgrzeszenie. Ale w cerkwi tak nie jest – kontynuowała ściszym konspiracyjnym głosem. – Pop ma taki fartuszek, a w rękę trzyma drewniany tłuczek. Spowiadający się klęka przed popem, a ten fartuchem przykrywa mu głowę. Co on powie grzech, to pop go tym tłuczkiem po głowie łup, łup. Za każdy grzech jedno uderzenie.

Wybuchnęliśmy z Różą śmiechem. Wydało nam się to strasznie zabawne. Nie wiem, kto coś takiego Jadzi powiedział. Może sama to wymyśliła?

– Nie wolno się z cudzej wiary wyśmiewać – napomniała nas natychmiast Jadzia.

– E, to nie jest prawda. Ja spytam mamusi – stwierdziła przytomnie Róża.

– Ty skarżypyto, już nic ważnego nigdy ci nie powiem – zagroziła Jadzia.

BOGUSŁAW

Długo po wojnie wspomniane były wypadki na majówki.

DANUTA

Majówki nie odbywały się tylko w maju, ale przez całe lato i aż do późnej jesieni. To były niedzielne wypadki do lasu z zaprzyjaźnionymi rodzinami i kosztami wiktuałów. Pamiętam, jak na pierwszą majówkę, zaraz po

naszym przyjeździe do Hajnówki, wybraliśmy się z Binderami i Szyndeckimi. Minęliśmy kolejki wąskotorowe i poszliśmy torami do naszego domu, którego budowa zmierzała do szczęśliwego finału. Wtedy to wszystkie dzieci dowcipkowały, że pan Binder kiedyś był lodziarzem, mimo że teraz pracuje jako listonosz. Pan Binder na tę majówkę zrobił nam lody. Co to była za frajda! Do porcjowania tych pyszności nie było patyczków czy jakichś specjalnych rozków waflowych, tylko pokrojony w kwadraty wafel. Każdy dostawał takie lody włożone między dwa kawałki wafła. Delicje!

Innym razem, gdy mieszkaliśmy już w nowym domu, na którąś majówkę nie wybraliśmy się pieszo. Przyjechała po nas dorożka – ależ to była ekstrawagancja! Jechaliśmy całą rodziną. My, wszystkie trzy siostry, wystrojone w nowe sukienki, siedziałyśmy tyłem do kierunku jazdy, a po przeciwnej stronie tatuś i mamusia z Bogusiem na kolanach. Cudowne przeżycie. Wydawało mi się, że patrzy na mnie cały świat!



Obchody Święta Niepodległości w Hajnówce 11 listopada 1938 r., na zdjęciu ulica Trzeciego Maja

BOGUSŁAW

Wszystko, co nas otaczało, było takie nowe, świeże i niosło nadzieję na coraz to lepszą przyszłość. Dochody z posady ojca, a jednocześnie dodatkowe przychody z gospodarstwa domowego gruntowały sytuację finansową rodziny. Ojciec miał ule, sprzedawał miód. Posadzone niedawno drzewa owocowe jeszcze nie owocowały obficie, ale dawały już pierwsze skromne plony. Rodzice stawali materialnie na nogi, osiągnęli stabilizację.



Leonard i Sylwestra (z prawej) Żukowscy na zjeździe członków Legionów w Krakowie, 15 sierpnia 1938 r.

DANUTA

Pamiętam, jak się mówiło, że mleko od naszej krowy holenderki będzie odbierać regularnie nasz żłobek.

* * *

1 września 1939 roku wojska hitlerowskich Niemiec przekroczyły zachodnie granice Rzeczypospolitej.

Kilkanaście dni później – 17 września – ze wschodniej strony na polskie tereny wkroczyła Armia Czerwona. O świcie tego dnia w Moskwie polskiemu ambasadorowi wręczono notę – nieprzyjętą przez polską stronę – zawierającą oświadczenie władzy sowieckiej o rozpadzie państwa polskiego, co stało się pretekstem do zerwania zawartych z Polską umów.

W ten sposób Związek Sowiecki złamał pakt o nieagresji, podpisany z Rzeczypospolitą jeszcze w 1932 roku, który miał obowiązywać do roku 1945.

Rosjanie wywiązywali się jednak z innego zobowiązania – z umowy z Trzecią Rzeszą. Zrealizowali bowiem założenia tajnego protokołu, będącego załącznikiem do zawartego pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim paktu Ribbentrop–Mołotow, od nazwisk ministrów spraw zagranicznych obu państw – Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa – którzy sygnowali ten dokument. Był to pakt o nieagresji, podpisany w Moskwie 23 sierpnia 1939 roku, zaledwie osiem dni przed atakiem Niemiec na Polskę. Tajny protokół dodatkowy dotyczył podziału stref wpływów w Europie Wschodniej pomiędzy Trzecią Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Zapisy tego sekretnego załącznika dotyczyły rozbioru terytoriów lub rozporządzania Polską, Litwą, Łotwą, Estonią, Finlandią oraz Rumunią. W myśl tego dokumentu linię podziału terytorium Polski wyznaczono wzdłuż rzek Narwi, Wisły i Sanu.

Najeżdżając zbrojnie tereny Rzeczypospolitej, Niemcy i Związek Sowiecki podzieliły między sobą jej terytorium. Pierwotnie uzgodniona linia podziału została zmodyfikowana w wyniku późniejszych porozumień między okupantami. Ostatecznie granicę niemiecko-sowiecką wyznaczono wzdłuż rzek Pisa i Narew do Ostrołęki, dalej Bugiem w górę rzeki do Małkini i od Leżajska w górę Sanu. Dlatego niejako awansem zajęte w wyniku działań wojennych miasta: Brześć, Augustów, Białystok, Przemyśl i inne pomniejsze hitlerowcy zaraz po 17 września przekazali we władanie swym sowieckim sojusznikom. W ten sposób we wrześniu 1939 roku połowa terytorium Rzeczypospolitej trafiła pod okupację niemiecką, a druga – pod okupację sowiecką.

* * *

DANUTA

Nie wiem, jak i kiedy dla naszego ojca zaczęła się wojna. Tego nie wiem. Dostał wezwanie czy zgłosił się na ochotnika? Brał udział w zgrupowaniu leśników w Kosowie Poleskim czy był powołany do normalnego wojska? Jakos nigdy go o to po wojnie nie zapytaliśmy. Nie pamiętam też, czy kiedy wyruszał z domu, miał na sobie mundur wojskowy czy mundur leśnika. Faktem jest, że już 27 sierpnia 1939 roku ojca nie było w domu. Ten dzień dobrze zapamiętałam, bo to były moje urodziny. Ojciec miał taki zwyczaj, że w każde urodziny podrzucał dziecko w górę tyle razy, ile kończyło lat.

Wtedy bardzo żałowałam, że taty nie ma i ten zwyczaj, który jako dzieci wszyscy bardzo lubiliśmy, właśnie mnie ominął. Pamiętam też, że kilka dni później, kiedy po raz pierwszy szłam do szkoły – 1 września 1939 roku – towarzyszyła mi tylko mamusia, która była bardzo, bardzo smutna.



Dworzec kolejowy w Hajnówce, 1935 r.

BOGUSŁAW

1 września rozpoczął się rok szkolny, a Danusia poszła wtedy do pierwszej klasy.

DANUTA

Jak zaczęły się bombardowania Hajnówki, nasz dom wypełnił się ludźmi. Przenieśli się do nas przyjaciele rodziców. Mieszkały u nas dwie rodziny: Uludowiczów i Szyndeckich. Pan Uludowicz był chyba kolejarzem, a pan Szyndecki urzędnikiem. Państwo Uludowiczowie mieli chłopca Manusia, niewiele starszego od Jadzi, a Szyndeccy dwoje dzieci: Rysia w wieku naszej Róży i Dorotkę, młodszą ode mnie, ale starszą od Bogusia. Będąc razem, czuliśmy się bezpieczniej. Potem przyjechał jeszcze pan technik

z nowo poślubioną żoną, ale jak zobaczyli, że tyle jest już u nas ludzi, pojechali szukać schronienia gdzie indziej.

Za schron służyła nam piwnica. Tak nazywaliśmy osobny budynek leżący w granicy naszej posesji, bardzo solidnie pobudowany. Część zagłębiona w ziemi była betonowa. Nad tym podpiwniczeniem, na poziomie podwórka, znajdowało się pomieszczenie gospodarcze z bali, w którym darło się pierze, wietrzyło pościel, a ojciec trzymał tam wszystkie swoje pszczelarskie akcesoria. Były też haki do wieszania różnych rzeczy. Do tego pomieszczenia wchodziło się z podwórka. Całość była pokryta spadzistym dachem, dlatego mieścił się tam także mały stryszek.

Do betonowej, podziemnej części schodziło się całe piętro w dół. Tam były dwa pomieszczenia. W pierwszym stały ławki i drewniane regały na przetwory. Zimą przechowywało się w nim też ziemniaki, buraki. Podręczny zapas żywności trzymało się w domu, w małej spiżarni przy kuchni i w piwniczce pod kuchenną podłogą.

W drugim piwnicznym pomieszczeniu trzymano produkty, które wymagały dużo niższej temperatury. Tam było naprawdę zimno. Lód zawinięty w maty utrzymywał chłód nawet upalnym latem. Mięso, mleko, masło czy kwas chlebowy zanosiliśmy zawsze do tego właśnie pomieszczenia. Kwas chlebowy z chleba i rodzynek robiło się wtedy chyba w każdym domu. To był zdrowy, smaczny i bardzo orzeźwiający napój. Taka nasza coca-cola.

Któregoś razu podczas bombardowań siedzieliśmy z naszymi gośćmi w piwnicy, w tym pierwszym pomieszczeniu z przetworami, przez cały dzień. Wokół ciągle słychać było wybuchy.

Jak tata poszedł na wojnę i zaczęły się bombardowania, to Boguś nie chciał jeść kolacji, płakał, że taty nie ma. Do tej pory tata na kolacji zawsze był w domu. A w nocy, jak mały zgłodniał, wstawał i wołał o jedzenie.

Rozgardiasz wokół, ojca nie ma, w domu dużo ludzi, raz uciekają do piwnicy, raz do lasu. Dziecko się rozregulowało. Matka bardzo się martwiła.

BOGUSŁAW

Kiedy i w jakich okolicznościach nasz ojciec wrócił do domu z wojny, nie wiadomo, ale było to na pewno przed przybyciem Niemców do Hajnówki.

DANUTA

Tuż po wybuchu wojny, ale wtedy, gdy Niemcy jeszcze do Hajnówki nie dotarli, do naszego domu przyszedł szpicel albo szabrownik, tak potem uznaliśmy. W domu była tylko mama i my, dzieci. Do obejścia zastukał mężczyzna w polskim mundurze. Mówił, że jest ranny, ale rany nie było widać, a on sam był przesadnie gadatliwy i z wielkim zaciekawieniem rozglądał się po domu. Opowiadał przy tym różne, nie do końca klejące się historie. Mówił po polsku. Mamusia wzięła apteczkę i zaproponowała, że mu opatrzy ranę. On jednak się nie zgodził. Tłumaczył przy tym pokrętnie naszej zaskoczonej mamie, że przed nocą chce zajść do znajomych, jakiejś rodziny szwagra, i tam opatrzą go, jak trzeba.

Jadzia, jak usłyszała, że on nie chce pozwolić na opatrzenie rany, zachowała się bardzo przytomnie: wyskoczyła z domu i pobiegła do znajomych. Osobliwy gość chyba się wtedy zorientował, że ona pospieszyła po pomoc, bo szybko się ulotnił – wyszedł z domu i zniknął w lesie.

Dokąd pobiegła Jadzia? Prawdopodobnie do państwa Kwapiszewskich – bo tam było najbliżej – lub do nadleśnictwa, do państwa Chorążych.

BOGUSŁAW

Niemcy wkroczyli do Hajnówki 17 września 1939 roku, jednak wycofali się po kilku dniach, oddając te tereny Sowiecom.

* * *

Wrzesień 1939 roku był dla Hajnówki podwójnie trudny.

17 września po zbombardowaniu składnicy amunicji i okolic dworca PKP oraz po pokonaniu oporu kilku stanowisk ciężkich karabinów maszynowych wojska hitlerowskie wkroczyły do miasta. Po kilku dniach wycofały się jednak, ustępując miejsca Armii Czerwonej, zgodnie z niemiecko-sowieckimi ustaleniami modyfikującymi ostateczną linię podziału terytorium Polski. W miejsce wojsk niemieckich do Hajnówki wkroczyły wojska sowieckie.

* * *

DANUTA

Tuż przed zajęciem Hajnówki przez Niemców wrócił z wojny nasz tata. Mimo że niezmiernie się z tego cieszyliśmy, atmosfera była napięta. Rodzice byli bardzo przygnębieni. Często rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami, tak żebyśmy my, dzieci, nie mogli ich usłyszeć.

Jadzia to się nawet wyspecjalizowała w podsłuchiowaniu ich. Nam wyjaśniła, że nie robi nic złego, bo jako harcerka powinna wiedzieć o wojnie jak najwięcej, żeby w razie potrzeby mogła być przydatna. Zapewniła z miną znawcy, że harcerze już w niejednej wojnie odegrali bardzo ważną rolę, bo pomagali nie tylko cywilom, ale i wojskowym. Jednak żeby pomóc, trzeba być dobrze zorientowanym, i ona właśnie zbiera informacje.

Kiedy w Hajnówce byli już Niemcy, doszło do dziwnego zdarzenia. Nie pamiętam dokładnie daty, ale było to słoneczne popołudnie. Wracałam

z siostrami do domu, chyba ze szkoły, a przy furtce czekała nasza służąca Andzia. Z miną konspiratora powiadomiła nas, że nie możemy wejść do domu przez ganek, tylko mamy iść od podwórza, bezpośrednio do kuchni. Rodzice są z trzema Niemcami w stołowym pokoju. Uspokoila nas, że nie dzieje się nic złego, bo Niemcy nie krzyczą, nie grożą, są uprzejmi. Byłyśmy przerażone, w każdym razie ja i Róża. Postanowiłyśmy siedzieć w kuchni dopóty, dopóki Niemcy nie opuszczą naszego domu. Jadzia natomiast oznajmiła, że poczeka na Niemców na ganku i jak będą wychodzić, spojrzy im z pogardą prosto w oczy. Nie jest przecież tchórzem.

Po tej wizycie chcieliśmy się czegoś od rodziców dowiedzieć. Ojciec powiedział nam wtedy, że Niemcami nie musimy się przejmować, ponieważ oni już się wycofują. Zabrzmiało to dla nas bardzo wiarygodnie. Poczułam wielką ulgę, bo naiwnie myślałam, że to koniec wojny i wrócą spokojne dni.

Potem wydało się jednak, że wizyta niemieckich żołnierzy nie była bezcelowa. Nasz ojciec miał odznaczenie wojskowe – Krzyż Niepodległości. Z tego odznaczenia my – dzieci – byłyśmy bardzo dumne. Otóż Niemcy wiedzieli o tym odznaczeniu i „poprosili”, aby ojciec ten Krzyż złożył im do depozytu wojskowego. Gotowe pokwitowanie przynieśli ze sobą. W tej sytuacji nie było jak odmówić. Bardzo przeżywaliśmy to rozstanie z „naszym” odznaczeniem.

BOGUSŁAW

Krzyż Niepodległości to było odznaczenie państwowe przyznawane po 1930 roku osobom, które przysłużyły się czynnie sprawie niepodległości Polski w okresie przed pierwszą wojną światową lub podczas jej trwania oraz w trakcie polskich walk zbrojnych w latach 1918–1921, z wyjątkiem wojny polsko-bolszewickiej na obszarze Polski.

Ojcu przyznano Krzyż Niepodległości już w 1932 roku, ale ze względu na stosunkowo wysoką opłatę pobieraną przy jego wydawaniu tata odebrał go dopiero tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku.

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE
im. mjr. Bolesława Wolędy

sygn. KN. 17.05.18.32 nr. ZUKONSKI Leonard
Copyright: Centralne Archiwum Wojskowe

939

Biuro Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości
Warszawa, Al. Ujazdowskie 1.

KWESTIONARIUSZ
dla otrzymania dyplomu i legitymacji.

Biuro Komitetu wysłało dyplom wraz z odznaczeniem i legitymacją po otrzymaniu od odnaczonego wypchionego własnoręcznie i czytelnie kwestionariusza.

42157
Leg. Nr. *4/10/38*

Zarządzenie P. R.
z dn. *17 Wiosnia 1932* r.

Nazwisko *Zukowski* pseud.

O ile zamężna – nazwisko rodowe

Imię *Leonard*

Zawód *gajowy Lasów Państwowych*

Data urodzenia (dzień, miesiąc, rok) *31 X 1899 roku*

Imiona rodziców *Maciej i Józfa*

Nazwisko rodowe matki *Sen*

Miejsce urodzenia:

Miasto

Wieś *Pukarnów*

Gmina *Ruchanie*

Powiat *Tomaszów*

Województwo *Subelskie*

..... nia za odznaczenie zł..... dnia 193..... r.

..... za legitymację zł 2.- dnia 193..... r.

Posiadane polskie odznaczenia

Jakie otrzymał odznaczenie Niepodległościowe:

Krzyż Niepodległości z mieczami *)
Krzyż Niepodległości
Medal Niepodległości

Data Zarządzenia Prezydenta R. P. umieszczona na zawiadomieniu *17 Wiosnia 1932 roku*

Dokładny adres obecny: (miasto, ulica, wieś, gmina, powiat, województwo, poczta) *Hajnowka*

..... *Hajnowka gajówka obok Kolejki Lesnych wq Białystok*

zł..... za odznaczenie wpłacono do Kasy P. K. O.
poz..... dnia *marz. 1930* 193..... r.

Podpis wypełniającego kwestionariusz
[Signature]

Wypełn
Biuro Kom
Dwa złote za legitym. wpłacono do Kasj P. K. P.
poz. dnia 1939 r.
Odznaczenie wysłano dn. 3 K.W. 1939 r.
Legitymację wysłano dn. 13 MARZ. 1939 r.

J. Miodowski

Wassawa, dnia *13. VII* 1939 r.

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE
m. st. Białystok

sygn. *KW. 17.05.1939. ZUKOWSKI Leonard*
Copyright: Centralne Archiwum Wojskowe

6. Dokładny życiorys i przebieg pracy ideowo-niepodległościowej:

Dnia 13.XII.1915 r.wstępuje do Legjonów Pol.i zostaje przydzielony do 4 baonu uzupełniającego,skąd 29.II.1916 r.odchodzi na front do 4 p.p.Leg.Pol. W bitwie pod Sitowiczami zostaje ciężko ranny. Po wyleczeniu od listopada 1916 r.na werbunku w Olkuszu. W czerwcu 1917 r.odchodzi z powrotem do 4 p.p. Początkowo internowany w Szczyplornie,następnie znajduje się w 2 p.p."Wehrmachtu".

W e wrześniu 1918 r.zwolniony z wojska. W 1920 r.jako policjant bierze udział w walkach z bolszewikami pod Tomaszowem Lubelskim.

Dokumenty dotyczące przyznania Krzyża Niepodległości Leonardowi Żukowskiemu
i przebiegu jego służby

DANUTA

Po kilku dniach do Hajnówki wkroczyli Rosjanie. Jak tylko przyszli, zaczęli wprowadzać swoje porządki. Między innymi usunęli ze szkoły wszystkich polskich nauczycieli. W zamian przyszły białoruskie i ukraińskie nauczycielki, które prawdopodobnie nie miały wykształcenia pedagogicznego, ale znały język polski, bo pochodziły z tych terenów, i mogły się swobodnie porozumieć z polskimi dziećmi. Zaczęto uczyć nas tylko w języku rosyjskim. Ojciec wtedy nam powiedział: „Dzieci, uczyć się musicie, bo język wroga trzeba znać. Koniecznie! Nie musicie, a nawet nie powinniście ich kochać, ale ich język musicie znać”.

Pamiętam, jaka byłam przerażona tą zmianą... Przez kilka dni uczyła nas nasza przemiła, ładna pani, a teraz przyszła taka jakaś gburowata – jak mówiliśmy – „kociówa”, z wielkim burym kokiem.

W urzędach, między innymi na poczcie, Rosjanie również wymienili polskich urzędników na Ukraińców. Wtedy zapanowały zupełnie nowe porządki. Poczta zaczęła pracować według nieznanych dotąd standardów. Nie wiem, czy przez cenzurę, czy z innego powodu zaczęły ginąć listy, a nawet paczki.

BOGUSŁAW

Tak było z przesyłkami wysyłanymi do nas w 1940 i 1941 roku, co ustaliliśmy po wojnie z bratem taty, stryjem Jankiem Żukowskim, który wojnę przeżył we Włodzimierzu Wołyńskim. Wysyłane przez niego paczki nie docierały do nas.

DANUTA

W Hajnówce w zakładach drzewnych znajdujących się na terenie tartaku produkowano meble. Kiedy do miasta weszli Sowieci, sporo gotowych znajdowało się w składzie. Rosjanie nie wstrzymali drwali, tartak pracował pełną parą, a wszystko, co wyprodukowano, nie tylko meble, ale wszystko, co się dało, ładowali na wagony kolejowe i masowo wywozili na wschód. „Serce się kraje, serce się kraje, całe pociągi tego idą” – żalił się ojciec.

Trzeba dodać, że w tym czasie żołnierze sowieccy robili także prywatne paczki dla swoich rodzin. Nie wysyłali ich jednak pocztą. Wszystkie zaadresowane pakunki zanosili do specjalnego wagonu, który stał na boczniczy stacji kolejowej tak długo, aż cały się zapełnił – wtedy ruszał w drogę. Skąd te prywatne paczki? Oni niczego przecież nie kupowali ani też od nikogo nie dostawali w prezencie. Rabowali z cichym przyzwoleniem swoich przełożonych.

Na początku plądrowali sklepy i magazyny. Jednym z pierwszych obrabowanych miejsc był należący do żydowskiego właściciela sklep z luksusowymi jak na owe czasy artykułami przemysłowymi, w którym sprzedawano rowery, maszyny do szycia i inne drogie produkty. Pod byle pretekstem wszystkie te towary skonfiskowali sowieccy żołnierze. A trzeba wiedzieć, że przed wojną maszyna do szycia czy rower to była naprawdę bardzo cenna rzecz.

Potem szybko przyszła kolej na plądrowanie prywatnych posesji. Żołnierze zaczęli od rekwirowania siana i owsa dla koni, które już

wcześniej skonfiskowali Polakom na potrzeby Armii Czerwonej.

Kiedy już było wiadomo, że od zachodu napadli na nas Niemcy, a od wschodu Rosjanie, że sowiecki okupant stoi na polskiej ziemi i głosi, że pozostanie tu po wsze czasy, wszyscy mieli świadomość, że ta wojna nie skończy się szybko. Ludzie zaczęli poważne przygotowania, aby przetrwać ten trudny czas. Gromadzono zapasy żywności. Kto tylko mógł – robił zapasy.

BOGUSŁAW

Początkowo nasza rodzina całe zapasy, głównie produkty zbożowe, zgromadziła w spichlerzyku w stodole. Jednak kiedy sowieccy żołnierze zaczęli z prywatnych domostw zabierać owies i siano dla koni, lotem błyskawicy rozniosła się wśród Polaków wiadomość, że wkrótce zaczną po chałupach rabować, co się da, przede wszystkim żywność. Wtedy rodzice postanowili podzielić rezerwy żywności i część ze spichlerza przenieśli na strych domu.

DANUTA

Ojciec z przyjacielem, panem Uludowiczem, dwa razy zakopywał „najcenniejsze rzeczy” na terenie naszej posesji. Od dębu, od piwnicy i jeszcze od trzeciego punktu – tak wytyczali drogę do zamaskowanego miejsca.

Za pierwszym razem ukrywali zalakowaną butelkę z dokumentami i wartościowymi rzeczami, wśród których było pokwitowanie wydane ojcu przez Niemców za odebrany Krzyż Niepodległości. Potem zakopywali galowy mundur legionowy ojca i maszynę do szycia. Maszyna była nowoczesna, nie z tych na korbkę, jakich wtedy z reguły używało się po domach, ale taka „deptana”, na peda! To był dla nas naprawdę wartościowy przedmiot.

Ja wtedy nasłuchiwałam, bo wiedziałam, że coś ważnego robią, i próbowałam podglądać. Najpierw z nasmołowanych deseczek zbili na te nasze skarby skrzynię. Widziałam potem, jak nasączonymi oliwą szmatami owijali mechaniczne części urządzenia. Ale jak usłyszałam, że skrzynia jest nasmołowana, to się przeraziłam, że wspaniały mundur taty ubrudzi się od tej smoły, i zaczęłam protestować. Ależ ja rozpaczałam, wręcz wpadłam w histerię. Wydało się wtedy, że podsłuchiwałam...

To zakopywanie odbywało się w wielkiej tajemnicy, nawet przed sąsiadem z za płotu. Po tym, jak się zachował w dniu wejścia Armii Czerwonej do Hajnówki, bano się już mu zaufać.

BOGUSŁAW

Ten sąsiad mieszkający za płotem był gajowym, podobnie jak nasz ojciec. Miał żonę i dwie córki. Z pochodzenia był Białorusinem. Jego starsza córka była już w wieku szkolnym i chodziła do prawosławnej szkoły.

Gdy do Hajnówki wkraczali Rosjanie, nasz sąsiad wybiegł na próg domu i krzychał:

– *Naszy idut! Naszy idut!* [Nasi idą! Nasi idą!]

– Uważaj, żeby „nasi” bokiem ci nie wyszli – powiedział mu wtedy nasz ojciec.

DANUTA

To był niespokojny czas. Polacy nie mogli czuć się bezpiecznie. Coraz częściej dochodziło do niepokojących zdarzeń prowadzących do zastraszenia polskiej ludności. Byliśmy świadkami jednego z nich, no i bezpośrednio nas ono dotyczyło.

Otóż mieliśmy pastucha Wołodię, Ukraińca. Każdego dnia zabierał krowy nasze i sąsiada na pastwisko, a wieczorem zaganiał je do obory. Pewnego dnia zwierzęta nie wróciły, a pastuch zniknął. Późnym wieczorem

ojciec z sąsiadem poszli na pastwisko zobaczyć, co się stało. Jedna z naszych jałówek, ta najdorodniejsza, leżała bez głowy w trawie, w olbrzymiej kałuży krwi. Reszta krów stała nieopodal, były wystraszone, ale całe i zdrowe. Ojciec z sąsiadem zagnali je do domu. Obaj oniemieli, gdy zbliżając się do swych domów, zobaczyli oderżniętą krowią głowę złowrogo zatkniętą na naszym płocie.

Oczywiście pastuch Wołodia już nie wrócił do pasienia naszych krów, a jego ojciec z butą oświadczył:

– Teraz to my będziemy panami, a wy, Polacy, będziecie u nas pastuchami.

Pamiętam, jak później dorośli żartowali, że ten nierób znalazł sposób na życie: po prostu będzie panem.

Ponieważ jego nazwisko kończyło się na „-czuk”, nazywaliśmy go PanCzuk. A mówiło się o nim coraz więcej i coraz gorzej. Służalczko współpracował z Sowieciami. Zaskarbił sobie ich przychylność już na samym początku, gdyż to właśnie on – PanCzuk – kroczył na czele delegacji witającej kwiatami, chlebem i solą Armię Czerwoną zajmującą Hajnówkę. Ten zdrajca i szpicel nie krył swojej wrogości do Polaków, wręcz przeciwnie, chętnie na każdym kroku ją manifestował.

BOGUSŁAW

Wraz z wojenną zawieruchą zaczęły się jaskrawo ujawniać wszelkie animozje narodowościowe i sympatie czy antypatie polityczne. Nastął czas bardzo niebezpieczny dla polskiej ludności. Pojawiły się uzbrojone bandy Rusinów, które bezkarnie napadały, rabowały, a często też mordowały Polaków.

DANUTA

Nasza Jadzia miała koleżankę, swoją imienniczkę Jadźkę Rydzewską. Jej rodzice mieli lewicowe przekonania. Jej tata, z tego, co pamiętam, nie miał pracy. Kiedy ona czasami przychodziła do nas do domu, mama zawsze pilnowała, żeby ją przy okazji nakarmić.

Pewnego razu Jadźka Rydzewska, gdy była u nas na obiedzie, oświadczyła, że nie pójdzie z innymi dziećmi w pochodzie na trzeciego maja. W tym dniu corocznie organizowano defiladę i brały w niej udział również hajnowskie szkoły. Jadzia Rydzewska stwierdziła wtedy hardo, że oni obchodzą w maju tylko jedno święto – pierwszego maja.

Jak nasz tata to usłyszał, powiedział:

– O, mała komunistka.

Nie rozumiałam, co to znaczy „komunistka”, ale słowo to skojarzyłam z komunią. Zazdrościłam więc jej, że jest komunistką i przystępuje do zakazanej dla mnie komunii. Wiedziałam, że komunia to coś, w czym uczestniczą dorośli i starsze dzieci. Przyznam, że byłam mocno zazdrosna o tę komunię. Moja interpretacja słowa „komunistka” wydała mi się na tyle logiczna, że nikogo już nie spytałam, co dokładnie ono oznacza. Znalazłam wszak swoje wytłumaczenie.

Po wejściu Armii Czerwonej do Hajnówki wszyscy wiedzieli, że w lasku za cmentarzem powstał obóz sowieckich żołnierzy. Jadźka Rydzewska postanowiła odwiedzić to niezwykle miejsce w towarzystwie mojej najstarszej siostry. Jadzia początkowo się opierała, twierdząc, że to są nasi wrogowie, ale ostatecznie z ciekawości uległa namowom koleżanki i sile jej argumentów, że ci żołnierze są niewiarygodnie sympatyczni, że ona już tam była, a jej przyjaciółka bezwarunkowo musi zobaczyć to niezwykle koczowisko. Tak więc dziewczynki pomaszerowały do sowieckiego obozu. Gdy podeszły, żołnierze gotowali w kotle kawę i chcieli je poczęstować.

– No to co, napijemy się? – zapytała Jadzia Rydzewska.

– Od wrogów ja nie mogę – stwierdziła stanowczo nasza Jadzia, która nagle się zreflektowała, po czym obróciła się na pięcie i uciekła.

Za nią ruszyła zdezorientowana Jadźka Rydzewska. Dziewczynki pędem przybiegły do naszego domu.

BOGUSŁAW

Nie trzeba było długo czekać na spełnienie proroczych słów ojca, wypowiedzianych do sąsiada zza płotu w dniu wkroczenia Armii Czerwonej do Hajnówki. Tego samego dnia co my – 10 lutego 1940 roku – sąsiad został wygnany wraz z całą rodziną z domu i wywieziony w tym samym co my transporcie w głąb Rosji. Trafiliśmy najpierw do tego samego wagonu, a potem do tego samego miejsca zesłania.

* * *

Na zajętych przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 roku ziemiach wschodnich mieszkało około 14 milionów polskich obywateli. Władza sowiecka od razu zaczęła realizować plan sowietyzacji tych terenów. Starano się wyeliminować te grupy społeczeństwa, które uznano za szczególnie niebezpieczne – nieprzyjazne sowieckiej władzy i komunistycznemu ustrojowi. Określano je mianem wrogiego politycznie elementu. Rozpoczęły się prześladowania: rozstrzeliwania, aresztowania, zsyłki do łagrów i obozów internowania. W ramach tej polityki represji na szczególnie szeroką skalę zostały zastosowane masowe deportacje ludności polskiej w głąb ZSRS.

Przeprowadzono cztery wielkie akcje deportacyjne:

– w lutym 1940,

– w kwietniu 1940,

– w czerwcu 1940,

– w maju/czerwcu 1941.

Historycy do dziś spierają się o liczbę Polaków przymusowo wtedy przesiedlonych do Związku Sowieckiego.

Według ówczesnych polskich źródeł emigracyjnych w Londynie deportacje objęły ponad 1,5 miliona polskich obywateli (do 1,7 miliona). Badania współczesnych naukowców, prowadzone na podstawie odtajnionych danych z postsowieckich archiwów, podają liczbę dużo niższą – 300–350 tysięcy. W jakim stopniu sowieckie listy wywiezionych Polaków są kompletne, trudno określić. Nie zostały bowiem przeprowadzone badania, które zweryfikowałyby ich rzetelność – między innymi nie porównano danych osób, które powróciły z zesłania, z listami ujawnionymi przez Rosjan.

Pierwsza masowa deportacja – w lutym 1940 roku – objęła, jak wskazują polskie źródła emigracyjne, 220 tysięcy osób. Źródła postsowieckie mówią o około 140 tysiącach. Deportowano całe rodziny. Wywózce podlegali osadnicy wojskowi i cywilni, którzy zamieszkali na Kresach Wschodnich w okresie II Rzeczypospolitej, a także przedstawiciele innych grup, zwłaszcza pracownicy służby leśnej i inni urzędnicy państwowi.

Ta pierwsza wywózka rozpoczęła się w nocy z 9 na 10 lutego. Odbywała się w szczególnie niesprzyjających warunkach, panowała ostra zima, temperatura spadała do -30°C . Wywożeni mieli prawo – według sowieckich rozporządzeń – zabrać ze sobą odzież, bieliznę, obuwie, pościel, naczynia kuchenne i stołowe, żywność, drobny sprzęt rolniczy i domowy, pieniądze i przedmioty wartościowe, ale nie więcej niż 500 kilogramów na rodzinę. Jednak w momencie wywózki prawo to nie było znane deportowanym, a przeprowadzający akcję enkawudziści respektowali je w dowolnym stopniu.

Trudne warunki atmosferyczne podczas tej deportacji, a potem ciężka ponad ludzkie siły praca, życie w osadach o charakterze niemalże łagrowym, spowodowały, że śmiertelność tego kontyngentu była najwyższa.

2. W drodze na miejsce zesłania

(10 lutego–marzec/kwiecień 1940)

DANUTA

Dzień 10 lutego 1940 roku zaczął się dla nas bardzo wcześnie, tuż po północy. Wtedy przyszli po nas sowieccy żołnierze. Najpierw oddali dwa strzały. To pierwsze, co zrobili. Strzelili do psa Lalka pilnującego obejścia. Faktem jest, że pies rzucił się na jednego z nich i podarł mu szynel.

Wilczur Lalek był ostrym, bardzo mądrym psem, który nie dopuszczał do domu nikogo obcego. Dom i zabudowania gospodarskie stanowiły zwartą całość, okoloną wysokim drewnianym płotem. W poprzek podwórka biegł wysoko drut, na którym był zamocowany łańcuch umożliwiający psu swobodne poruszanie się i ochronę każdego miejsca w obrębie naszych zabudowań.

Zanim więc Rosjanie podeszli do domu i zaczęli łomotać do drzwi, strzelili do psa.

– *Otkroj, otkroj!* [Otwieraj, otwieraj!] – krzyczeli.

– Kto to? W nocy? – zapytał ojciec przez drzwi.

– *My sowietskije sołdaty* [Jesteśmy sowieckimi żołnierzami] – odpowiedzieli.

Mamusia zamarła, gdy usłyszała odpowiedź ojca:

– W nocy to diabły, złodzieje i bandyci chodzą.

– My się pokażemy, staniemy przed oknem, otwierajcie! Strzelać będziemy!

Dwóch czerwonoarmistów i jeden cywil w pospolitym ubraniu próbowali dostać się do domu od ganku. Czterej inni żołnierze dobijali się od strony podwórza. To oni ustawili się pod oknem w kuchni. Ubrani byli w charakterystyczne sowieckie czapy z czerwoną gwiazdą, mieli długie szynele, byli uzbrojeni w karabiny z bagnetami.

– Dobij psa, żeby się nie męczył – ostro zażądał ojciec.

Było słychać, jak postrzelone zwierzę skowyczy na podwórzu. Padł strzał i skowyt ustał. Ojciec wpuścił ich do domu.

Jak weszli, od razu wzięli wszystkich „pod stienę” [pod ścianę], dzieci kazali obudzić i też ustawić pod ścianą. Mamusia zemdląła. Ojciec był w szoku... po prostu był w szoku... Najbardziej przytomna z nas, dzieci, była prawie dwunastoletnia Jadzia.

Rozpoczęła się rewizja prowadzona chaotycznie, na oślep. Porozwalali wszystko. Sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, czego szukają. Powyrzucali rzeczy z szaf, powyrywali szuflady. Zabrali jakieś dokumenty z biurka ojca. Czy wiedzieli, co zabierają? Nie wiem. Wątpię. Czy się na tym znali, czy nie... ale je zabrali. Wzięli też album z naszymi rodzinnymi zdjęciami. Okładka tego albumu była drewniana, z wyrzeźbionym wizerunkiem marszałka Piłsudskiego, okolona zakopiańskimi motywami.

Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, po tym, jak potoczyły się nasze dalsze losy, wiemy, że to była dla nas olbrzymia strata, bo właśnie wtedy zabrano nam bezpowrotnie bezcenne wspomnienia pierwszych, tak szczęśliwych lat naszego dzieciństwa.

Pamiętam tylko, że mamusia siedziała, a ojciec mówił, żeby się nie ruszała, żeby nie wstawała. Powiedział żołnierzom, że żona jest „oczeń bolnaja” [bardzo chora], aby dali jej spokój.

BOGUSŁAW

Wspominając po wojnie te traumatyczne dla naszej rodziny chwile, ojciec zawsze twierdził, że dowódca żołnierzy – nazywany przez podwładnych komandirem – zachowywałby się zupełnie inaczej, nie ograniczałby tak ilości zabieranego przez nas dobytku, gdyby nie obecność przy tym jednego cywila – ojca naszego pastucha. Dowódca wyraźnie się przed tym człowiekiem popisował, prawdopodobnie obawiając się donosu i posądzenia o zbyt łagodne traktowanie Lacha.

– Najgorszy wróg to własny wróg – zawsze mawiał ojciec.

DANUTA

Tatuś zaczął nas ubierać – od bielizny do rzeczy wierzchnich, ale najpierw wszystko poukładał w małe stosiki. Mamusia powiedziała tylko, że trzeba wkładać jedno na drugie, jak najwięcej warstw, żeby zabrać, ile się da, bo nie wiadomo, ile bagażu pozwolą nam ze sobą wziąć. Ojciec poubierał więc nas, w co tylko się dało, wciągnął na nas nawet nasze nowe szkolne mundurki.

Kiedy rozpoczęła się wojenna zawierucha, rodzice starali się kupić dzieciom, co tylko było można, bo nie było wiadomo, jak długo potrwa wojna i jak będzie przebiegać. Nasze starsze siostry miały nowiusieńkie, piękne skórzane teczki do szkoły. Kiedyśmy się pakowali, te teczki leżały odrzucone na bok i pamiętam, że pilnujący nas żołnierz wziął jedną z nich i powiedział do Róży:

– *Diewuszka, wozmi eto s soboj, eto koża, eto chorszaja koża* [Dziewczynko, weź to ze sobą, to skóra, dobra skóra], zrobisz sobie z tego buty.

Jadzia natychmiast zrozumiała i rzeczy, które tatuś odłożył do pakowania, zaczęła wrzucać najpierw do tych dwóch teczek, a kolejne do teczki taty, bo już wiedziała, że ta *koża* będzie potrzebna.

Potem okazało się to zbawienne. Teczki były wręcz na wagę złota. To one w pierwszej kolejności zostały wymienione na jedzenie... Co prawda butów sobie z nich nie zrobiliśmy, ale kto wie, czy jakiemuś Rosjaninowi do tego nie posłużyły.

Zaczęliśmy wkładać wierzchnie okrycia. My, dzieci, to nawet nie płakałyśmy. Nie płakaliśmy, bo Jadzia wyszeptwała: „Nie płaczcie, bo wrogowie będą się cieszyć”. Więc robiliśmy wszystko, żeby nie płakać... Nie płakaliśmy.

BOGUSŁAW

Rosjanie dobrze wiedzieli, do kogo i po co przychodzą.

To, co tego dnia udało się ludziom zabrać z domów, potem często decydowało o ich dalszym losie. Wiele zależało od żołnierzy, którzy asystowali przy pakowaniu dobytku, ile i co pozwolili danej rodzinie zabrać. Jak ważne dla naszego późniejszego życia były to chwile, mieliśmy się wkrótce przekonać. Ojciec – tak jak mu kazano – zabrał narzędzia do pracy w lesie, między innymi piłę i siekierę.

DANUTA

Ojciec naszego pastucha, PanCzuk, gorliwie asystował przy naszej wywózce. Sowieccy żołnierze wtargnęli do domu w jego asyście, a potem tolerowali jego obecność aż do momentu załadowania nas do sań. Ten jegomość czuł się bardzo pewnie, panosząc się i zaglądnijąc we wszystkie kąty. Jego zachowanie dowodziło, że czerpie jakąś obrzydliwą satysfakcję z sytuacji, w jakiej znalazła się nasza rodzina.

Próbował nawet ingerować w to, co pakowaliśmy do skrzyni. Ojciec traktował go jak powietrze. Kiedy tatuś wrzucał nasze rzeczy z szafy do skrzyni, wpadła mu w ręce balowa suknia mamy. Rusinowi zaświeciły się oczy, bo suknia była dość kosztowna.

– Po co ci ta suknia? – tak per „ty” zwrócił się do taty ojciec naszego pastucha! – To na pewno nie będzie ci potrzebne tam, gdzie jedziesz.

Ojciec nie odpowiedział, zignorował go i na przekór wrzucił suknię do skrzyni. Patrzył przez chwilę, po czym dorzucił jeszcze jedną i zarazem ostatnią, bo nasza mamusia miała tylko dwie suknie balowe.

Dziś myślę, że ojciec miał świadomość, iż ten człowiek tylko czeka na moment, kiedy i my, i żołnierze opuścimy dom, aby móc go splądrować.

Po powrocie do kraju dowiedzieliśmy się, że po naszej deportacji ten niepracujący nigdy wałkoń został przez Rosjan mianowany w Hajnówce wysokim urzędnikiem – zastępował dyrektora tartaku. Wobec ludzi zachowywał się podle. Podobno partyzanci wyszli któregoś dnia z lasu i ucięli mu głowę.

BOGUSŁAW

Pościel powiązano w wielkie toboły. Największy bagaż stanowiła duża drewniana skrzynia. W niej, oprócz naszych ubrań, bielizny pościelowej i koców, zapakowane były podstawowe sprzęty domowe: garnki, talerze, sztuce. Dobrze pamiętam z zesłania niebieski czajnik i mój nocnik z pokrywką.

DANUTA

Kiedy zabierali nas z domu, *krasnyj komandir* [dowódca czerwonoarmistów] oznajmił, że możemy ze sobą jako prowiant wziąć produkty zbożowe, przy czym ściśle określił ich wagę.

– Dlaczego tylko tyle? – zapytał ojciec.

– To i tak za dużo na dwa tygodnie. To tylko na drogę – rzucił władczo dowódca i dodał: – *Kak zajedietie, to tam wam wsio dadut. U nas wsiego mnogo* [Jak zajedziecie, to tam wam wszystko dadzą. U nas wszystkiego jest dużo].

Wtedy mama cichym, ale zaskakująco przytomnym głosem poprosiła ojca o mąkę i kaszę, tę najbardziej odżywczą – jaglaną.

Po te produkty tatuś udał się pod eskortą dwóch czerwonoarmistów na strych. Jeden z nich został na schodach, a drugi wszedł z ojcem na poddasze. Wśród licznych mniejszych i większych worków ojciec odnalazł mąkę, po czym zaczął szukać kaszy jaglanej. Niespecjalnie się w tych zapasach orientował, bo na strychu układała i segregowała je mama według swoich potrzeb.

W trakcie tych poszukiwań niespodziewanie za plecami ojca zjawił się PanCzuk i po raz kolejny starał się wtrącić swoje trzy grosze. Nie pamiętam, o co wtedy chodziło, czym chciał tym razem zdenerwować ojca, faktem jest, że mu się udało. Ojciec tak się zirytował, że nawet nie zajrzał do worka, który zabierał, tylko pomacał przez płótno i uznał, że to kasza jaglana.

BOGUSŁAW

To był pokaźny worek maku! Przez pomyłkę ojciec zabrał worek maku, który wydał mu się kaszą jaglaną.

DANUTA

Mak potem oczywiście zjedliśmy, a raczej żuliśmy, ale to było później, już na miejscu zesłania, jak minął czas, kiedy w tamtejszym sklepiku było jeszcze jako takie zaopatrzenie...

A 10 lutego 1940 roku pakowaliśmy się krótko. To nie były nawet dwie godziny, na pewno nie... Do naszych drzwi załomotali tuż po północy, a już przed drugą wyruszyliśmy w kierunku dworca.

BOGUSŁAW

Kasza jaglana byłaby potem w transporcie bardzo dobrym pożywieniem, stosunkowo krótko się gotuje i jest wysokokaloryczna.

DANUTA

Pod domem stały trzy pary sań zaprzęzonych w konie. Do jednych załadowano wszystkie nasze rzeczy, w drugich posadzono nas, dzieci. Ojciec usadził nas rzędem na pierzynie i szczelnie pookrywał, bo był wtedy bardzo silny mróz – według późniejszych relacji dorosłych około -30°C . Panowała śnieżna i mroźna zima. Było okropnie zimno.

Trzecie sanie były przeznaczone dla żołnierzy. Wszyscy się jednak nie zmieścili. Jeden szedł obok sań, tak jak tatuś i odpowiedzialni za sanie wozacy. Mamie pozwolono jechać na saniach razem z nami, bo żołdacy [żołnierze] uznali, że ona rzeczywiście jest chora. W przeciwnym razie mama też musiałaby iść obok sań.

I tak ruszyliśmy w kierunku dworca kolejowego w Hajnówce.

Kiedy naszą rodzinę przywieziono na dworzec, nadal panowała noc, wokół było zupełnie ciemno.

BOGUSŁAW

Na dworcu załadowano nas do zwykłych polskich wagonów towarowych. Panował w nich niewiarygodny ziąb. Był środek siarczystej zimy, a wagony nie były niczym ogrzewane, nie było w nich żadnego piecyka.

DANUTA

Wagony czekały na nas na bocznicy. Nie wiem, czy byli w nich już jacyś ludzie, może tak, jednak wagon, do którego nas zapakowano, był pusty, nasza rodzina przybyła pierwsza. To był zwykły wagon towarowy, bez prycz, piecyka ani tej charakterystycznej dla sowieckich wagonów, tak

zwanych ciepłuszek, służącej za toaletę dziury w podłodze. Zaryglowali wagon.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy szcęk rygli i weszła następna rodzina. My tymczasem ulokowaliśmy się w rogu wagonu po lewej stronie, ta druga rodzina usadowiła się po tej samej stronie co my, naprzeciwko. Nie pamiętam nazwiska tych państwa.

Potem rodzin przybywało, dojeżdżali kolejni nieszczęśnicy z mniejszym lub większym bagażem, panował zamęt. Trwało to niemalże cały dzień. Słysząc było tylko metaliczny szcęk otwieranych, a za chwilę ryglowanych drzwi naszego wagonu albo wagonów sąsiednich. Towarzyszyły temu pokrzykiwania:

– *Sadis' bystro! Bystriej! Bystriej!* [Wsiadać prędko! Prędzej! Prędzej!]

Przed świtem przywieźli dobrze nam znaną rodzinę nadleśniczego z Hajnówki, państwa Chorążych: ojca, matkę, dziewięcioletnią Jadzię i półtorarocznego Stasia. Z rana, gdy było już jasno, ku wielkiemu naszemu zaskoczeniu przywieziono rodzinę naszego sąsiada zza płotu, tego, który tak radośnie witał Sowietów: *Naszy idut, naszy idut...*

Pamiętam, że pani Chorąży, nazywana przez nas panią Chorążyną, miała chleb. Smarowała go masłem i rozdawała dzieciom. Usiłowała jeszcze kłaść na to konfitury z truskawek, których słoik zabrała z domu, ale ktoś przytomnie zauważył, żeby tego nie robiła, bo dzieci w tym rozgardiaszu zaraz się upaprzą i wszystko będzie się kleić.

BOGUSŁAW

Bardzo długo trwało, zanim ruszyliśmy. Długo zwozili ludzi, przeważnie leśników z rodzinami z okolicznych terenów. Ciągnęło się to, jak potem wspominali dorośli, następne dwa dni.

DANUTA

Ostatecznie ulokowaliśmy się tak, że nasze bagaże zostały ciasno poukładane w wysokie sterty, a my – dzieci – siedzieliśmy na tych rzeczach, z nogami podkurczonymi albo bezwładnie zwisającymi. Nikt nie miał nawet szansy się ruszyć, tkwiliśmy stale w jednym miejscu.

W wagonie szybko ujawnił się problem podstawowy, jednak niezmiernie ważny. Chodziło o załatwianie potrzeb fizjologicznych, których w żaden sposób nie można było odkładać w nieskończoność. Dotyczyło to nie tylko dzieci, ale i dorosłych.

Na interwencję rodziców, aby Rosjanie pozwolili choć dzieciom skorzystać z dworcowej toalety, żołnierze odpowiadali, że to absolutnie niemożliwe. Napięcie w wagonie rosło, podobnie jak i nasza determinacja. Polacy łomotaniem w drzwi domagali się dostępu do toalety. Tak samo zaczęli protestować ludzie pozamykani w innych wagonach.

Usłyszeliśmy wtedy, że strażnikom na zewnątrz udzieliło się nasze zdenerwowanie. Żołnierze biegali, nawoływali i szukali jakiegoś swojego *komandira*. Rodzice sądzili, że zaraz pozwolą nam skorzystać z toalety. I rzeczywiście po chwili otworzono wagon, a stojący przed nim żołnierz zadysponował gromko, aby w podłodze wagonu wyrąbać dziurę i... toaleta będzie gotowa.

– Jak to? – zdziwili się mężczyźni. – Gdzie? Tu? W zatłoczonym, pełnym ludzi i bagaży wagonie?

Zirytowany żołnierz wskoczył dziarsko do środka, głośno sarkając:

– *Ech, wy, Polaki, i eti waszyje wagony* [Ech, wy, Polacy, i te wasze wagony] – powtórzył dwukrotnie, co miało zapewne wyrażać jego pogardliwy stosunek do zapóźnienia cywilizacyjnego polskiego kolejnictwa, po czym wskazał miejsce w rogu wagonu i kazał odsunąć bagaże.

Nie pamiętam, skąd się wzięła siekiera, ale pamiętam, że żołnierz osobiście nadzorował tę pracę, po czym zadowolony wrócił na peron, zatraskując z hukiem drzwi wagonu i je ryglując.

Trudno opisać, jak kłopotliwe było korzystanie z takiej „toalety”. Intymność tego przybytku starano się zapewnić, rozkładając wokół jakąś derkę wyciągniętą z czyjegoś bagażu. Pamiętam jak nas, dzieci, krępowała ta sytuacja. A co musieli czuć dorośli? Im przecież musiało być dużo trudniej.

BOGUSŁAW

Pamiętam, jak po wojnie ojciec, opowiadając o naszej wywózce swojemu bratu, śmiał się, że Rosjanie w ogóle nie byli przygotowani na to, że ludzie mają potrzeby fizjologiczne. Byli tym odkryciem niewiarygodnie poirytowani.

DANUTA

Na zewnątrz panował ciągle niesamowity hałas. Często słychać było szczęk drzwi wagonów, co oznaczało załadunek kolejnych rodzin.

– *Sadis' bystriej! Bystriej! Bystriej!* – Zawsze towarzyszyła temu ta sama niecierpliwa komenda.

Na te pokrzykiwania enkawudzistów nakładały się nawoływania Polaków. Na stację i w jej pobliże przychodzili ludzie, którzy dowiedziawszy się, co się dzieje, chcieli – mimo że z pewnością sami się bali – ustalić, czy w transporcie są ich bliscy lub znajomi.

Chcieli się dowiedzieć, czy mogą coś dla nich w tej sytuacji zrobić, coś komuś przekazać, a często też aby – tak zwyczajnie po ludzku – dodać rodakom otuchy, pocieszyć i pożegnać. Niestety zbliżanie się do naszych wagonów było zakazane. Na indywidualne prośby żołnierze zawsze odpowiadali wrzaskliwym:

– *Nielzia! Nielzia! Nie rozrieszajem!* [Nie wolno! Nie wolno! Nie pozwalamy!]

I właśnie dlatego niedopuszczani do wagonów Polacy próbowali na odległość porozumieć się z zamkniętymi w środku ludźmi. Chcieli dać im znać, że są, że starają się o widzenie. Najczęściej wykrzykiwano nazwiska.

– Kowalski, Kowalski, Kowalski – krzyczano na przykład.

– Jan, Andrzej, Józef – odkrzykiwano z wagonu, podając imiona znajdujących się w środku osób o tym nazwisku.

W tym czasie w naszym wagonie mężczyźni starali się ustalić, co dzieje się na zewnątrz. Nasłuchiwali przy drzwiach i nagle usłyszeli głos jednego z pilnujących nas żołnierzy:

– Charażyna! Charażyna!

W naszym wagonie natychmiast zaczęto walić w drzwi, aby dać znać, że jest tutaj aresztantka o takim nazwisku. Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że niani państwa Chorążych udało się przekupić wartowników.

W odróżnieniu od naszej pomocy domowej, która była Rusinką, ta pani była Polką. Nasza Andzia z Masiewa, jak tylko do Polski wkroczyli Rosjanie, uznała, że nie powinna pracować u Polaków, i sobie poszła. Natomiast niania od państwa Chorążych zrobiła wielką rzecz. Przyniosła nam w dużym naczyniu, chyba w kanie na mleko, gorącą herbatę. Wszyscyśmy z wielką ochotą ją pili, bo jak nas zabierali z domu, to nie pozwolili nam niczego się napić.

Na dworzec kolejowy przychodzili nie tylko znajomi uwięzionych w wagonach ludzi, ale też osoby zupełnie postronne. Przeważnie próbowano podać zesłańcom jedzenie. Zawsze wcześniej trzeba było uprosić, a najczęściej przekupić pilnujących składu żołnierzy i zawsze towarzyszyły temu długie i głośnie targi.

Pamiętam, jak jakaś kobieta krzyczała:

– Pożywny gorący krupniczek dla dzieci! Krupnik! – powtarzała wielokrotnie to nawoływanie.

Nie wiem, czy jadłam ten krupniczek, czy nie. Na pewno jadłam zupełnie dostarczoną przez kogoś w ten sposób. Zapamiętałam jednak dobrze nawoływanie tej samarytanki – tak chyba trzeba określić tę kobietę – to był wtedy tak bardzo ważny dla nas gest, że do dzisiaj jej słowa dźwięczą mi w uszach.

Ten koszmar trwał długo. Jestem przekonana, że pociąg stał na stacji w Hajnówce dwa, a może nawet trzy dni. Dorośli, rozmawiając między sobą, twierdzili wtedy, że nie ruszymy dopóty, dopóki Sowieci nie wyłapią wszystkich leśników, na których zastawili sidła.

BOGUSŁAW

Nie mogę pamiętać tych wydarzeń. Miałem wtedy trzy i pół roku. Jednak te przeżycia zawsze tak intensywnie trwały we wspomnieniach naszej rodziny, powracały w rozmowach tak często, wyraziście i plastycznie, że dziś, po latach, wydają się jak moje własne.

DANUTA

Z postoju na stacji w Hajnówce zapamiętałam jeszcze jedno znamienne wydarzenie, które dotyczyło rodziny Niepokolczyckich.

Pan Niepokolczycki był młodym, przystojnym, przemiłym inżynierem. Miał uroczą żonę i trzymiesięczne niemowlę. Żona ze strachu, stresu, przeżyć tej koszmarnej nocy straciła pokarm i nie mogła karmić dziecka. Z rozpaczy pan Niepokolczycki wpadł w szał, zaczął krzyczeć i walić czymś ciężkim, chyba siekierą, w zaryglowane drzwi wagonu.

– Mordercy! Zbrodniarze! Czerwoni! – krzyczał.

Mężczyźni w wagonie, w tym nasz ojciec, rzucili się na niego i go obezwładnili, próbując uspokoić. Pamiętam, jak ojciec mówił:

– Człowieku, jeżeli się nie uspokoisz, już nigdy nie zobaczysz swojego dziecka! A jak ciebie zabiorą, to co się stanie z twoją rodziną, z dzieckiem i z żoną? Pomyśl!

Jakoś go uspokoiли, wyciszyli. Ktoś tam miał jeszcze kubek z herbatą. Nasączono nią pieluszkę i tak podawali dziecku, a ono ją łapczywie ssało. Wtedy i dziecko, i matka jakoś się uspokoiли. Kobiety otoczyły opieką młodą panią Niepokolczycką. Tłumaczyły jej, żeby się nie denerwowała, żeby zaczęła myśleć o czymś dobrym, to odzyska pokarm.

Zdarzenie to było moim pierwszym szokującym wspomnieniem z podróży. Wtedy też uderzyła mnie wzajemna pomoc i życzliwość zamkniętych w jednym wagonie ludzi, po prostu tam spędzonych.

Co ważne, wiem, że dziecko państwa Niepokolczyckich przeżyło, uratowali je. Razem trafiliśmy w to samo miejsce zesłania.

BOGUSŁAW

Z Hajnówki pociąg pojechał do Baranowicz. Tam przegoniono nas wraz z dobytkiem do sowieckich wagonów szerokotorowych, ciepłuszek, czyli wagonów towarowych przystosowanych do przewozu ludzi w prymitywnych warunkach.

DANUTA

Po raz pierwszy w życiu byłam tak zmęczona, tak niewiarygodnie wyczerpana tymi przeżyciami i tym niekończącym się koczowaniem w wagonie w Hajnówce, że jak pociąg ruszył w drogę i wpadł w swój miarowy, stukoczący rytm, zapadłam w głęboki sen. Odpłynęłam w niebyt. Dlatego nie pamiętam zakończenia pierwszego etapu naszej podróży, to znaczy nie pamiętam, o jakiej porze dnia czy nocy dojechaliśmy do Baranowicz. Nie pamiętam również samego „przeładunku” z polskich

wagonów do sowieckich ciepłuszek. Prawdopodobnie ktoś mnie – śpiącą kamiennym snem – przeniósł na rękach.

Pamiętam natomiast doskonale, jak się obudziłam. Pociąg stał. Leżałam na drewnianej pryczy. Panował półmrok. Jakoś nie byłam zaniepokojona czy zdziwiona nowym otoczeniem. Odczułam ulgę, nawet pewną radość, że nareszcie leżę. Nie zmieniałam więc pozycji przez dłuższą chwilę, chcąc się nasycić tym „komfortem”, o którym tak marzyłam, siedząc na bagażach w poprzednim wagonie. Nasłuchiwałam. Dochodziły do mnie urywane rozmowy dorosłych, ale jakieś dziwne, prowadzone przyciszonymi głosami, wręcz szeptem.

Słabe światło pochodzące z rozgrzanej do czerwoności *barabanki* [blaszanego piecyka], stojącej gdzieś pośrodku wagonu, nieznacznie rozjaśniało półmrok. Zobaczyłam kilku mężczyzn stojących przy drzwiach, pogrążonych w szeptanej dyskusji, którzy jednocześnie nasłuchiwali, co dzieje się na zewnątrz.

Nie pamiętam odgłosów dobiegających z dworu... ale w pewnym momencie zapłakało małe dziecko, niemowlę, i ono wyrwało mnie z tego „nasłuchu”. Trwało to jednak krótką chwilę, bo zmęczenie znów mnie pokonało i ponownie zasnęłam.

Kiedy obudziłam się po raz kolejny, z werwą usiłowałam usiąść i wtedy odkryłam, że pułap naszego nowego lokum mi na to nie pozwala. Nawet dziecko nie mogło tam siedzieć prosto, bez schylania głowy. Moje siostry, jedna przez drugą, informowały mnie, że „spałam jak zabita”, a w tym czasie przenieśliśmy się do sowieckich wagonów z półkami i teraz każda rodzina ma swoje miejsce. Dalej, ścisząc głos do szeptu, siostry relacjonowały mi, że tu, w tym ruskim wagonie, nie trzeba było wyrąbywać dziury w podłodze, bo była już wyrąbana. Wystarczyło tylko zrobić dookoła jakiś prowizoryczny parawan i toaleta gotowa.

Po tym natłoku informacji zaczęłam z wielkim zainteresowaniem rozglądać się wokół. Byłam szczerze zdziwiona. W blasku ognia z piecyka rzeczywiście zobaczyłam półki i wystające z nich głowy ludzi – dorosłych i dzieci – leżących albo siedzących, skulonych, wspartych na łokciach.

BOGUSŁAW

Mniej więcej na środku stał żelazny piecyk, wykorzystywany do ogrzewania całego wagonu. Wagon dzielił się umownie na dwie części, linię podziału tworzyły zaryglowane drzwi po jego przeciwległych bokach. Przy suficie, w rogach, były małe okienka zabezpieczone od zewnątrz metalowym okratowaniem.

DANUTA

W każdym wagonie na krótszych bokach były umocowane legowiska, długie na szerokość wagonu, po trzy z każdej strony, jedno nad drugim. Wystawały ze ściany jak półki. Rosjanie nazywali je narami. Każdą taką pryczę zajmowała przynajmniej jedna rodzina – mniej więcej taka jak nasza lub większa. Podobno sowiecki przydział na jedną pryczę to było dziesięć osób.

W transporcie jechały też z nami rodziny liczniejsze niż nasza. Znałam jedną, gdzie dzieci było jedenaścioro, w tym czteromiesięczne bliźniaki. Losy tej rodziny były tragiczne. Bliźnięta zmarły bardzo szybko, zaraz po nich matka, pół roku później ojciec. Potem kolejno umierały najmłodsze dzieci – starsze były silniejsze. Zresztą zawsze najbardziej poszkodowane były najmłodsze maluchy, najbardziej bezbronne, najmniej odporne. Im mniejsze, tym ich szanse na przeżycie malały.

Rzadko zdarzały się rodziny mniej liczne niż nasza. Jeszcze rzadziej ludzie samotni.

BOGUSŁAW

Trudno dziś powiedzieć, ilu ludzi było w wagonie. Panowała ciasnota, podróżowaliśmy z częścią mniejszych bagaży. Większe – jak nasza skrzynia czy jakieś worki i tłumoki – były zdane do depozytu i jechały w innym wagonie.

DANUTA

Były wśród nas również rodziny mieszane, gdzie tylko jedno z małżonków było polskiego pochodzenia, oraz rodziny Rusinów, czyli pochodzenia białoruskiego lub ukraińskiego. Rusini już w wagonach zaczęli dystansować się od Polaków, uważając Sowieców za bardziej „swoich”.

Zresztą problem podziału na polskie i niepolskie rodziny pojawił się już w momencie wybuchu wojny, a raczej w chwili wkroczenia na nasze tereny Armii Czerwonej.

BOGUSŁAW

Było ciasno. Jednak nie byliśmy tak stłoczeni jak ludzie wiezieni do Oświęcimia...

DANUTA

W Baranowiczach ludzie, Polacy, też przynosili nam jedzenie – zupę czy inną strawę, ale... czy ja coś z tego jadłam? Pewnie tak.

– Przełożymy tylko i zaraz oddamy garnek – usłyszałam przez sen głos kogoś w pobliżu.

– Nie, nie, nie trzeba, zostawcie go sobie. Tam, gdzie jedzicie, na pewno wam się przyda – odpowiedziała kobieta zza ściany naszego wagonu.

Później pamiętam już tylko zbiorowy płacz i modlitwę. To pamiętam...

Wagonem nagle szarpnęło, żabim skokiem wyrwał do przodu, potem nastąpiło jeszcze kilka łagodniejszych szarpnięć, zanim pociąg wpadł

w swój hałaśliwy, jednostajny rytm.

– Już nas wiozą! – ktoś zawołał, a może kilka osób krzyknęło przerażonym głosem. – Już nas wiozą!

Wtedy... wtedy zawisł w powietrzu zbiorowy skowyt, przerażający jęk rozpaczny. Wydobył się jakby jednocześnie z serc tysięcy nieszczęśników. Niektóre kobiety zaczęły płakać, lamentować, inne się modlić, ale ich głosy szybko zagłuszyła pieśń, którą, jak się wydawało, śpiewał cały transport uwięzionych w wagonach ludzi:

*Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi.
Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy,
Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy.*

BOGUSŁAW

Nikt nie przypuszczał, że ta podróż będzie trwała aż tak długo, bo prawie dwa miesiące – od załadowania w Hajnówce do przybycia na miejsce zesłania.

DANUTA

Od Baranowicz wiozły nas dwie lokomotywy – z przodu i z tyłu składu. To był olbrzymi pociąg towarowy. Nie umiem powiedzieć, ile było wagonów, ale na zakrętach nie było widać tego drugiego parowozu. A wyznacznikami *eszałonu* [składu kolejowego] były właśnie te dwie lokomotywy.

Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Jazda przerywana była długimi postojami, często w szczerym polu, czasami w pobliżu małych stacji kolejowych. Drzwi otwierano jedynie po to, żeby dostarczyć nam opał, wodę lub nieprawdopodobnie rozwodnioną zupę bez żadnego smaku.

Wtedy odryglowywano je z tej strony, z której akurat znajdował się peron lub budynek stacji.

Każdego wagonu pilnowało sześciu żołnierzy. To oni otwierali drzwi i krzyczeli: *Dwa czelawieka za supom* [Dwóch ludzi po zupę]. A czasami: *Dwa czelawieka za piszczej*. Z początku nie wiedzieliśmy, co to znaczy, a *piszcza* to po prostu „strawa”. Wtedy dwaj mężczyźni wychodzili z wagonu i szli z wiadrami po tę wodnistą zupę lub po wodę.

Do wychodzenia po przydzieloną nam aprowizację ustawiała się kolejka, każdy chciał iść po posiłek, bo to była szansa, żeby się czegoś dowiedzieć. Nasz ojciec umiał zjednywać sobie ludzi. Był bardzo bezpośrednim człowiekiem, łatwo nawiązywał kontakty. Rwał się do tych marszów z wiadrami. Jak tylko ktoś zaniemógł, ojciec natychmiast zgłaszał się w zastępstwie, podobnie zresztą jak pozostali mężczyźni.

Porzucony na polach, niezabezpieczony na zimę sprzęt rolniczy, zasypana śniegiem przyzma czegoś, co wyglądało na zboże, brud i smród – to mężczyźni obserwowali, wychodząc na chwilę z wagonów. Marnotrawstwo i brak gospodarności były widoczne gołym okiem na każdym kroku. Nie różniło się to zresztą od tego, co widzieli przez malutkie zakratowane okienko wagonu. Takie widoki wyraźnie ich dziwiły i mierziły. Potem w drodze długo je komentowali.

Mężczyźni wychodzący po jedzenie byli jedynym źródłem strzępów wiadomości, jakie w tym czasie docierały do nas z zewnętrznego świata. Często mówili o żebrzących dzieciach. Obszarpane, zasmarkane i brudne biegły gromadą przy konwojowanych mężczyznach niosących strawę do wagonów i błagały o chleb...

BOGUSŁAW

Transport nigdy nie zatrzymywał się w centrum dużego miasta czy na samym peronie. Zawsze to było gdzieś na uboczu, na jakiejś oddalonej bocznicy, na obrzeżach małych miast. Nigdy przy budynku stacji. Sowieci nie chcieli się chwalić przed rodakami tym, co robią.

Zresztą u nich zawsze wszystko robiło się szybko i po cichu.

DANUTA

My ulokowani byliśmy na środkowej narze. Spędzaliśmy na niej dni i noce.

Wchodzenie na te prycze i schodzenie z nich było bardzo kłopotliwe, szczególnie z tej położonej najwyżej. Ale schodziło się rzadko, najczęściej wtedy, gdy potrzebowało się skorzystać z naszej wytwornej toalety.

BOGUSŁAW

Pożywienie dostarczano nam rzadko i nieregularnie. Czasami codziennie, zwykle jednak raz na dwa dni. Nigdy nie wiedzieliśmy, czy dostaniemy coś danego dnia i co to będzie. Najczęściej była to woda lub jakaś wodnista zupa z kaszy jęczmiennej. Sporadycznie dostawaliśmy również chleb. Taki chleb widzieliśmy po raz pierwszy. To przekraczało nasze wyobrażenia – nigdy nie przypuszczaliśmy, że chleb może być taki podły.

Nowością dla nas, jeśli chodzi o wyżywienie, był dostarczany nam sporadycznie do picia *kipiatok* [wrzątek]. Czasami zamiast wody dostawaliśmy wiadro śniegu...

DANUTA

Jak tylko był opał, w piecyku paliło się nieustannie, dzień i noc. W przeciwnym wypadku zamarzlibyśmy. Na zewnątrz panowały bardzo niskie temperatury. Im głębiej wjeżdżaliśmy w Rosję, tym robiło się zimniej.

Opał dostarczali w skrzyniach pilnujący wagonów żołnierze. Te dostawy były dość regularne. Paliliśmy drewnem, może czasami węglem – tego nie pamiętam.

BOGUSŁAW

Przez krótki czas, na początku naszej podróży, mieliśmy, jak i inni, skromne zapasy żywności.

DANUTA

Myślę, że mama miała depresję spowodowaną szokiem, bo w wagonie tylko leżała, taka jakby odrętwiała, nieobecna, ale nie spała. Wiem, że czuwała. Jak przyszła do nas na naszą pryczę dziewczynka, której imienia nie pamiętam, i grałyśmy w zaczarowaną nitkę, to mamusia powiedziała do nas:

– Dziewczynki, przesunście się do środka, bo pospadacie z tych półek.

Więc czuwała, nie spała...

Zaczarowana nitka to zabawa, która polega na robieniu palcami obu rąk różnych figur z nitki tak związanej, że tworzy kółko. Jedna dziewczynka zdejmuje z rąk drugiej nitkę tworzącą jakąś figurę i jednocześnie tak przekłada palce, że formuje z niej inny kształt. Początkowo miałyśmy niebieską nitkę i ona była słabo widoczna w półmroku wagonu. Ktoś więc dał nam kawałek białej włóczki, mówiąc, że najlepiej widoczna byłaby żółta... I za chwilę ktoś podarował nam do zabawy kawałek żółtej tasiemki.

BOGUSŁAW

W dni, w które nie dostarczano nam żadnego jedzenia, próbowaliśmy na tym ciągle gorącym piecyku coś przygotować. Ustalono między rodzinami kolejkę do tego gotowania i każda miała chwilę na przyrządzenie posiłku.

Mama nie wstawała, chorowała. Kiedy ojciec chciał nam zrobić pierwszy taki posiłek – a gotować nie umiał – wrzucił po prostu mąkę na gotującą się wodę. Z planowanych zacierek na wodzie wyszła jedna zwarta klucha. Łyżka stała w garnku na sztorc.

Z tego pierwszego gotowania ojca żartowaliśmy potem i na zesłaniu, i jeszcze długo po wojnie.

DANUTA

Nieustanne palenie w piecu bardzo wysuszało powietrze w wagonie. To wzmagало pragnienie. Przez całą podróż brakowało nam wody. Nie wody do mycia, o tym w ogóle nie można było marzyć, brakowało jej do picia. Dzieci płakały z pragnienia.

BOGUSŁAW

Mężczyźni desperacko próbowali zdobyć wodę. W tym celu do niedużego metalowego naczynia przywiązali sznur i spuszczać je przez dziurę w podłodze – podobną do tej, która służyła za toaletę – starali się w trakcie jazdy zaczerpnąć trochę śniegu leżącego między torami. Pierwsza próba się nie powiodła, bo naczynie zerwało się z liny. Kolejne, które miało spełnić funkcję czerpaka na śnieg, przywiązali już bardziej solidnie i tym razem się udało. Sukcesu jednak nie było. Szybko się bowiem okazało, że w zaczerpniętym śniegu były ludzkie ekskrementy. Po trzech próbach, które zawsze kończyły się tak samo, zaprzestali tych wysiłków, a dziurę zaślepili tym samym kawałkiem deski, który wcześniej wyjęli z podłogi.

Gdy pociąg stawał, mężczyźni łomotali w drzwi wagonu i krzyczeli do *bojców* [żołnierzy], żeby wiadrami podali śnieg. Słyszeli z reguły odpowiedź: *Nielzia* [Nie wolno].

DANUTA

Raz żołnierze uchyłili drzwi i napełnili podane im wiadra śniegiem.

BOGUSŁAW

Nigdy nie pozwolili jednak mężczyznom wyskoczyć z wagonu i nabrać śniegu. Zapewne bali się ucieczek.

DANUTA

Ponieważ na zewnątrz panowała ostra zima, mróz wciskał się też do środka. Wewnętrzne ściany były zamrożone, pokryte grubą warstwą szadzi. Przymarzanie odzieży, kołder czy nawet włosów do ścian wagonu było normą. Ze ścian wystawały duże śruby pokryte lodem, który tworzył się od skraplającej się w wagonie pary. Dzieci próbowały palcami dotykać tych śrub i szukać odrobiny wilgoci, żeby ugasić dokuczające im pragnienie.

Był taki przypadek, że jeden bardzo spragniony i niecierpliwy chłopiec dotknął śruby językiem, który natychmiast przywarł do metalu. Był krzyk i wielkie zamieszanie. Dorośli pomagali mu oderwać język od zamrożonej śruby. Udało się i język uratowano. O tym incydencie potem się nie mówiło, ponieważ ten chłopiec bardzo się wstydził całego zdarzenia.

Pamiętam, jak nasza Jadzia mówiła nam, swojemu młodszemu rodzeństwu, że on źle lizał tę śrubę. Ona robiłaby to bardzo delikatnie i jej na pewno język by się nie przykleił.

– Taką śrubę trzeba bardzo umiejętnie lizać – tłumaczyła.

Tatusz to usłyszał i powiedział:

– Najłżejsze dotknięcie powoduje, że lód „zabiera” język ciekawskich. Nie wolno tego robić nawet wtedy, gdy bardzo, bardzo chce się wam pić! Można tylko ręką dotykać lodu, aby skroploną na palcach wodą zwilżyć język.

BOGUSŁAW

Ludzie byli przerażeni, przemarznięci i wygłodniali. Z upływem czasu, dzień po dniu tracili siły, skutecznie osłabiał ich brak ruchu i brak światła, popadali w apatię, ośpienie. Dzień mijał za dniem, każdy podobny do poprzedniego, stukot kół pociągu stawał się koszmarem.

DANUTA

Cała podróż odbywała się bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej. Pierwsze przypadki zachorowań zgłaszano konwojującym transport enkawudzistom. Jeśli oni uznali zasadność interwencji lekarskiej, reagowali w ten sposób, że podczas kolejnego postoju chory były z transportu zabierany z obietnicą zawiezienia do szpitala. Najbliżsi dostawali jedynie mgliste ustne zapewnienie, że ta osoba po wyzdrowieniu zostanie dowieziona do miejsca pobytu rodziny. Zupełnie jednak nie było wiadomo, do jakiego szpitala, w jakiej miejscowości człowiek jest zabierany. Rodziło to uzasadnione obawy, że nikt go już więcej nie zobaczy ani nie usłyszy o jego losach.

Trzeba tu wyjaśnić, że enkawudziści reagowali tylko na poważne przypadki, szczególnie te, które groziły wybuchem epidemii, na przykład czerwonki. Na choroby typu przeziębienie, grypa, zapalenie oskrzeli, które w takich warunkach zdarzały się niezmiernie często, nikt nie zwracał uwagi. O lekach można było jedynie pomarzyć.

Gdy uwięzieni w wagonach ludzie zrozumieli sposób postępowania z chorymi, szybko zaczęli ukrywać wszystkie przypadki zachorowań w obawie przed rozdzieleniem rodziny. Zresztą przy braku zainteresowania enkawudzistów ich problemami było to dziecinnie proste.

BOGUSŁAW

Na szczęście w wagonie, którym jechaliśmy, nikt w czasie tej koszmarnej, długiej podróży nie zmarł. To był cud. Z późniejszych opowiadań dorosłych wiem, że przypadki zgonów w wagonach nie były rzadkością. Najczęściej

umierali najslabsi, ci, którym najtrudniej było przetrwać te trudne warunki: ludzie starsi i małe dzieci.

Ciała zmarłych wyciągano na postojach z wagonów i ku rozpaczycy najbliższych, bez żadnego szacunku dla zwłok, porzucano na ziemi przy torach, bez okrycia, bez prawa zwyczajowego pożegnania zmarłego. O godnym pochówku nie było mowy. Pociąg jechał dalej.

DANUTA

Gdzie, jak i czy w ogóle te zwłoki były potem grzebane, nie wiadomo. Ludzie rozpaczali, że zostały porzucone na pastwę wygłodniałych wilków.

BOGUSŁAW

W wagonach zagościły wszy, pchły i pluskwy. Stało się to zadziwiająco szybko. Przypuszczalnie zostały przyniesione przez tych nieszczęśników, którzy do naszego transportu zostali dowiezieni nie z domów, ale z odwiecznie zarobaczonych więzień czy aresztów. Insekty błyskawicznie się rozpleniły. Do ich dokuczliwego towarzystwa wszyscy musieli przywyknąć...

DANUTA

Jedni jechali z jakimś dobytkiem, cieplejszą odzieżą, pościelą. Ale byli i tacy, którzy nie mieli dosłownie nic.

BOGUSŁAW

Byli też tacy, których oszukano. Gdy po nich przyszli, powiedzieli im, że wrócą zaraz do domu, mają jechać tylko do urzędu w celu złożenia jakichś wyjaśnień. Potem wrzucono ich do wagonów i już nie było dyskusji. Inni dzielili się z tymi nieszczęśnikami odzieżą, pościelą i tym, co mieli.

DANUTA

Ale niektórzy byli bardzo dobrze wyposażeni. Byliśmy zdziwieni, że aż tyle rzeczy mieli ze sobą. Niektórzy wieźli nawet żelazka, a te z duszą były przecież bardzo ciężkie... Trudno powiedzieć, od czego to zależało, że jednym ściśle określono w kilogramach, ile bagażu mogą wziąć na drogę, a innych te ograniczenia nie dotyczyły... Zaskakiwała nas wielkość i waga niektórych pakunków.

Niektórzy piszą we wspomnieniach, jak wiele dobytku mogli zabrać, że mieścił się na kilku saniach... Bardzo mnie to dziwi, bo ja nie spotkałam sybiraka, którego rodzina miała możliwość zabrania tego, co chciała i ile chciała. Może ktoś przekupił żołnierzy, może współpracował z Rosjanami przed wywózką i później był traktowany na innych prawach. Takich przywilejów na pewno nie mieli zwykli ludzie. Ja bym powiedziała, że my trafiliśmy tak pośrodku, bo trzeba przyznać, że byli i tacy, którym pozwolono wziąć dużo mniej bagażu niż nam.

BOGUSŁAW

Ojciec mówił, że jechaliśmy tym pociągiem sześć tygodni.

DANUTA

W czasie tej zdającej się nie mieć końca drogi nie było przewidzianych postojów czy czegoś, co można by nazwać przerwą na zaczerpnięcie świeżego powietrza lub przysłowiowe rozprostowanie kości. Ale zdarzyła się jedna taka możliwość. Na pewno. To pamiętam.

Otworzono drzwi wagonów i pozwolono ludziom wyjść i poruszać się w wąskim pasie przy wagonie. Granicę tej wolności wyznaczali żołnierze pod bronią. Zesłańcy wyszli i wymieniali się informacjami. Dopiero wtedy można było się dowiedzieć, kogo ze znajomych czy pracowników leśnych

dotknęła tragedia deportacji. Wiadomo było, kto jedzie, a komu udało się uniknąć wywózki.

Ja jednak nie wychodziłam wtedy z wagonu. Na pewno wyszli wszyscy mężczyźni, a za naszym ojcem oczywiście pomknęła Jadzia. To z tego postoju tata przyniósł opowieść, jak to jeden z białoruskich wozaków, którzy tego tragicznego 10 lutego zwozili Polaków na stację kolejową w Hajnówce, na koniec, gdy skład był już prawie pełen, sam do niego dołączył. Przygnali go z rodziną i dopakowali do transportu.

Być może potem były jeszcze jeden czy dwa takie postoje, ale na pewno nie więcej. Gdyby były zwyczajowe, choć co kilka dni, toby się na nie czekało. A ja czegoś takiego nie pamiętam.

BOGUSŁAW

Nasz pociąg był prawdopodobnie specjalnie oznakowany. Często te transporty Rosjanie znaczyli napisem *specpierrezielency* [przesiedleńcy o specjalnym statusie]. Ludzie bali się do takich składów podchodzić. Rozumowanie przeciętnego człowieka w sowieckiej rzeczywistości było następujące: skoro tam zamknięto tych, co są specjalnie przesiedlani, to zapewne na to zasłużyli i lepiej trzymać się z daleka, aby samemu nie popaść w kłopoty.

Trzeba dodać, że oznaczenie *specpierrezielency* to nie było najgorsze z oznaczeń. Większy postrach wśród sowieckiej ludności budziły napisy *katorzniki* [katorżnicy] lub *bieżency* [uciekiniery, tu: z łagrów, ze zsyłki]. Zbliżanie się do takich wagonów było surowo zakazane.

DANUTA

W Nowosybirsku, ku naszemu zdziwieniu, kazano się wszystkim ubierać i wychodzić bez bagaży. Wyszliśmy z wagonów i popędzili nas – tak to trzeba określić – do łaźni. Tam przeżyliśmy szok: zobaczyliśmy ogromną

halę, całą zaparowaną. Każdy brał sobie miskę. Matka nabierała do niej bieżącej wody i myła dzieci, a potem siebie. Za olbrzymim przepierzeniem myli się mężczyźni z chłopcami. Wszyscy musieliśmy być nago. Do tej łaźni wpuszczano jednorazowo jakieś sto osób, na pewno nie mniej. I myśmy tak w tym tłoku jedni o drugich się potykali.

My, dziewczynki, płakałyśmy, bo nie chciałyśmy się w tym tłumie rozbierać, wstydziliśmy się, zresztą jak i wszystkie dzieci. Dozorujące Rosjanki pokrzykiwały na nas, żebyśmy szybko się rozbierały, żebyśmy się myły i „nie sabotowały”.

– *Nie sabotowat’*, *Polaki*, *nie sabotowat’!* [Nie sabotować, Polacy, nie sabotować!] – tak właśnie na nas krzyczały.

Dobrze zapamiętałam te blaszane miski do mycia, gorąc zaparowanej łaźni, z której wychodziło się do zimnego, nieogrzewanego pomieszczenia, na mokrą i lodowatą podłogę. Nie można było porządnie się wytrzeć. Pamiętam, jak trudno wkładało się ubranie na takie mokre ciało, jak trudno wciągało się pończochy. Nasze dziewczęce rajtuzy wkładało się wtedy na wierzch, jak spodnie. Były zakończone nie stopką, ale taką jakby patką, którą zaczepiało się o czubek buta, żeby nie podjeżdżały do góry. A wszystko to w pośpiechu, tłoku i przy akompaniamencie niemiłych, poganiających nas wrzasków. Z łaźni popędzono nas całą kolumną z powrotem do wagonów – do naszego eszałonu.

Wtedy się okazało, że nasz transport został podzielony. Drugiej połowy wagonów już nie było. Pojechały na Barnauł, do Kraju Ałtajskiego. Ale o tym dowiedzieliśmy się już po wojnie od tych, którzy przeżyli zesłanie.

Nas wtedy w Nowosybirsku zamknięto ponownie w wagonach i jeszcze kilka godzin staliśmy – prawdopodobnie czekaliśmy, aż z łaźni powrócą ostatni współtowarzysze naszej niedoli...

W trakcie całej podróży odbyły się może dwie takie kąpiele. Ja jednak zapamiętałam tę jedną. Ktoś kiedyś napisał, że pierwsza była w Syzranii, a w Nowosybirsku druga. Mogło tak być, w mojej pamięci zapisał się jednak tylko ten Nowosybirsk...

BOGUSŁAW

Pewnego dnia pociąg stanął na małej stacyjce. Mimo że jej nazwy nie pamiętamy, ani Danusia, ani ja, to dziś jestem przekonany, że był to Mariinsk lub Tiazin. Wypakowano wszystkich z pociągu i w trzaskającym mrozie powieziono do wsi o nazwie Makarak. Tam była już tylko tajga. Syberia.

* * *

S Y B E R I A

Kraina geograficzna o powierzchni około 10 milionów kilometrów kwadratowych. Rozciąga się pomiędzy Uralem na zachodzie, Morzem Arktycznym na północy, górami wybrzeża Oceanu Spokojnego na wschodzie i stepami Kazachstanu oraz Mongolii na południu. Rozciągłość równoleżnikowa to ponad 7 tysięcy kilometrów, a południkowa – 3,5 tysiąca kilometrów.

Syberia porośnięta jest w dużej części lasem zwanym tajgą, przechodzącym czasami w tundrę, lasotundrę, a na południu w lasostepy i step. Cechuje się silnie kontynentalnym klimatem: krótkimi upalnymi latami i długimi mroźnymi zimami. W północno-wschodniej części Syberii leży Ojmiakon – biegun zimna półkuli północnej. Najniższa zanotowana tam zimą temperatura to $-71,2^{\circ}\text{C}$. Za czasów Związku Sowieckiego właśnie na Syberii znajdowały się największe i najcięższe obozy pracy przymusowej.

* * *

DANUTA

Z wagonu wyładowano nas wczesnym rankiem na jakiejś stacji. Nie pamiętam jej nazwy. Pierwsze, co nas uderzyło, to siarczysty mróz i bardzo ostre, wprost oślepiające słońce. W ciepłuszkach, gdzie spędziliśmy ponad miesiąc, panował zawsze półmrok. Kiedy w Nowosybirsku szliśmy do łaźni, był szary pochmurny dzień. Słońca zatem nie widzieliśmy bardzo długo.

Powoli gramoliliśmy się z wagonów. Wokół panowała nerwowa atmosfera. Ciągłe słyszało się wrzaski enkawudzistów:

– *Bystrzej, bystrzej!*

Mężczyźni biegali wzdłuż torów i znosili bagaże. Kobiety pilnowały dzieci i rzeczy. Słyszeliśmy poirytowane głosy. Komuś zamieniono skrzynie, komuś innemu bagaż rozbebeszono i „odchudzono”... Jeszcze komuś w ogóle nie wydano bagażu, bo ten zniknął. W tym tumultie słychać było ciągle ponaglenia enkawudzistów, ich nieodłączne: *Bystrzej, bystrzej!*

Nasz bagaż na szczęście ucierpiał tylko nieznacznie. Kilka rzeczy mieliśmy w worku. Stamtąd właśnie zniknął nowiutki pled, kupiony na wszelki wypadek w gorączce wojennych zakupów, a w ostatniej chwili wrzucony na wierzch do worka. Niestety został ukradziony przez pilnujących naszych bagaży sowieckich żołnierzy lub enkawudzistów. Mama potem bardzo żałowała tego koca, bo nadawałby się idealnie na ciepłe rękawice dla nas wszystkich.

Trzeba przyznać, że machina działała. Na dalszy transport nie musieliśmy długo czekać. Podjechały samochody ciężarowe, otwarte platformy bez plandek. Szybko ładowano na nie ludzi. Nie wiem, gdzie

wtedy były bagaże. Pewnie jechały na jeszcze gorszych ciężarówkach. Ta, którą my jechaliśmy, była tak zatłoczona, że wszyscy musieliśmy stać, nawet dzieci. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce.

Przy tym załadunku – dziwna rzecz – panowała cisza. Niewytłumaczalna cisza. Milczeli dorośli. Co niezwykle, milczały też dzieci. Miałam wrażenie, że rodziny zesłańców bez jednego dźwięku znalazły się na tych ciężarówkach.

BOGUSŁAW

Jak na te warunki do przejechania była duża odległość. Według dzisiejszych map z Marińska do Makaraku jest sto dziesięć kilometrów, a z Tiażina trochę więcej, sto trzydzieści kilometrów.

DANUTA

Zanim samochód ruszył, tatuś jeszcze raz poprawił nam czapki, otulił szalikami, postawił kołnierze. Potem to samo zrobił z mamusią. Ona na moment przerwała mu te czynności, potoczyła wzrokiem dookoła, jakby chciała pożegnać aż po horyzont ten tutaj jeszcze cywilizowany świat. I kiedy on otulał ją kołnierzem z lisa, popatrzyłam na rodziców. Zobaczyłam coś, co zostało mi w pamięci na całe życie.

W tym jaskrawym słońcu zauważyłam, że oboje mają zupełnie, ale to zupełnie zmienione twarze. Twarze, jakich ja, kochające ich dziecko, nigdy nie widziałam. Szare, bardzo smutne, wyrażające jakiś wielki, ogromny niepokój. Po twarzy mamy płynęły dwie strużki łez. To były takie ciche, nieme łzy. Nie wypowiedziała przy tym ani jednego słowa, nie wydała żadnego dźwięku. Była taka strasznie bezradna, a zarazem zboląła... Ojciec, który dotąd był dla nas uosobieniem męstwa, odwagi, zaradności, pogody ducha i humoru – teraz miał tak mocno, nienaturalnie zaciśnięte szczęki, że nawet dla mnie, dziecka, było to uderzająco zaskakujące.

Byłam tak porażona widokiem rodziców, że nie zauważyłam, kiedy ciężarówka ruszyła. W tym odrętwieniu trwałam przez całą drogę. Zapomniałam nawet o tym, czego ojciec uczył nas jeszcze w ciepłuszce, że w tym zimnie muszę nieustannie ruszać szczękami i palcami u rąk i nóg. Myślałam tylko o tym, że ta cisza na ciężarówce zwiastuje coś potwornego. Ona była niesłyszalnym krzykiem, jakąś niewykrzychaną skargą.

BOGUSŁAW

Makarak, do którego nas powieziono, był dużą wsią położoną na obrzeżach tajgi. Do wsi dochodził utwardzony, szutrowy trakt, a za nią rozciągały się bezkresne lasy. Z powodu tej drogi dla ludzi zesłanych dalej w głąb tajgi Makarak był oknem na świat, krokiem ku cywilizacji.

DANUTA

Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy tą ciężarówką, nie wiem, czy wysadzono nas jeszcze za dnia, czy już po ciemku, ale pamiętam warunki pierwszego noclegu.

Było to dość duże pomieszczenie w baraku z drewnianą podłogą – jak klasa w szkole lub poczekalnia dla podróżnych. Pomieszczenie nie było wysokie, a pośrodku z sufitu zwisała ogromna żarówka osłonięta kloszem w kształcie talerza.

Na tej drewnianej podłodze zesłańcy układali się na nocleg w ciasnych, bardzo ciasnych rzędach. Naszej rodzinie przypadło miejsce pod tą „wyłupiastą” żarówką. Nie pamiętam, czy coś jedliśmy albo piliśmy przed snem. Pamiętam tylko, jak jedna z matek powiedziała, że dzieci powinny się nacieszyć tym oświetleniem, bo tam, gdzie nas wiozą, na pewno nie będzie elektryczności.

Kiedy dzieci już leżały, dorośli prowadzili szeptem ożywione rozmowy. Ja po przeżyciach minionego dnia nie mogłam zasnąć i mimo woli

wlepiłam oczy w tę ohydną, wielką żarówkę. Któraś z kobiet to zauważyła i zareagowała. Zwróciła uwagę, że Danusia patrzy prosto w żarówkę, że to jest bardzo niebezpieczne, bo można sobie naświetlić oczy. Wtedy mamusia kazała mi się odwrócić i nakryła mi głowę jakąś chusteczką.

BOGUSŁAW

Po drodze ludzi ubywało, jednych goniono w tę, drugich w tamtą stronę. Wszystko to odbywało się błyskawicznie, żeby nikomu nie przyszło do głowy protestować, dyskutować czy wszczynać buntu.

DANUTA

Na drugi dzień bardzo wcześnie rano rodzice przynieśli wiadomość, że naszą rodzinę dalej powiozą traktorem. Ja nie wiedziałam wtedy, co to jest traktor. Nigdy traktora nie widziałam. Ojciec z mamusią tłumaczyli, że to jest jakby samochód ciężarowy, tylko na gąsienicach. Dla mnie gąsienica to na kapuście siedziała, więc znów się dziwiłam, jak to możliwe. Dopiero Jadzia obrazowo mi wytłumaczyła, że to jest jak samochód i czołg w jednym. Tatuś powiedział, że będzie bardzo trzęsło...

Wyjeżdżaliśmy po ciemku. Kiedy było jeszcze szaro, znaleźliśmy się na przyczepie traktora. Było o tyle lepiej niż na ciężarówce, że za kabiną kierowcy była ławka i mamusia z nami usiadła na niej. Ona siedziała w środku. Na kolanach miała Bogusia, po jej bokach tatuś usadził mnie i Różę, a przy mnie z drugiej strony Jadzię. Sam, jak inni, stał. Nie wiem, jakie jeszcze rodziny załadowano na ten traktor, nie wiem również, czy jechały z nami nasze bagaże. Wiem, że na przyczepie okropnie trzęsło.

Zanim traktor ruszył, ktoś stanął przy kabinie i rozmawiał z kierowcą, nie rozumiałam, o czym mówią, ale w pewnym momencie usłyszałam ciepłe słowo: *dietiszki* [dzieciaczki], potem padło jeszcze jakieś zdanie i ponownie *dietiszki*. To słowo znałam jeszcze z Hajnówki. Poczułam się wtedy trochę

lepiej. Po strasznym poprzednim dniu, po tych wrzaskach enkawudzistów w końcu z ust sowieckich ludzi usłyszałam jakieś ciepłe, ludzkie słowo.

Ta refleksja jednak szybko odpłynęła. Tatuś przypominał nam właśnie o ruszaniu szczękami, palcami rąk i nóg, aby utrzymać dobre krążenie, nie dopuścić do odmrożeń. I tu urywają się moje wspomnienia, tak jakby dalszej drogi już nie było.

BOGUSŁAW

Makarak leżał nad rzeką Kiją. Wioska miała status portu rzecznego. Z jednego na drugi brzeg latem przeprowiano się prymitywnym linowym promem. Zimą, gdy rzeka była skuta lodem, prom oczywiście nie pływał.

Do Makaraku, jak się później okazało, dojeżdżały transporty żywności przeznaczone dla okolicznych kopalni złota rozsianych po tajdze i będących częścią złotego sowieckiego biznesu, który funkcjonował, wykorzystując katorżniczą pracę przymusowo zwiezionych tam ludzi wielu narodowości. Rosjanie nazywali to przedsięwzięcie *zołotyje tryski*.

DANUTA

Nie pamiętam, jak dotarliśmy do wsi Makarak, nie pamiętam noclegu tam, choć zapewne był. Zmęczenie całodzienną jazdą w zimnie, na trzęsącej się przyczepie przytępiło mi zmysły, zapadłam jakby w letarg.

BOGUSŁAW

Z Makaraku podróżowaliśmy dalej saniami. Pognano nas korytem zamrożonej rzeki, tajgą daleko, daleko, aż do miejsca zesłania.

Mordercza droga ciągnęła się w nieskończoność. W trakcie tej podróży musiały być gdzieś jakieś przystanki, noclegi. Po latach ustaliłem, jak dużą odległość mieliśmy do pokonania. Dziś wiem, że rzeką od Makaraku do Gramatuchy jest ponad sto kilometrów.

DANUTA

Każdy dzień był identyczny jak poprzedni. Sanie sunące po zamarznętej rzece, olbrzymie ilości śniegu, jego biel paląca oczy, a wokół złowroga, nieokiełznana tajga. Na saniach jechały dzieci i matki, ale tylko te, które miały małe dzieciątka. Bagaże również jechały na saniach. Natomiast wszyscy mężczyźni, młodzież, kobiety szli przy saniach lub za nimi całą tę drogę...

BOGUSŁAW

Z tej podróży utkwił mi w pamięci taki epizod: pod którymiś saniami załamał się lód. Na pewno nie było na nich ludzi – nikomu nic się nie stało. Zapamiętałem jednak obraz rozpaczliwie szarpiącego się konia. Ślizgał się, starając się wydobyć tylną nogę spod lodu, odzyskać równowagę. Bardzo tego konia żałowałem. Tłukli go batem.

DANUTA

Sanie były zaprzężone w małe, krępe syberyjskie koniki. Nie wiem, ile było tych sań, ale niemało, sunęły jedne za drugimi, tworząc długą wstęgę. Nie wiem, ile dni to trwało. Na pewno nie mniej niż trzy, może dużo więcej. Nie wiem też, ile dokładnie było noclegów.

Zapamiętałam pierwszy z nich. W baraku na drewnianej podłodze kładliśmy się pokotem, ciasno, jeden obok drugiego, natychmiast po wejściu do pomieszczenia. Samo to, że można było przyjąć pozycję poziomą, wyciągnąć się, było nieopisaną przyjemnością. Ledwo się położyłam, już spałam. Budzono mnie, żebym wypila coś ciepłego. Nieważne było dla mnie, kto i po co mnie budził. Tak bardzo się przed tym przebudzeniem broniłam, tak bardzo chciało mi się spać, że do dziś pamiętam tamten nocleg w baraku w środku tajgi.

BOGUSŁAW

Czytając kilka lat temu wspomnienia jednej ze współtowarzyszek tamtej podróży, wtedy dorosłej osoby, znalazłem datę naszego przybycia na miejsce zesłania – 5 kwietnia 1940 roku. Od zabrania nas z domu, z Hajnówki, to prawie dwa miesiące, bez kilku dni. Ja tej daty oczywiście nie jestem pewien, ale... mogło tak być.

Zdecydowanie tak.

DANUTA

Od momentu, kiedy nas zabrali, my, dzieci, wiedziałyśmy, że dzieje się coś niedobrego, coś bardzo niedobrego. Wiedziałyśmy, że jest wojna, ale znaczenia tego słowa nie rozumiałyśmy. Wiedziałyśmy też, że Rosjanie są naszymi wrogami, i tyle. Nie mogłyśmy zdawać sobie sprawy z tego, co dokładnie się dzieje. Byłyśmy dziećmi, pod opiekuńczymi skrzydłami rodziców.

A rodzice? Co czuł i myślał ojciec? Nasza mama? Oni mieli pełną świadomość tego, co się działo wokół. Jak oni musieli to przeżywać! Tego nie można sobie nawet wyobrazić. Mieli nas, małe dzieci. Jaka odpowiedzialność na nich spoczywała!

BOGUSŁAW

Pewnego dnia, po przebyciu tej długiej, katorżniczej drogi, dotarliśmy do celu naszej podróży, do małego *posiołka* [siedlisko mniejsze od wsi, kolonia, osada] o nazwie Gramatucha, położonego w głębi tajgi.



Szlakiem zesłańców

3. Gramatucha

(marzec/kwiecień 1940–wrzesień 1941)

BOGUSŁAW

Miejsce naszego przeznaczenia – *posiołek* Gramatucha – leżało w sąsiedztwie większej wsi o nazwie Udarnoje, nazywanej przez Rosjan *uczastok* [wieś z siedzibą administracji]. Jak na syberyjskie realia Udarnoje to była duża wieś, z pocztą, komendanturą NKWD, kopalnią złota i zakładem obróbki rudy złota. Mieściły się tam też szpital i szkoła.

W odległości trzech do pięciu kilometrów znajdowały się jeszcze dwa inne *posiołki*, małe jak nasz: Kija i Spasobnyj.

DANUTA

Udarnoje to było takie serce tego kompleksu miejscowości, tam była cała administracja i najważniejsze władze. W obręb administracyjny wsi Udarnoje wchodziły właśnie te trzy małe osady: Kija, Spasobnyj i nasza Gramatucha.

BOGUSŁAW

My, Polacy, mieliśmy status *specpierrezielencow*. Wydzźwięk tego słowa w języku rosyjskim mówi sam za siebie: karnie przesiedleni ludzie, którzy wymagają specjalnego nadzoru.

Enkawudziści mówili, że przywieźli nas tu, w tajgę, na *pieriewospitanije* [resocjalizację], żebyśmy dzięki ciężkiej pracy mogli się stać *nastojaszczimi sowietskimi grażdananami* [prawdziwymi sowieckimi obywatelami].

DANUTA

W tych czterech wioskach rozrzuconych po tajdze w niewielkiej odległości żyło około trzech tysięcy ludzi. Wszystko to byli zesłańcy, nie tylko Polacy. Najwięcej było Rosjan. Wszyscy byli zesłańcami: i ci, którzy pracowali w tych wsiach, i pracownicy leśni wycinający w tajdze drzewa, i górnicy wydobywający rudę złota w kopalni. Nawet pilnujący nas enkawudziści też byli komunistami z wyrokami. Nie przebywali więc tam z własnej woli. Nikt dobrowolnie nie skazałby siebie i swojej rodziny na taką egzystencję.

BOGUSŁAW

Nasz *posiołek* to nie była wieś czy osada w naszym rozumieniu tych słów.

Gramatucha leżała na pochyłym zboczach jednej z porośniętych tajgą gór. Na tym zboczach stały chaotycznie porozrzucane domki – takie typowe syberyjskie chatynki, liche, z grubo ciosanych bali, uszczelnianych mchem i gliną. Kryte deskami i malutkie.



Mężczyźni przy drewnianej chacie na Syberii



Drewniany barak na Syberii

DANUTA

Te małe, drewniane jednoizbowe chałupki częstokroć sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały się rozpaść: wbite w ziemię, krzywe okna, wręcz pokręcone drzwi. Większość tych budyneczków była bardzo stara, na pewno wybudowana jeszcze przez katorżników zesłanych tam za cara.

Wioska była położona na zboczu kotliny, a dnem tej kotliny płynęła rzeka. Na przeciwnym brzegu rzeki leżało Udarnoje, również otoczone górami. Gramatucha to było dość ponure miejsce, bardzo mało nasłonecznione.

BOGUSŁAW

A wiosną, w czasie roztopów, szum płynącej przy *posiołku* rzeki przeradzał się w łoskot, kiedy jej wezbrane wody niosły ze sobą nawet duże głazy. Zresztą rzeka nie cichła przez cały rok. Woda w niej była bardzo zimna, nawet latem w czasie upałów jej temperatura nie przekraczała 8°C.

DANUTA

To była taka górską huczająca rzeka. Nazywaliśmy ją Kija. Nie mieliśmy świadomości – w każdym razie my, najmłodsze dzieci – że ta rzeka nazywa się tak jak nasza osada: Gramatucha*. Wszyscy Polacy potocznie nazywali ją Kiją, choć zapewne musieli wiedzieć, że stanowi jedynie dopływ Kii. Dorośli na pewno to wiedzieli, ale my, dzieci, nie.

Była bardzo głośna, pełna takich małych spiętrzeń i wodospadów. Nawet latem, podczas upałów, nie kąpaliśmy się w niej. Nie było o tym mowy... Jej brzegi i dno były usiane ostrymi kamieniami, nie można było tam stanąć bosą stopą. Tak szybko płynęła i z taką mocą... Ta rzeka dawała o sobie znać i zimą, i latem. Zimą była jednak cichsza, bo czapy śniegu leżące na

kamieniach mocno ją wyciszały. Nigdy nie zamarzała. Nigdy też nie ustawał jej szum.

BOGUSŁAW

Wypływała u podnóża dobrze od nas widocznej, oddalonej o mniej więcej trzy kilometry góry wiecznych lodów – Taskiły.

DANUTA

O okolicy mówiliśmy, że widokiem straszy nas z oddali zawsze ośnieżona góra Taskiła, a odgłosem – wiecznie hucząca rzeka.

BOGUSŁAW

W Gramatusze była mała dwuklasowa szkoła i barak, wybudowany przez Polaków zaraz po przyjeździe, który miał służyć jako rodzaj świetlicy – miejsce spotkań z władzami. Był tam też budynek, w którym mieszkał komendant NKWD, i maleńki, nieogrzewany domek, mający jakieś dwa na dwa metry, zwany kozą. To był po prostu areszt, w którym niekiedy osadzano mieszkańców.

W centralnej części wioski znajdował się plac, a raczej zwykłe klepisko, na którym latem organizowano spotkania mieszkańców z władzą. Nosił on, chyba w nawiązaniu do najbardziej reprezentacyjnego placu Moskwy, szumną nazwę Krasnaja Płoszczad' [plac Czerwony].

Jedynym śladem cywilizacji w Gramatusze były liche słupy telegraficzne ciągnące się z osady do wioski Udarnoje. Zimą były zasypane śniegiem aż po druty. Zapewniały kilku mieszkającym tu enkawudzistom łączność z najbliższą komendanturą.

DANUTA

„Najnowocześniejsze” były tam dwa naprędce wybudowane trzyizbowe baraki wielorodzinne. My trafiliśmy właśnie do jednego z nich. Stawiali go ludzie, którzy albo nic nie wiedzieli o budowaniu, albo bardzo się spieszyli. Dorośli mówili, że prawdopodobnie oba baraki wznoszono naprędce, w śniegu, żeby tylko zdążyć przed naszym przybyciem.

BOGUSŁAW

Kiedy dotarliśmy do Gramatuchy, wokół nie było nic widać, panowała ciemność. Wszyscy byli nieludzko wyczerpani przebytą drogą. Rodziny kładły się we wskazanych przez enkawudzistów miejscach, żeby przetrwać noc, zasnąć jak najszybciej. Wszyscy leżeli pokotem na podłogach w dużych pomieszczeniach. Prawdopodobnie były to izby właśnie w tych nowo wybudowanych barakach, a przede wszystkim w szkole...

DANUTA

O świcie następnego dnia dorośli zostali wezwani na przymusowe zebranie w sprawie zakwaterowania. Trzeba dodać, że kiedy przybyliśmy do Gramatuchy, leżał tam śnieg na dwa, może nawet trzy metry.

W dzieci – pozbawione dozoru dorosłych – nagle wstąpił szalony duch, odzyskały siły witalne, zapominając o zmęczeniu. Zaczęła się szaleńcza zabawa – w czym ja też czynnie uczestniczyłam. Należało paść na wznak w świeży, nieudeptany śnieg i wachlować rozłożonymi rękami. Tak robiliśmy orły na śniegu.

Prym w zabawie wiodła nasza Jadzia:

– Będziemy tak zaznaczać tutaj naszą polską obecność! – wołała, padając plecami w śnieg i ruszając energicznie rozpostartymi szeroko rękami.

Pracowicie zostawiała na śniegu jeden za drugim ślad skrzydeł „polskiego orła”. Mały Boguś również ochoczo w tym uczestniczył.

Potem zabawa przekształciła się w turlanie po śniegu ze sporej górki. Frajda ta trwała do czasu, gdy zajęci sprawami kwaterunku dorośli zorientowali się, co się dzieje.

BOGUSŁAW

Grypy, choroby laryngologiczne i oczu, na które zapadły niemal wszystkie dzieci natychmiast po przyjeździe do Gramatuchy, były zapewne wynikiem przebytej podróży i zmiany klimatu, ale nasze wybryki na śniegu z pewnością spotęgowały te dolegliwości.

DANUTA

Przydzielono kwatery. Trudno powiedzieć, czym się przy tym kierowano. Część ludzi zakwaterowano w dużych barakach, a część w porzucanych wokół chatynkach. W tych domkach rzadko zamieszkiwała jedna rodzina, najczęściej dwie, a nawet trzy. Lepsze kwatery z reguły dostawali Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy.

Przy zakwaterowaniu skrupulatnie jednak pilnowano, aby Polaków zawsze mieszać z inną narodowością.

BOGUSŁAW

Takie kwaterowanie zesłańców – mieszanie narodowości – było regułą.

DANUTA

Komendant od momentu naszego przyjazdu do Gramatuchy wyróżniał Ukraińców i Białorusinów. Lepiej ich traktował i dawał lżejszą pracę. Dlatego na przykład pani Siemieniakowa, której rodzina – zakwaterowana z nami – powoływała się na białoruskie pochodzenie, od razu dostała posadę sprzątaczką w sklepie. To była świetna praca! Co tam było do

sprzątania? W dodatku od razu dostawała większy *pajok* [rację żywnościową]. To nie była praca, tylko niezła fucha.

BOGUSŁAW

Przez faworyzowanie Białorusinów i Ukraińców starano się od samego początku budować podziały między mieszkającymi w jednym domu ludźmi. Liczono na rewanż w postaci donosów. Czasami to się enkawudzistom udawało, a czasami nie...

DANUTA

Zaraz po przydzieleniu kwater komendant zarządził ponownie zbiórkę wszystkich kobiet i mężczyzn, aby przekazać im obowiązujące zakazy i nakazy. O prawach raczej nic nie mówił, bo ich po prostu nie było.

– Wy tu będziecie żyć po wsze czasy i Polski już nie zobaczycie – tak zaczął swą przemowę. – Wy jesteście dumne polskie pany, ale tu będziecie pracować, tak jak my wam każemy. Będziecie pracować w kopalni złota lub przy wyrębie tajgi i spławianiu drzewa rzeką Kiją.

Dalej komendant poinformował, że nie wolno oddalać się z osady ani chodzić po górach, a na opuszczenie wioski trzeba każdorazowo uzyskać zezwolenie.

Na zakończenie wskazał pobliski las, w którym wolno było ścinać drzewo na opał, dał zebrany dwie, trzy godziny na napalenie w chałupach i kazał niezwłocznie stawić się do pracy. Większość Polaków rozpoczęła pracę już tego dnia.

BOGUSŁAW

Gramatucha nie leżała na terenie zamkniętego obozu, nie było drutów, zasieków, wież wartowniczych. Wokół rozciągały się tylko góry i dzika tajga, gdzie rosły głównie brzozy, jodły i sosny syberyjskie, zwane też

limbami lub cedrami. Jednak pod groźbą surowej kary nie było wolno samowolnie oddalać się z osady.

Jednym z powodów skazania *specpierrezielienca* na areszt było właśnie przyłapanie go na nielegalnym oddaleniu się z miejsca zesłania. Zamknięcie w kozie w kilkudziesięciostopniowym mrozie, bez jedzenia i picia, było nieludzką karą. O tym, na jak długo zamykano takiego nieszczęśnika, decydował komendant.

DANUTA

Komendant *posiołka*, człowiek o nazwisku Kopyszew, był rzeczowy, oschły, stanowczy, ale niezbyt gorliwy. Nasza rodzina zapamiętała również nazwisko Żybojedowa, enkawudzisty, którego także nazywano komendantem. Najprawdopodobniej był on jego zastępcą lub potem jego następcą. Ten osobnik był już zawziętym nadgorliwcem, wścibiającym wszędzie swój paskudny nos.

BOGUSŁAW

W baraku, w którym nas zakwaterowano, były trzy duże izby z oddzielnymi wejściami z podwórza. W jednej takiej izbie, tej nam przydzielonej, mieszkały cztery rodziny: trzy polskie i jedna białoruska oraz jeden samotny Polak.

W każdym rogu tego lokum stała nara – prycza – legowisko zbite z desek. Dla każdej rodziny była jedna taka prycza. Pod nią jej lokatorzy trzymali cały swój dobytek. A na pryczy wykonywało się większość domowych czynności, bo żadnych innych sprzętów ani mebli tam nie było.

W izbie znajdowały się jeszcze tylko piec i dzienny zapas drewna do palenia w nim.

My – mieszkańcy tego baraku – wszyscy przybyliśmy w tym samym transporcie.

DANUTA

Białoruska rodzina Siemieniaków składała się z rodziców i czwórki dzieci: najstarszy Wołodia, potem Gienka i dwoje zupełnych maluchów, których imion już nie pamiętam. Niestety, dzieci Siemieniaków moczyły się co noc. Trzeba dodać, że były bardzo lekko ubrane jak na syberyjskie warunki, nie miały odpowiedniej odzieży ani obuwia. Ich przypadłości nocne brały się więc zapewne z przeziębień. Jednak z tego powodu w naszym baraku nieustannie panowała nie tylko wielka ciasnota, ale i fetor nie do zniesienia. Ciągłe przy piecu suszyły się ich prowizoryczne sienniki, przez co inni mieszkańcy nie mogli suszyć swoich rzeczy, a gotowanie posiłków w takim sąsiedztwie było trudne do zniesienia.

Jednak z rodziny Siemieniaków najbardziej dał się wszystkim we znaki Gienka. To był chłopiec w moim wieku. Miał około ośmiu lat. Miał jakąś dziwną inklinację do gryzienia, pogryzł i mnie, i Bogusia, a wcześniej jakiegoś pana w wagonie, gdy jechaliśmy na Syberię. Ponadto ten chłopiec nie tyle płakał, ile wył wniebogłosy z byle powodu, przez co szybko przyłgnął do niego przydomek Kieपुरa.

Któregoś dnia w trakcie jego nieznośnego koncertu pan Wiśniewski powiedział:

– Nie ma zapotrzebowania na twój repertuar, Kieपुरa. – Po czym odwrócił się, żeby się umyć. Nachylił się nad miednicą, wypinając się na beczącego chłopca.

A Gienka po raz kolejny użył swojej niezawodnej broni. Podbiegł do pana Wiśniewskiego, objął go od tyłu oburącz jakby kłamrą, po czym zatopił zęby w jego wypiętych pośladkach.

BOGUSŁAW

W baraku było naprawdę ciasno. W tym jednym pomieszczeniu mającym może czterdzieści metrów kwadratowych mieszkało dwadzieścia osób. Państwo Głowaczowie to trzy osoby – mąż z żoną Jadwigą i szwagierką Janiną, czteroosobowa rodzina Wiśniewskich – rodzice z dwójką dzieci, nasza sześćoosobowa rodzina, równie liczna rodzina Siemieniaków i samotny pan inżynier Nosek, który przydzielony był do nary najmniej licznej rodziny państwa Głowaczów.

DANUTA

Państwo Głowaczowie przeżyli w drodze na Syberię straszną tragedię. Podróż rozpoczęli ze swym maleńkim, kilkumiesięcznym dzieckiem. Dramat wydarzył się już u kresu podróży. Pani Głowacz, gdy nasz konwój ruszył w drogę saniami z Makaraku, chcąc uchronić dziecko przed silnym mrozem, tak szczelnie je otulała, że się udusiło, zanim dotarliśmy do Gramatuchy. Gdy eskortujący nas enkawudziści odkryli śmierć dziecka, wyszarpnęli je z ramion matki i porzucili po drodze.

BOGUSŁAW

Pani Głowacz nie mogła dojść do siebie po tej tragedii, często płakała, kusiła mnie cukierkami, żebym dał się jej przytulić.

– Twoja mama ma jeszcze twoje trzy siostry do przytulania, a ja nie mam nikogo – tak do mnie mówiła.

Chętnie brałem cukierki, ale zaraz od niej uciekałem. Jakoś mnie przerażała. Mama próbowała mnie przekonać, żebym zrozumiał tę potrzebę pani Głowacz, ale nic to nie pomagało, bo ja się po prostu jej bałem.

DANUTA

W naszym baraku szczególną rolę odgrywał piec, zupełnie niesamowity. Wyglądał tak: wielka drewniana skrzynia, wysoka na mniej więcej

czterdzieści–pięćdziesiąt centymetrów, wypełniona rzeczonymi kamieniami i żwirem. Na tej konstrukcji spoczywała à la kuchenka, czyli spłaszczona od góry metalowa rura, w której się paliło. Był i popielnik, i palenisko, ale nie była to klasyczna *barabanka* [rodzaj metalowego piecyka], tylko leżąca spłaszczona rura. Służyła jako płyta grzewcza. Tam stawiano garnek, żeby zagrzać wodę lub ugotować jedzenie. Od tej leżącej pieco-rury wyprowadzona była węższa rura, która szła pionowo w górę do sufitu i odprowadzała dym do komina.

Napełniona kamieniami skrzynia była znacznie większa od tej prowizorycznej kuchenki. Kamienie i żwir mocno się nagrzewały od paleniska, a potem długo oddawały ciepło. Stawiało się na nich obuwie i kładło inne rzeczy do suszenia.

Ten piec był niewiarygodnie wydajny.

Nad skrzynią z piecykiem rozwieszano na specjalnie wbitych kołkach mokrą odzież. W piecyku paliliśmy bez przerwy, by suszyć nasze ciągle mokre ubrania. Żeby w tych warunkach wyschły buty, trzeba było je suszyć i suszyć... Ważne było, aby ojciec, wychodząc rano do pracy, miał suche obuwie.

BOGUSŁAW

Kiedy zaraz po przyjeździe polskie kobiety wypytywały miejscowych, jak wygląda tu życie, oni je pocieszali, żeby się nie martwiły, bo zima trwa tu tylko dziesięć miesięcy, a poza tym, to tylko lato i lato...

DANUTA

Jak wkrótce się przekonaliśmy, lato rzeczywiście trwało tylko dwa miesiące i było niewiarygodnie zaskakujące. Takie szybkie, intensywne, upalne. Bywały dni wręcz bardzo gorące, gdy temperatura dochodziła nawet do

40°C. W dzień paliło słońce, ale nocami bywało chłodno. Często padały deszcze i przechodziły nagle, gwałtowne burze z intensywnymi opadami.

Szybko nastawała jesień. Był to krótki okres pory deszczowej i prześlicznych kolorów, kiedy tajga jest urzekająco piękna. Prędko pojawiały się zwiastuny kolejnej zimy. Już w końcu sierpnia prószył śnieg. Szybko zniknął, ale od tego momentu było dużo, dużo chłodniej. W październiku królowała już zima.

BOGUSŁAW

W Gramatusze zima rzeczywiście trwała może nie dziesięć, ale około dziewięciu miesięcy. Wiosna przemykała tak szybko, że miało się wrażenie, iż w ogóle jej nie było. Zima nagle, po krótkim okresie wielkich roztopów, zmieniała się w lato. Po dwumiesięcznym lecie następował przejściowy okres jesienny, trwający dwa, góra trzy tygodnie. Chwilę popadał deszcz, ziemia mocno rozmokła i już nastawała ostra, mroźna, surowa zima z temperaturami poniżej -40°C i intensywnymi opadami śniegu, który potem przez wiele miesięcy przykrywał ziemię kilkumetrową warstwą.

DANUTA

Tych bardzo trudnych realiów syberyjskiego klimatu, a szczególnie okrutnej zimy, mieliśmy zaznać już w najbliższej przyszłości, ale na początku nie one najbardziej przerażały wszystkich Polaków. Na razie wydawały się czymś bardzo odległym i mało prawdziwym. Panująca wokół aura temu sprzyjała. Co prawda zalegał jeszcze śnieg, temperatury – jak dla nas – ciągle zaskakująco spadały, ale najcięższe mrozy i śniegi tej srogiej pory roku właśnie przeszły. Zima bardzo powoli, ale zdecydowanie była w odwrocie. Szumnie zapowiadano nadejście wiosny, mimo że czas oczekiwania na nią miał być długi – minimum dwa miesiące, zważywszy

na to, że w momencie naszego tam przybycia był dopiero początek kwietnia 1940 roku.

W tych pierwszych tygodniach pobytu tym, co najbardziej pochłaniało uwagę Polaków, było adaptowanie się nie tyle do nowych warunków klimatycznych, ile przede wszystkim socjalno-bytowych. Dzień po dniu poznawali realia brutalnej rzeczywistości, w której przyszło im żyć. Musieli poznać je bardzo szybko – by równie szybko się do nich dostosować, próbując przetrwać.

BOGUSŁAW

Na zesłaniu panowała stalinowska zasada: *kto nie robotajet, tot nie kuszajet* [kto nie pracuje, ten nie je]. Pracujący – jeśli wyrabiał normę – dostawał przydział na czterysta gramów chleba dziennie. Jak ktoś chorował i nie pracował, to się nim nie przejmowano. Musiał się utrzymać w sobie tylko wiadomy sposób.

DANUTA

Obowiązek edukacyjny w Gramatusze trwał cztery lata i obowiązywał od dziewiątego do dwunastego roku życia. Po zakończeniu tej czteroletniej edukacji „wykształcony” sybirak miał iść do pracy. Czy to przy ścinaniu gałęzi w tajdze, czy przy sortowaniu rudy albo w kopalni. Różne były te przydziały. Ale dla dzieci dosyć tam było pracy i nigdy się nie objęły.

BOGUSŁAW

Obie nasze starsze siostry, Jadzia i Róża, były akurat w wieku szkolnym i chodziły obowiązkowo do szkoły. Komendant przywiązywał do tego wielką wagę. Jeśli ktoś nie posyłał tam dzieci, narażał się na rozmaite sankcje, łącznie z aresztem w kozie. Jadzia w tej szkole bardzo dobrze opanowała język rosyjski.

DANUTA

Nasz komendant zgodnie z oficjalną propagandą głosił wszem i wobec zalety sowieckiego systemu, w którym za sprawą genialnego Lenina i Stalina edukacją są objęte wszystkie dzieci.

– U was tylko dzieci bogaczy chodziły do szkoły, a biedne do pracy – perorował komendant. – U nas wszystkie dzieci chodzą do szkoły i wasze też będą miały tę możliwość. *Gramota* [oświata] to przyszłość Związku Sowieckiego! Władze carskie nie dbały o oświatę, dopiero dzięki Związkowi Sowieckiemu tutaj ona dociera!

Na zebraniach było to przedstawiane dorosłym, a potem rodzice w domu omawiali te rewelacje z dziećmi.

– No to dopiero będziecie uczeni – śmiał się nasz ojciec. – Bo tu jest *Gramota*, nasza oświatowa wioska.

BOGUSŁAW

Zaraz po przyjeździe starsze dzieci, których nie obejmował już obowiązek edukacyjny, też miały zajęcia szkolne, ale tylko z języka rosyjskiego i historii Związku Sowieckiego, przedstawianej zgodnie z sowiecką ideologią. To była pseudoedukacja. Miała na celu przyuczenie młodzieży do porozumiewania się w języku rosyjskim i jej komunistyczną indoktrynację. Nie wykluczało to oczywiście obowiązku pracy. Nasza szesnastoletnia sąsiadka pracowała przy wycince drzew w tajdze.

DANUTA

Ja, mimo że w Gramatusze nie chodziłam do szkoły, dobrze pamiętam ten budynek. „Szkoła” to nazwa mocno na wyrost: barak z dwiema izbami. Chodziły tam wyłącznie polskie dzieci. Nauczycielkami były dwie Rosjanki.

Nie chodziłam do szkoły, bo byłam jeszcze za mała. Gdybyśmy jesienią 1941 roku stamtąd nie odeszli, to w kolejnym roku szkolnym zostałabym objęta tą obowiązkową edukacją.

BOGUSŁAW

Ojciec był zaradnym człowiekiem. Szybko się zorientował w panującej na zesłaniu rzeczywistości. Dlatego zaraz na początku naszego pobytu w Gramatusze „odmłodził” dwójkę swoich dzieci, podając do sowieckich dokumentów nieprawdziwe daty urodzenia.

W trakcie deportacji Rosjanie dysponowali bardzo szczegółowymi informacjami o osobach kierowanych na wywózkę. Mieli drobiazgowy listy. Z tego, co dziś wiemy, były one sporządzane na podstawie donosów miejscowej ludności, najczęściej ukraińskiej i białoruskiej, ale i wywiadowczej działalności Rosjan, prowadzonej na długo przed 17 września 1939 roku.

Taka lista dotycząca naszego transportu gdzieś po drodze zaginęła. Mówiono, że zostanie dostarczona w późniejszym terminie. Ale ten spis nigdy nie dotarł do naszego miejsca zesłania. Zaczęto więc po kolei wzywać zesłańców i tworzyć ich ewidencję zgodnie z podawanymi przez nich danymi.

DANUTA

Ludzie zostali poinformowani, że będzie robiony taki rejestr z natury. Jak nasz ojciec pierwszego dnia poszedł na ten spis, kolejka była tak długa, że niczego nie załatwił. Zapadła ciemna noc, urzędnicy poszli do domu, a stojącym nadal w kolejce ludziom kazano przyjść następnego dnia. Na drugi dzień akcję kontynuowano. Nie robiono tego spisu na podstawie naszych polskich dokumentów. Prawdopodobnie dlatego, że oni nie umieli ich odczytać.

Praktycznie polegało to na słownym zgłoszeniu wszystkich członków rodziny, podaniu imion, nazwisk, dat urodzenia i innych danych... a oni zapisywali to po swojemu. Przy spisie zatrudniony był jeden z Polaków, niczego jednak nie komentował, zapisywał dane, tak jak mu dyktowano, nie weryfikując ich z polskimi dokumentami.

Ojciec podjął wtedy ryzykowną decyzję. Podał do spisu nieprawdziwe informacje, a po powrocie do domu powiedział Jadzi, że ma mniej lat i żeby tak w szkole wszystkim mówiła. Zrobił to po cichutku... ale ja to słyszałam i bardzo się zdziwiłam, dlaczego Jadzia ma kłamać?! Przecież tata sam zawsze mówił, że kłamać nie wolno. Na to, że odmłodził też naszego Bogusia, chcąc chronić mamę, nie zwróciłam uwagi... tak byłam przejęta, że Jadzia na prośbę tatusia kłamie, i na dodatek idzie jej to nadzwyczaj gładko...

BOGUSŁAW

Zgodnie z obowiązującymi na zesłaniu zasadami matkom opiekującym się dziećmi do lat czterech przysługiwał przydział chleba – niewielki, bo niewielki, ale jednak. Było to dwieście gramów dziennie. Taki sam przydział przysługiwał dzieciom do lat dwunastu. Od trzynastego roku życia był już obowiązek pracy i ten, kto po osiągnięciu tego wieku nie pracował, nie otrzymywał przydziału żywności. Dlatego ojciec zaniżył o rok wiek Jadzi i mój.

Odmłodzenie Jadzi, która już w maju miała skończyć dwanaście lat, gwarantowało zwolnienie jej z obowiązku przymusowej pracy przy zachowaniu przydziału na chleb. Natomiast „odmłodzenie” mnie, trzyipółletniego dziecka, chroniło na dłuższy czas naszą mamę przed ciężką pracą.

DANUTA

Pracowało się sześć dni w tygodniu. Jeden dzień był wolny. Nie zawsze przypadał w niedzielę. Dzień wolny, zwany wychodnym, był ruchomy. Czasami wypadał w niedzielę, czasami nie. To ustalał komendant. Bywały okresy, gdy pracowało się dłużej, a potem „odbierało” wolny dzień w innym dniu tygodnia.

Często tym manipulowano. Nie wiem, czym było podyktowane to dowolne ustalanie dnia wolnego od pracy, czemu miało to służyć. Może wykonywaną pracą? Może wydajnością? Polacy jednak mówili, że komendant chce ich odzwyczaić od niedziel, bo to według niego taki kościelny dzień.

W niedzielę Polacy zawsze organizowali nabożeństwo. Zbierali się w jednym z domów, tam ustawiali prowizoryczny ołtarz i się modlili. Było to coś na podobieństwo mszy polowej. Część osób mieściła się w środku, a pozostali stali wokół domu.

Po maju praca coraz częściej wypadała w niedzielę. W tym miesiącu Polacy codziennie w godzinach popołudniowych lub wieczornych organizowali nabożeństwa majowe, co mocno irytowało komendanta. Dużo ludzi na nie przychodziło. Ich śpiew gromkim echem rozchodził się wtedy po górach.

BOGUSŁAW

Polacy, którzy przybyli z nami do Gramatuchy, to były w większości takie rodziny jak nasza, rodziny leśników – od nadleśniczego do gajowego. Jednych mężczyzn zatrudniono w kopalni złota, innych skierowano do wyrębu tajgi. W ten sposób nasz ojciec został górnikiem.

DANUTA

Praca w kopalni czy tajdze trwała od dwunastu do szesnastu godzin. Po szesnastu godzin pracowali ci, którzy nie wyrobili dziennej normy w ciągu

dwunastu. Dłużej pracowali również ci, którzy chcieli nadrobić sobie *trudodni* [dni roboczych], aby dostać więcej bonów na chleb.

Chleb dostawało się z przydziału według sowieckiej normy: czterysta gramów dziennie dla pracujących (wyrabiających normę) oraz dwieście gramów dla matek i dzieci, które nie ukończyły dwunastego roku życia. Ściśle mówiąc, otrzymywało się nie chleb, tylko bony żywnościowe, a te wymieniano się w sklepie na żywność – najczęściej był to chleb.

BOGUSŁAW

Tamtejsza kopalnia złota nie przypominała żadnej innej kopalni na świecie. Urobek wywożono z tunelu wydrążonego w ziemi, prowizorycznie zabezpieczonego drewnianymi stemplami. Była to po prostu duża dziura w ziemi. Tam wprowadzano po wąskich torach żelazne wózki służące do wywożenia zarówno urobku, rudy złota, jak i kamieni pozostałych po drążeniu skały.

DANUTA

Ten tunel był wąski, a od niego odchodziły na boki sztolnie. Raz tam weszłam z kilkoma pracującymi w kopalni mężczyznami, którzy wyjechali z pełnymi wózkami na powierzchnię i po ich opróżnieniu wracali z powrotem.

– Chcesz zobaczyć? Chcesz pójść kawałeczek? – pytali mnie.

Weszłam tak daleko, jak dochodziło dzienne światło, dalej się bałam.

– Chodź, zobaczysz, jak tam ludzie leżą i wydłubują rudę.

Te słowa napełniły mnie wielkim smutkiem, bo pomyślałam sobie, że mój ojciec też musi tak ciężko pracować. Oni najpierw, leżąc, musieli nadłubać tej rudy do worków, kamienie zaś ładowali na wózek, a jak był pełen, to wywozili go na powierzchnię. Wtedy mieli cenną chwilę na rozprostowanie kości.

Z tego, co pamiętam, to było przerażające: czuć było wszechobecną wilgoć, kamienne ściany błyszcząły od sączącej się wody, dołem płynęły małe strumienie. Tam, gdzie nie dochodziło światło dnia, panowała ciemność. Każdy z górników miał kaganek ze świecą przypięty z przodu do lichego płóciennego kombinezonu. On zwisał na piersi. To była taka górnicza latarka.

BOGUSŁAW

Gdy raz zabrakło świec, kopalnia nie pracowała. Wszystko na kilka dni stanęło. Górnik najczęściej pracował na leżąco. Często nie można było używać kilofa, tylko trzeba było dłubać żelaznym rylcem. Górnicy podążali za żyłą złota, która z reguły była wąska, i żeby posuwać się naprzód, musieli drążyć wokół i skałę – przynajmniej na szerokość leżącego człowieka.

DANUTA

Praca w kopalni była naprawdę katorżnicza. Nie dość, że warunki były bardzo prymitywne, to nie zapewniano odpowiedniej odzieży ochronnej. Tam było mokro, woda cały czas się sączyła, kapała, a nieraz wręcz tryskała, gdy górnicy, kując, natrafili na jakąś żyłę wodną. Cieków wodnych w tamtych górach było bardzo dużo.

Latem to nie było takie straszne, bo gdy wychodzili mokrzy na powierzchnię, było ciepło. Ale w zimie to było przerażające, bo ta mokra odzież na nich zamarzała... Buty również zamarzały. Na mrozie od razu pokrywały się grubą warstwą lodu, także od spodu. Stanowiło to ogromne zagrożenie. Buty stawały się ciężkie jak kamienie i niebezpiecznie śliskie. A droga z Udarnego do Gramatuchy była bardzo trudna: nierówna i wyboista. Wiodła po górach pełnych kamieni i korzeni drzew. Mamusia mówiła na nią „droga katorżników”. Była naprawdę straszna.

Jak tatuś zimą przychodził do domu w tej zamarznętej odzieży, to rozbierając go, trzeba było bardzo uważać, żeby jej nie złamać. Jak się złamie ubranie, a potem ono wyschnie, to będzie przecież dziura.

Mróz skuwał tam po prostu wszystko...

BOGUSŁAW

Poniżej wejścia do kopalni – jakieś dwieście metrów w dół w stronę rzeki – znajdował się zakład obróbki złota. Wydobywaną z *szachty* [kopalni] rudę znoszono w workach do tego zakładu, głównie robiły to kobiety. Sortowano ją – to również była praca przede wszystkim dla kobiet, a następnie rozdrabniano za pomocą żelaznych bębnow i spiętrzanej wody. Woda pochodziła z mniejszych źródeł w górach i była doprowadzana do zakładu olbrzymią rurą. Tak wypłukiwane drobiny złota były przy użyciu rtęci łączone w większe kawałki, które potem – ale już chyba nie w Udarnoje, tylko gdzieś indziej – przetapiano w sztabki.

DANUTA

To miejsce pozyskiwania złota Polacy nazywali Fabryką Złota. Trzeba jednak zaznaczyć, że tam, gdzie uzyskiwano złoto już w czystej postaci, nie pracowali Polacy, tylko zaufani ludzie komendanta – upoważnieni enkawudziści.

BOGUSŁAW

Między Fabryką Złota a Gramatuchą znajdowało się sztucznie utworzone rozlewisko rzeki, do którego spływała z zakładu woda wykorzystywana do mechanicznego rozdrabniania rudy złota. Spiętrzała ona wody naszej rzeczki, niosąc ze sobą odpady rudy z zakładu. Na obszarze tego rozlewiska kobiety, usiłując nie stać w wodzie – co nie zawsze było możliwe – za pomocą drewnianych niecek starały się wypłukać ziarenka złota. Z dna

rzeki nabierało się w miskę piasek z drobnymi kamieniami, po czym okrężnymi ruchami wypłukiwało piasek i kamyczki, żeby zobaczyć, czy na dnie nie osadziły się drobiny złota. Te ziarenka trzeba było zdać do administracji. Tak pracowały wszystkie kobiety: i Polki, i Rosjanki.

DANUTA

Płukanie złota nie polegało na wypłukiwaniu samorodków, choć i takie się zdarzały. Z reguły wypłukiwało się drobiny, malusieńkie. Zbierało się je i większą ilość zanosilo do administracji, aby w zamian, w zależności od ich wagi, otrzymać bony żywnościowe. Te bony uprawniały do otrzymania bardziej wartościowej żywności. Chleb za nie był nieporównywalnie lepszy niż ten, który dostawaliśmy z przydziału.

BOGUSŁAW

Wypłukane z rozlewiska drobiny nie zawsze były złotem. Część z nich to był łyszczyk, popularnie zwany „złotem głupców”. W administracji przyniesione okruszki poddawano testowi, aby się upewnić, czy to na pewno złoto. Wkładano je do małej prymitywnej prasy. Złoto spłaszczało się pod wpływem nacisku, natomiast łyszczyk się kruszył. Polacy szybko się zorientowali, że przy tych testach są oszukiwani. Postanowili więc samodzielnie poddawać swoje znaleziska tej próbie jakości. Używali do tego moździerz, który przypadkiem został wrzucony przez czyjeś dziecko do bagażu i tak trafił na Syberię. Ten moździerz wędrował w Gramatusze po chatach, pożyczany z rąk do rąk.

DANUTA

Pamiętam, jak nasza mamusia wypłukiwała złoto. Jadzia też często to robiła, Róża rzadziej, bo bardzo marzły jej ręce. Woda w rzece była bardzo

zimna, lodowata. Nic dziwnego, skoro ta rzeka wypływała spod góry wiecznych lodów. Ale to było latem. Zimą nie chodziły płukać złota.

BOGUSŁAW

Jeśli kobiecie udało się na tych nieckach znaleźć kilka okruchów złota, to po odstawieniu ich do administracji mogła dostać bony na chleb. To była żelazna reguła, która obowiązywała od pierwszego dnia naszego zesłania. Widocznie mieli jakieś zapasy przeznaczone na ten cel.

Bony za złoto uprawniały do otrzymania chleba dużo lepszego niż ten przydziałowy. Chleb za bony był biały – z pewnością nie tylko z pszennej mąki, ale w sporym procencie. Był też lżejszy, lepiej wypieczony, więc dostawało się go dużo więcej. Dlatego bony, za które go przydzielano, były nazywane „złotymi”.

DANUTA

To była żelazna zasada, ale funkcjonująca sezonowo. Tylko latem, gdy ze względu na temperaturę możliwe było płukanie w rzece złota.

Ten chleb za „złote bony” był wyrośnięty, ale taki jakby watowaty, dużo lżejszy. Więcej się go dostawało, ale i trawiło dużo szybciej, głód prędzej powracał. Gdy to zrozumieliśmy, woleliśmy już jednak ten nasz powszedni, przydziałowy chleb, który był gliniasty, długo zalegał w żołądku, długo się go trawiło i dlatego bardziej sycił.

BOGUSŁAW

Pewnego dnia jedna kobieta wypłukała bardzo duży samorodek złota. Polki potem między sobą opowiadały, że żadna z nich tak dużego kawałka czystego złota nie widziała, ale każda chciałaby taki znaleźć. Zrozumiały.

Ta kobieta, zamiast po cichu zdać samorodek w administracji i dostać odpowiednio dużo kartek na chleb, zaczęła krzyczeć ze szczęścia. Podbiegł

do niej nadzorujący pracę enkawudzista i kazał pokazać, co tam ma.

– *Eto sowietskaja sobstwiennost'* [To jest własność sowiecka] – powiedział. Odwrócił się, schował samorodek do kieszeni i odszedł.

Wszyscy byli oburzeni, ale nikt nie zaryzykował starcia z wszechwładnym przedstawicielem NKWD...

DANUTA

W czasie gdy w kopalni jedni wydobywali rudę złota, inni równie ciężko harowali w tajdze przy wyrębie drzewa. W tajdze pracowali mężczyźni, kobiety i starsze dzieci, których nie obejmował już obowiązek czteroletniej edukacji. Młodzież najczęściej odcinała gałęzie ze ściętych drzew, a potem je paliła na olbrzymich stosach.

Drewno w postaci bali transportowano nad brzeg Kii, a latem spławiano z jej nurtem. Kiedy przychodził czas spławu, wszyscy byli angażowani do tego zajęcia, nawet ci, którzy na co dzień zatrudnieni byli w kopalni. Nasz ojciec również.

Spieszono się, aby spławić jak najwięcej drewna przed nastaniem mrozów. Czasu nie było zbyt wiele.

BOGUSŁAW

Kobiety pracowały niemal na równi z mężczyznami. Zatrudniano je nie tylko przy sortowaniu rudy złota, ale i przy jej transporcie. Znosiły ją na plecach z wyrobiska kopalni do zakładu obróbki złota w workach ważących po trzydzieści kilogramów. Wykonywały też inne prace: odśnieżały drogi, odrzucając wielkie hałdy śniegu, ścinały drzewa w tajdze, odrąbywały gałęzie, budowały drogę z bali.

DANUTA

Pamiętam taką drogę, prowadzącą z wioski Spasobnyj do Udarnoje. Tę drogę układały nasze polskie kobiety, zatrudnione przy wyrębie drzew w tajdze. One pracowały tam przez cały rok, nawet podczas siarczystych mrozów.

Bali na drogę nie ciągnęło się ani nie układało przy użyciu koni czy jakiejś maszyny. Najpierw trzeba było ściąć drzewo – najczęściej piłą. Następnie obciąć i spalić gałęzie, potem w pień wbijało się metalową klamrę, o którą zaczepiało się sznur, i za ten sznur przerzucony przez ramię ciągnęło się cały ciężar.

Tak musiały pracować nawet kobiety w pierwszych dwóch trymestrach ciąży!

BOGUSŁAW

Teoretycznie nikt nikogo nie zmuszał do pracy, choć w praktyce odmowa jej wykonywania mogła być drogą prowadzącą prosto do łagru.

Ale to potrzeba jedzenia goniła ludzi do morderczej harówki, zmuszała wszystkich do nieludzkiego wysiłku. Tylko za pracę można było dostać coś do jedzenia. Żywność była przebiegle, drobiazgowo reglamentowana. Z innych źródeł legalnie nie można było jej zdobyć.

Wyśrubowane normy pracy i małe ilości pożywienia przysługujące za jej wykonanie powodowały, że zapotrzebowanie na chleb nigdy nie było w pełni zaspokojone. Nie dojadali wszyscy, jednak dalej pracowali, bo porzucenie pracy wiązałoby się z głodem, a głodu obawia się każdy, kto go poznał. Dlatego wszyscy rozpaczliwie starali się wypracować normę, aby otrzymać bony na żywność.

DANUTA

Mały drewniany domek, jak wiele innych wokół, może tylko trochę większy, z dwiema izbami po przeciwnych stronach sieni. W obu tych

izbach mieścił się sklepik. Nie były to sklepiki konkurujące o klienta. Ten po prawej stronie był „przydziałowy”, dla zwykłych śmiertelników, a drugi dla wybrańców. W tym drugim zakupy można było robić tylko za „złote bony”. W tym „złotym” sklepie zawsze było lepsze zaopatrzenie, różnorodniejszy asortyment, czasami nawet kilkanaście produktów do wyboru. Można by dyskutować, czy były one lepsze, czy gorsze... ale tylko tam można było kupić ten „szlachetniejszy”, biały chleb. Raz nawet sprzedawali tam podobno prawdziwy dżem! Ludzie tak potem opowiadali...

W tym pierwszym sklepie nieodmiennie królowała prawdziwa bieda. Początkowo zawsze można tam było dostać trzy produkty: przydziałowy chleb, mieloną gorczycę, którą Rosjanie nazywali musztardą w proszku, i wodę kolońską – *odiekołon* – o bardzo ostrym, nieprzyjemnym zapachu.

A potem, w zimie, kiedy zabrakło już chleba, bo nie dostarczono mąki do jego wypieku, była tylko ta gorczyca i wieczny *odiekołon*. Ten *odiekołon* to i my ostatecznie nabyliśmy, kiedy skończyła się nam jodyna i nie było nic innego do dezynfekcji skaleczeń czy ran.

BOGUSŁAW

Przydziałowy chleb nie zawsze był do dostania w sklepie. Początkowo przywożono go z Udarnoje, ale przed zimą tuż za sklepem wybudowana została maleńka piekarnia. Zaczęto tam wypiekać chleb jeszcze przed nastaniem pierwszych mrozów. Codziennie wypiekano ustaloną ilość chleba, dla kogo starczyło, ten miał, dla kogo zabrakło, ten – mimo że przydział teoretycznie mu przysługiwał – musiał czekać do następnego dnia, dyskusji nie było.

DANUTA

My, dzieci, bardzo się dziwiłyśmy, dlaczego, skoro nie ma w sklepie innych produktów, jest ta obrzydliwa woda kolońska. Po co i dla kogo?

– Przywieźli w tajgę, jak nas sami nazywają, polskije pany, to chcą im udowodnić, że są równie cywilizowani, bo nie tylko się golą, ale i wodę toaletową mają – naśmiewali się z tego absurdu Polacy.

Mówiło się, że niektórzy tę wodę piją.

BOGUSŁAW

Nie wiem, jak długo były ważne niewykorzystane w danym dniu bony na chleb. Przez kilka kolejnych dni zapewne można było jeszcze je realizować, ale na pewno nie bezterminowo. Po krótkim czasie traciły ważność i było to świadome działanie. Niewykorzystane kartki przepadały, ale nikt nie dochodził, gdzie podziała się mąka, z której wypieczono ten niewydany chleb... ani w naszym *posiołku*, ani tam w *naczelstwie* – na górze. Ot, sowiecka rzeczywistość...

DANUTA

Chleba na przydział nie można było zwyczajnie odebrać, trzeba było go zdobyć. Już od bardzo wczesnych godzin rannych, na długo przed świtem, w sieni sklepiku ustawiały się w kolejce głównie kobiety i starsze dzieci. Pierwsi przychodzili tam ci, którym nie udało się kupić chleba poprzedniego dnia. Przyganiał ich głód. Sień szybko zapełniała się ludźmi. Tłoczyli się niemożebnie, aby dodać sobie otuchy, a zimą, żeby w trzaskającym mrozie wzajemnie się ogrzać. Ci, którzy przyszli później i nie zmieścili się w maleńkiej sieni, musieli stać na dworze. Zbijali się tam w zwartą żywą masę, bez względu na narodowość czy jakieś animozje. To trwało aż do otwarcia sklepu, który tylko teoretycznie działał od ósmej rano. W praktyce bywało różnie.

W momencie otwarcia sklepiku zaczynał się wielki rozgardiasz i robił się bałagan, zanim kolejka wdarła się do środka... potem kilka chwil sprzedaży i pusty sklep był otwarty aż do godziny zamknięcia. Sytuacja ta powtarzała się każdego dnia...

BOGUSŁAW

Chleb to było coś czarnego, lepkiego, rodzaj wręcz gliny – to była bryja! Ale to był chleb.

DANUTA

Chleb był zakalcowaty, mokry, niewyrośnięty, ale jak on nam smakował! Bo to był chleb. O nim się myślało nie tylko w dzień, ale i w nocy. Dzieci budziły się wtedy z głodu. Dziś trudno w to uwierzyć, ale wtedy, tam, dzieci budziły się w nocy z głodu...

BOGUSŁAW

Ciągle były jakieś zakłócenia w dostawach przydziałowego chleba, ale chleb za złoto był zawsze, dopóki wypłukiwało się złoto. Dlatego kobiety tak rozpaczliwie próbowały to robić w tej lodowatej wodzie w rozlewisku rzeki.

DANUTA

Do września 1940 roku, do czasu, gdy trwały jeszcze jako takie dostawy, udawało się kupić w sklepiku za bony także inne produkty. Czasami można było dostać przerośniętą kaszę czy starą mąkę. Jak przyszła dostawa tych produktów, to panowała wielka radość. Ich jakość zawsze była marna. Prawdopodobnie ze względu na sposób transportu i przechowywania.

BOGUSŁAW

Żywność do różnych miejsc wydobywania złota przywożono z Makaraku – znanego nam z drogi do Gramatuchy. Ten transport był mocno utrudniony, bo do wielu ośrodków, gdzie pracowali zesłańcy, nie prowadziły drogi dojazdowe. Dlatego na przykład dostawy dla całego kompleksu Udarnoje – wsi Udarnoje i *posiołków*: Gramatucha, Spasobnyj, Kija – odbywały się rzeką Kiją.

Zimą przewożono je saniami po zamrożonej rzece, kiedy pozwalała na to pogoda, a w okresie, kiedy rzeka nie była skuta lodem, kursowały po niej dwie spore drewniane łodzie. Trudność polegała na tym, że obciążone towarami trzeba było holować w górę rzeki, czyli w kierunku przeciwnym do jej biegu. Załadowane łodzie ciągnęły wtedy na długich linach konie idące brzegiem. Powozili nimi flisacy, którzy potem, po rozładowaniu dostawy, spływali łodziami w dół rzeki. Transporty mogły być organizowane tylko wtedy, gdy nie spławiano akurat drewna z tajgi.

Dlatego dostawy żywności nigdy nie odbywały się regularnie.

DANUTA

Zawsze było jakieś wytłumaczenie.

Gdy nie panowała zima, mówili nam, że nie ma dostawy, bo rzeką spławiają drewno, że najlepsze dostawy są zimą po zamrożonej rzece. Jesienią, bo rzeka jeszcze nie zamarzła. Zimą mówili, że zaspasy, że *buran*, że zamieć i mrozy... Konie chorowały i ogłaszano dla nich kwarantannę. Zawsze było wytłumaczenie.

BOGUSŁAW

Chcąc przeżyć, ratowaliśmy się tak jak inni Polacy, wymieniając to, co mieliśmy, wszystko, co przywieźliśmy ze sobą z Polski, na jedzenie. To były różne, czasami zaskakujące rzeczy, jak: nici, haftki, agrafki czy zamki błyskawiczne. Zamek do spodni to była naprawdę cenna waluta, za którą

można było dostać nawet pół wiadra ziemniaków. Niektórzy wręcz wypruwali zamki z własnych spodni, często jedynych, jakie mieli, aby w zamian dostać coś do jedzenia.

DANUTA

Wszystko wymienialiśmy na małe kartofelki – wszystko, co się dało. Wymienialiśmy na jedzenie nawet rzeczy, które były nam potrzebne, jak pościel, odzież, igły, nici, papier listowy, ołówki kopiowe – absolutnie wszystko podlegało wymianie.

Te rzeczy były wielkim bogactwem i wymieniało się je – jeśli tylko było to możliwe – na te małe ziemniaczki. Zimą były one zawsze zamrożone, o przedziwnym jak na ziemniak kolorze. Ugotowane miały specyficzny smak, różowy kolor, mazistą konsystencję. Ale cóż, były na wagę złota.

BOGUSŁAW

Majątkiem było praktycznie wszystko: kawałek materiału, zwykła ścierka do podłogi. Wszystko miało swoją niebagatelną cenę.

DANUTA

W tamtym klimacie nie rosły żadne zboża, kompletnie żadne. Niektórzy próbowali uprawiać sałatę i inne warzywa, ale zanim wyrosły, marzły przy pierwszych niespodziewanych przymrozkach. Rosły tam tylko ziemniaki. To była jedyna uprawa, którą komendant się szczylił.

– Jak będziecie tu dłużej, to wykarczujecie lasy i będziecie sobie sadzić ziemniaki – mówił.

Kartofle były malusieńkie, bo przecież okres wegetacji był bardzo krótki. Były nie tylko małe, ale też wodniste i lepkie. W tych ziemniakach nie wykształcała się skrobia, bo nie było na to czasu. Kiedy przekwitły, od razu trzeba je było wybierać z ziemi. Ale komendant nas pocieszał:

– Sowieccy miczurinowcy pracują nad taką odmianą ziemniaka, który wyrośnie i będzie duży w ciągu miesiąca.

– U nas, obywatelu komendancie, orzechy włoskie są większe od tych ziemniaków – odpowiadali Polacy.

– Pożyjecie, zobaczycie, co tutaj będzie... – prognozował komendant.

BOGUSŁAW

Powoli wszyscy adaptowali się, jak mogli, do nowych, nieludzkich warunków życia. Wszyscy liczyli skrycie na odmianę losu i głęboko wierzyli, że będzie im dane wrócić do Polski.

Nadzieją i optymizmem napawała wszystkich nadchodząca niespiesznie wiosna.

DANUTA

Wszyscy w pierwszych dwóch miesiącach po przybyciu przechodziliśmy dziwną, aklimatyzacyjną gripę, dzieci chorowały na oczy, uszy i gardło. U mnie ta choroba się ciągnęła. Inne dzieciaki jakoś z tego wyszły, a mnie w oku zrobił się przewlekły stan zapalny.

Felczer ze szpitala w Udarnoje leczył mnie w ten sposób, że aplikował mi do oka albo jakieś krople, albo maść, ale wcale nie było wiadomo, czy te leki były odpowiednie przy takim schorzeniu... Bywało, że jak skończyły mu się medykamenty, to tylko przemywał oko wodą i zakładał opatrunek. Kategorycznie zalecał bezustanne bandażowanie, które jakoby miało gwarantować całkowite wyleczenie. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że taki opatrunek był mocno kłopotliwy i bardzo komplikował mi życie... Zsuwał się nieustannie albo przyklejał do oka, powodując ból.

Zapalenie długo nie ustępowało, przeciwnie, było coraz gorzej. Z oka sączyły się ogromne ilości ropnej wydzieliny, zwłaszcza w nocy. Rano, jak się budziłam, miałam na oku grudę zaschniętej ropy. Wtedy wbrew

wszelkim zakazom ze strony rodziców i mojego lekarza zabierałam się gorliwie do oddłubywania tej niepożądanego narośli. Oczywiście robiłam to w pełnej konspiracji.

BOGUSŁAW

Mimo że nasz medyk nie był lekarzem, tylko felczerem, trzeba powiedzieć, że znał się na ludzkim zdrowiu. Po rozmowie z chorym dużo wiedział o jego stanie fizycznym. Ponadto znał specyfikę syberyjskiego klimatu i jego wpływ na nieprzyzwyczajonych do niego ludzi. Przy jednej z pierwszych wizyt powiedział naszemu ojcu, że wielu zesłańców szybko umrze, bo ich organizmy nie zaakceptują tego klimatu, nie przystosują się do niego.

Co dokładnie miał na myśli, trudno dziś powiedzieć. Czy dotyczyło to układu krążenia, czy może płuc? Prawdopodobnie tak dobrze znał realia egzystencji w *zołoty ch tryskach*, o których nie wolno mu było rozmawiać z zesłańcami, że w połączeniu z wiedzą medyczną i doświadczeniem pozwalało mu to wysnuć taki wniosek. W każdym razie przewidywał, że część osób umrze z powodu nieodpowiedniego dla nich klimatu i warunków bytowania.

Felczer był bardzo rzetelnym, troskliwym człowiekiem, życzliwym dla pacjentów. Rosjanin i zesłaniec jak my. Dobry człowiek, ale nie miał w tamtych okolicznościach możliwości niesienia chorym skutecznej pomocy.

DANUTA

Wydłubywałam tę ropę z oka, kiedy budziłam się bardzo wcześnie – dorośli oczywiście byli już na nogach. Wnętrze baraku było słabo oświetlone, ale panowała niezwykle gorączkowa atmosfera. Sześć z dwudziestu mieszkających tu osób – pięciu mężczyzn plus jedna kobieta, pani

Wiśniewska – wychodziło do ciężkiej pracy. Przed wyjściem musieli zjeść lub wypić coś gorącego. Na naszym piecyku mogły stanąć tylko dwa garnki, pozostałe musiały być ustawione z boku, na żwirze. Kobiety pracowicie się krzątały wokół piecyka. Mężczyźni w pośpiechu zdejmowali z belek i różnych wieszadeł swoją odzież i obuwie – odwieszane tam na noc do wyschnięcia.

Wszystko to działo się na przestrzeni kilku metrów kwadratowych, gdyż tylko tyle miał „deptak” wokół pieca. Pozostałą powierzchnię zajmowały prycze. Muszę się przyznać, że wtedy ukradkiem z zainteresowaniem obserwowałam, chociaż jednym okiem, tę niezwykłą scenę. W ciasnocie, prawie w ciemności poruszały się ludzkie postacie, w wielkim pośpiechu i w milczeniu. Niezwykle rzadko odzywali się do siebie, a jeśli, to tylko szeptem.

To była przedziwna ludzka kotłowanina. Dziwiłam się, że wszystko dzieje się tak bezgłośnie i bezkolizyjnie, bo nikt na nikogo nie wpadał. Potem na swoich pryczach wszyscy pospiesznie spożywali poranny posiłek.

BOGUSŁAW

W baraku nie było stołu ani miejsca, żeby wstawić taki mebel.

DANUTA

Ostatnim etapem porannej gonitwy było wyjście do pracy – obowiązywała przecież socjalistyczna dyscyplina...

Po wyjściu pracujących na naszym „deptaku” przerzedzało się tylko na chwilę. Teraz kobiety krzątały się przy piecyku, bo musiały kolejno przygotować dla rodziny jakąś strawę na cały dzień. Czekają na nie też mnóstwo innych prac, takich jak pranie, cerowanie, suszenie odzieży i obuwia, noszenie wody, rąbanie drwa, codzienne palenie w piecu, stanie w kolejce do sklepu po *pajok*...

Dlatego bardzo się spieszyły, aby zrobić jak najwięcej, zanim pobudzą się dzieci, które musiały zostać umyte i nakarmione. Mycie również odbywało się na pryczach, stwarzało nie lada problemy i było dużym wyzwaniem. Nie było żadnych parawanów ani innych zasłon. Żadnej intymności... Myjący się był jak na cenzurowanym. Mycie się w takich warunkach nawet dla dzieci łączyło się z dużym dyskomfortem fizycznym i psychicznym, toteż w różny sposób dawały znać o swoim niezadowoleniu. W rezultacie toaleta domowników zawsze odbywała się w atmosferze – delikatnie mówiąc – bardzo ożywionej. Najgłośniej i najbardziej nerwowo było właśnie przy tej czynności, o tej wczesnej porze dnia.

Oczywiście nasze matki z ogromną troską i zaangażowaniem tłumaczyły, łagodziły i wyciszały te emocje. A musiały przecież jeszcze same zrobić toaletę i potem zabrać się do wykonywania różnorodnych ciężkich obowiązków.

Nasza mamusia te codzienne obowiązki – w porównaniu do innych matek – miała zwielokrotnione. Pielęgnacja dziecka z takim schorzeniem jak moje – w bardzo prymitywnych warunkach mieszkaniowych i sanitarnych – automatycznie rodziła wiele dodatkowych komplikacji. Obciążeniem były długie i koszmarne męczące wyprawy do Udarnoje do lekarza – tak nazywaliśmy naszego felczera – na kontrolę mojego oka.

Wracałyśmy prawie zawsze późnym popołudniem i dlatego w dniach wizyt mamusia musiała przed wyjściem ugotować jedzenie. Nie pamiętam, jak często chodziłyśmy na te opatrunki, ale co najmniej raz w tygodniu. Felczer sam wyznaczał termin następnej wizyty. Marsze do przychodni były tak męczące, że ja po powrocie od razu kładłam się na pryczy i zasypiałam, ale mamusia nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. W naszym niezwykle wielorodzinnym, wieloosobowym rozgardiaszu mieszkaniowym było to niemożliwe.

BOGUSŁAW

Kobietom, nawet tym teoretycznie niepracującym, nigdy nie brakowało obowiązków. Zmagały się z koszmarem prymitywnego syberyjskiego dnia codziennego: utrzymaniem czystości, wychowywaniem dzieci, a przede wszystkim z przygotowywaniem jedzenia, często niemal z niczego, choćby z liści lipy czy kory brzozy.

W zależności od pory roku dochodziły im sezonowe prace – latem płukanie złota czy zbieranie darów natury: kołby, malin, jeżyn, czarnej porzeczki, zwanej *smorodina*, albo grzybów. Te dodatkowe obowiązki były z reguły związane z próbami zdobycia większej ilości pożywienia.

Pomimo słabego zdrowia nasza matka uczestniczyła we wszystkich tych czynnościach.

DANUTA

Na 1 Maja, z okazji Święta Pracy, były dodatkowe przydziały i my, dzieci, a raczej rodziny z dziećmi, dostaliśmy cukierki. To były seledynowe cukierki nadziewane marmoladą. „Dostaliśmy” to skrót myślowy. Otrzymaliśmy dodatkowy przydział, na który w sklepie można było wykupić te słodycze. Pokazywano nam w ten sposób, jak w Kraju Rad szanuje się człowieka pracy, jak dobrze jest pracować w *zołotykh tryskach*. Mamusia wydzielała nam te cukierki, ale i tak na długo nam one nie starczyły.

W sklepie bywały też lepsze towary dla enkawudzystów i wyżej postawionych czynowników [urzędników]. My ich w sklepie nigdy nie uświadczyliśmy, ale widzieliśmy je u pani Siemieniakowej, a dokładnie u jej dzieci. Ona, sprząając w sklepie, miała dostęp do naprawdę niecodziennych produktów. Jak coś z tych frykasów przynosiła, to

zakazywała swoim pociechom chwalenia się tym, a już, broń Boże, pokazywania komukolwiek.

Dzieci jednak są tylko dziećmi. Zdarzały się między nimi różne animozje. W tym przypadku chodziło o to, że Siemieniakowie byli dokwaterowani jako Białorusini do naszych trzech polskich rodzin. W naturalny sposób czuliśmy się więc przez nich inwigilowani. Być może to nie była prawda, takie jednak mieliśmy odczucie. Polityka siłą rzeczy przenosiła się też na dzieci. Chciały sobie wzajemnie udowodnić, że jedne są lepsze od drugich. Najstarszy z Siemieniaków, Wołodia, wbrew nakazom matki, jak dostał coś specjalnego, to natychmiast musiał się pochwalić.

I pewnego dnia, właśnie 1 Maja, jeden jedyny raz podczas całego pobytu na Syberii widziałam lukrowane pierniki, a raczej jeden taki piernik. Musiał pochodzić z jakichś specjalnych przydziałów dla enkawudzistów. Pokazał mi go Wołodia. Gdybym nie widziała na własne oczy, tobym nie uwierzyła! Lukrowany piernik! Dla nas, zwykłych dzieci, było to coś absolutnie nieosiągalnego. Chyba powstały jakieś plotki na ten temat, bo pani Siemieniakowa wbiła w końcu skutecznie swoim dzieciom do głowy, że nie wolno tak się przechwalać, i po tym incydencie zdarzało się to już zdecydowanie rzadziej. Choć Wołodia nie zawsze potrafił się powstrzymać...

Pani Siemieniakowa miała naprawdę wymarzoną pracę – nigdy nie musiała stać w kolejce po żadne produkty, nawet mleko dostawała w pierwszej kolejności przy każdej dostawie. W pierwszych miesiącach naszego pobytu w sklepie czasami było mleko, ale w bardzo ograniczonych ilościach. Pierwszeństwo zakupu niby miały rodziny z małymi dziećmi, ale mimo to często nie mogły go zdobyć. Rodzina Siemieniaków czerpała więc z pracy matki wyraźne korzyści.

BOGUSŁAW

Przez krótki czas po przyjeździe do Gramatuchy zezwolono Polakom na pisanie listów do rodzin, ale tylko tych mieszkających na terenach Polski zajętych w 1939 roku przez Rosjan. List należało złożyć u komendanta. Złożyć w sposób dosłowny, bo zapisaną kartkę składało się w trójkąt. Albo wkładało do koperty, jeśli ktoś coś takiego tam miał. List adresowało się po rosyjsku, naklejało się znaczek i taki niezakleiony trzeba było zanieść do komendanta. Tam podlegał on cenzurze. Cenzurowany był przez zatrudnionego w tym celu Polaka. Jeśli treść została uznana za niewłaściwą, list nie był wysyłany – bez powiadomienia o tym fakcie nadawcy.

Co jakiś czas, raz na dwa tygodnie lub rzadziej, do *posiołka* Spasobnyj docierał konik z pocztą. Stamtąd dostarczano przesyłki na pocztę w Udarnoje. Listy zwrotne dla nas – adresowane do polskich zesłańców – dostawał komendant. On je cenzurował i osobiście decydował, czy i kiedy taki list doręczy adresatowi.

DANUTA

My na tym terenie, na który można było wysyłać listy, mieliśmy tylko stryja – Jana Żukowskiego. Tata do niego pisał. Obawialiśmy się o zdrowie i życie stryja, bo listy te pozostawały bez odpowiedzi.

Byli jednak wśród nas szczęściarze, którzy stosunkowo szybko doczekali się drogą pocztową wsparcia od swych najbliższych. Przyszły pierwsze listy, po nich nawet paczki i sporadyczne przekazy pieniężne. Zarówno paczkę, jak i przekaz należało odebrać osobiście na poczcie w Udarnoje.

Większość paczek, jeśli nie wszystkie, była mocno „odchudzona” i nie zawierała najatrakcyjniejszych produktów, o których pisali nadawcy w załączonej korespondencji. Podobnie było ze zwykłymi listami. Żadne „wsady” – z całą pewnością nie te pieniężne – ukrywane w nich przez

nadawców nie docierały do adresatów. Wszystko wartościowe było po drodze z przesyłek wyłuskiwane...

BOGUSŁAW

Nagromadzony zimą śnieg i lód przy pierwszych powiewach wiosny 1940 roku gwałtownie topniał. Tworzyło się ciężkie błoto, z którego trudno było wyciągnąć nogę. Miejscami jednak śnieg zalegał zaskakująco długo. Najszybciej znikał z nasłonecznionych południowych stoków, najwolniej tam, gdzie nie dochodziło słońce. Jego zlodowaciałe bryły można było napotkać w tajdze jeszcze nawet na początku lipca.

DANUTA

Wiosna nadchodziła nagle, niespodziewanie. Była szybka i gwałtowna. Budząca się do życia roślinność nas zadziwiała. Strzelała w górę niemal z szybkością pocisku. To było coś niesamowitego. Rośliny podnosiły bryły niestopniałego jeszcze śniegu, a nawet lodu.

Zwykle, idąc z mamusią na opatrunek do lekarza w Udarnoje, zabierałyśmy w garnku zupę dla taty, bo niedaleko znajdowała się kopalnia, w której pracował. Po drodze zносиłyśmy mu tę zupę, a wracając, zabierałyśmy pusty garnek. Raz usiadłyśmy z tatą i jego kolegą, bo akurat mieli przerwę. Oni w kopalni we dwóch pchali wózek z urobkiem. Usiedli więc także we dwóch do tego garnka i jedli zupę. Brygadier pozwolił im wtedy z nami odpocząć, bo pracownicy mieli jakieś przerwy na zjedzenie swoich skromnych racji chleba. Brygadier też był zesłańcem. Wszyscy tam byli zesłańcami...

W ten dzień mamusia była w nie najlepszym nastroju. Towarzysz tatusia, w zasadzie współtowarzysz niedoli, powiedział:

– Niech pani popatrzy na tę roślinność. Nigdy byśmy nie wiedzieli, że jest tu taka bujna. Przecież to jest coś niepowtarzalnego, będziemy mieli,

my i nasze dzieci, co wnukom opowiadać... To jest niesamowite, że śnieg topnieje i od razu zieleń po prostu szybuje w niebo.

– Tak, bo gdyby nie ta bujna zielona roślinność, to byłoby tu białe od polskich kości – odpowiedziała mamusia.

BOGUSŁAW

Na wiosnę najbardziej oczekiwaną rośliną była tak zwana kołba. Polacy mówili, że kołba to jak krzyżówka naszego pora, cebuli i czosnku. Dojrzała miała wielkość naszego szczypioru, a liście zbliżone do liści pora. Niosła ze sobą bogactwo witamin. Występowała jednak tylko wczesną wiosną. Kolejne rośliny ją przygłuszały. Trzeba było się spieszyć z jej zbieraniem. Kołba była skarbem. Jadło się ją w każdej postaci: surową, parzoną, a jak ktoś miał taką możliwość, także kiszoną.

DANUTA

Moje oko nie zdrowiało i dlatego czułam się nie tylko fizycznie, ale i psychicznie podłamana. Potrzebne były kolejne wizyty w szpitalu w Udarnoje. Chodziłyśmy tam zawsze z mamusią drogą wyłącznie dla pieszych – tą samą, którą Polacy z Gramatuchy zmierzali do pracy w kopalni złota.

Nie pamiętam, która to była wizyta, ale na pewno któraś z późniejszych. Nasze pierwsze wyprawy odbywałyśmy przy dużym śniegu, a tego dnia leżał on już tylko miejscami, na poboczach, wśród drzew.

Droga prowadziła pod górę aż do kopalni, a od kopalni do Udarnoje znowu z góry. Była kamienista, często stąpało się po skałach, popękanych, pełnych szczelin, rozstępów. W rozstępy w misterny sposób wplatały się korzenie drzew gęsto rosnących po obu stronach. To właśnie te korzenie, którymi naszpikowana była droga, stanowiły większe niebezpieczeństwo niż wyboiste, popękane skały. Wiał silny wiatr, szarpał drzewami tak

bardzo, że ich konary poruszały się gwałtownie. Naprężone i unoszące się korzenie sprawiały wrażenie, że droga pulsuje. Miejscami zalegał jeszcze lód, który maskował niebezpieczne podłoże, a tam, gdzie go nie było, potokami spływała woda z topniejącego śniegu. Tego dnia droga była znacznie gorsza niż kiedykolwiek wcześniej. Na nogach miałyśmy śniegowce, co chroniło nas przed wodą, ale było niewiarygodnie ślisko i musiałyśmy bardzo uważać.

Każdy krok musiał być przemyślany. Mnie trudniej było się skoncentrować. Zasłonięte oko powodowało duży dyskomfort, nie określałam dokładnie odległości. Potykałam się i ślizgałam nieustannie. Opatrunek co jakiś czas obsuwał się i spadał mi na policzek, a czasami zasłaniał również zdrowe oko. Mama trzymała mnie mocno za rękę albo wręcz otaczała mnie ramieniem i tak brnęłyśmy do przodu. Nie było łatwo.

W pewnym momencie mamusia zaproponowała, że weźmie mnie na barana. Zdziwiłam się i stanowczo zaprotestowałam, bo nie pamiętałam, żeby mamusia kiedykolwiek nosiła mnie na barana. Nie miałam ośmiu lat, ale uważałam, że jestem dużą dziewczynką, absolutnie nie do udźwignięcia przez mamę.

BOGUSŁAW

Ta droga dla pieszych do Udarnoje funkcjonowała dzięki Polakom. Oni, chcąc skrócić sobie codzienną drogę do pracy w kopalni i tajdze, oczyścili starą, zarośniętą wysokimi chaszczami ścieżkę, a drewnianą kładkę, która łączyła brzegi rzeczki Gramatuchy, nie pamiętam – czy wyremontowali, czy sami pobudowali. Na pewno napracowali się nad tą kładką, zanim udało się z niej bezpiecznie korzystać. Dzięki tej drodze oszczędzali każdego dnia dużo sił, bo czas dojścia do pracy i powrotu skrócił się chyba aż o godzinę.

DANUTA

Po długiej i morderczej wędrówce dotarliśmy wreszcie do naszego lekarza. Wszystkie zabiegi, które wykonywał, przyjmowałam zawsze, delikatnie mówiąc, z niechęcią. Jedyne ostatnia czynność – zakładanie opatrunku – przynosiła mi prawdziwą ulgę. Dlatego wychodząc z tej „przychodni”, czułam się odprężona i szczęśliwa, że mam to już za sobą. Droga powrotna do naszego *posiołka* wydawała mi się zawsze mniej uciążliwa, nie towarzyszyło jej już napięcie wywołane myślą o wizycie u lekarza.

Tego dnia, wracając z mamą do domu, maszerowałyśmy pewniej, nie przeczuwając niczego złego. Kiedy minęłyśmy kopalnię, a droga do Gramatuchy już cały czas prowadziła z góry, zrobiło się okropnie ślisko. Szłyśmy bardzo powoli, trzymając się za ręce, i gdy wydawało się, że już przebrnęłyśmy przez tę „drogę przez mękę”, i docierałyśmy do obrzeża Gramatuchy, stało się nieszczęście...

Mamusia nagle potknęła się i z wielkim impetem, z jakimś przerażającym jęknięciem, ciężko upadła na tę wyboistą drogę. Leżała twarzą do ziemi, bez ruchu i bez żadnych oznak życia. Nie wiem, jak długo to trwało, nie potrafię określić czasu, tak bardzo byłam przerażona i zdezorientowana. Najpierw chciałam wzywać pomocy, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Z bezradności zaczęłam głośno płakać, usiłując jednocześnie mamusię podnosić. I wtedy na szczęście ona się odezwała.

– Nie płacz, nie płacz – powiedziała. – Nie ruszaj mnie, ja sama zaraz wstanę.

Z wielkim trudem się dźwignęła. Ja mimo zakazu próbowałam jej pomagać. Kiedy stanęła w końcu na nogi, dłuższą chwilę stała, jedną ręką trzymając się przydrożnego drzewa, a drugą za brzuch. Usiłowałam

rękawiczką oczyścić jej palto, bo cały przód i rękawy aż do łokci ociekały błotem.

Powoli ruszyliśmy do przodu. Byłam szczęśliwa, że mama może iść, bo to utwierdziło mnie w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. W zasięgu wzroku miałyśmy pierwsze domki Gramatuchy, w których mieszkali nasi polscy współzesańcy. Mamusia powiedziała, że wejdziemy do jednego z nich, żeby odpocząć i się oczyścić.

Przyjęto nas bardzo życzliwie i rzeczowo. Pani domu zdjęła z mamusi płaszcz i powiesiła w pobliżu pieca, a jej samej podała jakieś krople, po czym powiedziała:

– Dzieciom szybko podam obiad, a my wejdziemy za parawan.

Nie pamiętam, czyj był ten dom, ale poczułam ukłucie zazdrości, widząc ten „luksus” pozwalający na odrobinę intymności. Parawan, mimo że był to tylko prowizorycznie rozwieszony materiał, skutecznie osłaniał miejsce przeznaczone do mycia.

W domu była dziewczynka w moim wieku i dwoje albo może tylko jedno małe dziecko. Zostałam zaproszona na obiad, ale zamiast jeść, starałam się ze wszystkich sił podsłuchać rozmowę toczącą się za parawanem. Było to trudne, bo z jednej strony nie chciałam być niegrzeczna i starałam się podtrzymać rozmowę z moją rówieśnicą, a z drugiej – pragnęłam nie uronić nic z tego, co mówiły nasze matki. Rejestrowałam urywki zdań: silny upadek, zaczepiłam obcasem o korzeń, upadając, nadziałam się na wystającą skałę.

– Powinien panią zbadać prawdziwy lekarz, na co tu nie ma szans – mówiła nasza gospodyni. – Jeśli to stłuczenie, to po jakimś czasie minie. Oby nie było poważniejszego uszkodzenia, jakiegoś oberwania...

To ostatnie zdanie, które dobiegło mnie zza parawanu, zabrzmiało złowieszczo, mimo że nie miałam pojęcia, co miałyby znaczyć to

„oberwanie”. Jednak sposób, w jaki to słowo zostało wypowiedziane, po prostu mnie przeraził.

Potem panie mówiły jeszcze coś przyciszonymi głosami, ale nie udało mi się już wyłowić z tego żadnej konkretnej treści. Po wyjściu zza parawanu pani domu zachęciła mamusię do wypicia herbaty i znowu podała jej jakieś krople. Prosiła, żeby koniecznie jeszcze przez jakiś czas posiedziała i odpoczęła. Na pożegnanie powiedziała, że mamusia powinna przynajmniej parę dni poleżeć, to wtedy wszystko się wyklaruje, ale zaraz potem dodała, że w „naszej wspólnocie mieszkaniowej” będzie to bardzo trudne, wręcz niemożliwe.

Mam przekonanie, że od tego wydarzenia ze zdrowiem naszej mamy zaczęło się dziać coś naprawdę złego.

BOGUSŁAW

Trudno mi ocenić wpływ tego zdarzenia na zdrowie mamy, nie znałem tej historii.

DANUTA

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że swoją chorobą komplikuję życie naszej rodzinie, a ciężko pracującym rodzicom przysparzam moc zmartwień.

Moje siostry, a nawet nasz mały brat, wszyscy mieli obowiązek pilnowania, żebym nie dotykała chorego oka. Ja jednak nie umiałam sobie tego odmówić, weszło mi to w nawyk i dlatego ciągle słyszałam:

– Mamusiu, ona znowu dłubie w oku.

Albo:

– Zostaw to oko w spokoju.

Albo:

– Widzę, co robisz – wołało któreś z rodzeństwa.

Rodzice ciągle próbowali mi uświadomić, że jeśli nie zastosuję się do tych zakazów, nie ma szans na wyleczenie, a to pociągnie za sobą jeszcze poważniejsze komplikacje zdrowotne.

Jadzia obrazowo przybliżała mi te konsekwencje, strasząc, że od tego ciągłego zapalenia oko mi wypłynie zupełnie i zniknie. W ten sposób zostanę cyklopem! Wiedziałam już wtedy, że to przerażający stwór z jednym okiem, przestraszyłam się, ale mamusia szybko zainterweniowała, mówiąc, że to niemądry żart.

BOGUSŁAW

Oko Danusi nigdy nie zostało ostatecznie wyleczone. Skutki tej choroby towarzyszą mojej siostrze przez całe życie. To było – jak zdiagnozowali specjaliści po naszym powrocie do Polski – zapalenie ciała rzęskowego i uszkodzenie nerwu ocznego. Z tego powodu Danusia w młodym wieku dorobiła się jaskry.

DANUTA

Tymczasem wiosna w Gramatusze zagościła na dobre. Szybko rosła temperatura i topniały śniegi. Wokół pojawiały się jakby znikąd nieistniejące dotąd strumienie, wręcz rwące potoki. Te, które już znaliśmy, przybierały niekiedy gigantyczne rozmiary. Gleba tak nasiąkała wodą, że była miękka jak gąbka.

Nasza rzeczka płynęła, niosąc skały i hucząc.

BOGUSŁAW

Nasz barak wybudowano w tak nieszczęśliwym miejscu, że pewnej nocy przy pierwszych silnych wiosennych roztopach został podtopiony.

DANUTA

Po prostu nas podmyło. To był dramat. My przecież nie mieliśmy ani szaf, ani półek. Wszystkie rzeczy, jakie posiadaliśmy, które przywieźliśmy z Polski, były zmagazynowane pod naszymi narami. To była wielka rozpacz, kiedy woda wszystko zalała. Coś strasznego.

Wtedy nocą rodzice ubierali nas w popłochu i na rękach wynosili po kolei każde dziecko do sąsiedniego baraku pod opiekę innych rodzin. Dopiero potem zaczęli ratować, co się dało, i osuszać barak.

Po tym incydencie komendant powiedział, że wie, że w tym baraku nie da się mieszkać, ale nie może nic zrobić. Nie ma kwater, które mógłby przydzielić w zastępstwie. Wtedy powiedział również, że jak ktoś z naszego baraku albo z innego będącego w bardzo złym stanie chce, to może sobie sam wybudować nowy dom – on da pozwolenie.

BOGUSŁAW

Komendant tym, którzy zdecydowali się na budowę, obiecał dostarczyć materiał na piec i szyby do okien, gwoździe i zawiasy do drzwi. Drzewo na budowę ludzie mieli samodzielnie pozyskać z tajgi. Polacy, początkowo sceptyczni, szybko jednak zaczęli poważnie rozważać tę propozycję. Dla wielu była to szansa na poprawę bytu.

Zaczęły zawiązywać się spółki. Było oczywiste, że jeden mężczyzna nie jest w stanie sam zbudować domu w tych warunkach. Wielu się nie zdecydowało. Ostatecznie powstały dwie czy trzy takie rodzinne budowlane spółki.

DANUTA

Lekarz niepokoił się brakiem postępów w leczeniu mojego oka. Utrzymywał, że decydującą przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że wydłubuję ropę, a ponadto być może przeziębiam oko.

Zasugerował, że najlepiej będzie założyć mi na stałe opaskę, czarną owalną poduszeczkę z podwójnymi gumkami dookoła głowy. Wyjaśnił przy tym, że takie opaski są przeznaczone do wielokrotnego użytku i przechodzą z pacjenta na pacjenta. W tej chwili nie miał żadnej w apteczce, ale wkrótce miał skończyć kurację jeden z jego podopiecznych i ja mogłabym otrzymać po nim ten idealny opatrunek. Dalej lekarz przekonywał mamusię, że to będzie naprawdę skuteczne, bo opaska będzie szczelnie przylegała do oka i dzięki temu będę miała do niego utrudniony dostęp. Ponadto oko nie będzie narażone na chłód, zmieniany będzie tylko opatrunek wewnętrzny.

Niewiele z tego rozumiałam, ale instynktownie nie byłam zachwycona perspektywą, którą roztaczał przed nami felczer. A po omówieniu tego problemu na forum naszej rodziny byłam wręcz przerażona. Jadzia, która miała niezwykłą fantazję, a ponadto lubiła podowcipkować, powiedziała mi:

– Teraz będziesz wyglądała jak pirat.

Nie wiedziałam, co to znaczy i do kogo jestem porównywana, ale czułam, że to nic dobrego. Jak się dowiedziałam, że chodzi o morskiego złoczyńcę, który napada na statki, ostatecznie zbuntowałam się przeciwko opasce. Rodzice nie nalegali, ale uświadomili mi, że jeśli stan mojego oka się nie poprawi, to niestety będę musiała zacząć ją nosić. W tej sytuacji nie miałam wielkiego wyboru, musiałam się zmobilizować.

BOGUSŁAW

Ojciec skrzyknął się z dwoma dawnymi sąsiadami z Hajnówki i zaczęli budować dom. Po dwunastogodzinnej wyczerpującej szychcie w kopalni wspólnie wycinali drzewa w tajdze i na plecach ściągali je na miejsce budowy. Skonstruowali trak do piłowania długich bali na pół lub na deski.

DANUTA

Teraz ojciec po powrocie z kopalni pospiesznie zjadał obiad i od razu wychodził do pracy przy budowie. Chociaż dzień był już długi, to i tak wychodził do kopalni o świcie, a wracał z budowy nocą.

Na mamusię siłą rzeczy spadło dużo więcej obowiązków i tych fizycznych, i tych wychowawczo-rodzicielskich. Dlatego z wielkim zaangażowaniem ciągle nam uświadamiała, że budowa również dla nas jest wielkim wyzwaniem, bo zaczną się wkrótce takie prace, które także dzieci będą nie tylko mogły, ale i musiały wykonywać.

Dlatego wszyscy powinniśmy być zdrowi, żeby koniecznie tatusiowi pomóc, bo inaczej nie ukończy budowy przed zimą...

Mnie mamusia postawiła jako wzór do naśladowania o cztery lata młodszego Bogusia.

– Zobacz – mówiła – on taki maleńki, ale rozumiał, że chorego oka nie wolno w ogóle dotykać. Może to robić, poza lekarzem, tylko osoba pielęgnująca, dorosła. A ty nie możesz tego zrozumieć?

Wtedy zaczęłam naprawdę pojmować więcej niż dotychczas. Z jednej strony groziła mi opaska pirata, a z drugiej zrobiło mi się wstyd, że jestem „mniej mądra” od mojego młodszego brata. To ostatnie było dla mnie istotne, bo w naszej rodzinie funkcjonowało powiedzenie „starszy musi być mądrzejszy”...

BOGUSŁAW

Trak do cięcia dużych drzew miał bardzo ciekawą konstrukcję. Były to dwa olbrzymie kozły, rozstawiało się je na długość drzewa, które należało przepiłować. Kozły te stanowiły boki całej konstrukcji, na nich opierało się drzewo. U góry, po obu stronach tego leżącego pnia, był drewniany podest, po którym można było chodzić. Za pomocą długiej piły zakończonej z obu stron uchwytnymi piętami piłowało dwóch mężczyzn. Jeden z nich pracował

pochylony, stojąc na drewnianym podeście, drugi stał na ziemi i pracował z zadartą głową, trzymając drugi koniec piły. Musieli pracować w jednym rytmie, aby ciąć równo i nie zmarnować drzewa z takim trudem przywleczzonego z tajgi. To była ciężka i trudna praca.

DANUTA

Każdy musiał dostarczyć odpowiednią liczbę pni na to wspólne budowanie. Nieraz ściągali te bale już przy księżycu. Trzeba było szybko budować, póki trwało lato, bo zimą, w śniegu, już nic nie dałoby się zrobić. Oni prawie nie spali. Targali te bale z tajgi na plecach, przychodzili do domu i na chwilę zasypiali, bo niedługo, tacy senni, musieli iść pracować do kopalni. Mamusia z wielkim niepokojem w głosie powtarzała ciągle: „Katorżnicy nie wytrzymają tego długo”.

W budowaniu i wykończeniu domu bardzo pomagał ojcu jego współtowarzysz pracy. Bardzo żałuję, że nie pamiętam jego nazwiska. On i nasz ojciec zawsze pracowali razem i chyba pracowali dobrze, bo komendant nigdy ich nie rozdzielał, ani w *szachcie*, ani przy wyrębie drzewa, ani w lecie przy spławianiu drewna Kiją. Zawsze byli zgodni, wzajemnie się wspierali, nigdy nie było między nimi żadnych nieporozumień.

Ten pan ze swoją rodziną mieszkał na drugim brzegu rzeki, po stronie Udarnoje. Tam żyło parę polskich rodzin. Miał dwoje starszych, pracujących dzieci, myślę, że w wieku powyżej szesnastu lat. Był człowiekiem pełnym nadziei i entuzjazmu, okazał się wielkim wsparciem dla taty, mimo że on też nie był przecież pesymistą.

O nim właśnie ojciec po wojnie mówił, że przyjaźń musi się żywić przyjaźnią, tak jak miłość miłością...

BOGUSŁAW

Trudno powiedzieć, jakie normy i zasady narzucił komendant przy budowie tych nowych domów. Czy istniały jakieś wymogi co do ich wyglądu, funkcjonalności albo ograniczenia powierzchni mieszkalnej? Można się tego tylko domyślać. Jakkolwiek o żadnych ekstrawagancjach nikt wtedy nie myślał. Realia, w jakich budowano, całkowicie je wykluczały.

DANUTA

Bardzo gorliwie przystąpiłam do kuracji. Całymi dniami, jeśli nie leżałam, to siedziałam na naszej pryczy i zamiast dłużyć przy oku, starałam się obserwować, co się dzieje w naszym domostwie. Ponieważ było już ciepło, dzieci ciągle wychodziły z domu lub wracały. Drzwi otwierały się i zamykały jak na dworcu. Ja nie chciałam wychodzić, bo bardzo mnie krępowały pytania o ten paskudny opatrunek na oku.

Mimo woli widziałam i słyszałam wszystko, co się działo nie tylko w naszej rodzinie, ale również w pozostałych mieszkających w naszym baraku.

Do południa przeważnie trzy kobiety kręciły się wokół piecyka: pani Głowaczowa, pani Siemieniakowa i nasza mamusia. Ja obserwowałam tylko mamusię. Patrzyłam, jak pochyła się nad garnkami na piecyku znajdującym się o wiele za nisko. Kobiety musiały schylać się nad nim niemal pod kątem prostym. Pewnego razu bardzo zaniepokoiło mnie, że mamusia, prostując się, chwyta się oburącz za plecy. Ponieważ było to już jakiś czas po tym okropnym upadku na drodze, pomyślałam, że to są jego skutki. Poczułam się winna. I chyba nie przesadzałam, bo gdyby nie moje oko, nie byłoby nas tamtego feralnego dnia na tej drodze...

Zrobiło mi się tak smutno, że usiłowałam uciec od tego skomplikowanego realnego świata... Zamknęłam oczy i przeniosłam się w myślach, w wyobraźni, do mojej cudownej, kochanej Hajnówki. Robiłam

tak od początku zsyłki. Pierwszy raz, gdy znaleźliśmy się na narach w ciepłuszce, a potem zawsze gdy robiło mi się smutno, głodno i kiedy nie mogłam się pogodzić z realiami naszego życia.

BOGUSŁAW

Po krótkiej wiośnie następowało upalne lato, a wraz z nim możliwość zdobycia ponadprzydziałowego pożywienia. Przy odrobinie szczęścia i ciężkiej pracy pojawiała się szansa na zrobienie zimowych zapasów.

DANUTA

Odczuliśmy ulgę. Wspierało nas leśne runo tajgi. Daleko, bo aż pod górą Taskiłą, wczesnym latem rosły czarne jagody, zaraz po nich owocowały maliny. Jako ostatnie w lasach pojawiały się grzyby.

BOGUSŁAW

O tej porze roku olbrzymim utrapieniem dla wszystkich były owady. Wczesną wiosną pojawiały się chmury meszek, a jak robiło się zbyt ciepło, one znikwały, ale następowała inwazja komarów. Meszki jednak były zdecydowanie najgorsze. Małe, prawie niewidoczne i nieziemsko dokuczliwe. Pchały się do oczu, nosa, uszu. Cięły niemiłosiernie, wpuszczając w ciało żrący jad. Od ich ukąszeń powstawały jątrzące się rany, a czasami opuchlizny. Potrafiły karykaturalnie zmienić twarz człowieka. Na ataki owadów najbardziej narażone były nieosłonięte twarz i ręce.

DANUTA

Każdy, kto mógł, szedł w tajgę zbierać to, czym obdarzała nas natura. Przetworów niestety nie można było robić, bo nie było cukru, nie byłoby też w czym ich przechowywać... Jednak bardzo gorące dni pozwalały na

podejmowanie prób suszenia darów przyrody. Nam tego pierwszego lata udało się ususzyć trochę malin i czarnych jagód oraz grzybów.

BOGUSŁAW

Kiedyś Jadzia z Różą poszły w tajgę na maliny. W tym czasie Danusia ze mną miała przebrać owoce zebrane poprzedniego dnia i ułożyć je do suszenia na słońcu. Przebieraliśmy te maliny, siedząc na pieńkach w domu. Praca była monotonna i szybko mnie znużyła. Przerwałem tę nudę: złapałem garść owoców, ścisnąłem w ręce, aż popłynął sok.

– Krew mi leci, krew mi leci!!! – wołałem.

Danka się rozzłościła. Nie dość, że jej przeszkadzałem, to jeszcze niszczyłem maliny. Zerwała się z pieńka i zaczęła mnie gonić. Uciekając, chciałem rzucić się na posłanie, ale poślizgnąłem się na zgniecionych owocach. Uderzyłem czołem w kant pieńka, krew trysnęła, a ja zacząłem wyć z bólu. Odgrażałem się, że opowiem nie tylko tacie, ale wszystkim, jak bardzo siostra mnie skrzywdziła. Kiedy Danusia obiecała, że da mi kawałek chleba, momentalnie zapomniałem o bólu. A to, jak odniosłem tę kontuzję, na długie lata pozostało naszą tajemnicą.

Jednak gdy tego dnia ojciec wrócił z pracy, obejrzał ranę i uznał, że jest na tyle poważna, że trzeba natychmiast udać się do szpitala w Udarnoje i ją zszyć.

DANUTA

Szpitalik w Udarnoje to był nieduży barak z przedsionkiem i dwoma pomieszczeniami. Drewniana podłoga była tam zawsze czysta, porządnie wmyta. Na niej stały taboreciki, takie prymitywne stołeczki, i drewniane łóżka. Lekarza, jak już wspominałam, nie było, tylko felczer, który leczył moje oko, choć niektórzy mówili, że ten człowiek może nawet i felczerem nie jest.

Do tego szpitala trafialiśmy kolejno ja, Boguś, a potem Róża. Bogusiowi zszywali rozbitą głowę, a Róża nawet kilka dni tam leżała. Miała guzy w pachwinach – takie małe dziecko! Dzięki Bogu, Róży przytrafiło się to dopiero wtedy, gdy już trwała wojna niemiecko-sowiecka. Wtedy Rosjanie patrzyli na nas, Polaków, już inaczej i inaczej nas traktowali. Zdecydowanie lepiej. Gdyby nie to, Różą nikt by się nie zajął, a trzeba przyznać, że otoczyli ją troskliwą opieką. Rosjanki się nad nią użalały, głaskały po głowie i nawet zacierki jej przynosiły! Wówczas nie można było sobie wyobrazić lepszego jedzenia, jak zacierki na wodzie zabieleny mlekiem.

BOGUSŁAW

Po moim wypadku – co zaskakujące – ojciec dostał konia od komendanta *posiołka*, żeby mógł mnie jak najszybciej zawieźć do lekarza. Sprawa musiała więc być poważna również i w jego ocenie. W ten sposób wylądowałem na grzbiecie małego syberyjskiego konika, a raczej lichej chabety, którą ojciec prowadził całą drogę. Tak trafiłem do szpitala w Udarnoje z roztrzaskaną na pieńku łepetyną. W szpitalu nie było ani środków znieczulających, ani dezynfekcyjnych. Mnie, pięcioletniemu dziecku, szyto tę rozbitą głowę bez znieczulenia...

DANUTA

W tajdze pracowicie zbieraliśmy też zioła, które potem, po umyciu w strumyku, suszyliśmy, ale już nie na słońcu, tylko na stryszku, nad naszą izbą mieszkalną. Ja wyspecjalizowałam się w podbiale, ale przypominam sobie, jak kiedyś z Jadzią szukałam też krwawnika, bo z opowiadań dorosłych wynikało, że komuś gdzieś udało się go znaleźć. Co to jest krwawnik i jak wygląda, nie wiedziałam. Czy go znalazłyśmy, czy nie, nie pamiętam, ale jakoś bardzo nie chciałam, żeby nam się te poszukiwania

powiodły. Oj, żeby się tylko nie znalazł, myślałam. Potem coś z krwi każą mi pić.

A Jadzia miała wręcz talent do znajdowania grzybów. Latała po tej tajdze, niczego się nie bała.

BOGUSŁAW

Szpital w Udarnoje był co najwyżej prowizorycznym punktem pierwszej pomocy medycznej. W warunkach, w jakich funkcjonował, możliwe było leczenie tam tylko prostych przypadłości. Bardziej skomplikowane choroby leczono rzadko. Czasami w cięższych przypadkach, ale takich, które według naszego medyka dawały nadzieję na wyzdrowienie i powrót delikwenta do pracy, kierował chorego do „prawdziwego szpitala” w Centralnym, oddalonym od Gramatuchy o około siedemdziesięciu kilometrów. Pacjent musiał jednak dotrzeć tam własnym sumptem i na własne ryzyko.

Znamy przypadek Polaka z Gramatuchy skierowanego na operację polipów do tej właśnie „prawdziwej” placówki medycznej. Ten pan mógł samodzielnie się poruszać, więc wyruszył po pomoc w długą drogę, brnąc w śniegach przez góry i tajgę. Wrócił po wielu dniach skrajnie wyczerpany. Żadnej pomocy mu nie udzielono, operacji nie zrobiono z powodu braku środków znieczulających i potrzebnych do jej wykonania narzędzi. Szczęściem było, że w ogóle wrócił...

DANUTA

Z nastaniem lata wszystkim nam przybyło obowiązków. Mamusia teraz od czasu do czasu wyruszała z innymi polskimi kobietami do sąsiednich wsi po zakupy albo na wymianę handlową. Rozpoczął się też okres płukania złota nad rozlewiskiem rzeki. Mama chodziła tam z reguły z Jadzią i Różą. Poza tym ciągle kursowała ze mną do lekarza na wyznaczone kontrole.

Jadzia nadal wystawała w sklepie w kolejkach po chleb i próbowała „zorganizować” inne produkty do jedzenia. Jeśli się zdarzyło, że kiedyś w domu znalazło się mleko, to była wyłącznie jej zasługa.

Kiedy mamusia musiała wyjść poza Gramatuchę lub płukała złoto, w gotowaniu obiadu pomagała Róża, ona zawsze myła naczynia, i jeśli było trzeba, nosiła w czajniku wodę z potoku do wiader w domu.

Ja wróciłam do zdrowia dopiero w drugiej połowie lipca. Wtedy pozwolono mi zdjąć opatrunek. Lekarz nie potrafił stwierdzić, czy oko jest całkiem wyleczone, ale skoro już nie ropiało, to sprawa była załatwiona. Byłam bardzo szczęśliwa, że nie będę piratem. Rodzice odetchnęli z ulgą, a moja biedna matka nie musiała już holować mnie na kontrole do Udarnoje.

Teraz w miarę potrzeb wszyscy chodziliśmy na budowę pomagać tatusiowi. Robiliśmy to z wielką ochotą, bo warunki w naszym baraku były nie do zniesienia nie tylko dla nas, ale dla wszystkich mieszkających w nim rodzin. Praca, jaką przy budowie domu wykonywały dzieci, polegała na utykaniu mchu w szczelinach między balami drewna. Nie tyle ciężka, ile bardzo żmudna robota.

BOGUSŁAW

Z końcem lata 1940 roku budowa została ukończona. Ojciec wspólnie z owymi dwoma znajomymi z Hajnówki wybudowali dom składający się z trzech małych, ale oddzielnych izb. Każda była przeznaczona dla jednej rodziny, miała własne drzwi wejściowe, okno i piec. Nasza izba znajdowała się pośrodku tego domu. Izby były – jak na dzisiejsze standardy – małe. Miały jakieś piętnaście–szesnaście metrów kwadratowych.

DANUTA

Dom został wybudowany i wreszcie byliśmy na swoim.

Nasze mieszkanie stanowiła odtąd ta jedna izba – skromne kilkanaście metrów kwadratowych. Po lewej stronie od wejścia stał piec. Był dokładnie taki jak ten w baraku, z jednym ważnym wyjątkiem: miał zdecydowanie wyższą skrzynię. Było zatem więcej kamieni, które, nagrzane, oddawały potem dłużej ciepło, a ponadto, przygotowując posiłki, nie trzeba się było tak bardzo pochyłać. Na tej naszej nowej, solidnie wykonanej skrzyni świetnie się ustawiało buty do suszenia.

Po prawej stronie pomieszczenia była garderoba, czyli kołki do zawieszania odzieży, i umywalnia – miska i wiadro z wodą. Naprzeciwko wejścia w rogach stały dwa posłania. Tata i mama spali z Bogusiem, a my, trzy siostry, razem. Rodzice – co było sporym luksusem – mieli prawdziwe łóżko, takie z wysokim wezgłowiem i wysoką krawędzią w nogach. Ojciec wieszał tam czasami ubranie, jak skonany wracał z kopalni. My – Jadzia, Róża i ja – miałyśmy do spania drewnianą „sofkę”. Pod siedziskiem sofki była ukryta duża skrzynia, w której za dnia przechowywałyśmy nasze prowizoryczne sienniki i pościel. Na noc skrzynię się wysuwało i wtedy powstawało naprawdę spore posłanie.

Między łóżkiem rodziców a naszym znajdowało się okno, przy nim stał stół, a pod stołem skrzynia, w której trzymaliśmy rzeczy przywiezione z Polski. Tam był cały nasz majątek. Między blatem stołu a skrzynią było sporo miejsca i tam układaliśmy różne rzeczy codziennego użytku.

Do siedzenia mieliśmy grubo ciosane stołeczki. Pozostałe wyposażenie było więcej jak skromne: ławka z miednicą i mydłem, prowizoryczny wieszak na ubrania, a pod nim miejsce na obuwie, półki na zapasową odzież i bieliznę. Była też u góry, między ścianą a piecem, półka na naczynia, a pod nią dzienny zapas drewna.

BOGUSŁAW

Do wszystkich trzech izb w nowym domu nie wchodziło się bezpośrednio z podwórza. Od tej strony dach wystawał na jakieś półtora metra poza ściany budynku i podparty był drewnianymi drągami, które – rozstawione mniej więcej co metr – tworzyły kolumnadę biegnącą od jednego do drugiego końca domu. Pomiedzy te drągi wpleciono wiotkie gałęzie, od ziemi do dachu, i dobito od góry młotkami, żeby zagęścić tę plecionkę. Potem uszczelniono całość gliną i mchem. Powstała w ten sposób cienka ściana i prowizoryczna sień, która, podzielona przepierzeniami, tworzyła odrębne sionki do poszczególnych izb.

Takie osłony przed drzwiami chat były na Syberii dość powszechne. W zimie w miarę skutecznie zabezpieczały drzwi wejściowe przed nawiewanym śniegiem i trochę chroniły przed dostającym się do domu zimnym powietrzem, a dodatkowo służyły jako miejsce składowania drewna na opał, którego potrzebny zimą zapas nie zmieściłby się w środku.

DANUTA

Całe umeblowanie naszego nowego domu wykonał tata. W meblach nie było gwoździ, bo niby skąd miał je wziąć? Gwoździe to był towar ściśle reglamentowany. Te z przydziału skończyły się, zanim zakończyła się budowa domu. Meble były zbijane klinami i kołkami, mówiono: łączenie na czop.

Stół na sto procent nie miał gwoździ, bo jak Jadzia ze swoim towarzystwem chciała kiedyś urządzić seans spirytystyczny i potrzebowali do tego stołu bez gwoździ, to jej kolega bardzo dokładnie go obejrzał.

BOGUSŁAW

Pytanie o sanitariaty w tych warunkach wydaje się wręcz śmieszne. Nie było żadnych. Myliśmy się w miednicy. Do toalety chodziło się po prostu do najbliższego lasu.

DANUTA

Królowała u nas oda do nocnika: „O ty, z niebieskim uszkiem, o ty, co stoisz pod moim łóżkiem, o ty, co w nocnej godzinie przynosisz ulgę całej rodzinie, do ciebie biją armatnie strzały, ty stoisz zawsze dumny i cały!”.

Zawartość nocnika wylewało się w tajdze.

BOGUSŁAW

Wodę z pobliskiego potoku dorośli przynosili do domu wiadrami, a dzieci w czajniku.

DANUTA

Strasznie prymitywne warunki, ale mieliśmy własny kąt... Byliśmy na „swoim”. Mogliśmy suszyć swobodnie obuwie i odzież.

Okno znajdowało się naprzeciw drzwi i wychodziło na Taskiłę.

BOGUSŁAW

Taskiła była symbolem uciemnienia Polaków. Górę pokrywała wieczna zmarzlina. Śnieg w jej rondlach – tak nazywano olbrzymie plamy bieli pokrywające jej stoki – nigdy nie topniał. Zawsze było białe. Nawet gdy latem tajga była cała zielona, góra Taskiła z daleka świeciła bielą.

Różne były spekulacje. Polacy cały czas żyli nadzieją, że Anglicy, Francuzi wywiążą się ze swoich zobowiązań, przystąpią do wojny, że to odmieni naszą podłą rzeczywistość.

Komendant wiedział o tych spekulacjach.

– Pojedziecie, pojedziecie... Pojedziecie do Polski na pewno – śmiał się szyderczo. – Wy tam pojedziecie, gdy na Taskile śnieg stopnieje.

Nie dawał nam nadziei...

DANUTA

Pewnego dnia w naszym nowym domu odbył się seans spirytystyczny. Uczestniczyli w tym Jadzia, Róża i ja, dwie koleżanki Jadzi i jej starszy kolega, któremu na Syberii zmarła babcia. Pamiętam, że to właśnie on dokonywał inspekcji naszego stołu, sprawdzając, czy na pewno nie ma w nim gwoździ. Do przeprowadzenia seansu była potrzebna plansza sporządzona na sporym arkuszu białego papieru, prawdopodobnie z bloku rysunkowego. Na czterech brzegach planszy zaznaczone były odpowiednio cztery strony świata. W górnej części arkusza, na dużym łuku, prawie w półkolu, były wypisane wszystkie litery polskiego alfabetu, a na dole planszy, również w kształcie półkola, naniesione cyfry od zera do dziesięciu. Natomiast na środku wróżbiarskiej planszy – po prawej i lewej stronie – wpisano wyrazy-odpowiedzi o przeciwstawnych znaczeniach – co miało ułatwić wezwanym duchom odpowiadanie na pytania spirytystów. Na przykład: tak – nie, dobry – zły, zawsze – nigdy. Były też inne, ale już nie pamiętam jakie.

Niezbędnym rekwizytem do seansu był porcelanowy talerzyk. Na talerzyku położonym do góry dnem narysowana była kopiowym ołówkiem bardzo wyraźna strzałka. Właśnie ta strzałka wskazywała litery i cyfry, za których pomocą spirytyści odczytywali „wyroki” wezwanym duchów...

Najpierw odbyła się oczywiście próba generalna. Należało bowiem pouczyć uczestników, jak trzeba ułożyć, a potem trzymać palce na talerzyku, aby ten mógł swobodnie i skutecznie poruszać się po planszy. Nawet gdyby poczuło się zmęczenie, nie można się w żadnym wypadku podeprzeć na łokciu.

Obleciał mnie strach, bałam się duchów, i to bardzo, a poza tym to układanie palców na talerzyku wydawało mi się dość trudne, więc zaproponowałam, że ja nie będę dotykała talerzyka, ale grzecznie będę

siedziała obok. Niestety główny instruktor, kolega Jadzi, zaprotestował. Stwierdził z miną znawcy, że podczas seansu nie może być gapiów, wszyscy obecni muszą w pełni uczestniczyć w wydarzeniu i wszyscy muszą wierzyć, że duchy rzeczywiście przyjdą na wezwanie. Ponadto wszyscy uczestnicy seansu są zobowiązani do zachowania w tajemnicy swojego w nim udziału. Na zakończenie dodał coś w rodzaju: „Nie jest to przecież takie trudne i nie ma się czego bać”.

Wywody „znawcy” uspokoiły mnie, a że nie miałam wyjścia, pomyślałam sobie, że nic przecież nie może mi się stać w tak liczonym gronie i to starszych dzieci. Przystąpiono więc do seansu. Zasłonięto okno, zapalono świecę, stół domorośli spirytyści przyciągnęli do sofki, na której usiadła trójka dzieciaków, a pozostała trójka rozsiadła się wokół stołu. Wzywaliśmy duchy różnych ważnych osób, wielkich Polaków. Najbardziej „kontaktowy” okazał się duch marszałka Józefa Piłsudskiego, któremu zadaliśmy pytanie: czy my, polscy zesłańcy, wrócimy do swojej ojczyzny? W odpowiedzi talerzyk energicznie zawirował na planszy, a kiedy się zatrzymał, strzałka wyraźnie wskazywała wyraz „tak”. To była wspaniała wiadomość, byliśmy niewiarygodnie podekscytowani. Zadaliśmy oczywiście następne pytanie: kiedy to nastąpi?

Tym razem talerzyk obracał się wokół cyfr. Z wielką uwagą i w dużym napięciu wpatrywaliśmy się w strzałkę. „Starszyzna” naszego zespołu nie odczytała jednoznacznej odpowiedzi, to znaczy konkretnej daty powrotu. Wtedy któraś z koleżanek Jadzi zawyrokowała, że duch może podać tylko jedną prawidłową odpowiedź. Wobec tego zrezygnowaliśmy z dalszych pytań, z wdzięcznością podziękowaliśmy za pierwszą pomyślną dla nas wiadomość i z wielkim szacunkiem pożegnaliśmy ducha polskiego wodza.

Pamiętam, jak na samym końcu przywoływaliśmy jeszcze ducha Lenina.

– Duchu, duchu Lenina, przybądź do nas. – Ściągnęliśmy go zwyczajowym wezwaniem.

Talerzyk się poruszył, co odczytaliśmy jako jego przybycie. Ponieważ było dla nas oczywiste, że ten duch może nie być dla nas tak przyjazny jak duchy poprzednio przywołanych Polaków, na wstępie poprosiliśmy:

– Duchu, duchu, powiedz nam, jesteś dobrym czy złym duchem.

Wtedy talerzyk zaczął wręcz skakać, a my w popłochu uciekliśmy z domu, zupełnie zapominając, o co mieliśmy spytać Lenina.

Rodzice nic nie wiedzieli o tych naszych praktykach. Szybko położyliby temu kres.

BOGUSŁAW

Ojciec miał szary mundur legionowy – mundur strzelca. W domu w Hajnówce leżał on na dnie wielkiego kufra. Kiedy tego feralnego 10 lutego 1940 roku przyszli po nas Rosjanie i kazali się pakować, ojciec wrzucił wszystko do tego właśnie kufra. Nie mógł przy sowieckich żołnierzach wyciągnąć ze skrzyni polskiego wojskowego munduru, bo wydałoby się natychmiast, że był legionistą. Niechybnie posłaliby go wówczas do łagru, a nas, dzieci, tylko z mamą powieźliby na Syberię. Ojciec przykrył więc wtedy mundur wrzucanymi do kufra rzeczami.

Ten mundur był z bardzo dobrego sukna. Już na Syberii ojciec którejś nocy odpruł od niego guziki z orzełkiem i dystynkcje. Ponieważ w syberyjskim klimacie wszystko schło bardzo powoli, pewnej niedzieli ojciec – nie mając innej suchej odzieży – włożył ten mundur jako zwykłe ubranie. Zobaczył go komendant i zachwycił się:

– Taki skromny, a taki solidny garnitur!

Zaczął namawiać ojca na sprzedaż, a raczej na wymianę „garnituru” za żywność. Ojciec miał opory, ale ostatecznie komendant wytargował ten

mundur za dwa wiadra ziemniaków. Spokój był do kolejnej niedzieli, kiedy to komendant wystroił się w swój nowy nabytek. Ku uciesze Polaków zaczął dumnie paradować po Gramatusze w polskim mundurze legionowym. Radość Polaków była bardzo duża, bo widok był przedni... Ale ta radość nie trwała długo...

Znalazł się jeden Rosjanin – jakiś mało ważny jegomość – co to wojował z Polakami i dobrze pamiętał, jak wyglądał mundur polskiego legionisty. Wybuchła afera... Strachu było co niemiara – konsekwencje mogły być bardzo poważne. Jednak ostatecznie nic się nie stało. Jak sprawę zatuszowano, tego nie wiem. Faktem jest, że mundur wrócił do ojca... Tyle że my ziemniaki już zjedliśmy.

DANUTA

Tak jak zaskakująco nagle nastąpiła syberyjska wiosna, tak teraz równie szybko przyszła do nas jesień.

BOGUSŁAW

Z nastaniem tej krótkiej jesieni wyraźnie się ochłodziło, temperatury z dnia na dzień były coraz niższe. Zaczął dokuczać przeszywający, lodowaty chłód, powietrze stawało się ostre i zimne. Zesłańcy coraz bardziej odczuwali skutki syberyjskiego zesłania. Byli wycieńczeni wielomiesięczną pracą ponad ludzkie siły i słabi z niedożywienia, mimo że latem posiłkowali się, jak mogli, tym, co dało się zebrać w tajdze. Choroby zaczynały coraz mocniej wszystkim doskwierać. Te najczęściej występujące to ischias – przeszywający ból w okolicach lędźwi, promieniujący wzdłuż nóg, reumatyzm, czerwonka, skorbut. Zwykły katar czy grypa nie były uznawane za choroby.

Do tego wszystkiego doszły coraz częstsze zakłócenia w dostawach mąki do wypieku chleba. Zdarzały się więc dni, kiedy te skromne racje w ogóle

nie były wydawane. Głód zaczął zaglądać ludziom w oczy.

DANUTA

Zdecydowanie pogorszyło się zaopatrzenie. Z naszego sklepiku zniknęły i tak nieliczne w nim dotąd produkty. Zupełnie nic nie można było tam kupić. Komendant zapewniał jednak Polaków, że to jest chwilowe i trzeba tylko przeczekać tę krótką jesień. Gwarantował, że najlepsze i najpewniejsze dostawy będą zimą, kiedy całkowicie zamarznie rzeka Kija i ruszą po niej pełną parą sanie ciągnięte przez konie, wypełnione produktami żywnościowymi.

BOGUSŁAW

Mówił tak, żeby Polacy się nie burzyli, żyli nadzieją i dalej dobrze pracowali, wyrabiając normę. On dobrze wiedział, że zaopatrzenie z każdym miesiącem będzie się pogarszać. Wiedział, że jak nastanie zima, przyjdzie *purga* czy *buran*, jak napada i nawieje śniegu na kilka metrów, to zanim konie będą mogły ruszyć, trzeba będzie najpierw odśnieżyć koryto rzeki. To będzie trwało. Dostaw wtedy dalej nie będzie. Pamiętać należy, że transporty żywności szły przecież z Makaraku oddalonego od całego kompleksu Udarnoje ponad sto kilometrów.

DANUTA

Oni – enkawudziści – mieli chyba jakieś instrukcje, co mają mówić Polakom, bo wszyscy posługiwali się tymi samymi frazesami. Straszyli też zesłaniem w gorsze miejsce. Czy może być coś gorszego? – zastanawiali się Polacy. Szybko jednak doszli do wniosku, że Sowieci od lat „udoskonalają” sposoby upodlenia człowieka i miejsca, w których go izolują od świata. Nie warto było ryzykować.

BOGUSŁAW

Pamiętam opowieść ojca o tym, jak głodna polska dzieciarnia, w wieku dwunastu–szesnastu lat, pogońiona do pracy w tajdze, a odpowiedzialna za odrąbywanie gałęzi od ściętych przez dorosłych drzew i palenie ich na stosach, któregoś dnia zupełnie zdeorganizowała dniówkę.

Strefa wycinki oddalona była od *posiołka* o jakieś dwa–trzy kilometry. Jak co dzień po przybyciu na miejsce podzielono ludzi na brygady i przystąpiono do pracy. Pod siekiery i piły poszły tego dnia piękne, dorodne syberyjskie cedry. Gdy w śnieg z wielkim hukiem zważyło się jedno z pierwszych drzew, a dzieci przystąpiły do swoich czynności, te, które znajdowały się przy samym wierzchołku ściętego cedru, odkryły tam szyszki, które nie spadły jesienią. W ich środku były małe orzeszki, otoczone dość twardą brązowobordową skorupką. Łatwo wypadały z dojrzałej szyszki. Były maleńkie, oleiste i bardzo smaczne. Dzieci zaczęły je jeść, a raczej łapczywie pochłaniać, upychając szyszki po kieszeniach, ukrywając się przy tym przed innymi w gałęziach powalonego drzewa. Pozostałe dzieci szybko jednak zorientowały się w sytuacji i całą hordą rzuciły w poszukiwaniu smakołyku. Brnęły przez ośnieżone gałęzie, potykając się i przewracając. Niektórzy z dorosłych również nie wytrzymali i przyłączyli się do tych poszukiwań. Kotłowali się, wzbijając wokół kłęby śnieżnego puchu.

Nadzorujący pracę enkawudziści, zdeorientowani, nie mogli opanować sytuacji. Próbowali wrzaskami zagonić wszystkich z powrotem do pracy. Głód był jednak silniejszy. Determinacja ogromna. Widok okropny.

Trwało dłuższą chwilę, zanim emocje opadły, a szukający szyszek nieszczęśnicy odstępili od ogołoconego już wierzchołka drzewa. Wtedy zarządzono krótką zbiórkę. Były wrzaski, reprymenda, straszenie wszystkich winnych i niewinnych tego zajścia, ale co najważniejsze,

ustalono sposób podziału ewentualnego kolejnego łupu pomiędzy pracujących ludzi.

DANUTA

Szyszki syberyjskiego cedru były nam znane jako smakołyk, który miał wiele wartości odżywczych. My – nasza rodzina – nie mieliśmy jednak do nich dostępu. Trudno było je zdobyć. Nie miał kto i jak się o nie wystarać. My, dzieci, byliśmy zbyt małe, aby wyruszać po nie w głęboką tajgę, nasz tatuś całymi dniami pracował w kopalni, a mamusia zajęta była codziennymi obowiązkami.

Pobliskie cedry, w sporym promieniu wokół naszego *posiołka* i te wzdłuż drogi prowadzącej do Udarnoje, już jesienią były ogołoczone z cennych szyszek przez młokosów, którym niestraszne było wdrapywanie się na czubki drzew.

Smak cedrowych orzeszków jednak znam, bo kilka razy mimo wszystko udało się nam je zdobyć. Wspominam je jako prawdziwy rarytas!

BOGUSŁAW

Pewne zdarzenie zapamiętałem na całe życie. Bawiłem się na podwórzu z chłopcem od sąsiadów. Była z nami nasza mama. W trakcie tej zabawy mama tamtego chłopca go zawołała. Wcisnęła mu w rękę coś do jedzenia. Zazdrosnym i ciekawym okiem – jak to głodne dziecko – patrzyłem, próbując się domyślić, co on tam dostał, wpakował szybko do ust i przeżuwa.

– Nie patrz tam – powiedziała mama łagodnie, ale stanowczo. – Od razu, po oczach, wszyscy poznają, jak bardzo jesteś głodny. Nie patrz, a i tobie, kochanie, będzie lżej... Nie patrz.

Od tego dnia wiedziałem, że głód widać w oczach, i starannie unikałem takich sytuacji. Odwracałem się, żeby nie patrzeć, jak ktoś inny je...

DANUTA

Wraz z nastaniem jesieni jedyny pewny sposób zdobywania chleba – za „złote bony” – został w sposób naturalny wyeliminowany.

Z jednej strony płukanie złota stawało się niemożliwe ze względu na niską temperaturę i nadciągające mrozy, z drugiej – topniały „państwowe” zapasy mąki. Wypiekanie tego nadprogramowego, lepszego chleba było systematycznie redukowane. Nadciągała zima 1940/1941 roku. Wśród Polaków rósł wielki niepokój.

BOGUSŁAW

W październiku hucznie uczczono rocznicę rewolucji październikowej, dając ludziom skromny darmowy przydział produktów spożywczych, które w Związku Sowieckim uchodziły za luksusowe.

Dorosłych uraczono na przykład przydziałem wódki, którą przywieziono do Gramatuchy w beczkach po ropie. Polacy szeroko to komentowali. Jak można do beczek po ropie nalać wódki?

Trzeba było być bardzo zdesperowanym, żeby próbować to pić...

DANUTA

Był też przydział cukru – chyba kilogram na rodzinę – i dodatkowej mąki oraz solona ryba. Dzieci dostały suszone winogrona, ale takie nie do końca wysuszone, nie można ich było nazwać rodzynkami, i cukierki – zielone z marmoladą w środku, takie jak te, którymi uraczono nas z okazji Święta Pracy.

Dostaliśmy te cukierki, ale... my mieliśmy nadzieję, że dostaniemy pierniczki, takie, jakie widzieliśmy w rękach dzieci Siemieniaków.

Oj, jak nad tymi pierniczkami Boguś bolał, ależ to dziecko marzyło o takim pierniczku...

BOGUSŁAW

Szybko nadeszła zima, ta najdłuższa i najokrutniejsza dla nas pora roku. Już w październiku zagościła na dobre, przykrywając okolicę grubym kożuchem śniegu, choć mrozy nie były jeszcze wtedy największe. Ale od początku listopada temperatury regularnie zaczęły spadać poniżej -30°C , a potem było jeszcze ciężiej, bo temperatury poniżej -40°C stały się codziennością.

DANUTA

Jak pękały cedry, to mówiono, że jest już poniżej -50°C . A my słyszeliśmy takie pękające cedry. Niesamowity trzask jest przy tym. Niesamowity...

Kiedy zimą śnieg leżał na trzy–cztery metry, a temperatura wynosiła około -40°C , często wtedy była ładna pogoda i wokół panowała świdrująca w uszach cisza. Gorzej było, gdy przychodziły zawieje śnieżne, wiał przenikliwy wiatr i robiły się silne zadymki.

BOGUSŁAW

Zimą występowały rozmaite zjawiska związane z opadami śniegu. Miały różne nazwy:

- *mietiel* – zwyczajny śnieg;
- *podziomka* – nieprzyjemny wiatr, wiejący tuż przy ziemi, kiedy śnieg był już uleżały; był bardzo przejmujący, przeszywał na wskroś;
- *purga* – rodzaj burzy śnieżnej, z wiatrem wiejącym wyżej niż owa *podziomka*, ale w ostrych porywach, jakby falami; niósł śnieg, który wszystko zasłaniał, nie było światła dziennego;
- *buran* – burza śnieżna związana z bardzo obfitymi opadami śniegu; widoczność spadała poniżej metra, nie widziało się czubków własnych butów.

To właśnie *buran* powodował, że w ciągu kilku godzin znikła pod śniegiem cała wieś. Widać było tylko smużki dymu z kominów. Dni, w których przychodził *buran*, były najgorsze.

DANUTA

Purga, która zupełnie tłumiała światło dzienne, trwała czasami parę dni i zmieniała całe ukształtowanie terenu. W miejscu, gdzie było spore obniżenie, na przykład nad brzegami rzeki, w rozlewisku do płukania złota, w wyniku tego wiatru nagle stawała olbrzymia góra śnieżna.

Natomiast w innych miejscach, na górskich wzniesieniach, śnieg wywiewało prawie zupełnie. Wtedy właśnie wielkie syberyjskie cedry bywały zasypane gdzieś tam aż po sam wierzchołek.

BOGUSŁAW

W Gramatusze za naszej tam bytności jeden z domów tak zasypało, że ludzi wyciągano z niego przez dach.

DANUTA

Chałupki czasami były całe przykryte śniegiem. Tylko dym uchodzący z komina wskazywał, gdzie stoi dom. Jedni pomagali drugim. Jak jednym udawało się wyjść, szli odkopywać tych, których zupełnie zasypało. Zasypani śniegiem nie mogli od środka nic zrobić – zupełnie nic. Wtedy, kiedy był duży śnieg, do każdego domu, do każdej chaty prowadził korytarz. Korytarz w śniegu.

BOGUSŁAW

Zajęcia szkolne nie odbywały się tylko w najzimniejsze dni, gdy temperatura na zewnątrz spadała poniżej określonego poziomu.

DANUTA

Jaka to była temperatura, nie pamiętam, chyba poniżej -30°C . To budziło sprzeciw rodziców.

– U nas zajęcia szkolne się nie odbywają, gdy jest piętnaście stopni poniżej zera – burzyli się rodzice.

– Ho, ho, tam u was nic nie było – ripostował komendant. – Tam nie były *zołotyje tryski*.

BOGUSŁAW

Zimą praca w kompleksie Udarnoje nie ustawała. Przeszkodą nie był ani wysoki śnieg, ani niskie temperatury. Jak długo było to możliwe, ludzie byli gonieni do pracy. Wyjątki jednak bywały, w dni, kiedy temperatura spadała poniżej pewnego, odgórnie ustalonego poziomu. Bardzo niskiego. Wtedy zesłańcy mieli szansę na krótki odpoczynek od morderczej pracy.

DANUTA

Nie pamiętam dokładnie, jak niska musiała być temperatura, żeby zwolniono ludzi z obowiązku pracy. Wydaje mi się, że gdy było zimniej niż -40°C . Wtedy zesłańcy do pracy nie chodzili – to wiem na pewno.

BOGUSŁAW

W okresie najsroźszych mrozów przebywanie przez dłuższy czas na zewnątrz niosło olbrzymie ryzyko odmrożeń i hipotermii. Każdy próbował zapobiec temu, jak tylko to było możliwe: owijając nogi onucami i gazetami, wkładając na siebie, co tylko się dało, zasłaniając usta i nos chustami, szmatami, aby ocieplić powietrze wchodzące do płuc.

Mimo tych rozpaczliwych starań odmrożenia uszu, nosa, rąk czy nóg były na porządku dziennym, zwłaszcza u tych, którzy pracowali w tajdze. Mróz zbierał okrutne żniwo. Pochłonięci pracą, wygłodniali, osłabieni

i wyziębnęci ludzie na mrozie tracili czucie. Nawet nie czuli, co się dzieje z ich ciałem. Niejednokrotnie alarm wszczynali ich współtowarzysze zaniepokojeni kolorem niedokrwionej skóry lub pierwszymi objawami hipotermii – dreszczami. Próbowali wzajemnie się ratować, pomagać, nacierać śniegiem.

Efekty odmrożeń często były potworne, na trwałe okaleczały ciała zesłańców. Mróz wżerał się w ciało aż do kości.

Odmrożenia dotykały też i nas – dzieci. Odmrożone palce rąk i nóg leczyliśmy potem wszyscy – ja i moje siostry, ojciec oczywiście również – jeszcze przez ładnych kilka lat po wojnie.

DANUTA

W związku z tym – jeśli można tak to ująć – zimą praca w kopalni była lepsza niż na zewnątrz, na mrozie w tajdze, bo nie dochodziło tam do aż tak dramatycznych odmrożeń. W głębi kopalni temperatura nigdy nie spadała tak jak na powierzchni, woda tam nie zamarzała.

BOGUSŁAW

Jak nastały ostre mrozy, szybko się okazało, że nasze obuwie nie chroni przed tak niskimi temperaturami. Najlepsze obuwie na ten czas to były sowieckie, siermiężne walonki, wykonane z filcowanej wełny, tak zwanego wołjoku. Te buciory były przedmiotem wielkiego pożądania.

Funkcjonował na Syberii administracyjnie usankcjonowany, choć nie wiem dokładnie w jaki sposób, dziwny system pożyczkowy. Tą drogą ojciec pobrał „na kredyt” walonki dla mamusi i Jadzi. Spłacał je potem, ale jak to się odbywało w praktyce, tego nie wiem.

DANUTA

Wiem na pewno, że walonki trzeba było spłacić, ale czy chlebem przydziałowym? To wydaje mi się mało prawdopodobne, bo nasze racje żywieniowe były przecież głodowe! Może spłacało się je płukany złotem?

Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że ten dług spłacano dodatkowo przepracowanymi godzinami. Zapewne tak było.

BOGUSŁAW

Gdy zima zagościła w Gramatusze na dobre, z dnia na dzień pogarszała się sytuacja Polaków. Marne racje wydawane coraz bardziej nieregularnie z powodu braku dostaw żywności do całego kompleksu Udarnoje i mordercza praca w trudnych warunkach skutecznie odbierały siły, prowadziły do skrajnego wycieńczenia.

Trudne położenie Polaków pogarszał jeszcze fakt, że przez pierwsze miesiące zesłania wyzbyli się już oni większości rzeczy przywiezionych z Polski, tych, za które w drodze wymiany mogliby ewentualnie dostać żywność od miejscowej ludności. Zresztą trzeba dodać, że skłonność do handlu wymiennego słabła ze strony Rosjan wraz z trwaniem zimy. Im bliżej było przednówka, tym mniejsze zapasy żywności mieli także oni. Ceny jedzenia siłą rzeczy niebotycznie rosły, za dany przedmiot można było z tygodnia na tydzień dostać coraz mniej ziemniaków.

DANUTA

Z pierwszego okresu zimy, tego trwającego do końca 1940 roku, najbardziej zapamiętałam ostatnią wyprawę naszej mamusi po żywność. To było tuż przed świętami Bożego Narodzenia, przed pierwszą na obcej ziemi i ostatnią z naszą mamą Wigilią.

Mamusia poszła z innymi polskimi kobietami. Umawiały się na obrzeżach Gramatuchy, pod osłoną drzew, bo trzeba było najpierw pojedynczo przejść niepostrzeżenie obok domu komendanta. Kobiety

ustaliły, że ze względów bezpieczeństwa należy udawać się na te wyprawy w przynajmniej trzyosobowej grupie. Kobiety bowiem zapadały się w głębokim śniegu. Gdyby coś złego się wydarzyło, jedna osoba miała pilnować poszkodowanej, a druga iść po pomoc. Ale kobiety chodziły na te wyprawy także w większych grupach, nawet siedmioosobowych. Wzajemna pomoc była niezbędna. Niezbędne było też wzajemne zaufanie.

BOGUSŁAW

Komendant dobrze wiedział o tym nielegalnym handlu, dlatego organizował swoiste polowania na wracające z wymiany Polki. Co jakiś czas udawało mu się nakryć taką wyprawę. Czasami łapał pojedyncze osoby, a czasami całą grupę. W takich przypadkach stosował sankcje. Najczęściej był to areszt, osadzenie w kozie, czyli wspomnianym wcześniej małym, nieogrzewanym budynku bez możliwości podania zatrzymanemu wody i jedzenia. Nigdy nie było wiadomo, czy osadzony przeżyje karę. To, jak długo trwał taki areszt, zależało wyłącznie od humoru komendanta – raz była to doba, innym razem kilka dni.

Komendant wyraźnie różnicował długość wymierzanej kary w zależności od pory roku. Latem kary były zdecydowanie dłuższe niż zimą. Przy ostrych zimach było oczywiste, że skazaniec nie przetrzyma w kozie całej doby czy choćby długiej nocy. Komendant nie chciał sprowadzać na siebie kłopotów. Nie był zainteresowany tym, aby zredukować potrzebną mu do wykonywania sowieckich norm siłę roboczą. A kobiety pracowały przecież równie ciężko jak mężczyźni. Ponadto, znając dobrze realia tego kraju, musiał mieć świadomość, że ktoś kiedyś – jak będzie szukał na niego haka – może rozliczyć go z tych zgonów.

DANUTA

Tę przedsięwziętą wyprawę handlową komendant jakoś wywęszył. Trudno powiedzieć, czy na trop tej kobiecej ekspedycji wpadł sam, czy może ktoś mu w tym pomógł. Być może same panie czymś się zdradziły. Faktem jest, że tego dnia zatrzymał na rogatkach Gramatuchy wszystkie wracające kobiety. Robiło się już ciemno. Były przemarznięte, zmęczone, brnęły w zaspach resztkami sił, z bagażem zdobyczej żywności na plecach.

Nie zważając na ich stan fizyczny i psychiczny, komendant zatrzymał wszystkie w swoim kantorze. Zasiadł naprzeciw słaniających się na nogach niewiast i prawił kazanie. Na zmianę to rugał i groził, to znowu tonem nieznoszącym sprzeciwu pouczał. Rozmyślnie nie powiadomił o zatrzymaniu ich bliskich, bo wiedział, że w tej sytuacji, w trosce o los swoich matek i żon, sami zgłoszą się do niego najszybciej, jak to będzie możliwe.

Tego feralnego dnia, a właściwie wieczoru, my, dzieci, bardzo się niepokoiłyśmy, kiedy zrobiło się ciemno, a nasza mamusia nie wróciła do domu. Nie wiedzieliśmy, co się stało...

Wiść o zatrzymaniu kobiet szybko jednak obiegła *posiołek*, dotarła też i do nas. Jeszcze zanim ojciec przyszedł z szychty do domu, ktoś nas zawiadomił, że kobiety wróciły z wyprawy, ale wszystkie zostały aresztowane. Ojciec, już od progu porażony tą informacją, błyskawicznie zmienił oblodzone obuwie i zamarznąłą odzież, po czym pędem ruszył do komendantury...

BOGUSŁAW

Codziennie były obchody komendanta po kwaterach. Często sprawdzał, czy wszyscy zesłańcy są tam, gdzie powinni być. Korzystał też ochoczo z donosów. Od samego początku miał świadomość, że Polacy naruszają

zakaz opuszczania Gramatuchy bez jego pozwolenia i chodzą na wymiany. Wiedział, że przywiezione z domu rzeczy zamieniają na żywność. Przymykał na to oko, jak miał dobry humor lub gdy leżało to w interesie jego lub jego ludzi. Jeśli Polacy szli na taką wymianę do żon enkawudzistów, a towary, jakie im oferowali, były uważane za luksusowe, tolerował to bez żadnych konsekwencji.

DANUTA

Teraz my, roztrzęsieni, niecierpliwie czekaliśmy na powrót rodziców. Czekaliśmy z nadzieją, ale przede wszystkim z wielkim niepokojem. Mieliśmy świadomość, że mamusia już po raz drugi została przyłapana przez komendanta na „przestępstwie”. Pierwszy raz wpadła jeszcze jesienią. Wtedy komendant wspaniałomyślnie darował jej osadzenie w kozie, ale zagroził, że jeśli się to powtórzy, to areszt, i to długi, już jej nie ominie...

BOGUSŁAW

Ale komendant, o dziwo, nie skazał mamy na kozę, nie odebrał jej zdobytych produktów – tylko siarczyście zrugął.

DANUTA

Poczuliśmy wielką ulgę i radość, widząc wchodzących do domu rodziców – oboje! Radość nasza jednak natychmiast przygasła, gdy zobaczyliśmy, w jakim mamusia jest stanie. Wyglądała przerażająco. Była skrajnie wyczerpana, przemarznięta. Resztkami sił przekroczyła próg.

BOGUSŁAW

Wszyscy się zastanawiali, dlaczego komendant tak łagodnie potraktował wszystkie zatrzymane kobiety, w tym naszą mamę.

DANUTA

Trudno powiedzieć, co spowodowało, że zdobył się na taki gest, takie pobjazanie. Być może zachował się tak dlatego, że działo się to tuż przed Bożym Narodzeniem, a on wiedział, jak dużą wagę przywiązują Polacy do tego święta, i nie chciał zadrażniać sytuacji.

BOGUSŁAW

A może tym razem komendanta ruszyło sumienie, gdy patrzył na wycieńczone kobiety? Może docenił ich walkę o przetrwanie, o rodzinę, o dzieci? Wiedział, że mają za sobą długą wyprawę w morderczych warunkach. Śnieg tego dnia był podobno bardzo grząski, ciężki do marszu. Po takim śniegu się nie idzie, ale brnie, zapadając się w nim po pachy. Ale raczej nie sentymenty wpłynęły na jego decyzję. To była zapewne chłodna kalkulacja.

Wiedział, że skazanie na areszt w kozie przemarzniętych, nieludzko zmęczonych kobiet będzie dla nich wyrokiem śmierci. Nie tyle zrobiło mu się żal dzieci, które by osierociły, ile obawiał się kłopotów z Polakami, jakie pojawiłyby się w konsekwencji takiej decyzji.

DANUTA

Pamiętam, jak tata ratował wtedy mamę. Rozcierał jej nogi i ręce, najpierw śniegiem, a potem rękami. Długo po podaniu jej gorących ziół nie pozwalał spać – tak długo, aż zupełnie odtajała.

– Zaśniesz, zaśniesz, ale za jakiś czas... Za jakiś czas... Nie możesz taka zmęczona zasypiać... – mówił.

Gdy w domu działo się coś poważnego, tata zawsze zwracał się do mamy „Sylwena”. Pamiętam, jak wtedy ciągle do niej wołał:

– Sylwena, błagam cię, nie śpij! Jeszcze trochę, Sylwena! Błagam cię, nie zasypiaj!

My, dzieci, instynktownie rozumiałyśmy powagę sytuacji. Próbowaliśmy absorbować uwagę mamy, żeby nie zasnęła. Boguś coś jej opowiadał, a ona głaskała go po główce i jakby odpływała... Ciągłe dopadał ją sen. Dla mnie trwało to wieki.

– Teraz możesz zasnąć – powiedział wreszcie tata, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Ta walka ojca o niedopuszczenie, żeby tak wycieńczona mama zapadła w sen, podobno ją uratowała... Jadzia wyjaśniła nam później, że tatuś nie dawał spać mamusi, bo gdyby wtedy usnęła, mogłaby się już nie obudzić. Umarłaby...

BOGUSŁAW

Z tej ostatniej wyprawy mama przyniosła te słynne małe syberyjskie kartofle i niewiarygodne, wyśmienite cudo – zamrożone mleko.

Przy tych temperaturach wszystko błyskawicznie zamarzało. Mleko świeżo z udoju, wlane do miski, za chwilę było zamrożone i po odbiciu z naczynia ta zamrożona bryła była gotowa do przechowywania. W całej okolicy znajdowały się tylko dwa domy, gdzie za drakońską cenę, ale można było mleko potajemnie zdobyć.

Jaką cenę mamusia zapłaciła za to mleko, tego nie wiem, ale je przyniosła.

DANUTA

Jakże byliśmy szczęśliwi, że mamusia żyje, że jest z nami, że tata ją uratował!

To zdarzenie tak bardzo mnie pochłonęło, że zupełnie nie zapamiętałam świąt Bożego Narodzenia, które nastąpiły za kilka dni. Na pewno na

Wigilię były te różowe po ugotowaniu ziemniaki – one były na pewno.

Pewne też jest, że nikt z nas nie czekał na prezenty. Nam, dzieciom, wcześniej już powiedziano, że Święty Mikołaj nie przyjdzie, bo to nie jest nasz kraj, tylko taki, w którym Mikołaj się nie pojawia. Więc wszyscy wiedzieliśmy i nie czekaliśmy...

BOGUSŁAW

Na przełomie 1940 i 1941 roku, kiedy Polacy nie mieli już rzeczy na wymianę, zaczęła się plaga głodu...

DANUTA

Głód nasilił się zaraz po Nowym Roku. Wtedy były długotrwałe przestoje w dostawach. Przerwy te powtarzały się co jakiś czas. Raz były dłuższe, raz krótsze. Wtedy przez wiele dni, dla nas bardzo długich, nie było nawet tego przydziałowego chleba. Byliśmy z dnia na dzień coraz bardziej wyczerpani, słabsi, a nasze skromne zapasy się kończyły. Jak zabrakło też przydziałowego chleba, nastaly czarne dni...

Pamiętam, że kiedy nie było już żadnej nadziei na zdobycie jakiegokolwiek pożywienia, ludzie jedli wszystko, nawet to, co nie jest jadalne. Takim produktem była kawa żołądka. Rosjanie nie mieli kawy zbożowej, a komendant twierdził, że palenie zboża na kawę to marnotrawstwo.

– Sowieccy uczeni twierdzą, że kawa żołądka jest bardziej pożywna od zbożowej i o wiele smaczniejsza – powtarzał.

W sklepie była dostępna tylko ta kawa żołądka. I myśmy próbowali ją jeść... Człowiek głodny musi coś zjeść. Skutki tego były jednak fatalne – wymioty i straszne zaparcia. Niestety, wbrew teorii komendanta zdrowiu to nie służyło...

BOGUSŁAW

Kiedy przez dłuższy czas nie wydawano przydziałowych racji chleba, dzieci nie chodziły do szkoły, a dorośli nie musieli pracować.

DANUTA

Gdy w Gramatusze panował największy głód, życie zamierało, ludzie byli wycieńczeni, smętni, odrętwiali, zupełnie pozbawieni energii. Jeśli tylko nie musieli, w ogóle nie wychodzili z domów. Oszczędzali siły. Zamierał wszelki ruch. Nie było słyhać nawet dzieci. W wiosce panowała przerażająca cisza, przerywana tylko czasami charakterystycznym odgłosem. Ten dźwięk rozbrzmiewał w uszach jak dzwon, a był odgłosem rąbanego siekierą drzewa.

Kiedy kończył się zapas opału, nie było wyboru – żeby nie zamarznąć i jakoś przetrwać, trzeba było iść w tajgę.

BOGUSŁAW

Z wyczerpania, chorób i głodu ludzie zaczęli umierać. Jeszcze jesienią 1940 roku komendant na prośbę Polaków wskazał miejsce, gdzie mogą zrobić swój cmentarz. Ludzie po pracy wykarczowali las na wzgórzu i urządzili miejsce pochówku tylko dla polskich zesłańców.

DANUTA

Jednym z Polaków, którzy zmarli w Gramatusze, był pan Rzedź. Ojciec go znał, bo wcześniej pracowali razem w nadleśnictwie w Hajnówce. Był słabego zdrowia, chorował jeszcze przed wybuchem wojny.

W Gramatusze pan Rzedź nie miał dobrej opinii u ludzi, szczególnie po tym, jak wygryzł z funkcji brygadzysty porządnego człowieka, dawnego nadleśniczego Hajnówki, pana Chorążego.

Funkcja brygadzysty była dla Polaka trudna, ale też przynosiła korzyści. Do jego obowiązków należało zapisywanie obecności, naliczanie dniówek i tego typu czynności. Od brygadzysty zależało, komu dniówka zostanie zaliczona. Sprawowanie tej funkcji dawało jeden najważniejszy przywilej: nie trzeba było ciężko fizycznie pracować, jak pilnowani i rozliczani z pracy ludzie.

Komendant zaraz na początku kazał Polakom wyznaczyć spośród siebie brygadzystę. Oni wybrali właśnie pana Chorążego. Mieli do niego zaufanie, a ponadto ten pan był inwalidą, miał niesprawną, sztywną lewą rękę po bandyckim napadzie jeszcze przed wojną, i to uniemożliwiało mu wykonywanie normalnej fizycznej pracy. Wybranie go na brygadzystę było z pewnością dobrą decyzją, bo nikt z Polaków nigdy na niego nie narzekał. Prawdopodobnie, wiele ryzykując, wspomagał, jak mógł, swoich rodaków, podciągając na papierze wyniki ich pracy i często nie zauważając rzeczy, które widzieć powinien. Musiał być dobrym człowiekiem, skoro wśród Polaków panowała taka zgoda co do jego oceny.

I z tej pracy wygryzł pana Chorążego pan Rzedź. Ludzie posądzali go o donosy. Czym faktycznie zaskarbił sobie przychyłność komendanta, nie wiem, ale gdy objął funkcję brygadzysty, wielu mu się odgrażało. Nasz tata też na niego bardzo narzekał, wręcz uważał go za zdrajcę. Taką opinią cieszył się on wśród zdecydowanej większości Polaków.

Sprawa była tym bardziej nieprzyjemna, że jeszcze przed wybuchem wojny pan Chorąży bardzo wsparł tego człowieka, gdy on zachorował i musiał na dłuższy czas wyjechać do sanatorium. Wtenczas nadleśniczy Chorąży, nie zgłaszając nic swoim przełożonym, poprosił gajowych, których rewiry w puszczy przylegały do rewiru pana Rzedzia, aby na kilka miesięcy podzielili się jego obowiązkami. Dzięki temu on mógł spokojnie wracać do zdrowia, nie tracąc pracy i środków na utrzymanie rodziny.

W Gramatusze początkowo pracował w kopalni. Było oczywiste, że praca w mokrym ubraniu, w sztolni, gdzie po ścianach lała się woda, jest zabójcza dla każdego, tym bardziej dla niego. Stanowisko brygadzysty musiało mu się jawić jako wybawienie. Zrobił to, co zrobił. Ale jak zmarł, ludzie nie bardzo go żałowali. Jego żona była w strasznej rozpaczce.

Nasza mama ubolewała nad nią:

– Jak wyjdzie, biedna, z domu, to tylko ten cmentarz widzi... Ona wtedy nie widzi nic innego.

Zresztą wszyscy współczuli wdowie, ale postępków jej męża nie zapomnieli.

BOGUSŁAW

Cmentarz bardzo szybko zapełnił się krzyżami – było ich dużo.

DANUTA

Ludzie z głodu zaczęli puchnąć. I starcy, i dzieci, i dorośli. Całe rodziny puchły z niedożywienia i ludzie zaczęli umierać.

Pamiętam kobietę rozpaczającą po śmierci dwóch chłopców. To byli synowie jej męża z pierwszego małżeństwa. Zesłano ich na Syberię we troje. Mąż tej pani, ojciec chłopców, był więźniem w jednym z obozów jenieckich. Kobieta była przekonana, że mąż żyje i po wojnie się odnajdą.

– Co ja mu powiem? Co ja mu powiem? Jak ja powiem mężowi, że oni umarli, a ja nie? – lamentowała po śmierci drugiego dziecka.

BOGUSŁAW

Krzyże były i małe, i duże. Dla dorosłych stawiało się duże, a dla dzieci – zapewne dla odróżnienia – małe. Takie zwykłe drewniane krzyże, wyciosane nocą z największą starannością, jaka w tych warunkach była możliwa.

DANUTA

Polacy sami organizowali pogrzeby. Sami przycinali na traku deski na trumny. Bo każdy Polak był pochowany w trumnie.

Mnie się wydawało, że tam jest las krzyży...

BOGUSŁAW

W warunkach głębokiej syberyjskiej zimy te pogrzeby były niewyobrażalnym dramatem. Nie dlatego, że wtedy śmierć człowieka przeżywało się bardziej boleśnie, ale ze względu na przerażające warunki, w jakich chowało się zmarłych.

DANUTA

Kiedy zimą umierał człowiek, to był wielki kłopot. Przy takich zwałach zalegającego śniegu często nie było mowy, żeby dokopać się do ziemi, która zresztą też była głęboko zamrznięta. Wymagałoby to przecież nadludzkiego wysiłku. Z tego powodu często nie było „normalnego” pochówku. Najczęściej zakopywano trumnę w śniegu, a gdy z wiosną śniegi puściły i ziemia odtajała, kopano grób i grzebano zmarłego zgodnie z naszą tradycją.

BOGUSŁAW

Opowiadano w Gramatusze, że chcąc zimą pochować naszą współzesłankę, śnieg wykopano na cztery metry, zanim dokopano się do zamrzniętej ziemi.

DANUTA

Kiedyś jedna z kobiet poszła do komendanta, tłumaczyła, że jej matka jest w agonii i lada chwila może umrzeć, że ona chce być przy niej. Prosiła go,

zaklinała, aby zwolnił ją z pracy i pozwolił zostać przy matce.

– Każdy sam sobie umiera, do tego nie trzeba niczyjej asysty, to tylko przy porodzie muszą być ludzie do pomocy – oznajmił komendant i kazał jej iść do pracy.

Ta kobieta przyszła wtedy prosić naszą mamusię, aby pozwoliła Jadzi dołączyć do jej syna na czas, gdy ona będzie w pracy. Mieli razem czuwać, bo jej syn, kolega Jadzi, bał się zostać sam z babcią. Wiedział, co się dzieje, i przerażała go perspektywa pozostania sam na sam z konającą kobietą.

Mamie trudno było odmówić w tej dramatycznej sytuacji. Zresztą Jadzia była chłopaczara, z chłopakami trzymała, dobrze się z nimi rozumiała i niczego się nie bała. Poszła. Ta pani na odchodnym poprosiła dzieci, żeby jak tylko babcia – która leżała w łóżku z podkurczonymi nogami – umrze, koniecznie jej wyprostowały nogi, zanim ciało zastygnie. No bo jak pochować potem kobietę w takiej pozycji?

Do Jadzi i chłopca dołączył jeszcze jeden odważny kolega. I tak zaczęli przy babci czuwać. Dzieci miały same rozstrzygnąć, czy babcia już umarła, czy jeszcze żyje. Skąd one miały to wiedzieć? W każdym razie były bardzo czujne. Kiedy babcia wpadła w bezdech, uznały, że to już...

Wspólnie ostrym szarpnięciem pociągnęły babcię za nogi, a ona niespodziewanie gwałtownie usiadła. Dzieci w brutalny sposób przerwały jej umieranie. Kobieta, wyrwana z agonii, zerwała się, dzieci, przekonane, że to duch zmarłej babci je straszy, podniosły wrzask. Straszna tragedia! Cała Gramatucha żyła potem tym wydarzeniem. Starsza pani zmarła jakiś czas później, ale biedna się męczyła, a jej rodzina bardzo to przeżywała...

BOGUSŁAW

Nasza mama od Bożego Narodzenia 1940 roku była bardzo słaba. Od tej okropnej wyprawy po żywność... Już prawie nie wstawała.

DANUTA

Od stycznia 1941 roku na skutek radykalnego pogorszenia się zdrowia naszej mamy siłą rzeczy mieliśmy dużo więcej obowiązków. Najtrudniejsze w tym ostrym syberyjskim klimacie były prace, które wiązały się z wyjściem z domu. Ale żeby rodzina mogła funkcjonować i przeżyć, musiały być bezwzględnie wykonywane, i to systematycznie.

Te najcięższe obowiązki spadły na Jadzię. Miała wtedy niewiele ponad dwanaście lat. To ona o świcie wychodziła do kolejki po przydzielony chleb. Przy działającym zaopatrzeniu mogła wykupić ten przydział aż na pięć dni. Ale zdarzało się, że nastąpiła kolejka i nie dostała ani grama należnego chleba. Musiała więc próbować w następnym dniu, aż do skutku.

Śnieg przed okna – naszego jedyne źródła dziennego światła – też Jadzia odrzucała. W czasie obfitych opadów nie wystarczało zrobić to raz dziennie. Często była zmuszona powtarzać tę pracę kilkakrotnie w ciągu dnia. Jak ciężkie, a nawet niebezpieczne było to zajęcie, nietrudno sobie wyobrazić.

Z siekierą Jadzia też była niezłe obeznana. Jak trzeba było, to rozrąbywała duże polana na mniejsze. Rąbała również gałęzie, które razem z Różą przyciągały z tajgi. Do tajgi nigdy nie chodziła sama. Nawet jeżeli w wyprawie po opał brały udział inne dzieci, Jadzia zawsze zabierała ze sobą Różę, która miała wtedy dziesięć lat.

Róża już wcześniej włączyła się we wszystkie prace domowe, które jeszcze wtedy były wykonywane pod troskliwą kuratelą mamusi, a więc: gotowanie, mycie naczyń, ścielenie, sprzątanie, mycie podłogi i umiejętne palenie w piecu, tak aby racjonalnie gospodarować opałem, a jednocześnie nie dopuścić do wygaśnięcia. Zimą paliło się w piecu przez okrągłą dobę. Przy nim umieszczano się obuwie i odzież przeznaczone do suszenia,

a potem trzeba było często je przewieszać, żeby doschły. Niby proste zajęcie, ale od dziecka wymagało sporej uwagi. Należało odzież i obuwie umieszczać w takiej odległości, aby dobrze wyschły i żeby, broń Boże, nie popalić tych rzeczy. Róży suszenie wychodziło najlepiej, bo ona była bardzo pilna i dokładna, ja natomiast nie bardzo sobie z tym radziłam.

BOGUSŁAW

Były i inne ważne względy przemawiające za tym, żeby w piecyku palić w dzień i w nocy. Ciągłe palenie sprawiało, że komin utrzymywał drożność. Gdy ją tracił, były nie lada kłopoty... Raz przeżyliśmy horror związany z wygaśnięciem pieca. Do tego nieplanowanego wygaszenia ognia doszło w nocy. Rano w żaden sposób nie można było rozpalić. Najpierw nie było ciągu. Długo trwało, zanim jakimiś specjalnymi sposobami ojciec ten ciąg odzyskał. Wtedy komin zafundował nam nawiew z zewnątrz. Pęd powietrza był tak silny, że cały dym został z powrotem wtłoczony do środka i błyskawicznie wyrzucił popiół z popielnika. Koszmar! Dym z chmurą popiołu wypełnił całą naszą izbę...

Od tego zdarzenia moje siostry skrupulatnie dbały, aby ogień nie wygasł. Żartowały nawet, że „muszą podtrzymywać wieczny ogień”.

DANUTA

Porąbane drewno opałowe było dość różnorodne i różny był stopień jego zawilgocenia. Dlatego drwa wniesione do domu musiały być sortowane i odpowiednio ułożone do suszenia – to należało do moich obowiązków, ale bardzo gorliwie pomagał mi w tym Boguś. Był tą pracą szczególnie zainteresowany również dlatego, że przy okazji mógł sobie wybrać odpowiednie polanka, z których robił żołnierzyki. W ten sposób „formował swoje wojsko” i trzeba powiedzieć, że był bardzo oddanym dowódcą,

bardzo się troszczył o swoich żołnierzy. Niestety my – jego starsze siostry – niezupełnie rozumialiśmy tę jego pasję.

Boguś był takim niekłopotliwym dzieckiem, co w tamtych warunkach nie było bez znaczenia, a przy tym bardzo się starał być przydatny. Na przykład wziął sobie za punkt honoru, że to właśnie on będzie ściągał tatusiowi buty po jego powrocie z pracy. Ojciec, choć wracał strasznie zmęczony, wzruszał się, patrząc na te dobre chęci dziecka. Dlatego stwarzał takie pozory, aby Boguś mógł uwierzyć, że naprawdę dzięki niemu tatuś zostaje uwolniony od okropnych buciorów...

Najpierw ojciec sam szamotał się z tym naprawdę trudnym zzuwaniem, potem pomagała mu najsprytniejsza z nas wszystkich Jadzia. Jak już sprawa ruszyła z miejsca i problem był prawie rozwiązany, tatuś mówił:

– Teraz ty, synku! Może tobie się uda, bo my nie dajemy rady...

Wtedy Boguś z zapałem zabierał się do roboty i oczywiście szybko mógł ogłosić zwycięstwo. Wtedy był dumny i bardzo szczęśliwy. Rodzice mu serdecznie gratulowali, bo jak tu nie cieszyć się z takich szlachetnych intencji i wyczynów dziecka.

BOGUSŁAW

Jadzia, na którą podczas choroby mamy spadło najwięcej obowiązków, była bardzo zaradna i przedsiębiorcza. Pod nieobecność ojca głównie ona nami dowodziła.

DANUTA

Mieszkaliśmy już w naszym nowym domu. Był styczeń, najdalej luty 1941 roku, a więc okres, kiedy głód dawał się we znaki większości zesłańców, nam również. Obudziłam się w nocy z pełną świadomością, że jestem głodna. Wtedy usłyszałam, jak rodzice rozmawiają przyciszonymi głosami. Jednak wyraźnie słyszałam każde słowo. Leżałam jak trusia. Byłam

przestraszona. Wiedziała, że robię coś, czego – jak mnie uczono – robić nie wolno: podsłuchuję rodziców. Ciekawość była jednak silniejsza. To, co słyszałam, z każdym słowem wprawiało mnie w coraz większe przerażenie.

Rodzice rozmawiali o naszej trudnej, wręcz beznadziejnej sytuacji.

– Komendant świadomie oszukiwał Polaków, gdy jesienią obiecywał, że zimą zaopatrzenie w żywność będzie lepsze. Doskonale wiedział, jak to będzie wyglądać. Przecież to nie pierwsza zima na Syberii. Tu jest tak co roku. Gdy *purga* zawiewa okolicę, życie w tajdze zamiera, nie ma możliwości, aby dostarczać żywność. Nie ma żadnej szansy. Wszyscy oni o tym dobrze wiedzieli i wiedzą – mówił szeptem ojciec. – A teraz? Teraz komendant obwieścił, że konie chorują i muszą być poddane odpowiedniej kwarantannie. Tak tłumaczy trwające od tygodnia przestoje w zaopatrzeniu. Kolejna wymówka.

– Sowieci celowo stwarzają takie warunki. Ciężką pracą, głodem i chłodem wyniszczą wszystkich nas, dorosłych Polaków – mówiła zdławionym głosem mamusia. – Rodzice pomrą. Dzieci, chowane w tak ekstremalnych warunkach, codziennie poddawane są brutalnej naturalnej selekcji. Przeżyją tylko te najsilniejsze, najodporniejsze. Osieroczone, bez rodziców, będą „elastycznym materiałem”, giętkim jak plastelina, do bezkarnej sowietyzacji.

Tatuś próbował mimo wszystko pocieszać mamusię i wykrzesać w tej sytuacji choć odrobinę optymizmu. Przywoływał nawet słowa jakiejś pieśni, mówiące o sile nastawienia... ale tych słów już dziś nie pamiętam.

Mamusia jednak nie wychodziła z otchłani pesymizmu i kontynuowała:

– Jesteśmy tu parę miesięcy, a ile już jest polskich mogił na cmentarzu? Co będzie dalej? Ludzie z każdym dniem są coraz słabsi, coraz bardziej wycieńczeni, coraz więcej dorosłych i dzieci zapada poważnie na zdrowiu. Mróz zbiera dodatkowe obfite żniwo. Silne odmrożenia robią z ludzi kaleki

na resztę życia. – Westchnęła ciężko, a po chwili dodała: – Z dnia na dzień przybywa rodzin dotkniętych skrajnym głodem. Do wiosny jeszcze parę miesięcy, bardzo długich miesięcy... i nie wiadomo, ile polskich mogił przybędzie na cmentarzu, zanim się doczekamy... A później? Później Sowieci będą kontynuować bestialską eksploatację Polaków. Jak długo ty pociągniesz w takich warunkach? Nasze dzieci zostaną zruszczone, nawet nie będą wiedziały, że są Polakami.

Wtedy wszyscy się bali, że Polska znów popadła w niewolę na ponad sto lat.

Rodzice po dłuższej ciszy kontynuowali rozmowę.

– Ja ci powtarzałam, Niemcy są kulturalnym narodem – mówiła nasza mama.

Mamusia знаła język niemiecki. W Niemczech kończyła renomowaną szkołę gospodarską, gdzie nauczyła się haftu, kroju, szydełkowania, gotowania, ogrodnictwa, przetwórstwa i wielu innych bardzo przydatnych rzeczy. Jeden z tych trzech niemieckich żołnierzy, którzy przyszli jesienią 1939 roku do naszego domu w Hajnówce, miał pełnić rolę tłumacza. Szybko jednak się okazało, że mamusia lepiej zna niemiecki niż on polski. Ci żołnierze nie kryli zaskoczenia, bo twierdzili, że na naszych terenach jest niewiele osób, z którymi mogą porozumieć się po niemiecku. Wtedy niemieccy żołnierze sugerowali, zachęcali, a nawet nakłaniali, aby rodzice jak najszybciej przenieśli się na tereny okupowane przez nich. Twierdzili, że taki wybór, choć trudny dla naszej rodziny, będzie dużo korzystniejszy niż pozostanie w miejscu, gdzie zaraz przyjdą Rosjanie.

Mamie ten pomysł trafił do przekonania i gorąco namawiała ojca na przeprowadzkę. On jednak uważał, że ma obowiązek wytrwać na powierzonym mu stanowisku, a nie przenosić się od jednego wroga do drugiego. Zresztą wszyscy spodziewali się, że wojna nie potrwa długo, bo

przecież myślą o nas nasi sojusznicy – Anglia i Francja. Teraz mamusia przypominała tamte sugestie niemieckich żołnierzy.

– A ty wierzyłeś we Francuzów, w Anglików! Ja mówiłam, że lepiej przed Rosjanami uciekać na ziemie zajęte przez Niemców. To jest kulturalny naród, a Sowieci to są hajdamaki. Zhajdamaczą nasze dzieci!

Straszne rzeczy mówiła mama do ojca.

– Prosiłam cię, wyjedźmy, a ty nie! Lasy i lasy, że stanowisko cię zobowiązuje, że to jest obowiązek obywatelski! No i teraz masz ten obowiązek obywatelski!

Uświadomiłam sobie wtedy, że gdyby ojciec posłuchał mamy, to mogłoby nas tu w ogóle nie być. Jeśli mama to wiedziała, a tata nie, to na mamę spada cała wina za to, że tu jesteśmy. Mogła przecież wymóc na ojcu te przenosiny. Zrodził się we mnie wielki żal do niej. I niedługo potem ja najbardziej ze wszystkich dzieci dałam się mamie we znaki. A ona przecież tak się mną opiekowała, z tak wielkim poświęceniem chodziła ze mną do szpitala w Udarnoje, najpierw z chorym okiem, a potem z rozciętą wargą.

Warga została skaleczona, gdy graliśmy w piekarza i ja, buntując się, usiadłam nie tam, gdzie powinnam, i „piekarzem”, czyli grubym kijkiem, dostałam w twarz. Nie pamiętam już dokładnie zasad tej gry, ale wtedy mój piekarz wygrał, graliśmy jednak ze starszymi chłopcami i oni oszukiwali. Dlatego się buntowałam.

BOGUSŁAW

A ja się buntowałam, kiedy palili mi moje lalki. Na zesłaniu nie miałem żadnych zabawek. Pakując rzeczy w dniu wywózki na Syberię, nikt o tym nie pomyślał. Nie miałem ani jednej prawdziwej zabawki.

Z małych polan przygotowanych do rozpałki robiłem lalki. Sam, a czasami pomagały mi w tym siostry. Powstawały w ten sposób:

wybierałem kawałki drewna w odpowiednim kształcie. Reszką zwęglonego polana rysowałem oczy, brwi, usta, nos i drobne elementy ubioru. Nadałem im imiona: Janek, Krzyś, Ania. Miałem sierżanta, plutonowego i generała. Tak jak chłopcy mają żołnierzyki do zabawy, ja miałem swoje lalki.

Rano, jak się budziliśmy, było bardzo zimno, piec po nocy ledwo się tlił. Trzeba było szybko w nim rozpałić. Ogień powstawał błyskawicznie tylko na dobrze przesuszanej rozpałce. Zawsze dbaliśmy, aby tej rozpałki, jak i samego drewna na opał, było w domu odpowiednio dużo. Przychodziły jednak czasy, kiedy nie można było wyjść na zewnątrz, kiedy przez kilka dni trwały burze i zamiecie śnieżne. Wtedy paliliśmy zapasy drewna przechowywane w domu, a one z każdym takim dniem topniały. Kiedy zgromadzona rozpałka się kończyła, palono moje lalki.

Budziłem się rano i odkrywałem, że nie ma już moich ukochanych zabawek.

– Nie rozpaczaj, Boguś, nie płacz! Zrobimy nowe, ładniejsze! My ci je zrobimy – tłumaczyły mi siostry.

Płakałem rzewnymi łzami. Jak miałem nie rozpaczać, kiedy właśnie straciłem całą swoją armię?

DANUTA

Minęło kilka dni od podsłuchanej przeze mnie nocnej rozmowy rodziców. Byłam bardzo głodna. A w tym czasie wszystko już sobie w głowie poukładałam. Uznałam, że mamy winą jest to, że tu jesteśmy...

I wtedy się zbuntowałam. Usiadłam między łóżkiem mamusi a tym prymitywnym stołem i zaczęłam wyć.

Ja nie płakałam – ja wyłam! Byłam chyba w jakimś szoku. Do dziś pamiętam, jak krzyczałam.

To był jakiś amok, obłąd.

Przez cały ten mój „występ” mamusia milczała. Jak wykrzyczałam to wszystko, co we mnie było, spojrzałam na leżącą mamę.

– Danusiu, weź igiełkę i nici. Chodź tu do mnie, urwał ci się wieszak w paltku. Ja ci pokażę, jak się z nici robi taki wieszak – powiedziała spokojnym głosem mamusia.

Okropnie mi było wstyd, że tak się zachowałam. Tak strasznie się zachowałam, a mama nawet mnie nie upomniała. A przecież umiała nas upomnieć. Teraz nie powiedziała nic i nauczyła mnie robić z podwójnych nici solidną zawieszkę – pętelkę lub wieszak – w zależności, co potrzeba. Umiem to robić do dziś i do dziś się wstydzę, że wtedy tak krzyczałam...

BOGUSŁAW

U nas zawsze było tak: co mama nam wydzieliła do jedzenia, tym człowiek musiał żyć... Skręcało z głodu. Wszystkich.

Kiedyś u naszych sąsiadów wydarzyło się nieszczęście, które spowodowały córki tych państwa. Ta rodzina składała się z ojca, matki, małego dziecka, chyba chłopca, w moim wieku i dwóch starszych córek, które musiały już pracować w tajdze. One na pewno nie były jeszcze dorosłe, bo Danusia dobrze pamięta, jak słyszała, kiedy jedna z nich żaliła się ojcu, że musi tak ciężko pracować przy wycince drzew, a ma przecież dopiero szesnaście lat.

I te dziewczynki pewnej nocy nie wytrzymały permanentnego głodu i włamały się do kufierka, w którym ich matka trzymała skromne zapasy żywności. Włamały dno i wyjadły jedzenie dla całej rodziny. Potem była wielka awantura i wielka rozpacz matki, wątpliwość, czy i jak ukarać dziewczynki, a przede wszystkim strach, jak przeżyć kolejne dni.

Z rozpaczki matka chciała się utopić w rzece, ale ludzie, słysząc jej lament, wybiegli z domów i ją powstrzymali...

DANUTA

Właśnie z tego okresu na zawsze pozostał w mojej pamięci wyraz twarzy matki, kiedy kroїła przyniesiony dla całej rodziny dzienny przydział chleba.

Trudno uwierzyć, że taka prosta, zdawałoby się, czynność – krojenie chleba – w warunkach, jakie tam wtedy panowały, stawała się wielkim wyzwaniem, niezmiernie wyczerpującym psychicznie.

Pamiętam, jak najpierw długo, z wielką uwagą mamusia patrzyła na chleb, który za chwilę miała podzielić.

BOGUSŁAW

To nie mogła być dla niej prosta sprawa. Na ten chleb czekała czwórka małych, nieustannie głodnych dzieci i pracujący ponad ludzkie siły, w porażających warunkach mąż.

DANUTA

Trwała długo w jakimś zamyśleniu. Skupiona, skoncentrowana, wyraźnie spięta. Sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę podjąć decyzję w niezwykle trudnej, skomplikowanej sprawie... Pozorny spokój, jaki starała się okazywać na zewnątrz, nie maskował jednak w żaden sposób jej wewnętrznego napięcia. Z wyrazu jej twarzy nawet dziecko mogło wyczytać, że walczy ze sobą, chcąc to napięcie ukryć. Widać było, jak za wszelką cenę usiłuje przybrać pogodny wyraz twarzy, a nawet próbuje wykrzesać coś w rodzaju uśmiechu.

Rosnące napięcie dawało jednak znać o sobie i brało górę nad grą pozorów. Mamusia kontynuowała walkę z samą sobą z coraz większym trudem... W pewnym momencie nie panowała już nad mimiką, drżały jej

ręce, nie mogła powstrzymać nerwowo drgających policzków – ale mimo to ostatkiem woli usiłowała zachować spokój. Chodziło jej przecież o to, żeby „nie pęknąć” i nie wybuchnąć jakimś wielkim, przeogromnym żalem. Tym żalem była chyba wypełniona po brzegi. Nam, dzieciom, nie chciała, nie mogła tego okazać.

Oboje nasi rodzice przyjęli zasadę, że w dzieciach muszą budować nadzieję, niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji życiowej jesteśmy, i tę zasadę stosowali na co dzień. Dlatego mamusia z wielkim trudem, ale opanowywała emocje i nigdy nie uroniła nawet jednej łzy...

Pierwszy i ostatni raz łzy w oczach matki widziałam po wyładowaniu nas z ciepłuszek, tuż przed odtransportowaniem w tajgę, wtedy gdy zapakowano ludzi na otwartą platformę gruzowika [typ sowieckiego samochodu ciężarowego]. Później, mimo że było źle i coraz gorzej, i coraz trudniej, nigdy nie widziałam, żeby płakała. Była osobą wrażliwą, bardzo uczuciową i bynajmniej nie optymistką. Miała pełną świadomość naszego trudnego położenia, o czym się przekonałam, podsłuchując nocą rozmowę rodziców. Dlatego – już wtedy – nie mogłam wyjść z podziwu, że nasza mamusia nie płacze. Być może płakała, jak my tego nie widzieliśmy. Może płakała nocą?

Dla mnie – i wtedy, i teraz – na tym polegał fenomen naszej matki, że tak dzielnie i tak konsekwentnie potrafiła ukryć przed nami łzy. To na pewno oszczędziło nam wtedy wielu przykrych, ciężkich przeżyć.

BOGUSŁAW

Jakby nieszczęście było małe, gdy głód i zima w Gramatusze szalały na dobre, u nas w domu wydarzyła się katastrofa.

DANUTA

To jedyne w naszej izbie okienko Jadzia niechcący któregoś dnia wybiła... Zimą śniegi były bardzo wysokie. Wtedy do każdego domu schodziło się

najpierw w dół schodkami wykopanymi w śniegu, a potem, już do samych drzwi, podchodziło się śnieżnym korytarzem. Te śniegi zasypywały – jak wszystko wokół – również i okno. Czasami śniegu nawiewało w takim tempie, że patrząc w to nasze okienko, można było obserwować, jak z minuty na minutę go przybywa – jak w klepsydrze.

Okno było jedynym źródłem dziennego światła. Trzeba było nieustannie odrzucać wielkie zwały śniegu, żeby wpuścić odrobinę do domu. Ojciec nie miał kiedy tego robić. Wychodził, jak było ciemno, i wracał wycieńczony, zmarznięty, najwcześniej po czternastu godzinach, bo praca w kopalni trwała dwanaście godzin, a droga do Udarnoje zimą w jedną stronę zajmowała około godziny. Więc okno odśnieżała Jadzia. Brnąc w śniegu, czasem zapadając się po pachy, okrążała dom i łopata wykopywała duży lej pod oknem, który dopuszczał do izby światło.

Jednego dnia śnieg pokryty był warstwą lodu. Jadzia poślizgnęła się i z wielkim hukiem, butami do przodu, wjechała razem z łopata przez okno do domu. To był koszmar. Paralizujący mróz natychmiast wdarł się do izby. W domu byliśmy tylko my i leżąca w łóżku chora mama. W akcie rozpaczycy wsadziliśmy w okno poduszkę. Dopiero ojciec, gdy przyszedł z pracy, zorganizował jakieś deski i zabił ziejący mrozem otwór.

Szyba to był towar całkowicie nieosiągalny...

Nie pamiętam, przez jaki czas nie mieliśmy tej szyby, ale wiem, że trwało to dość długo. Dlatego zużyliśmy więcej świec, zaczęło nam ich brakować, potem ich w ogóle nie mieliśmy... Czas wtedy dłużył mi się bardzo.

BOGUSŁAW

Świece były towarem deficytowym, bo służyły nie tylko do oświetlania pomieszczeń. Nacierano nimi odzież, żeby nie namakała i nie zamarzała na

mrozie. Ale to był luksus. Nie każdy mógł sobie na to pozwolić. Tak próbowano zabezpieczać jedynie ubrania tych, którzy pracowali w kopalni złota.

DANUTA

W tej sytuacji ratował nas tata, gdy przynosił z kopalni do czyszczenia swój kaganek. Zostawiał w domu niedopalony ogarek z tej prymitywnej sowieckiej à la latarki, który mu został po zakończeniu szychty.

Bieda ze świecami była taka, że był czas, gdy tata, wstając rano, ubierał się przed wyjściem do pracy tylko przy poświacie z otwartego pieca.

BOGUSŁAW

Kaganek to była świeca wstawiona do małej metalowej czworokątnej budki ze wszystkich stron osłoniętej szybkami. Te szybki bardzo szybko kopcily się od świec i kaganek dawał wtedy mało światła... Dlatego ojciec przynosił go do domu do czyszczenia.

DANUTA

Zdarzały się nam też inne okropne przygody.

Ja zimą chodziłam po wodę tylko wtedy, kiedy jej zapas się kończył, a starszych sióstr nie było w domu. Pewnego dnia tak właśnie się zdarzyło akurat wtedy, gdy mamusia zabierała się do gotowania posiłku. Poszłam więc do potoku z czajnikiem, do którego można było nabrać jakieś trzy-cztery litry wody. Nie myślałam, że przydarzy mi się taka upiorna historia.

Leżał wtedy duży śnieg. Do strumyka prowadziły z okolicznych chałup wielkie przekopy, wysokie na ponad dwa metry. Zbiegały się w jednym punkcie, z którego uformowanymi w śniegu schodkami schodziło się do miejsca, skąd wszyscy czerpali wodę, wypływającą spod ziemi na odpowiednio umocowane drewniane korytko.

Te schodki były grubo oblodzone i mocno wyślizgane. Dlatego tatuś powtarzał nam, że tam trzeba chodzić tylko z popiołem. Ja jednak wybrałam się tego dnia bez popiołu. Zejść, a raczej ześlizgnąć się w dół było łatwo. Nabrałam wody, czajnik był ciężki, a ja w żaden sposób nie mogłam podejść w górę tymi oblodzonymi schodkami. Przewróciłam się, woda mi się wylała. Każda kolejna próba wygramolenia się z tego śnieżnego lochu kończyła się fiaskiem. Upadałam za każdym razem i zjeżdżałam w dół do strumyka. Moje śliskie śniegowce tylko pogarszały sytuację. Nie dawałam rady, nawet próbując iść na czworakach. Zaczęłam płakać. Wokół nie było nikogo i nikt nie mógł słyszeć mojego szlochu. Przestraszyłam się, że zamarznię tam i zostanę na wieki. Zaczęłam się nawet modlić o pomoc do mojego anioła stróża.

Nie wiem, jak długo to trwało, gdy usłyszałam wreszcie męski głos:

– Nie płacz, nie płacz, zaraz ci pomogę.

Szczęśliwie sąsiad przyszedł z wiadrem po wodę. Wydobył mnie z opresji, sam napełnił mój czajnik wodą i odprowadził mnie pod drzwi.

BOGUSŁAW

W czasie największych problemów z żywnością, kiedy przez szereg kolejnych dni nie wydawano przydziałowego chleba, a panowała sroga zima, wychodziło się z domu tylko wtedy, kiedy to było absolutnie niezbędne: wynieść fekalia, uzupełnić opał, przynieść wodę.

DANUTA

Przeróżne choroby trawiły zesłańców, a przy braku lekarstw perspektywy na wyleczenie były marne. Na leczenie chorób przewlekłych zupełnie nie było szans. Co dziwne, nie pamiętam, żeby jakoś powszechnie chorowano na grypę czy przeziębienia. Najwięcej było oczywiście odmrożeń: uszu,

nosa, rąk i nóg. Odmrożenia to była plaga. Często też były wypadki okaleczeń przy pracy w kopalni czy przy wyrębie tajgi.

Jedną z dolegliwości, na jakie cierpieli Polacy, były czyraki. Traktowano je jak coś oczywistego. Pojawiały się najczęściej na nogach. To była reakcja organizmu na osłabienie spowodowane długotrwałym wycieńczeniem, wyziębieniem i brakiem witamin. Nieleczony czyrak paprał się w nieskończoność, a często obok jednego powstawał następny. Jak felczer miał maść ichtiolową, postępował w prosty, ale skuteczny sposób. Nakładał maść na czyrak i zawijał. Nie wolno było tego moczyć ani ruszać przez siedem dni. Po upływie tego czasu przy odwijaniu opatrunku czop czyraka wychodził ze skóry jak bolec, pozostawiając w ciele głęboką, żywą ranę.

Głębokość tych ran zawsze budziła w nas dziwną fascynację. Z wielką uwagą śledziliśmy, jak bardzo, bardzo powoli zarasta ta „dziura”, po której często pozostawała paskudna blizna.

BOGUSŁAW

Zima 1940/1941 była długa i ciężka. Jedyłą nadzieją napawała zbliżająca się wiosna, której wypatrywano przez ostatnie, dłużące się miesiące zimy z wielkim utęsknieniem.

DANUTA

W marcu 1941 roku mieliśmy za sobą większą część syberyjskiej, głodowej zimy. Mamusia pocieszała nas, że z nastaniem wiosny nasza sytuacja się poprawi, w tajdze będzie przecież życiodajna kołba. Tej wiosny będziemy jej dużo zbierać, aby można było sporo jej zakisić, robiąc zapasy na przyszłą zimę. Pojawiła się możliwość wytwarzania takich kiszonek, bo Polacy znaleźli sposób na zbijanie prowizorycznych à la beczek ze zwykłych deszczulek. Prawdziwych klepek beczkowych przecież nie było.

To było na razie marzenie. Tak miało być za jakieś dwa, trzy miesiące. A tymczasem należało się modlić, aby, broń Boże, nie było kolejnych przerw w dostawach mąki. Od Bożego Narodzenia nie mieliśmy już żadnych produktów żywnościowych zdobywanych w drodze wymiany handlowej. Mamusia tak podupadła na zdrowiu, że o takich wyczynach, jak wyprawa do sąsiedniego *posiołka*, nie mogło być mowy. Zresztą nie mieliśmy już rzeczy, które dałoby się wymienić na żywność.

W naszym sklepiku w dalszym ciągu można było kupić tylko musztardę, kawę żołądną i *odiekolon*.

W tych warunkach nasza rodzina mogła liczyć tylko i wyłącznie na *pajok* – ten limitowany sowieckimi normami przydziałowy chleb.

A tego chleba było dla nas o wiele, o wiele za mało...

BOGUSŁAW

Pewnego dnia przeżyliśmy wielką niespodziankę. Doczekaliśmy się – po roku – odpowiedzi na listy wysyłane przez ojca do jego brata, a naszego stryja – Jana Żukowskiego – mieszkającego na terenach zajętych przez Rosjan w 1939 roku. Nie tylko nadeszła odpowiedź, ale i paczka. Zdążyła do nas dotrzeć jeszcze przed Wielkanocą.

DANUTA

Nasza radość była ogromna, gdy po tak długim czasie wyczekiwania na wiadomości od stryja komendant powiadomił ojca, że przysłała do nas paczka, którą trzeba odebrać z poczty w Udarnoje.

Paczka, jak wszystkie paczki, została okradziona. Były w niej w płóciennych woreczkach: mąka, kasza, fasola, groch i coś tam jeszcze. Znamienne, że te worki były wytłuszczone. Pamiętam ich zapach. Każdy z nas długo je wąchał. Przywoływały na pamięć nasz polski dom. Pachniały smalcem i swojską, dobrze wędzoną kielbasą.

Z tymi zapachami powróciło do nas wspomnienie smaku produktów tak bardzo zapomnianych, całkowicie nierealnych w okresie największego głodu, jaki właśnie przeżyliśmy.

BOGUSŁAW

Czas upływał pod znakiem choroby mamy. Zupełnie niepostrzeżenie zima przerodziła się w intensywną wiosnę. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy przyszła.

DANUTA

Długo przed nadejściem wiosny była Wielkanoc 1941 roku. Niestety zupełnie tych świąt nie pamiętam, ale dobrze zapamiętałam Wielki Piątek. W tym dniu mama jakby przekazywała nam swój testament.

Przy każdej modlitwie lub w rozmowach – często – mamusia powtarzała:
– Pamiętajcie, że jesteście Polakami. Pamiętajcie!

Ale tego dnia rozwinęła swoje myśli.

Już wtedy się bałam, że mama to mówi, bo wie, że umrze. A potem – tak jak przewidywała w tej nocnej rozmowie z tatusiem – on umrze w kopalni. Wydawało mi się to bardzo prawdopodobne. To było już po wypadku tatusia, kiedy zawalił się na niego tunel, w którym pracował. Przygniotło mu nogi. Na szczęście, kiedy go odkopali, okazało się, że nie ma żadnego złamania. Wszedł cało z tego, ale był bardzo potłuczony. Obrażenia były na tyle poważne, że felczer dał mu zwolnienie z pracy. A to było czymś bardzo wyjątkowym.

W ten Wielki Piątek mama powiedziała, że będziemy odprawiać Drogę krzyżową. Zaczęliśmy, a ja się zbuntowałam, że nie chcę tej Drogi krzyżowej. Pomyślałam sobie, że to nefajna modlitwa, ciągle trzeba wstawać i klękać, wstawać i klękać. Poprosiłam więc mamusię, żebyśmy w zamian odprawili dwa razy Gorzkie żale. I mamusia się zgodziła...

A potem powiedziała:

– Dzieci, słuchajcie! Zawsze się módlcie. Jak będzie wam bardzo źle, to się módlcie, bo będzie nadzieja, że będzie lepiej. Jak będzie wam bardzo dobrze, to też się módlcie, dziękując za dobro, jakie was spotkało... I zawsze pamiętajcie, że jesteście Polakami!

Ja w tym czasie, jak to dziecko, myślałam o głupotach. Dokładnie wtedy przypomniało mi się, jak Jadzia jeszcze w domu w Hajnówce mówiła mnie i Róży, że ona lubi chodzić na Drogę krzyżową, bo nie ma długich włosów jak inne dziewczynki. A kiedy dziewczynki idą podczas Drogi krzyżowej od obrazu do obrazu, to chłopaki co chwila ciągną je za warkocze...

BOGUSŁAW

Odchodząca w przeszłość zima 1940/1941 odcisnęła na zesłańcach swoiste piętno. Mieli teraz świadomość, że kolejna siła rzeczy będzie dużo cięższa. Po rocznej egzystencji w tym klimacie i w tych warunkach Polacy byli wyniszczeni psychicznie i fizycznie, jakby przeżyli tu nie rok, ale wiele, wiele lat. Zdawali sobie sprawę, że z każdym miesiącem będą coraz mniej wydajni, coraz ciężiej będzie im wypracować obowiązującą normę, coraz trudniej zdobyć upragnione bony żywnościowe. Wiedzieli, że w nadchodzącej przyszłości nie będą już mogli liczyć na pozyskiwanie żywności z handlu wymiennego z tubylcami, bo majątek, jaki mogli na ten cel przeznaczyć, u jednych znacznie stopniał, a u drugich już całkowicie się wyczerpał. Myślę, że ci, którzy nie mieli już nic na wymianę – jak my – należeli do przeważającej większości.

DANUTA

Prognozy na przyszłość były zatem alarmujące. Dlatego większość zesłańców rozpoczęła już teraz, z nadejściem pierwszych oznak wiosny,

przygotowania do następnej długiej syberyjskiej zimy, do gromadzenia jak największych zapasów, które zwiększą szanse na przetrwanie.

Każda rodzina we własnym zakresie starała się stworzyć własny, racjonalny plan postępowania – stosownie do możliwości, które wyznaczały jej „moce przerobowe”, czyli siła własnych rąk. W krótkim czasie, gdy nie będzie śniegu, należało wykonać ciężką, różnorodną pracę. W pełnej mobilizacji przystąpiono do działania.

Kiedy jeszcze nie stopniał stary śnieg, a tajga z wolna budziła się do życia, wszyscy gremialnie wyruszali na poszukiwanie życiodajnej kołby. Zdobywali ją pracowicie, zachłannie wyciągając spod śniegu. Część zjadano na bieżąco, aby po zimie uzupełnić brak witamin, jednak starano się przede wszystkim jak najwięcej tego daru natury zgromadzić na zimę, kisząc ją lub soląc.

BOGUSŁAW

Po strasznej zimie ludzie byli wycieńczeni, wszystkim dokuczał brak witamin – szerzyła się awitaminoza, panoszył szkorbut. Kołba, będąca na przednówku jedynym źródłem witamin, była doskonałym lekiem na szkorbut! Nacierano nią sobie krwawiące, rozpulchnione dziąsła i jedzono ją na przeróżne sposoby. Byliśmy tak spragnieni witamin, że wyciągaliśmy spod lodu te dopiero co kiełkujące roślinki.

DANUTA

W miarę jak śnieg znikał, a tajga podeschła na tyle, że nie grzęzło się już zbyt w błotnistej ziemi, ludzie gorączkowo poszukiwali na obrzeżach Gramatuchy miejsc nadających się do zasadzenia ziemniaków. Stworzenie małego poletka nie było łatwe. Dotarcie do uprawnej ziemi, ukrytej pod grubą warstwą darniny, wymagało ciężkiej pracy i dużej determinacji. Nie

było do tego narzędzi. Kłaczka, pędy, młode korzenie wydłubywało się z ziemi gołymi rękami.

W tym samym czasie ruszyła wielka i powszechna ofensywa naszej społeczności w głąb tajgi, mająca na celu zgromadzenie opału na zimę. Dominowało przekonanie, że drewno opałowe na całą najbliższą zimę musi zostać zgromadzone już teraz, jak najwcześniej, aby w ciągu krótkiego lata mogło odpowiednio wyschnąć.

Akcja opałowa zawładnęła wszystkimi rodzinami, uczestniczyli w niej bez wyjątku nie tylko mężczyźni, ale również kobiety i dzieci. Mężczyźni po swojej dwunastogodzinnej pracy szli na „drugą zmianę” w głąb tajgi. Ścinali drzewa, obcinali gałęzie, a gotowe bale transportowali w pobliże swoich domostw. Transport odbywał się według obowiązującej i zarazem jedynej znanej tam techniki – na ludzkich barkach. Bale przytargane z tajgi piłowano, cięto i ustawiano w tak zwane „metry” albo „studzienki” w nasłonecznionych miejscach. W specjalne stosy układano też do wyschnięcia gałęzie, których ściąganiem z tajgi zajmowały się kobiety i dzieci.

Wszystkie te prace wykonywano w morderczym pośpiechu. Pośpiech był uzasadniony. Chodziło bowiem o to, że każda rodzina chciała mieć „akcję opałową” definitywnie zakończoną, zanim bardziej się ociepli i nastąpi pełnia syberyjskiego lata. Kto tylko bowiem mógł, planował latem ruszyć do kolejnego „zrywu” – płukania złota, zdobywania życiodajnych, wymarzonych „złotych bonów” żywnościowych.

BOGUSŁAW

Bardzo wczesną wiosną 1941 roku, może nawet nie była to jeszcze wiosna, ale jej pierwsze oznaki, usłyszałem, jak dorośli opowiadają, że po drugiej stronie rzeki ktoś widział już kołbę. Nie było jak dotrzeć na tę drugą stronę

rzeki. Wokół leżały jeszcze wielkie zaspy. Ja postanowiłem być użyteczny dla rodziny i zdobyć tę kołbę.

Wybrałem się po nią najkrótszą możliwą drogą. Myślałem, że rzeka pokryta jest grubym lodem – tak to z wierzchu wyglądało. Nie wiedziałem, że ta rzeka nigdy nie zamarza, a pokrywające ją czapy śniegu tworzą jedynie takie złudzenie. Śnieżne nawisy przykrywające rzeczne głazy zamarzały szeroko wokół kamieni, ale tylko w cienki lód. Zrobiłem kilka kroków i lód się pode mną załamał. Wpadłem jedną nogą, zatrzymując się jednak drugą i rękami na lodzie. Pędzący nurt rzeki niosącej kamienie wciągał mnie w swój wir.

Na szczęście zobaczyły to idące drogą kobiety... Narobiły rabanu, ale natychmiast same zaczęły też przytomnie działać. Położyły się jedna za drugą, tworząc swoistą rozplaszczoną drabinę. Rzuciły mi szal czy powiązane chusty – z czego była ta prowizoryczna lina, nie pamiętam. Złapałem tę linę, a kobiety ciągnęły ją, wycofując się na brzeg jedna po drugiej. Byłem słabo odżywionym chłopcem, więc nie byłem specjalnie ciężki.

Tak mnie uratowały...

DANUTA

Z pojawieniem się pierwszych oznak wiosny ludzie byli więc bardzo zapracowani, wprost zagonieni, mówiło się, że „mijają się w biegu”. Teraz już nie było tak jak rok temu, kiedy wszyscy polscy zesłańcy w Gramatusze myśleli solidarnie i działali solidarnie, nawzajem się wspierali. Nie było już w nich tamtej nadziei. Nie słyszało się wzajemnych słów wsparcia: Wytrwamy! Przetrywamy! Przeżyjemy i zwyciężymy! Na pewno wrócimy do Polski!

Teraz, po roku, już się takich głosów nie słyszało.

Nikt nie mówił o dalekosiężnych planach powrotu... Ludzie myśleli przede wszystkim o tym, jak przygotować i zabezpieczyć swoją rodzinę, aby mogła ona przeżyć chociaż tę jeszcze jedną, przyszłą zimę... Koncentrowano się głównie na tym. I bynajmniej nie wynikało to z jakiegoś egoistycznego wyścigu, próżnej, chorobliwej rywalizacji, przeciwnie, był to naturalny, zdrowy instynkt, odruch samoobrony ludzi mających świadomość swojego ciężkiego położenia.

Atmosfera w *posiołku* była więc mocno przygnębiająca. Zima na swój sposób złamała ludzi.

A w naszej rodzinie atmosfera była po stokroć cięższa, bo zdrowie mamusi systematycznie się pogarszało – z dnia na dzień było coraz gorzej. Teraz już prawie wcale nie wstawała z łóżka. Byliśmy pogrążeni w bezsilności i beznadziei...

BOGUSŁAW

Nie cieszyła nas ta wiosna, nie uspokajało bogactwo kołby. Cała nasza uwaga koncentrowała się na opiece nad mamą. Było źle, bardzo źle. Ale my, jej dzieci, wierzyliśmy, że wkrótce, z nastaniem słonecznego i gorącego lata powróci do zdrowia.

DANUTA

Przychodziły do mamy panie, które bardzo pomagały w opiece nad nią. Przede wszystkim robiły masaże, które przynosiły jej dużą ulgę.

Mama nieustannie zsuwała się z pośłania. Sama nie miała już sił, aby podciągnąć się ku wezgiłowiu łóżka i wygodnie ułożyć na poduszkach. Ona, biedna, musiała na wpół siedzieć, bo inaczej źle się jej oddychało. Trzeba też było podkładać jej coś pod krzyż.

Róża wyspecjalizowała się w pomaganiu mamie przy układaniu się na łóżku. Wyglądało to dramatycznie. Wchodziła na łóżko, zapierała się

plecami o krawędź od strony nóg, rozkraczała się i nachylała głęboko. Mamusia łąpała ją za szyję i w ten sposób się podnosiła i podciągała.

– Nie, nie, dziecko, jesteś taka maleńka, nie wchodź, nie trzeba – mówiła mamusia, kiedy Róża wchodziła na łóżko, żeby jej pomóc.

BOGUSŁAW

W tak przytłaczającym nastroju dożyliśmy do ostatniej dekady czerwca 1941 roku... I wtedy właśnie gruchnęła wiadomość, spadła jak grom z jasnego nieba i lotem błyskawicy rozniosła się po okolicy: wybuchła wojna niemiecko-sowiecka.

* * *

22 czerwca 1941 roku dotychczasowi sojusznicy – hitlerowskie Niemcy – dokonali zbrojnej agresji na Związek Sowiecki. Dla Rosjan dopiero wtedy zaczęła się wojna. Nazywana jest przez nich do dziś – inaczej niż przez resztę świata – nie drugą wojną światową, lecz Wielką Wojną Ojczyźnianą.

* * *

DANUTA

Polaków biegających wyłącznie wokół swych codziennych spraw wiadomość o wojnie niemiecko-sowieckiej – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – nagle zatrzymała. Wyrwała ich z morderczej codziennej gonitwy.

Ta niezwykła nowina wniosła do Gramatuchy ogromny pozytywny ładunek. Stało się to w czasie, kiedy zesłańcy, wycieńczeni głodową zimą, przerażeni perspektywą nadejścia kolejnej, bardzo potrzebowali nadziei. To światełko w tunelu sprawiło, że nagle ożyły kontakty między ludźmi. Teraz

mężczyźni znajdowali czas, aby po swojej dwunastogodzinnej pracy wziąć udział w spotkaniach i dyskusjach z rodakami. Odbywały się one spontanicznie niemalże na każdym kroku. Polacy biegali od domu do domu, naradzali się, debatowali, przewidywali – znów chcieli wspólnie przeżywać to, co się działo...

W naszym domu nie zamykały się drzwi, ciągle ktoś u nas był...

BOGUSŁAW

Dla zesłańców nastąpiła nowa era, w ludzi wstąpił nowy duch, nadzieja na odmianę losu. Optymizm był duży. Ludzie poczuli się znów sobie potrzebni, odnowiła się świadomość łączącej wszystkich wspólnoty.

Ta atmosfera wpłynęła też bardzo pozytywnie na naszą matkę. Bardzo się uspokoiła, bardzo się tym wszystkim cieszyła – na tyle, na ile mogła – bo zapewne zdawała sobie sprawę, w jak ciężkim jest stanie.

DANUTA

Rozemocjonowani Polacy mieli najrozmaitsze wizje swych przyszłych zesłańczych losów. W jednej kwestii wszyscy byli jednomyślni. Powołując się na najróżniejsze fakty z historii Polski, mówili:

– Ilekroć w przeszłości Rus i Prus bratali się ze sobą, zawsze dla Polski stanowiło to zagrożenie, a wojna między nimi zawsze zwiastowała Polsce nadzieję.

Wierzyli, że tak będzie i tym razem. Powyższą regułę zapamiętałam na całe życie. Utrwaliła mi się w pamięci również dlatego, że starsze dzieci – te „mondrale” – nieustannie ją powtarzały. Trzeba przyznać, że dzieci starsze i młodsze „politykowały” nie mniej niż dorośli, a ich upolitycznienie było skutkiem tego, czego doświadczały od ponad roku. Więc teraz, wobec tak istotnego wydarzenia jak wojna niemiecko-sowiecka,

ożywiły się podobnie jak ich rodzice. Oczywiście im starsze dzieci, tym bardziej były aktywne.

BOGUSŁAW

Dzieci, które w Gramatusze chodziły do szkoły, na co dzień doświadczały sowieckiej indoktrynacji. Regularnie musiały wysłuchiwać propagandowych tyrad swoich rosyjskich nauczycielek. Wśród tych przemówień często wysłuchiwały takich, w których żarliwie gloryfikowane były hitlerowskie Niemcy – wielki sojusznik sowieckiego kraju. Wśród wygłaszanych sloganów najczęściej powtarzały się zdania typu: „Nasz wiarygodny, niezawodny sojusznik to Niemcy!”, „Przyjacielskie Niemcy”. Jadzia i Róża, oburzone, przynosiły do domu te rewelacje, ale dobrze wiedziały, że mogą buntować się przeciw tej propagandzie tylko w swoim domu.

DANUTA

Wojna między tymi „wiarygodnymi sojusznikami” zaczęła się w ostatnich dniach czerwca, kiedy kończył się rok szkolny. Panie nauczycielki, zaskoczone biegiem historii, były mocno przestraszone. Szybko jednak – jak relacjonowały nam powracające ze szkoły siostry – z dnia na dzień zmieniły myślenie, a raczej nauczanie.

W tych kilku ostatnich dniach roku szkolnego starały się szybko wbić do głowy uczniom nową „prawdę”. Miały z pewnością odgórne wytyczne dostarczone przez najważniejszego w *posiołku* przedstawiciela władzy sowieckiej – naszego wszechwładnego komendanta.

BOGUSŁAW

Uzbrojone w nową, poprawioną pod względem ideologicznym wiedzę nauczycielki przystąpiły z zapalem do pracy. Niemcy okazali się jednak

zdrajcami, faszystami, a Hitler podstępny, fałszywym sojusznikiem. Obie panie do znudzenia powtarzały, przedrzeźniane potem przez dzieci w domach, nowe formułki:

– *Hitler eto samyj gławnyj faszyst* [Hitler to największy faszysta].

– *Giermancy eto podłyje wojennyje zachwacziki* [Niemcy to podli wojenni zaborcy].

DANUTA

Polskie dzieci rozumiały doskonale, że to, co dzisiaj usiłuje „wszczepić” im nauczycielka, stoi w wyraźnej sprzeczności z tym, co jeszcze wczoraj z takim przekonaniem głosiła. Po domach i między sobą szeroko to komentowały, kwitowały śmiechem, szyderstwem, czasami dowcipami. A dowcipy wśród polskiej społeczności Gramatuchy rodziły się teraz niemalże na każdym kroku.

Dzieci jednak dobrze wiedziały, gdzie, przy kim i na co mogą sobie pozwolić. Wykazywały wielką dojrzałość. Rozumiały doskonale – bez pouczeń dorosłych – że takich zachowań w żadnym wypadku nie mogą demonstrować w szkole czy w innych publicznych miejscach. Miały świadomość, że los ich i ich rodzin w dalszym ciągu spoczywa w rękach Rosjan, których nie należy prowokować, żeby nikogo z bliskich nie narazić na trudne do przewidzenia represje...

Nauczycielki widziały, że polskie dzieci wyraźnie podniosły głowy, a odprężenie i nadzieję mają wypisane na twarzach. Co zaskakujące, frekwencja w tych ostatnich dniach roku szkolnego nagle wzrosła do niemal stu procent. Teraz nawet chorowite dzieci nie chorowały. Przychodziły także te, które z przyczyn ideologicznych dotychczas starały się wymigać od szkoły.

Nauczycielki próbowały wytworzyć przyjazny klimat. Gorliwie zapewniały uczniów, że pomimo wojny władza sowiecka zaopiekuje się nimi, to znaczy zagwarantuje im edukację.

W ostatnim dniu szkoły panie pożegnały uczniów życzeniami przyjemnych wakacji. Trzeba przyznać, że przez tych kilka dni relacje między nauczycielkami a dziećmi stały się faktycznie jakby cieplejsze...

BOGUSŁAW

Polepszenie ogólnej atmosfery w Gramatusze stało się mocno odczuwalne. Dość szybko wyraźnej poprawie uległo nastawienie do nas Rosjan. Teraz stali się przychylni, niemalże życzliwi. Największą metamorfozę przeszedł obywatel komendant. Jako pierwszy wyraźnie zmienił swoje postępowanie w stosunku do Polaków. Potem uległy zmianie postawy podległych mu enkawudzistów. Było zrozumiałe, że komendant nadawał ton tym wszystkim, z pozoru pozytywnym przemianom.

DANUTA

Zaskakujące były te umizgi komendanta, tego bezrefleksyjnego enkawudzisty, działającego dotąd skrupulatnie, tak jak mu to nakazywały odgórne instrukcje, człowieka, od którego zależało tak wiele, którego decyzje i zarządzenia bezpośrednio na co dzień uderzały w Polaków.

BOGUSŁAW

Trudno powiedzieć, na ile komendant zapalał nagłą miłością do Polaków z odgórnego nakazu, a na ile wynikało to z jego własnych przemyśleń. Ta zmiana z pewnością nie była wyłącznie jego inicjatywą. Sam nie podjąłby takiej decyzji. Musiały być jakieś odgórne instrukcje, dyrektywy, wynikające z chłodnej politycznej kalkulacji. Realia się zmieniły. Teraz Związek Sowiecki był z Niemcami w stanie wojny. Na froncie miał za

przeciwnika silnego, dobrze uzbrojonego wroga. Nie było mu na rękę mieć na tak zwanych tyłach – co prawda bezbronnego, zniewolonego – ale kolejnego wroga. Musiał szukać sprzymierzeńców – między innymi wśród Polaków.

DANUTA

Odświeżenie życzliwych relacji między Polakami, nowe spojrzenie na wrogów i przyjaciół Związku Sowieckiego serwowane dzieciom w ostatnich dniach szkoły, poprawa nastawienia do nas Rosjan, którzy stali się teraz bardziej ludzcy, współczujący, a nawet przyjaźni, i z dnia na dzień przestali traktować Polaków jak największych wrogów, to nie były jedyne zaskakujące zmiany.

Naszą chorą matkę odwiedził wtedy w domu lekarz z Udarnoje. Mimo że był bardzo życzliwym, przyzwoitym człowiekiem, sam niewiele mógł i do momentu wybuchu niemiecko-sowieckiej wojny nie był ani razu u mamy z jawną wizytą. Wizyta taka byłaby niewskazana, myślenie władzy było takie: kobieta leży – to niech leży, choruje – to niech sobie choruje, taki nikt dla władzy sowieckiej, żadna siła robocza – po co sobie tym głowę zawracać...

A jednak teraz felczer odwiedził chorą – czy z nakazu władz, czy też sam poczuł, że w nowej sytuacji może to zrobić – nie wiem. Było to wyraźnie coś nowego.

BOGUSŁAW

Kompleks Udarnoje, czyli *posiołki* Kija, Spasobnyj i Gramatucha, podlegał opiece tego jednego felczera. Jemu także, podobnie jak wszystkim wokół, władze nie ufały. Mógł przecież symulanta uznać za chorego, a tym samym oszukać władzę sowiecką. Dlatego pracował pod ścisłym nadzorem enkawudzistów, a ściślej komendanta. Komendant miał prawo ingerowania

w jego diagnozy i robił to wielokrotnie. Dobrze wiedział, kiedy i kto choruje, bo można powiedzieć, że każdy chory musiał w pierwszej kolejności przejść przez jego ręce. Zanim nieszczęśnik udał się o własnych siłach do Udarnoje do lekarza, musiał uzyskać pozwolenie od komendanta. Ciężko chorzy, którzy nie byli w stanie iść tak daleko, lub ci, którzy na przykład ulegli wypadkowi, mogli liczyć na zgodę komendanta na domową wizytę lekarza. Jednak nie wszyscy.

W lecznictwie sowieckim obowiązywała zasada: każdemu według przydatności dla systemu. Prawo do domowych wizyt lekarskich mieli w pierwszej kolejności wszyscy pracujący, którzy wypracowywali sowieckie normy, w drugiej – poważnie chore małe dzieci, w ostatniej kobiety, które ze względu na opiekę nad małymi dziećmi co prawda nie pracowały, ale już wkrótce miały zasilić szeregi *wsiech trudiaszczichsia* [wszystkich zatrudnionych]. Chorzy niepracujący z powodu złego stanu zdrowia – a więc nierokujący, że w najbliższej przyszłości zasilą szeregi pracowników – nie mogli w ogóle liczyć na takie względy.

Niestety nasza matka zaliczała się do tej ostatniej, nieuprzywilejowanej grupy.

DANUTA

Ojciec wcześniej bardzo zabiegał o to, aby komendant odstąpił od tej nieludzkiej zasady. Ten był jednak zdania, że zasada jest zasadą i on nie będzie robić wyjątków. Twierdził ponadto, że nawet jeśli lekarz by przyszedł, mamusia i tak nie dostałaby żadnego leku, bo nawet dla pracujących ich nie było. Nie wydał więc lekarzowi zgody na wizytę domową.

Choć oficjalnej lekarskiej wizyty domowej nie było, jestem prawie pewna, że w jakiś sposób lekarz do naszej matki dotarł. Wnioskuje to

z tego, że już w zaawansowanym stadium jej choroby często słyszałam od dorosłych, jak należy postępować z chorą, i powoływali się oni na zalecenia lekarza. Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby te zalecenia felczer wydał na odległość, nie badając i nie widząc pacjentki, choć wykluczyć tego nie można. Jeśli doszło do takiej wizyty, to na pewno odbyła się po kryjomu.

Teraz, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, lekarz przyszedł do naszej chorej matki oficjalnie w biały dzień! Powitaliśmy go z wdzięcznością i z szacunkiem. Co ciekawe, lekarz nie był w tym czasie jedynym zaskakującym gościem w naszym domu. Z wizytą pojawił się niespodziewanie komendant *posiołka* w towarzystwie swojej żony.

BOGUSŁAW

Ta wizyta, w przeciwieństwie do odwiedzin lekarza, nie była przez nas wyczekiwana, a tym bardziej nie była dla nas miła. Niestety niewiele mieliśmy do powiedzenia, wizytę musieliśmy przyjąć. Jednak pojawienie się tej pary w naszym domu wywołało ogólną konsternację.

DANUTA

Wiedzieliśmy, że w nowej sytuacji politycznej jest to wizyta „przyjacielska”, więc tym, co poczuliśmy wtedy, nie był strach, ale... oburzenie. Chciałoby się powiedzieć: jak on śmiał?

Po ich wejściu byłam jak sparaliżowana, w takich wypadkach nigdy nie miałam refleksu, ale uratowała mnie Róża.

– My z Danusią idziemy po zioła – oznajmiła.

Chwyciła przygotowany płócienny woreczek i szybko wyszliśmy. W domu zostali rodzice, Jadzia i Boguś.

BOGUSŁAW

Trzeba wyjaśnić, że w miejscu naszego zesłania obowiązywały inne zasady niż powszechnie panujące wtedy w sowieckich kołchozach.

Szef kołchozu – nazywany *priedsiedatielem* – nie miał prawa chodzić do chałup kołchoźników, bo to nie było dobrze widziane przez władzę zwierzchnią, było wręcz uznawane za próbę spiskowania czy kumoterstwo.

Natomiast w naszym *posiołku* komendant nie tylko miał prawo, ale wręcz obowiązek kontrolować domostwa zesłańców. U nas nie panowały zwyczaje kołchozowe, lecz rygor łagrowy. Komendant regularnie sprawdzał w chałupach, czy zesłańcy są na miejscu, a przy okazji sondował ich nastroje.

DANUTA

Tak więc, o ile sama kontrola komendanta nie była dla nas niczym dziwnym, o tyle jego wizyta „towarzyska”, z małżonką u boku, stanowiła wydarzenie absolutnie niecodzienne. Po co to przedstawienie? – zastanawiali się później Polacy. Może po to, żeby się zaprzyjaźnić? Może okazując szacunek ciężko chorej kobiecie i cierpieniu jej rodziny, chciał zacząć budowanie swojego dobrotliwego, opiekuńczego wizerunku? A może chodziło o coś jeszcze?

Nie pamiętam dokładnie późniejszych relacji z tej wizyty. Wiem, że wspomniano, jak tatuś w jej czasie bardzo się bał, żeby Boguś nie zaśpiewał komendantowi czegoś, co z całą pewnością nie było repertuarem przeznaczonym dla enkawudzistów. Boguś lubił się popisywać, a nasz „szacowny” gość go do tego gorąco zachęcał.

BOGUSŁAW

Komendant, prawdopodobnie dla rozładowania niezręcznej sytuacji, namawiał mnie wtedy do zaśpiewania polskiej piosenki. Wiedział, że potrafię śpiewać i robię to chętnie. Wcześniej przy okazji kontrolowania

posiołka, gdy zaglądał czasami również do naszej chaty, miał okazję słyszeć moje pieśniarskie popisy. Były to zawsze niewinne ludowe piosenki typu: „Rano, rano, raniusieńko”, „Koło mego ogródeczka zakwitła jabłoneczka”, „Zielony mosteczek ugina się” i inne podobne.

Przystąpiłem ochoczo na propozycję komendanta, jak to małe, skore do popisów dziecko. Tym razem jednak – zupełnie nie wiem dlaczego – zaserwowałem mu pieśń o całkiem innym charakterze. Mój wybór był zaskoczeniem.

– „Gdy naród do boju wystąpił z orężem” – rozpocząłem dziarsko.

Ojciec zbladł, wiedział bowiem dobrze, że zamiast oryginalnej wersji refrenu najbardziej lubię śpiewać tak, jak przerobili go Polacy na zesłaniu. Koniec refrenu w tej wersji brzmiał: „O cześć ci, Hitlerze, Stalinie, psubracie, za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany”.

Przerażenie ojca perspektywą wyśpiewania przeze mnie tych słów było w pełni uzasadnione. Nie było jednak jak mnie powstrzymać, dać znaku, żebym zamilkł. Śpiewałem z entuzjazmem, wpatrzony w komendanta i jego żonę. Końcówkę refrenu wyśpiewałem pełną piersią, we właściwym rytmie, ale... pomijając w zaskakujący sposób niektóre słowa:

– „O cześć ci... lalala, lalala, lalala... za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany”.

Czemu tak zaśpiewałem? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Co mnie tknęło? Na pewno pominięcie tych kilku słów to nie była moja przebiegłość, wyrachowanie czy mądrość polityczna – na pewno nie – byłem przecież smarkaczem.

Głęboki oddech i ulgę widoczną wtedy na twarzy ojca Jadzia przypominała mi po wojnie przez lata.

DANUTA

Jeszcze tego samego dnia, po wyjściu od nas tych niecodziennych gości, kiedy wieść o tej wizycie rozniosła się po *posiołku*, któryś kolega Jadzi dowcipkował, że komendant chodzi teraz po domach z żoną ze względów bezpieczeństwa, bo po tym, jak się wcześniej zachowywał, boi się, że któryś z Polaków w końcu nie wytrzyma jego umizgów i potraktuje go po męsku. Śmiano się, że komendant w akcie rozpaczy chowa się za babskimi plecami.

BOGUSŁAW

Prawdopodobnie w czasie tej „odwilży” komendant, pamiętając wielokrotne wcześniejsze prośby ojca, wysłał do nas lekarza, od którego potem się dowiedział, jak ciężko chora jest nasza matka, i wtedy sam pospieszył z wizytą. Myślę, że chodziło mu o zalecane teraz odgórnie ocieplanie relacji z Polakami.

Nie wiem, jak w tym czasie wyglądały wizyty komendanta w innych domach. Czy on rzeczywiście chodził do wszystkich Polaków z żoną, czy tylko do tych, którzy byli dotknięci nieszczęściem, tak jak my. Nie interesowaliśmy się tym. Byliśmy skupieni na naszej chorej matce. Teraz jej choroba weszła już w ostatnie stadium.

DANUTA

A po tym, co się później wydarzyło – uważam, że komendant przyproceedził wtedy do nas swoją żonę, żeby ona obejrzała sobie naszego Bogusia.

BOGUSŁAW

Kiedy nasza mama już chorowała i było wiadomo, że to jest poważna sprawa, ojciec prosił o umożliwienie wyjazdu naszej rodzinie, o przekwaterowanie nas wszystkich w inne, bardziej przyjazne

klimatycznie miejsce. Złożył odpowiedni pisemny wniosek u komendanta. Ten jednak go wyśmiał. Powiedział, że nasza matka nie pracuje, więc nie stanowi żadnej wartości dla władzy sowieckiej.

– Jak to? U was życie człowieka w ogóle się nie liczy? – spytał go ojciec.

– Liczy się, liczy... Nawet bardzo! Ale ona nie jest nikim ważnym! No, gdyby była *wraczom ili inżynierom* [lekarzem lub inżynierem], to tak! Budowałyby wtedy nasz socjalizm...

Tak więc podanie ojca zostało odrzucone już na poziomie przyjmującego dokument. Nikt inny się nad nim nie pochylił. Komendant zablokował bieg sprawy, którą uznał za fanaberię. Był świadom obowiązującego w Związku Sowieckim podejścia do życia jednostki, bo użył w rozmowie z ojcem stosownej argumentacji.

DANUTA

Teraz Polacy na przeróżne sposoby komentowali wizytę komendanta z małżonką w naszym domu:

– Zobaczcie, jak się tu przywłókł i jaki grzeczny, przyjazny, jaki nagle jest ludzki...

– Jak się im Niemcy do tyłka dobrali, to ludzką twarz nagle dostali.

Dobrze pamiętam, jak sama z wielką czcią pomyślałam w tym czasie o Niemcach.

Dzięki nim jest „odwilż”, ta radość, ta nadzieja!

Nasi przodkowie pochodzili ze wschodnich terenów Polski, a tam zawsze Ruski uznawany był za najgorsze zło, największego wroga. Niemcy byli daleko, od nich nigdy niczego złego na tych terenach nikt nie zaznał... a od Rosjan? Każda polska rodzina! Nasi rodacy na wschodzie Polski cierpieli przez nich od pokoleń. Ja więc sobie wtedy tak ciepło, z wielką sympatią o Niemcach myślałam, choć nikomu nie zwierzałam się z tych swoich

przemyśleń. Wydawało mi się, że jak oni do nas tu w końcu przyjdą i nas wyzwolą – tak naiwnie sobie myślałam – jak nas tu zobaczą, to powiedzą: wracajcie, Polacy, do siebie, do swoich domów... I wtedy my pojedziemy.

BOGUSŁAW

Pisanie podań o przeniesienie nie było czymś częstym, ale ojciec wiedział, że istnieje szansa na pozytywne rozpatrzenie takiej prośby. W Gramatusze sporadycznie zdarzały się przypadki przeniesień na wniosek zainteresowanego. W ten sposób została przesiedlona znana nam rodzina państwa Wołkowyskich. Przenieśli ich – jak po kilku latach dowiedzieliśmy się od ich córki – w dużo bardziej niż Gramatucha cywilizowane miejsce. Nasi rodzice znali tych państwa jeszcze sprzed wojny. Oni mieszkali gdzieś w okolicach Hajnówki, a pan Wołkowyski był wtedy, podobnie jak nasz tata, gajowym w Lasach Państwowych.

Ich rodzina składała się z trzech osób: ojca, matki i dorosłej córki Aleksandry.

Lecz oni na zesłaniu byli uznawani za Białorusinów, więc to była zupełnie inna sprawa...

DANUTA

Państwo Wołkowyscy nie byli jedynymi, których przesiedlono z Gramatuchy w inne miejsce. Wśród przeniesionych bywali też Polacy, ale nie wiem, czy drugi przypadek, który my znamy, jest dobrym przykładem, bo to była samotna stara kobieta, którą zabrano rzekomo do domu starców. Niestety to miejsce ostatecznie okazało się szpitalem dla umysłowo chorych, a jakby tego było mało, to tę nieszczęsną kobietę w drodze do tego przybytku doszczętnie okradziono. Stosunkowo szybko było o tym wiadomo, bo biedaczka zaraz po przyjeździe napisała list do pozostałych w naszym *posiołku* znajomych.

BOGUSŁAW

Agonia naszej mamy zaczęła się w nocy 16 lipca 1941 roku. Ojciec i zaprzyjaźnione kobiety, które były wtedy u nas w domu, postanowili obudzić nas, dzieci, żeby matka się z nami pożegnała.

Właśnie minęło kilka dni, jak skończyłem pięć lat.

Kiedy mnie obudzili i powiedzieli: „Boguś, pożegnaj się z mamusią, ona umiera”, wpadłem w histerię, zacząłem krzyczeć, płakać, wręcz wyć. Płacząc, oblegliśmy mamę. Błagaliśmy, żeby nie odchodziła, żeby została z nami. Wzruszeni dorośli nie mogli w żaden sposób opanować naszego lamentu...

Wtedy wydarzyło się coś niezwykłego, agonia została przerwana, a mama nie umarła tej nocy. Byliśmy szczęśliwi.

DANUTA

Z dziecięcą ufnością uwierzyliśmy niezłomnie, że nasza mamusia wraca do życia. Była spokojna, pogodna. W bardzo przekonujący sposób zapewniała nas, że czuje się coraz lepiej, że jeszcze kilka dni poleży, aby zupełnie wypocząć, ale w sobotę skoro świt wstanie zupełnie zdrowa i wspólnie weźmiemy się do sobotnich porządków. W ciągu tych trzech dni mieliśmy z mamusią nieustający kontakt, ciągle z nią rozmawialiśmy, razem się modliliśmy, a nawet śpiewaliśmy piosenki. Wszystko wskazywało na to – tak się nam, dzieciom, wydawało – że zagrożenie zdecydowanie minęło i nasza mamusia naprawdę wkrótce będzie zdrowa. Wierzyliśmy w to, bo przecież tak bardzo chcieliśmy wierzyć...

Tatuś zapewne nie miał złudzeń. On wiedział, że dramat zbliża się nieuchronnie. Zdawał sobie sprawę, jak trudne stoi przed nim zadanie. Musiał sam się przygotować na ten straszny cios, a ponadto musiał

przygotować na to swoje dzieci. Nie wiedział tylko, jak niewiele czasu ma na te przygotowania.

To były zaledwie trzy doby...

BOGUSŁAW

Nie wiedzieliśmy, że to było tylko odroczenie wyroku. Trzy dni później nad ranem ponownie zaczęła się agonia. Wtedy ojciec zdecydował, że obudzą tylko dziewczynki, mnie budzić nie będą.

– Boguś znowu nie da jej odejść – tak powiedziały zegnające mamę kobiety.

Odeszła...

Ja jeden się z nią nie pożegnałem...

DANUTA

Na Syberię zawędrowały z nami w skrzyni dwie przepiękne balowe suknie naszej mamy. Były sporą ekstrawagancją jak na przedwojenny status majątkowy naszych rodziców, ale cóż, oboje bardzo lubili się bawić, uczestniczyli chyba we wszystkich zabawach i balach organizowanych w Domu Ludowym w Hajnówce. Jedna z tych sukien była czarna, ze szlachetnego, tak zwanego ciężkiego jedwabiu, z długimi wąskimi rękawami z bufami na ramionach. Miała przepiękny krój. Była tak zmyślnie uszyta, że w zależności od potrzeby mogła mieć głęboki, piękny dekolt lub występować w skromnej formie, bez dekoltu, za to z małą stójką. Druga suknia była w zielonym kolorze, również z jedwabiu. Jej największą ozdobą były rzędy złotych guzików na rękawach i na plecach. W jednym rzędzie było ich dwanaście lub więcej, może nawet dwadzieścia. Biegły od największego na szczycie pleców do najmniejszego w talii. Tak samo były ułożone na eleganckich rękawach, naszyte od nadgarstka aż do łokcia.

BOGUSŁAW

Tata kazał pochować mamę w tej czarnej balowej sukni, mimo iż nie było to jej życzeniem. Przed śmiercią prosiła o pochówek w skromnej, zwykłej czarnej sukience. Miała taką jedną wśród swoich rzeczy.

Mama miała nadzieję, że tę drogą balową suknię uda się nam kiedyś korzystnie sprzedać lub wymienić na jedzenie... Kiedyś, gdy zdołamy wyjechać z Gramatuchy. W dzikiej tajdze nawet żony enkawudzystów nie robiły tak nierozsądnych zakupów.

DANUTA

Cmentarz polski nie był całkiem gołym placem, zostało na nim kilka drzew. Pod tymi drzewami były mogiły. Tam została pochowana nasza mamusia. Rosła tam piękna, rozłożysta jodła, a pod nią była mogiła naszej Matki.

BOGUSŁAW

Mama zmarła 19 lipca 1941 roku. Cmentarz, na którym została pochowana, założyli polscy zesłańcy. Leżał po tej samej stronie rzeki Gramatuchy co niedalekie Udarnoje.

DANUTA

Jak jeszcze mamusia żyła, przychodziła do nas pani Sokołowska. Pomagała w opiece nad mamusią, masowała jej nogi, parzyła ziółka. Zawsze po pracy nas odwiedzała. Ona i jej mąż byli bezdzietnym małżeństwem. Razem wyglądali zabawnie, bo pan Sokołowski był bardzo wysokim mężczyzną, a jego żona bardzo niedużą kobietą. Jakiś czas po śmierci mamy pani Sokołowska przechodziła niedaleko naszego domu i zobaczyła siedzącego na pniaczku skulonego Bogusia. Głowę podparł rękami, jak stary zgarbiony dziadek – tak nam to opisywała – i płakał.

– Boguś, dziecko kochane, czemu ty płaczesz? – zapytała.

Boguś stanął, wyprostował się jak struna.

– To pani nie wie, że moja mamusia umarła? To pani tego nie wie?!

Pani Sokołowska bardzo płakała, opowiadając nam o tym spotkaniu z Bogusiem.

BOGUSŁAW

Nie znam prawdziwej przyczyny śmierci mamy. Pamiętam, że w chorobie mocno puchła. Ciało było tak nabrzmiące, że jak się nacisnęło palcem, to dołek utrzymywał się bardzo długo. Nie umiem jednak powiedzieć, czy ona była cały czas spuchnięta, czy te opuchnięcia występowały okresowo. Nie pamiętam.

DANUTA

Kiedy w nocy 10 lutego 1940 roku wtargnęli do naszego domu w Hajnówce sowieccy żołnierze, po raz pierwszy zobaczyłam, jak mamusia zasłabła i zemdląła. Do tego momentu nigdy nie zauważyłam, aby miała jakiegokolwiek kłopoty ze zdrowiem. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek chorowała choćby na zwykłą gripę... Pamiętam dobrze, że była pełną życia, pogodną, rozmowną i aktywną osobą, bardzo kontaktową, nie tylko w życiu rodzinnym, ale również w towarzystwie.

Wszystko radykalnie się zmieniło od tej pamiętnej nocy, a potem pogłębiło w drodze na Syberię. Wtedy była już zupełnie odmieniona. Leżąc w wagonie na drewnianych narach, była małomówna, zamyślona, czasami wręcz apatyczna, jakby obojętna na wszystko. Trwała w jakimś otępieniu. Dziś wydaje mi się, że usiłowała za wszelką cenę odciąć się od stanu faktycznego. Nie mam wątpliwości, że to były już objawy nasilającej się później depresji.

BOGUSŁAW

Myślę, że choroba mamy mogła się zacząć jeszcze przed wywózką na Syberię, bo na Syberii – moim zdaniem – ona nigdy nie była zdrowa.

Mama miała czworo małych dzieci. Na zesłaniu starała się, jak mogła... Jak tylko zebrała w sobie siły, szła płukać złoto albo na wymianę... Ale zawsze dokonywało się to jakby ponadludzkim jej wysiłkiem. Jak nas wsadzili do pociągu, do tego eszałonu, to pamiętam, że mama się wręcz nie ruszała. Leżała na pryczy. Być może sparaliżowała ją świadomość tego, co się działo, ale może trawiła ją choroba, na którą później umarła.

DANUTA

Od pierwszego dnia pobytu w Gramatusze na naszą matkę spadł ogrom obowiązków. Były to prace diametralnie różne od wykonywanych dotychczas i przekraczające fizyczne możliwości przeciętnej zdrowej kobiety. Mamusia jednak wykonywała je wszystkie z pełnym zaangażowaniem i pracowała mimo fizycznego wyczerpania.

Pogorszenie zdrowia nastąpiło – moim zdaniem – po pamiętnym upadku mamusi na drodze z Udarnoje do Gramatuchy, kiedy wracałyśmy od lekarza. Z tego upadku na pewno nie wyszła bez szwanku, a przecież nie było żadnej szansy ani na fachową diagnozę, ani na leczenie czy rekonwalescencję.

Wraz z nadejściem wiosny, a potem lata 1940 roku mamie z każdym dniem przybywało obowiązków. Najbardziej wyczerpujące było ręczne płukanie złota. W sierpniu doszło jej jeszcze mnóstwo prac związanych z wykańczaniem naszego nowego domu. Jak tylko minęło lato i zbliżała się zima, jeszcze przed największymi śniegami i mrozami, nastał gorączkowy czas gromadzenia ziemniaków zdobywanych tylko w drodze wymiany handlowej w sąsiednich *posiołkach*.

A potem, gdy zima trwała i kończyły się zapasy, mamusia, podobnie jak inne Polki, raz po raz przemierzała kilometry tajgi, aby trochę tych cennych kartofelków zdobyć w odległym *posiołku* i na własnych plecach przynieść do domu. Tak doszło do tej morderczej wyprawy tuż przed świętami Bożego Narodzenia. To ona spowodowała ostateczne załamanie zdrowia naszej matki, i tak już zrujnowanego dziesięciomiesięczną pracą ponad siły i nieludzkimi warunkami życia. Jestem pewna, że ta wyprawa zdecydowanie i bezpośrednio zaważyła na jej zdrowiu. Sześć miesięcy po niej matka zmarła.

W ciągu tych ostatnich sześciu miesięcy mama nie wykonywała już żadnych prac poza domem. Jednak na ile tylko pozwalało jej zdrowie, starała się aktywnie uczestniczyć we wszystkich pracach domowych. Kiedy wstawiała z łóżka, owijała się ręcznikiem lub połówką prześcieradła, żeby wzmocnić obolały kręgosłup. Dzięki temu mogła przez jakiś czas pozostawać w pozycji pionowej. W pierwszej kolejności zajmowała się gotowaniem naszej – najczęściej nędznej – strawy, a my pomagałyśmy jej w tym, ucząc się jednocześnie owej „magicznej sztuki”: jak ugotować coś z niczego.

W drugiej kolejności mamusia zajmowała się przeglądaniem odzieży i obuwia, umieszczanych wokół pieca do suszenia. Potem, kiedy już była zmęczona, kładła się, odpoczywała i znowu wstawiała do dalszych zajęć. Najwięcej prac wykonywała jednak w pozycji siedzącej. Z igłą prawie się nie rozstawała. Często robiła ojcu rękawice do pracy, bo one niezmiernie szybko się zużywały. Szyła je z grubego koca, a następnie pokrywała drelichem. Regularnie łątała roboczy kombinezon ojca, cerowała nasze skarpetki i pończochy. Na szydełku zrobiła nam wszystkim nauszniaki, ociepliła nasze czapki, wszywając w nie odpowiednią podszewkę. Na bieżąco naprawiała bieliznę i odzież. Wykonując te wszystkie czynności,

cierpliwie i systematycznie wdrażała nas, dziewczynki, w prace „z igłą” – jakby wiedziała, że wkrótce te umiejętności będą nam bardzo potrzebne.

Z dnia na dzień była coraz słabsza, coraz szybciej się męczyła i częściej odpoczywała... Tak dojrzała do wczesnej wiosny. Pamiętam, że wiosną jeszcze zasoliła czy ukisiła nam kołbę w takiej beczce, która bardziej przypominała skrzynkę niż beczkę.

BOGUSŁAW

Po wojnie nigdy nie rozmawialiśmy z ojcem o śmierci mamy i o jej przyczynie. My, rodzeństwo, nigdy się nie zgodziliśmy co do bezpośredniej przyczyny jej śmierci. Każde z nas miało swoją teorię.

DANUTA

Z zasłyszanych przeze mnie wtedy w Gramatusze rozmów dorosłych na temat stanu zdrowia mamy pamiętam pojedyncze słowa: podźwignięcie, oberwanie czy oberwanie się, nadwyrężenie kręgosłupa, niewydolność krążenia na skutek niesprzyjających warunków klimatycznych, klimat za ostry i serce sobie z tym nie radzi. Być może wymieniane były też inne przyczyny choroby, których nie usłyszałam lub ich nie zrozumiałam i dlatego nie zapamiętałam.

Myślę, że nie było jednej, prostej przyczyny śmierci mamy. Musiało się na to złożyć wiele rzeczy. Jedno zdarzenie pociągało za sobą następne i w ten sposób budował się i narastał splot różnych dolegliwości czy raczej różnych schorzeń.

Na jej kondycję fizyczną niewątpliwie miała wpływ postępująca depresja, która moim zdaniem na pewno nasiliła się po tej ostatniej wyprawie, gdy codziennością były przerwy w dostawach chleba. Nietrudno sobie wyobrazić, jak bardzo zagrożenie głodem musiało pogorszyć jej stan psychiczny.

Ta głodowa zima 1940/1941, jeśli nie spowodowała, to z pewnością przyspieszyła jej śmierć.

BOGUSŁAW

Lato 1941 roku minęło nam w głębokiej żałobie.

DANUTA

O Bogusiu wszyscy mówili, że jest takim dzielnym dzieckiem. I rzeczywiście, ja siedziałam i wyłam, że jestem głodna, a on brał sanki i szedł pojeździć, żeby coś robić, odganiać od siebie myśli o jedzeniu.

Latem 1940 roku często szedł do traczki, gdzie ojciec z sąsiadami cięli drzewo na nowy dom.

– Po co tutaj, dziecko, przyszedłeś? Tutaj huk, nie możemy rozmawiać – mówił ojciec.

– Przyszedłem, bo pani Siemieniakowa przyniosła jakieś jedzenie, a ja jestem głodny, to tu sobie do was przyszedłem.

Boguś był bardzo dzielny.

Po śmierci naszej mamy komendant *posiołka* chciał adoptować Bogusia. Namawiał ojca:

– Ty masz trzy dziewczyny, to trzy kłopoty. Masz tyle kłopotów, to oddaj nam syna! My go wychowamy – to było bezdietne małżeństwo – my go wychowamy na porządnego sowieckiego człowieka.

– Polacy nigdy swoich dzieci nie oddają. Ja, choćbym miał ich jeszcze czworo, to żadnego bym nie oddał. Absolutnie! – odpowiedział mu ojciec.

W okolicznościach, w jakich się znajdowaliśmy, perspektywa uchronienia choć jednego dziecka od permanentnego głodu niejednemu mogłaby się wydać bardzo kusząca.

BOGUSŁAW

Trzeba powiedzieć, że wśród Polaków zdarzali się też i tacy, którzy zachowywali się niegodnie, żeby nie powiedzieć – wręcz podle.

DANUTA

W Gramatusze był jeden taki przypadek. Chodzi tu o rodzinę o znamienitym ziemiańskim polskim nazwisku. Nazwiska nie wymienię, bo byłoby to przykre dla wszystkich, którzy je dziś noszą, a przecież nie o to chodzi, żeby kogoś piętnować. Mówmy więc o rodzinie państwa X.

BOGUSŁAW

Ta rodzina składała się z czterech osób: piękna, dystygowana, bardzo elegancka pani X, dwójka małych dziewczynek, jedna miała około roku, druga była niewiele starsza, i pan X. Przed wojną byli to z pewnością ludzie bardzo zamożni, o wysokim statusie społecznym. Co zadziwiające, już w momencie naszego przyjazdu do Gramatuchy cieszyli się specjalnymi względami sowieckiej władzy. Niektórzy Polacy twierdzili, że pan X już podczas transportu „dogadał się” z Sowietami. Trudno powiedzieć, czy była to prawda, bo ich rodzina nie jechała z nami w wagonie.

DANUTA

W Gramatusze państwo X zostali ulokowani – sami! – w stosunkowo dużym jak na tamte warunki domu. To był jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy, budynek spośród tych przeznaczonych dla zesłańców.

Znaliśmy ich. Pani X przysłała któregoś dnia do mamy i poprosiła, żeby nasza Róża zaopiekowała się jej dziećmi. Nie pracowała, jednak gdy wychodziła na zakupy, nie chciała dzieci zostawiać samych. Mamusia oczywiście się zgodziła. Róża bardzo chętnie do nich chodziła, bo pani X była miłą osobą i nasza siostra dobrze się tam czuła. Dostawała tam zacierki

z prawdziwym mlekiem! Państwo X mieli krowie mleko, bo korzystali z wyjątkowego rozdzielnika.

Pan X – tak powszechnie mówiono – gorliwie współpracował z naszą komendanturą. Wśród Polaków był otwarcie nazywany szpiclem. Nie dla niego była praca w kopalni czy przy wyrębie lasu. Pan X był urzędnikiem u komendanta. To chyba on odpowiadał za cenzurowanie korespondencji Polaków. Pan X był posądzony o donos na dwóch Polaków, którzy podjęli próbę ucieczki z Gramatuchy. Byli to dwaj dorośli synowie polskiej sześciuosobowej rodziny, której dwójka dużo młodszych dzieci została wraz z rodzicami w naszym *posiołku*.

Do próby ucieczki doszło w lutym lub marcu 1941 roku. Pogoda się klarowała. Było ciągle mroźno, ale słonecznie. Uciekinierzy specjalnie opuścili osadę w dzień wolny od pracy, żeby ich nieobecność została jak najpóźniej odkryta. Miało to opóźnić poszukiwania i w oczywisty sposób zwiększyć ich szanse. Nadspodziewanie szybko zostali złapani. Nie wiadomo, co Sowieci z nimi zrobili, nikt nigdy już ich nie widział. Ludzie między sobą mówili, że oni nie żyją, i tylko wyrażali nadzieję, że długo się nie męczyli...

BOGUSŁAW

To wydarzenie wywołało wielkie poruszenie wśród Polaków. Nawet wśród dzieci. Jadzia i Róża opowiadały nam po powrocie ze szkoły, że dzieci w ramach protestu nie chciały uczestniczyć w zajęciach. Jakby wszystkie zgodnie się zmówiły. Raptem wszystkie były nieprzygotowane, jedno nie mogło odpowiadać, bo bolała jej głowa, inne miało chrypę, jeszcze inne nic nie widziało. Każde miało jakiś powód. To wtedy na jedynej ozdobie w klasie, portrecie Stalina, pojawiła się „odważna” dekoracja. Stalinowi

ktoś dorysował na głowie rogi, a na końcówkach wąsów zabawne warkoczyki.

DANUTA

Po tej nieudanej ucieczce komendant natychmiast zwołał wszystkich Polaków w baraku spotkań – à la świetlicy. Perorował na temat sukcesu, jakim było szybkie udaremnienie ucieczki.

– Niech Polacy naiwnie sobie nie myślą, że ktoś spod Taskiły ucieknie! – wykrzykiwał. – Władza sowiecka ma bardzo długie ręce! Bardzo długie. Pamiętajcie!

Po tym wypadku Róża już nie chodziła do opieki nad dziećmi państwa X. Nie potrafię jednak powiedzieć, czy dlatego, że nasi rodzice już się na to nie godzili, czy nie była o to proszona.

* * *

W nowej sytuacji politycznej, w jakiej znalazł się Związek Sowiecki po 22 czerwca 1941 roku, Stalin zmuszony był szukać nowych sojuszników. Dlatego zgodził się na podpisanie 30 lipca 1941 roku w Londynie porozumienia z przedstawicielami polskiego rządu emigracyjnego. Skutkiem politycznym tego paktu miała być wspólna walka obu państw z Trzecią Rzeszą w ramach tak zwanej koalicji antyhitlerowskiej. Ze strony polskiej umowę podpisał premier rządu RP na uchodźstwie generał Władysław Sikorski, a ze strony rosyjskiej ambasador ZSRS w Londynie Iwan Majski. Od nazwisk obu polityków dokument nosi nazwę układ Sikorski–Majski.

Dokument stworzył prawne i faktyczne warunki do uwolnienia polskich obywateli przymusowo przebywających na obszarze ZSRS oraz utworzenia

tam Polskich Sił Zbrojnych.

Układ Sikorski–Majski dał uwięzionym w głębi Związku Sowieckiego Polakom namiastkę wolności: zwolnienie z łagrów i miejsc zsyłki oraz prawo do zmiany miejsca zamieszkania. ZSRS wydał dekret o amnestii dla obywateli polskich: więźniów politycznych i zesłańców. Osoby, które zostały objęte amnestią, miały prawo opuszczenia dotychczasowych miejsc przymusowego pobytu oraz swobodnego osiedlania się na terytorium Związku Sowieckiego, z wyłączeniem terenów nadgranicznych, objętych działaniami wojennymi, stref zakazanych i tak zwanych miast zamkniętych. Władza sowiecka zobowiązała się wydać im tymczasowe dowody tożsamości z odnotowanym faktem amnestii i uznania ich za obywateli polskich, którzy mają prawo do rejestracji w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRS i wymiany tego dokumentu na polski paszport. Ten „akt łaski” ze względu na zastosowane przez stronę sowiecką kruczki prawne nie dotyczył wszystkich obywateli polskich przymusowo przebywających na terenie Związku Sowieckiego.

Skutkiem podpisania układu Sikorski–Majski było również przywrócenie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską i Związkiem Sowieckim, zerwanych 17 września 1939 roku, w dniu najazdu ZSRS na Polskę. Przywrócona została działalność Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRS z siedzibą początkowo w Moskwie, a potem – po wymuszonej w wyniku działań wojennych ewakuacji zagranicznych placówek dyplomatycznych w głąb Związku Sowieckiego – w Kujbyszewie (dziś Samara).

* * *

BOGUSŁAW

W sierpniu 1941 roku lotem błyskawicy rozniosła się wśród Polaków wiadomość, że komendant zwołuje zebranie, ponieważ ma do przekazania dobre wieści. Część z nas bardzo się ucieszyła, myśląc, że sprawa dotyczy zwiększenia dziennego przydziału chleba.

DANUTA

Komendant zakomunikował, że 30 lipca została zawarta pomiędzy rządem Związku Sowieckiego a rządem polskim na uchodźstwie w Londynie umowa, zwana potocznie układem Sikorski–Majski, na której mocy polscy zesłańcy zostali objęci amnestią i na terenach sowieckich będzie formowało się polskie wojsko. Wśród Polaków zapanowała ogromna radość i wielki entuzjazm. Komendant poinformował również, że wszystkie szczegóły zostaną przekazane w miejscowości Centralnyj na zebraniu przedstawicieli Polaków, którzy mają tam się zjechać z rozsianych po tajdze *posiołków*. Kazał wybrać na to spotkanie delegata z Gramatuchy.

Było nam bardzo miło, gdy się okazało, że większość wskazała naszego ojca jako zaufaną i godną tego zadania osobę. Tata miał opory, był wdowcem i jedynym opiekunem czwórki dzieci. To było przecież po śmierci naszej matki. Ale od razu zgłosiły się kobiety chętne do opieki nad nami, żeby tylko mógł wyruszyć w drogę. Ktoś też rozsądnie zauważył, że udanie się w taką podróż w pojedynkę jest bardzo niebezpieczne.

– Władza sowiecka gwarantuje *biezopasnuju dorogu* [bezpieczną drogę]
– zapewniał dotknięty tym stwierdzeniem komendant. – Gwarantuje!

Jednak szybko zgodził się na propozycję Polaków i tak nasz ojciec w towarzystwie kolegi wybrali się w daleką, bo liczącą około siedemdziesięciu kilometrów drogę przez tajgę do miejscowości Centralnyj.

BOGUSŁAW

To okazało się potem dla nas zbawienne, bo ojciec, wracając stamtąd, robił szczegółowe notatki dotyczące drogi, którą można było przez tajgę dotrzeć z Gramatuchy do Centralnego.

DANUTA

Z niecierpliwością czekano na powrót delegatów: naszego ojca i jego towarzysza. Po ich powrocie komendant zorganizował zebranie dla wszystkich polskich gramatuszan, na którym przekazali oni rodakom szczegółowe warunki amnestii Polaków.

Wielkie poruszenie i ogromne nadzieje wzbudziła wiadomość o tworzeniu się w Buzułuku polskiej armii.

Nastawienie do nas enkawudzistów, komendanta i innych Rosjan uległo natychmiastowej zmianie. Wszyscy zrobili się życzliwi. Nagle okazało się też, że dużo łatwiej jest wypracować normę i otrzymać kartki na chleb. Był to dowód na to, że Polacy cały czas byli okradani z żywności wypracowywanej morderczą harówką.

Zaczęto agitować, żeby nigdzie nie odchodzić, że gdzie indziej nie jest przecież lepiej! Tu, daleko od frontu, jest bezpiecznie. To tu powinniśmy zostać i pracować już jako wolni ludzie.

BOGUSŁAW

Zostaliśmy objęci amnestią i to otwierało nam drogę do opuszczenia miejsca zesłania.

Większość Polaków postanowiła udać się do Buzułuku, gdzie formowała się polska armia pod dowództwem generała Władysława Andersa.

DANUTA

Z Centralnego ojciec przyniósł też wtedy informację, że do tej pory przebywaliśmy na zesłaniu na prawach jeńców wojennych. Czy to była

prawda, nikt już w to nie wnikał. Przecież do tej pory słyszeliśmy przeróżne interpretacje naszego statusu, a wszystkie zależne od tego, co w danym momencie było wygodne dla naszych włodarzy.

BOGUSŁAW

Byliśmy „wolnymi ludźmi” – nie w dosłownym znaczeniu tego słowa, ale mogliśmy opuścić miejsce zesłania, uciec z tajgi.

DANUTA

W naszej świadomości miejscem zesłania był *posiołek* Gramatucha nad rzeką Kiją. Dopiero po latach ustaliliśmy, że rzeka płynąca przez nasz *posiołek* to tak naprawdę dopływ Kii o nazwie Gramatucha. Dorośli musieli jednak zdawać sobie sprawę, że rzeka, nad którą leży Gramatucha, jest dalej szersza, bo gdy dotarła do nas ta radosna wiadomość, że możemy stamtąd wyjechać, wszyscy wiedzieli, że najszybszym sposobem opuszczenia miejsca zesłania jest spływ w dół rzeki.

Było wiadomo, że nie chodzi o tę rzeczkę, nad którą mieszkaliśmy.

Wiedzieliśmy, że ci, którzy chcieli spłynąć na tratwach, chodzą po pracy nad odległy o siedem kilometrów brzeg rzeki Kii i tam te tratwy budują.

BOGUSŁAW

Plan opuszczenia miejsca zesłania dla wszystkich był taki sam. Wydobyć się z tajgi, dotrzeć na jej skraj, do miejsca, gdzie dochodzi droga, którą można by się udać na najbliższą stację Kolei Transsyberyjskiej, aby stamtąd wyruszyć w dalszą podróż lub gdzieś w pobliżu kolei osiedlić się w bardziej przyjaznych warunkach. Miejscem, do którego wszyscy chcieli dotrzeć najpierw, był więc Makarak, gdzie półtora roku temu zostaliśmy odstawieni z ciepłuszek i skąd potem wieziono nas saniami po zamarniętej Kii do Gramatuchy.

DANUTA

Niektórzy Polacy na nic nie czekali, tylko od razu wyruszyli w drogę. Była jedna rodzina, która dwa czy trzy dni po ogłoszeniu warunków amnestii opuściła Gramatuchę. W rodzinie tej było dwóch dorosłych synów, którzy rwali się do polskiego wojska.

Z tego, co wiem, chyba wszyscy Polacy odeszli wkrótce z Gramatuchy i Udarnoje. Najdłużej zostali państwo X. Nie wybrali się z rodakami. Pan X bał się zemsty. Ktoś potem powiedział ojcu, że oni jednak też stamtąd wyjechali.

BOGUSŁAW

Były trzy sposoby, aby przebyć tajgę. Każdy z nich niósł inne ryzyko. Dwa zakładały wykorzystanie rzeki.

Pierwszy to spływ samodzielnie zbudowanymi tratwami, których wykonanie pochłaniało dużo czasu i sił. Budowali je najczęściej wspólnie mężczyźni z kilku rodzin, ładowali na nie dobytek i płynęli w dół rzeki. Kobiety i dzieci szły pieszo brzegiem. Tymi tratwami trudno było sterować i nierzadko się rozbijały, ale był to najbardziej popularny sposób ucieczki Polaków z Gramatuchy.

Drugi sposób to spływ łodziami, które dowoziły żywność do kompleksu Udarnoje, a potem w dół rzeki płynęły zazwyczaj puste. Nie wiem, czy rodziny, które się na to decydowały, musiały opłacić tę podróż. Faktem jest, że kolejka chętnych była olbrzymia i istniało ryzyko, że zanim nadejdzie czas spływu, przyjdzie mróz i skuje rzekę lodem. Były przecież tylko dwie takie łodzie, transporty żywności nie docierały codziennie, a na każdą łódź mogła wejść ograniczona liczba osób z bagażami.

Trzecia możliwość to był marsz przez tajgę do miejscowości Centralnyj, skąd droga prowadziła nad Kiję, do miejsca, z którego kursował rzeczny

prom do Makaraku. Ten sposób uważany był za najtrudniejszy. Do Centralnego było wiele kilometrów, a zgubić się na bezdrożach tajgi i zginąć tam było bardzo łatwo.

Ojciec musiał podjąć trudną decyzję. Nie chciał sam płynąć tratwą w dół rzeki, chciał iść razem z nami, dziećmi. Wybrał więc tę trzecią, najtrudniejszą drogę.

DANUTA

Ojciec nie chciał nas zostawić samych. Byli tacy, którzy zachęcali go, aby koniecznie płynął tratwą wraz z dobytkiem. Mówili, że rodziny idące wzdłuż rzeki zaopiekują się dziećmi, żeby ojciec mógł zabrać wszystkie nasze rzeczy: pościel, obuwie, naczynia, to wszystko było tam bardzo cenne. Ojciec jednak powiedział, że nie rozstanie się z dziećmi na obcej ziemi.

Postanowił, że pójdziemy razem piechotą przez tajgę do odległego o siedemdziesiąt kilometrów Centralnego. Tę drogę już znał.

BOGUSŁAW

Nasza rodzina opuściła Gramatuchę 2 września 1941 roku.

Odchodząc, zostawialiśmy dawnych sąsiadów, znajomych, wywiezionych tu razem z nami Białorusinów i Ukraińców. Pamiętam, jak nasz sąsiad z Hajnówki – ten, który się cieszył, gdy na polskie ziemie w 1939 roku wchodzili Rosjanie, i wołał radośnie „Naszy idut, naszy idut!” – żegnając nas, płakał rzewnymi łzami.

Ojciec na pożegnanie podarował mu cały sprzęt potrzebny do pracy w lesie: piłę, siekierę, wszystkie narzędzia, które miał, a które mogłyby się sąsiadowi przydać. Tam to były bardzo cenne rzeczy.

Żał nam było zostawiać te rodziny – większość z nich to byli naprawdę bardzo dobrzy, przyzwoici ludzie.

DANUTA

Zanim wyruszyliśmy na piechotę przez górzystą tajgę do Centralnego, część naszego bagażu zawieźliśmy do *posiołka* Spasobnyj. Tam raz na jakiś czas dojeżdżał konik z pocztą. Ojciec tak załatwił sprawę z komendantem, że mogliśmy nadać bagaż jako przesyłkę pocztową do Centralnego. W bagażu umieściliśmy część odzieży, mniej wartościowe obuwie, a przede wszystkim pościel. W pościeli tatuś ukrył buteleczkę z drobinami złota.

BOGUSŁAW

Te kruszynki złota udało się uzbierać w wielkiej tajemnicy. Buteleczki nie mogliśmy zabrać ze sobą. To było zbyt duże ryzyko. Gdyby złapano kogoś z takim pakunkiem, wyrok byłby okrutny – rozstrzelanie albo w najlepszym razie obóz o zaostrzonym rygorze. Takie wyroki były powszechne za – jak się to określało – okradanie państwa sowieckiego. Ojciec nie mógł ryzykować.

W paczce był też schowany ów legionowy mundur ojca, co to wrócił do nas po feralnej sprzedaży komendantowi.

DANUTA

Drugą część bagażu, tę najcenniejszą: odzież, obuwie i naczynia, zabraliśmy ze sobą. Wszystko, co mieliśmy, nieśliśmy na plecach w prowizorycznych plecakach zrobionych ze zwykłych jutowych worków. Wykonanie takiego plecaka było dość proste. Rogi worka wypełniało się dwoma kartoflami lub czymś innym okrągłym, ale lekkim, i obwiązywało wokół sznurkami, drugimi końcami sznurków zawiązywało się worek u góry – w ten sposób ze sznurków powstawały paski do założenia na ramiona.

Boguś w takim plecaku dźwigał nasz prowiant.

BOGUSŁAW

Miałem pięć lat, a niosłem w plecaku żywność dla całej rodziny.

DANUTA

Ruszyliśmy do Centralnego. Nie pamiętam, ile dni szliśmy. Wiem natomiast, że w czasie tej naszej marszruty cały czas utrzymywała się piękna słoneczna pogoda.

Pamiętam, że nasza wędrówka już od pierwszego dnia była dość urozmaicona. Szliśmy leśnymi drogami i niezbyt przetartymi ścieżkami, a niekiedy wprost przez las. Zapamiętałam jedną bardzo niebezpieczną przeprawę przez wielką rozpadlinę skalną, która dla nas, dzieci, jawiła się jako przepaść. Trzeba było nad nią przejść po kładce z dwóch grubo ciosanych bali. Ojciec najpierw poprzemógł na drugą stronę wszystkie bagaże, a następnie przeprowił się z każdym dzieckiem osobno. Było to bardzo niebezpieczne, ale to przejście pozwoliło nam znacznie skrócić drogę i dotrzeć przed zmierzchem do miejsca pierwszego noclegu.

Była wielka radość, kiedy maszerując już resztkami sił, nagle zobaczyliśmy wśród niekończącej się tajgi ludzkie domostwo. To był barak mieszkalny i obok jakieś zabudowania, chlewiki czy szopy. Gospodarze na nasz widok nie mogli ukryć zaskoczenia. Nagle z tajgi wyszedł ojciec z czwórką dzieci. Po krótkich wyjaśnieniach przyjęli nas bardzo życzliwie, wręcz gościnnie. Była to bardzo biedna, wielodzietna rodzina, mieli co najmniej siedmioro dzieci. Jednak zasady panujące w tym domu bardzo nas zaskoczyły. Kiedy tatuś chciał wyjąć nasz prowiant, żeby przygotować kolację i poczęstować również gospodarzy, małżonkowie zgodnie i szczerze zaprotestowali.

– Schowajcie wasz prowiant – powiedzieli. – Zostawcie go na dalszą drogę. Dzisiaj prosimy was na naszą kolację. Wy nie jesteście

gosudarstwiennymi czynownikami [urzędnikami państwowymi], tylko *putieszestwiennikami* [wędrowcami].

Przyjeliśmy zaproszenie. Rozpoczęła się uczta. Na niziutkim, ale dużym stole gospodyni postawiła wielki gorący garnek dymiących jeszcze kartofli w mundurkach i miseczkę z solą. Wszyscy zasiedli na ławkach poustawianych dookoła stołu. Sposób jedzenia ich dzieci dowodził, że w tym domu nie najadało się do syta.

Po kolacji nasz tatuś rozmawiał z gospodarzem o dalszej wędrówce w stronę Centralnego. Obaj pochylili się nad zapiskami ojca. Gospodarz, który znał ten teren, instruował naszego tatę, wnosząc do jego planu bardzo istotne poprawki, które ojciec przyjmował z wielką uwagą i wdzięcznością.

Nocleg przygotowali nam wprost królewski. W dość obszernej izbie na czystej podłodze położyli świeże, pachnące siano! W tej izbie razem z nami spały także starsze dzieci gospodarzy.

Zanim o świcie wyruszyliśmy w dalszą drogę, tatuś usiłował wcisnąć gospodyni coś z naszych skromnych zapasów jedzenia, jednak ona stanowczo odmówiła. Nie przyjęła też żadnej zapłaty.

W miarę jak kontynuowaliśmy wędrówkę do Centralnego, zmęczenie narastało, dlatego drugi nasz nocleg pamiętam jak przez mgłę... Nie pamiętam też, czy tych noclegów było potem więcej...

Ale w końcu pierwszy etap ciężkiej i niebezpiecznej podróży mieliśmy za sobą. Szczęśliwie dobrnęliśmy do osady Centralnyj. Miejscowość ta była zasiedlona między innymi przez Polaków z tego samego transportu co my. Podobnie jak zesłańcy w Gramatusze, pracowali tam w kopalni złota i przy wyrębie w tajdze.

Pamiętam, jak serdecznie witali nas nasi rodacy. Niektórych z nich ojciec poznał już w trakcie dotyczącego amnestii zebrania informacyjnego dla Polaków. Nielicznych znał jeszcze sprzed wojny.

BOGUSŁAW

W Centralnym ojciec od razu zatrudnił się na kilka tygodni w kopalni złota. Musiał zarobić na nasze bieżące utrzymanie i dalszą podróż. Ponadto chciał rozeznać się w sytuacji, poznać ludzi, których można by prosić o pomoc w zorganizowaniu dojazdu do Makaraku i dalej, do najbliższej stacji kolejowej.

DANUTA

Na mieszkanie przydzielono nam niewielkie lokum w baraku, gdzie było oświetlenie elektryczne. Dla nas nieprawdopodobny luksus. Pamiętam, jak cieszyła nas ta zwisająca z sufitu żarówka. Prądu nie mieliśmy od tak dawna...

BOGUSŁAW

Nasza rodzina została objęta aprowizacją przysługującą od momentu amnestii wszystkim polskim zesłańcom. Jadzia odbierała w sklepie należny nam *pajok* i przy naszym – młodszego rodzeństwa – skromnym udziale gotowała jakąś strawę.

DANUTA

Dostawaliśmy teraz dużo większe przydziały chleba niż w Gramatusze. Nie wiem, czy wynikało to z tego, że byliśmy „wolnym narodem”, czy z tego, że w Gramatusze nas okradano. Ale było już zupełnie inaczej. Nie był to raj, ale było dużo, dużo lepiej.

Gotowaliśmy posiłki, żeby jak najwięcej przydziałowego chleba ususzyc na drogę. Ojciec miał świadomość, że gdy trwa wojna, zawsze są kłopoty z żywnością. Udało się nam ususzyc i czarnego, i nawet trochę białego chleba. Na drogę mieliśmy więc mieszane suchary.

BOGUSŁAW

Poczuliśmy wielką ulgę, kiedy nareszcie z wielodniowym opóźnieniem na pocztę w Centralnym dotarł nasz bagaż nadany z *posiołka* Spasobnyj. Radość jednak nie była pełna. Szybko się okazało, że nasza przesyłka nie tylko została gruntownie spenetrowana, ale zawierała tylko jedną trzecią pierwotnego stanu. Ukradzono co cenniejsze rzeczy, w tym legionowy mundur taty i buteleczkę ze złotem. Ale została pościel: koc, pierzyna, kołdra i poduszki, a to były rzeczy dla nas niezbędne.

W państwie sowieckim w czasie wojny okradanie paczek było na porządku dziennym. Przyjście paczki nieokradzonej granoczyło wręcz z cudem. Doprowadzeni do ostateczności ludzie wyzbywali się wszelkiej przyzwoitości i zasad. Reklamacji nikt tam wtedy nie składał.

DANUTA

Przed wyjazdem z Centralnego ojciec zabrał nas wszystkich do prawdziwego lekarza. Chciał się dowiedzieć o stan naszego zdrowia. Lekarzem był Rosjanin, starszy, kulturalny pan. Bardzo miło się zachował, rzeczowo i odpowiedzialnie podszedł do sprawy.

Najpierw nas zbadał, a potem odradził podróż na południe, czyli w kierunku, w którym po ogłoszeniu amnestii pojechało prosto z Syberii wielu Polaków. Radził, aby nie dać się zwieść opowieściami o ciepłym południu, wygrzewaniu się w słońcu, rzekomej dostępności cytryn i pomarańczy. Przestrzegł przed tyfusem i malarią. Doradził, abyśmy najpierw jechali do Buzułuku, żeby tam, w łagodniejszym klimacie, odbudować, zahartować organizmy, a dopiero potem jechać na południe.

– *Mołodiec, mołodiec* [zuch, zuch] – pochwalił Bogusia, słysząc, że malec przemaszerował przez tajgę siedemdziesiąt kilometrów z workiem na plecach.

BOGUSŁAW

Którejś nocy zapakowaliśmy się na pakę ciężarowego samochodu konwojowanego przez krasnoarmiejców i wyjechaliśmy z Centralnego.

DANUTA

Formalności pozwalające na odbycie dalszej podróży ojciec załatwił na posterunku milicji. Do tej cieszącej się złą sławą instytucji zabrał ze sobą Bogusia. Dobrze wiedział, że anielski wygląd synka zmiękcza najtwardsze serca, a szczere, pozbawione lęku spojrzenie budzi zachwyt mundurowych mężczyzn, przekonanych, że jest to dowód na siłę charakteru i odwagę malca. To im się podobało.

Boguś był bardzo szczęśliwy, że ojciec z nim chodzi do ważnych urzędów.

Szef posterunku wystawił dokument, w którym wymienił imiennie wszystkich podróżnych. Zamieścił informację, że wymieniony obywatel, czyli nasz ojciec, jest znany tutejszemu posterunkowi, pracował w miejscowej kopalni, został rozliczony i nie ma do niego żadnych zastrzeżeń.

Dopiero na podstawie tego zaświadczenia był możliwy zakup biletu kolejowego na dalszą drogę. Musieliśmy dotrzeć jakimś transportem do najbliższej stacji kolejowej...

BOGUSŁAW

To był mały, bardzo popularny tam wtedy ciężarowy samochód ZIS-5, powszechnie nazywany gruzowikiem.

– *ZIS piat', ZIS piat', s gorki jediesz, pod gorku pchat'* [ZIS-5, ZIS-5, z górki jedziesz, pod górkę (trzeba) pchać] – śmiali się Polacy.

To niewiarygodne, w jak dużej części ten samochód był wykonany z drewna. Nie tylko paka, ale kabina kierowcy i nawet stopnie przy niej były drewniane.

DANUTA

Jechaliśmy tym gruzowikiem do stacji kolejowej... Nie wiem, czy to był Tiażin czy Mariinsk, ale myślę, że Mariinsk. Dalej już koleją mieliśmy się udać w kierunku Buzułuku.

BOGUSŁAW

Pakunki, dzieci, kobiety załadowano na samochód, a mężczyźni i konwojenci szli. Pamiętam, jak jakaś paczka spadła konwojentowi na nogę i on zaczął siarczyście kląć... Klął przez długi czas i ani jednego przekleństwa nie powtórzył, czym wzbudził mój szczerzy podziw. To był zlepek najgorszych przekleństw, jakie wtedy na każdym kroku słyszało się w Związku Sowieckim. Nigdy wcześniej i nigdy potem czegoś takiego nie słyszałem, mimo że przekleństwa były czymś absolutnie powszechnym.

DANUTA

Koleją najpierw dotarliśmy do Nowosybirska. Jechaliśmy tam towarowym wagonem, ale nie była to znana nam ciepłuszka. Pociąg załadowany był ludźmi z tobołami, a wielu towarzyszy tej naszej podróży to byli polscy zesłańcy wracający z głębi Syberii, tak jak my.

BOGUSŁAW

Nie wiem dokładnie, jak ojciec zdobył bilety na ten pierwszy odcinek podróży koleją. Ale wiem, że aby kupić bilety kolejowe, był potrzebny specjalny dokument od władz. Wszędzie było tak samo. Wszędzie było potrzebne zezwolenie na pokonanie konkretnego odcinka, które uprawniało

do zakupu biletów kolejowych. Pozwolenie na wyruszenie w drogę dostaliśmy najpierw w Gramatusze od komendanta naszego *posiołka*, potem w Centralnym na posterunku milicji. Tak samo było w Nowosybirsku, ale tam ojciec dostał zezwolenie w przydworcowym posterunku milicji na zakup biletów i dalszą podróż do Czelabińska.

DANUTA

Ten etap podróży był dla nas olbrzymim pozytywnym zaskoczeniem. Pociąg był pierwszym sowieckim pociągiem osobowym, jakim jechaliśmy, i to był typowy dalekobieżny. Miał przedziały i numerowane miejsca. Luksus wręcz niewiarygodny! Wagon – jak polski przedwojenny pulman, taki z najelegantszymi przedziałami. Na dole siedzieli ludzie z miejscówkami, chyba po pięć osób na każdym siedzeniu, a nad nimi były dwie półki – kuszetki. Tam znajdowały się miejsca leżące, ale nasze były załadowane bagażami i pościelą. Wszystko, co posiadaliśmy, mieliśmy ze sobą.

Jeden z panów zaproponował, że każdy weźmie na swoją pryczę trochę naszego bagażu i tak zrobi się miejsce, żeby dzieci mogły na zmianę trochę poleżeć i się przespać. Kiedy zgłosiliśmy potrzebę odwiedzenia toalety, pierwszy poszedł tam na zwiady tata. Wrócił zaskoczony. Czysta ubikacja, czysty ręcznik, a w kranie woda! Ręcznik kazał wziąć jednak nasz, bo pamiętał przestrożę lekarza z Centralnego, który przestrzegał przed panującą właśnie epidemią świerzbu.

Ta podróż trwała długo, chyba dwa dni. Do pokonania nie mieliśmy zbyt dużego dystansu, ale pociąg często stawał i przepuszczał transporty wojskowe. Czas ten upłynął nam komfortowo i przyjemnie. Do tej podróży byliśmy dobrze przygotowani. Tata był uzbrojony w kankę na *kipiatok*. Po *kipiatok* wyskakiwało się na postojach. Ta nasza kanka to było wspaniałe

rozwiązanie, ponieważ ojciec nie parzył się, niosąc wrzątek. Inni z reguły mieli metalowe kubki, których uchwyty bardzo się nagrzewały od gorącej wody. A my nawet mogliśmy częstować innych. Żywiliśmy się sucharami maczanymi w gorącej wodzie.

BOGUSŁAW

W Czelabińsku był oddział polskiej ambasady. Musieliśmy tam dotrzeć.

Do miasta przyjechaliśmy nocą. Zobaczyliśmy pięknie oświetlony dworzec. Zapewne było to kilka zwykłych żarówek, ale my po tak długim czasie bez elektryczności byliśmy tym widokiem zachwyceni.

DANUTA

Weszliśmy do dworcowej poczekalni dla podróżnych, a tych poczekalni – o dziwo – było kilka. Ciągłe przeganiali ludzi z jednej do drugiej. Jak wysprzątała jedną, to zabierali się do sprzątania następnej. Tłok w salach był wręcz niewyobrażalny. O tym, żeby usiąść na ławce albo położyć się choć na podłodze, nie było mowy. Ludzie pokotem spali na ziemi. Przychodziły sprzątaczk i budziły koczujących, wyrzucając ich do wysprzątanego pomieszczenia. Tarmosiły ludzi niemiłosiernie, bo zmęczeni często spali jak kamień, nawet na stojąco.

– Po co wy tak ciągle przeganiecie tych skonanych ludzi? – zapytał ktoś.
– Dalibyście im spokój, niechby spali.

– No tak, wtedy by nas wszy zjadły.

I faktycznie. Po niejednym człowieku pchły i wszy wręcz skakały. Czarno było od tych insektów. Najlepiej było to widoczne właśnie w momencie przeganiania ludzi z jednej sali do drugiej.

Kiedy ogłaszano zamykanie poczekalni i nakazywano przeprowadzkę do innej, do drzwi ruszał pędem dziki tłum. Każdy walczył, aby w kolejnej sali zdobyć miejsce na ławce lub do leżenia na podłodze. Koszmar.

Pamiętam, że nieopodal nas siedziała na ławce starsza elegancka pani, a obok stała jej córka. Obie urodziwe. Z wyglądu znać było, że to Jewrejki [Żydówki]. Młodsza pani zostawiła na jakiś czas tę starszą samą. A w poczekalni aż roіło się od złodziei. Trzeba się było mocno pilnować. Starsza kobieta była w futrze, a za pazuchą miała pakunek, chyba z pieniędzmi i dokumentami. Była wyraźnie zmęczona i na moment zasnęła. Nikt nie zauważył, w jaki sposób i kto wyciągnął jej to zawiniątko. Córka wróciła i odkryła stratę. Jak ona rozpaczała, rwała włosy z głowy.

– *Maman, maman, szto ty nadielała. Maman, szto ty nadielała!* [Mamo, mamo, coś ty narobiła. Mamo, coś ty narobiła!]

To wszystko działo się w czasie, gdy ojciec poszedł kupić nam zupę i stał w długim ogonku. Niestety, jak już zbliżała się jego kolej, okazało się, że znowu wszystkich wyrzucają do następnej poczekalni.

BOGUSŁAW

Po kolejnej przeprowadzce i po powtórnym odstaniu w kolejce w końcu dostaliśmy tę zupę... Chodziliśmy po kolei do ojca i jedliśmy.

DANUTA

Jak nastał dzień, ojciec musiał iść szukać oddziału naszej ambasady, ale bał się zostawić nas samych w tym tłumie w poczekalni. Było to już po tym, jak w Nowosybirsku ukradli nam worek z butami, mimo że wszyscy pilnowaliśmy naszych bagaży.

Teraz ojciec zaprowadził nas do „przyjaciela dzieci”, tuż przy dworcu kolejowym. Schodkami dochodziło się do postumentu, gdzie na cokole stał pomnik Lenina.

BOGUSŁAW

Lenin był zawsze przez Rosjan kreowany na patrona najmłodszych. Propaganda głosiła, że w Polsce uczą się tylko dzieci bogaczy, a biedne muszą pracować. W Związku Sowieckim jest inaczej. Lenin i Stalin dali możliwość nauki wszystkim dzieciom.

DANUTA

Przy pomniku stały ławki. Tata zestawiał dwie, po bokach usadził nas, a w środku ulokował nasze bagaże, żeby łatwiej było ich pilnować.

– Tu taki anioł stróż stoi – żartował. – Tu nikt nie odważy się dzieci skrzywdzić.

Tak nas zostawił.

Na schodkach prowadzących do pomnika siedział chłopiec, mógł mieć dwanaście–trzynaście lat, spod czapki wychodziły mu rude kędziory. Dziecko, które dzięki Leninowi powinno być w szkole i sumiennie się uczyć, zarabiało tu na życie jako pucybut. Kiedy ojciec się z nami żegnał i przestrzegał o czyhających na nas niebezpieczeństwach, na schodki prowadzące do cokołu wszedł starszy lejtnant o azjatyckich rysach. Usiadł chmurny i nadęty.

– Dzieci, zamiast być w szkole, czyszczą buty oficerom – skomentował ojciec.

Azjata dochrapał się takiego zaszczytu, że rosyjski chłopiec czyści mu buty. Oficer nadstawił nogi i zaczął czytać gazetę. Nie wiem, o co poszło pomiędzy chłopcem a lejtnantem. Czy ten zapłacił za mało, czy w ogóle nie chciał płacić, tego nie widzieliśmy. Oficer nagle wstał i wymierzył chłopcu siarczystego kopniaka, tak mocnego, że dzieciak spadł ze schodów. Na naszych oczach wydarzyło się coś, co wydarzyć się w sowieckiej Rosji nie miało prawa. Trudno było w to uwierzyć.

BOGUSŁAW

Ojciec wrócił po nas furmanką zaprzęgniętą w konia. Prawdopodobnie ten środek transportu był własnością naszej ambasady lub tylko pracował na jej zlecenie. I tak pojechaliliśmy do naszych...

DANUTA

Pamiętam z Czelabińska wielką kotłowaną ludzi. Jedni jechali w tę, inni w drugą stronę. Olbrzymie ludzkie masy uciekały ze strefy działań wojennych, jechały jak najdalej od frontu. W drugą stronę podążały transporty wojskowe.

W tym tumultie, wrzawie i pośpiechu zapisały się miłe chwile. Dobrze wspominałam naszą ambasadę w Czelabińsku. Przyjęto nas tam niezmiernie życzliwie. Najserdeczniejsze były kobiety, które załamywały nad nami ręce. Współczuły nam z powodu śmierci mamy. Bardzo doceniano trud ojca – wdowca opiekującego się czwórką dzieci. Dostaliśmy tam coś nadzwyczajnego: gorącą herbatę, a potem talony na obiad! Byliśmy najedzeni i mogliśmy bezpiecznie odpocząć. Spaliśmy co prawda na podłodze, ale mieliśmy przecież swoją pościel, więc nie było problemu.

W ambasadzie dostaliśmy bilety do Buzułuku na normalny osobowy pociąg, ale już nie taki elegancki i luksusowy, jakim jechaliśmy poprzednio. W tym panował standardowy tłok, ludzie siedzieli wszędzie, gdzie się dało, i stali na korytarzach. Na to jednak nie zwracaliśmy żadnej uwagi, bo żyliśmy już tylko Buzułukiem.

* * *

W konsekwencji układu Sikorski–Majski 14 sierpnia 1941 roku podpisano w Moskwie polsko-sowiecką umowę mającą doprecyzować zasady powstania polskiej armii na terenie Związku Sowieckiego. Ustalono, że

wojsko organizacyjnie i personalnie będzie podlegać Naczelnemu Wodzowi Polskich Sił Zbrojnych generałowi Władysławowi Sikorskiemu, a operacyjnie dowództwu sowieckiemu. Miało powstać w możliwie najkrótszym czasie, a walkę podjąć, gdy osiągnie pełną gotowość bojową. Prognozowany stan liczebny oszacowano na około 30 tysięcy ludzi. Armię miały tworzyć dwie dywizje piechoty i pułk zapasowy, żołnierze rekrutowali się spośród polskich obywateli deportowanych w głąb Związku Sowieckiego, więźniów łagrów i jeńców wojennych. Uzbrojenie, umundurowanie i wyposażenie zobowiązały się dostarczyć władze ZSRS, a częściowo również Wielka Brytania.

Obowiązki dowódcy nowo powstających Polskich Sił Zbrojnych powierzono generałowi Władysławowi Andersowi. Od jego nazwiska pochodziła potoczna nazwa tej formacji – Armia Andersa.

Szybkie powstanie armii i włączenie jej do działań wojennych miało dla Polaków fundamentalne znaczenie prestiżowe i było ważne dla budowania przyszłej, powojennej pozycji Polski na arenie międzynarodowej.

We wrześniu 1941 roku rozpoczęto formowanie pierwszych jednostek. Sztab Armii umiejscowiono w Buzułuku koło Kujbyszewa, a obozy oddziałów rozmieszczono w Tatiszczewie koło Saratowa i w Tockoje w rejonie Buzułuku. Tam zaczęli ze wszystkich stron ZSRS przybywać Polacy zwalniani z łagrów, więzień i miejsc zesłania. Tam też masowo napływała polska ludność cywilna zabiegająca o pomoc materialną i możliwość opuszczenia Związku Sowieckiego wraz z polskim wojskiem.

W połowie października 1941 roku armia liczyła już około 25 tysięcy szeregowych i podoficerów oraz 2 tysiące oficerów, a rekruci ciągle napływali. Formowano dwie dywizje: 5. Kresową Dywizję Piechoty (w Tatiszczewie) i 6. Lwowską Dywizję Piechoty (w Tockoje). Wśród ochotników brakowało jednak wielu polskich oficerów, o których ponad

wszelką wątpliwość wiadano, że jako jeńcy wojenni zostali internowani na terenie Związku Sowieckiego.

Powstające wojsko od początku zmagало się z olbrzymimi problemami aprowizacyjnymi i bytowymi. Brakowało sprzętu, uzbrojenia i żywności. Armia powstawała w trudnym dla władz sowieckich okresie, gdy na froncie wschodnim inicjatywa w działaniach wojennych należała do wojsk niemieckich zajmujących coraz to głębiej położone tereny ZSRS.

Polsko-sowieckie stosunki – w miarę poprawne w pierwszych miesiącach po podpisaniu układu Sikorski–Majski – szybko się pogorszyły w wyniku trudności stwarzanych przez władze sowieckie przy tworzeniu i aprowizacji polskich jednostek, żądań strony sowieckiej jak najszybszego wysłania na front pojedynczych oddziałów lub dywizji, mimo że nie osiągnęły pełnej gotowości bojowej, oraz braku odpowiedzi na noty rządu polskiego, w których dociekano losów polskich jeńców – oficerów więzionych do 1940 roku w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, którzy mimo oczekiwań strony polskiej nie stawili się w punktach rekrutacyjnych.



Obóz w Tockoje

W listopadzie 1941 roku generał Władysław Sikorski odwiedził oddziały tworzącej się polskiej armii, do której nadal napływali ochotnicy. Podczas tej wizytacji 3 grudnia 1941 roku doszło do spotkania Sikorskiego, Andersa i ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRS Stanisława Kota ze Stalinem, Mołotowem i generałem Panfilowem. Omawiano trudną sytuację tworzącej się formacji.

Stalinowi przedstawiony został plan wyprowadzenia polskiego wojska na Bliski Wschód. W czasie spotkania w zamian za rezygnację z planów tej ewakuacji zagwarantowano powiększenie Polskich Sił Zbrojnych do 96 tysięcy ludzi (sześć dywizji) i przyjęto plan ewakuacji do Iranu jedynie 25 tysięcy żołnierzy, przeznaczonych do służby w lotnictwie, marynarce

i wojskach pancernych w Wielkiej Brytanii oraz na Bliskim Wschodzie. W kwestii uzbrojenia zapadła decyzja, że dwie dywizje piechoty wyposażone zostaną przez Rosjan, pozostałe cztery zaś przez Brytyjczyków i Amerykanów. Nowe dywizje miały być utworzone do końca lutego 1942 roku, a wojsko przeniesione w okolice Taszkontu.

Ostatecznie do końca 1941 roku gotowość bojową osiągnęła tylko 5. Dywizja Piechoty, faktycznie uzbrojona przez Związek Sowiecki. Pozostałe jednostki nie otrzymały pełnego wyposażenia mimo dostaw brytyjskich.

Uzgodnione w grudniu 1941 roku przeniesienie wojsk do Taszkontu dokonało się pod koniec lutego 1942 roku. Odbywało się przy mrozach sięgających -50°C . Dla żołnierzy i polskiej ludności cywilnej, wycieńczonych warunkami dotychczasowego bytowania w ZSRS, nowe tereny zakwaterowania szybko okazały się fatalne pod względem klimatycznym. W wyniku epidemii tyfusu umarło około 10 tysięcy żołnierzy i cywilów, wśród nich wiele dzieci.

** Gramatucha to spolszczona wymowa rosyjskiej nazwy „Gromatucha” (od słowa „grom”). Nazwa rzeki i położonej nad nią wioski wywodziła się – według pamiętających tamte czasy dzisiejszych mieszkańców najbliższej miejscowości Makaraku (obecna nazwa: Makaraskij, obwód kemerowski) – albo od huku rwących wód rzeki, albo od często uderzających tam w czasie burz piorunów. Polscy zesłańcy w większości niewłaściwie kojarzyli nazwę ze słowem „gram”, a więc ze złotem i kopalnią złota. Rzekę Gromatuchę odnaleźć można na szczegółowych rosyjskich mapach. Wypływa spod góry Bolszoi Taskił i stanowi lewy dopływ rzeki Kija.*

4. Buzułuk

(październik–listopad 1941)

BOGUSŁAW

Do Buzułuku dotarliśmy jesienią 1941 roku. Miasto było kompletnie zakorkowane przez Polaków. Kto żyw, ciągnął do miejsca, gdzie formowała się polska armia. Przyjeżdżali nie tylko ci, którzy chcieli wstąpić do wojska, ale i ludność cywilna: całe rodziny, osoby samotne, a nawet osieroczone dzieci, jeśli tylko zdołały tam dotrzeć.

DANUTA

Do Buzułuku przyjechaliśmy dokładnie 20 października 1941 roku. Plany były takie, że ojciec wstąpi do wojska, a my będziemy w jakimś polskim sierocińcu czy internacie.

BOGUSŁAW

Zdobyć w Buzułuku miejsce zakwaterowania było bardzo ciężko. Miejscowa ludność wynajmowała wszystko, co się dało. Panowała niesamowita ciasnota. Ojcu udało się wynająć na krótki czas jakiś kąt, dosłownie kąt, bo to był narożnik w małej izbie. Miała ona kilkanaście metrów kwadratowych, a mieszkały tam cztery rodziny. Spaliśmy pokotem na podłodze.

DANUTA

Ojciec został wcielony w szeregi powstającej armii. Dostał nawet piękny nowy mundur. One były naprawdę piękne, ciemnozielone. To były angielskie mundury. Myśmy się bardzo cieszyli. Wtedy w Buzułuku panowała podniosła atmosfera. Miasto było niewyobrażalnie zatłoczone. Wszyscy mieli świadomość, że uczestniczą w czymś absolutnie niezwykłym. Rozumiałyśmy to i my, dzieci.





Ochotnicy do Armii Andersa

Czasami miało się złudzenie, że jest się na polskiej ziemi – tak wielu było wokół Polaków, wszędzie było słycać polską mowę. Chodziliśmy wtedy do sztabu na obiady, a naszą Jadzię rozpierała wręcz duma, że salutują jej polscy żołnierze.

– Oni wam nie salutują – ciągle powtarzała mnie i Róży. – Dzieciom się nie salutuje. Oni salutują mnie!

BOGUSŁAW

Nie przywykłem jeszcze do widoku umundurowanych polskich żołnierzy, kiedy na drugi czy trzeci dzień po naszym przyjeździe zobaczyłem na ulicy wzruszającą defiladę naszego wojska. To było wielkie zaskoczenie. Tak

naprawdę to nie była żadna defilada, tylko zwykły przemarsz wojska przez miasto. Żołnierze prawdopodobnie wracali z ćwiczeń do koszar. Szli dziarsko, w zwartym szyku, czwórkami, w szykownych zielonych mundurach. Temu przemarszowi wojska towarzyszył tłum gapiów. Jednym z nich byłem ja. Ależ byłem dumny! Tego się nie da opisać.

– Idą Polacy! Oj, jacy ci Polacy to wysokie ludzie są! Jak oni pięknie wyglądają! – zachwycała się stojąca za moimi plecami Rosjanka.

Nasi żołnierze rzeczywiście wyglądali na dużo bardziej rośłych niż Rosjanie. Prezentowali się bardzo efektownie. Kiedy pewnego razu ojciec przyszedł na naszą kwaterę w towarzystwie dwóch umundurowanych kolegów, właścicielka była pod wielkim wrażeniem.

– *Bolszyje, priebolszyje* [duzi, bardzo duzi] – powtarzała ciągle.

To odnosiło się nie tylko do ich wzrostu, ale i do szykownego wyglądu.

* * *

Najważniejszym zadaniem reaktywowanej polskiej placówki dyplomatycznej stało się niesienie pomocy materialnej, żywnościowej i sanitarnej polskiej ludności cywilnej przebywającej na terenie Związku Sowieckiego. Pomoc finansowa i rzeczowa nadsyłana była głównie przez polonię i rząd Stanów Zjednoczonych. W stolicach poszczególnych republik ZSRS i obwodów powstały delegatury polskiej ambasady oraz sieć pomniejszych placówek terenowych, a prace na rzecz Polaków wykonywali między innymi powołani przez ambasadę jej społeczni przedstawiciele, tak zwani mężowie zaufania.

W ramach realizacji zadań na rzecz polskiej ludności powstały też składy towarowe i magazyny przeładunkowe (na potrzeby dystrybucji darów z zagranicy) oraz domy dziecka, sierocińce, domy starców, przedszkola, szkoły, punkty szpitalne i ambulatoria, a nawet pojedyncze zakłady

rzemieślnicze i gospodarstwa rolne. Do wiosny 1942 roku działalność ta była prowadzona bez większych przeszkód.

* * *

DANUTA

Szybko się okazało, że ojciec nie ma komu oddać nas pod opiekę. W Buzułuku nie było jeszcze żadnej zorganizowanej placówki do opieki nad dziećmi żołnierzy wstępujących do Armii Andersa, a ojciec był naszym jedynym opiekunem. To wykluczyło go z tradycyjnego zaciągu.

Znaleziono jednak sposób na wykorzystanie naszego taty. Zaproponowano rozwiązanie, które pozwalało mu sprawować opiekę nad dziećmi i jednocześnie wykonywać pracę społeczną na rzecz potrzebujących pomocy rodaków – w szczególności tych najbardziej bezbronnych. Ojciec został powołany na tak zwanego męża zaufania. To był olbrzymi zaszczyt i dowód największego zaufania polskich władz. Miał jeździć z dwoma innymi Polakami – panem Antonim i jeszcze jednym panem – do wyznaczonych obwodów i zabierać z rosyjskich domów dziecka polskie sieroty. Miał upoważnienie na trzy obwody: czałowski (orenburski), aktiubiński i baszkirski.

W polskiej ambasadzie uznano, że ojciec będzie w ten sposób najbardziej pomocny. Zaopiekuje się nie tylko swoimi dziećmi, ale także innymi Polakami, którzy tej pomocy tak bardzo potrzebują. Oprócz dzieci byli przecież jeszcze samotni starcy, kobiety z dziećmi i chorzy.

BOGUSŁAW

Poszukiwanie osieroconych polskich dzieci nie było łatwym zadaniem. Trwała wojna. Ruch ludności był kontrolowany. Potrzebne były przepustki, na podstawie których wydawano jednorazowe bilety na przejazd. Wszędzie

poszukiwano szpiegów i wrogów. Podróżni byli poddawani przez NKWD nieustannym kontrolom, przesłuchaniom i aresztowaniom. W pociągach panował niewyobrażalny tłok. Pierwszeństwo miało wszystko, co wiązało się z zaopatrzeniem frontu. Pociągi kursowały nieregularnie, często rzeczywisty rozkład jazdy był nie do przewidzenia. Nigdy nie mieliśmy pewności, czy i kiedy ojciec wróci z takiej wyprawy.

DANUTA

Gdy ojciec przyjeżdżał do domu dziecka i mówił, że tu są polskie dzieci, Rosjanie nie odmawiali ich wydania, ale sami nigdy nie zgłaszali ich obecności! Nie zgłaszali, mimo że najczęściej dobrze wiedzieli, że Polacy ich usilnie poszukują.

W naszej ambasadzie dobrze znano metody działania władzy sowieckiej, więc rozumiano, że trzeba jeździć, szukać, niekiedy podstępem te dzieci odzyskiwać. Wykorzystywano argumentację, że władza sowiecka jest zajęta ważnymi problemami i nie ma czasu na zajmowanie się takimi drobiazgami, więc Polacy pomogą władzy i sami będą to robić. Jedyne, o co proszono, to aby władza pozwoliła na te działania: dawała przepustki oraz każdorazowo wydawała bilety kolejowe.

BOGUSŁAW

Najważniejsze było zbieranie informacji, przeprowadzanie swego rodzaju sondy wśród miejscowej ludności, żeby się dowiedzieć, czy i gdzie są polskie sieroty. Często nie było pewności, czy dziecko, do którego się dotarło, na pewno jest polskie, ponieważ dzieci były niejednokrotnie w dużym stopniu zrusyfikowane. Wszystko zależało od tego, w jakim były wieku i od jak dawna były sierotami.

Ważne było, żeby zdobyć zaufanie tych dzieci, które najczęściej były wystraszone, zaszczute i pełne niepokoju, że stracą ten dach nad głową,

który już mają.

– Aniele Boży, stróżu mój... – Ojciec zaczynał tę lub inną modlitwę, gdy miał pewność, że dziecko nabrało do niego zaufania.

– Ty zawsze przy mnie stój. – Kiedy dziecko cichutko, prawie niedosłyszalnie odpowiadało, miał pewność, że jest Polakiem.

DANUTA

Ojciec niewiele nam mówił o tych swoich poszukiwaniach. Zwłaszcza jeśli chodziło o szczegóły „odzyskiwania” dzieci. Czasami jednak po powrocie opowiadał, co się jemu i koledze przydarzyło w podróży, i nieraz były to naprawdę zabawne historie.

Opowiadał na przykład taką: Byli na peronie, mieli bilety w numerowanych wagonach. Wagony z reguły były numerowane, ale nie zawsze zestawione zgodnie z kolejnością. Kiedy na stację podjechał pociąg, na peronie zaczął się wielki harmider. Ludzie biegali w popłochu w tę i w tamtą stronę, nawoływali się i szukali swoich wagonów, a wśród nich toczył się pędem wielki tobołek.

– Patrz, sowiecki cud – powiedział do ojca kolega. Nie pamiętam jego nazwiska, ale na imię na pewno miał Antoni i też był mężem zaufania. – Patrz, tobołek leci przez peron. Był już latający dywan i stoliczku, nakryj się, a tu Sowieni mają jeszcze „zaczarowany tobołek”.

A to biegła mała kobieta z wielkim okrągłym tobołem na plecach. Przytłoczona nim tak bardzo, że ani jej głowy, ani nawet skrawka nóg nie było widać.

– *Grazhdanka, pomogu wam* [obywatelko, pomogę wam] – powiedział ojciec do „zaczarowanego tobołka”. – *Pomogu ja wam. Eto oczen' tiazelo, ja wam pomogu* [ja wam pomogę. To bardzo ciężkie, ja wam pomogę].

Taka chęć pomocy nie była powszechna. Kobieta przestraszyła się, że ktoś pod tym pretekstem chce jej ukraść bagaż.

– *Grażdanin, za czem wy ko mnie pristali?* [Dlaczego obywatel się do mnie przyczepił?] – zapytała grzecznie, ale z przerażeniem w głosie właścicielka tłumoka.

Zanim padła odpowiedź ojca, do akcji wkroczyła obserwująca scenę staruszka.

– *Ty durna! Eto nie wor, eto nie żulja, pozwol jemu. Eto polskij pan, oni nie worujut* [oj ty, durna! To nie złodziej, to nie żulik, pozwól mu. To polski pan, tacy nie kradną] – powiedziała.

Dopiero wtedy „pani latający tobołek” przystała na pomoc ojca.

BOGUSŁAW

Byliśmy bardzo dumni z ojca i dobrze rozumieliśmy, że to, co robi, jest naprawdę ważne. Sami byliśmy pólsierotami, więc nie było nam trudno wyobrazić sobie, jak ciężkie jest położenie dzieci, które nie mają obojga rodziców.

DANUTA

Dokładnie 2 listopada 1941 roku tata spotkał się z księdzem, polskim kapelanem, który wystawił akt zgonu naszej matki.

Szef. Dusz. Nad. Wujer.
Hymni P. w L. J. B.
o Buzuluk.

Wydany z archiwum śmierci № 14

Sylwestra Żukowska, c. bracia i siostry
z Kasińsko ut. 1895 r. zam. we wt. Yausiwa
gw. Kaniwów, pow. Tomosia Lubelski;
zmarła dn. 19 lipca 1941 o powiatu Gramatule
rej. Tiszka, okr. Nowosybirsk i legacji dnia
podana na polskim cmentarzu w p. Grama-
tule

Buzuluk, dn. 2. XI 1941.
(piersi brat)

Ks. J. Jankowski
Kapł. garnizonu

Sporządzony odręcznie przez księdza w Buzuluku akt zgonu Sylwestry Żukowskiej, 2 listopada 1941 r.

A dzień wcześniej, 1 listopada, w uroczystość Wszystkich Świętych odprawiano nabożeństwo za wszystkich zmarłych sybiraków. Odbywało się w dużym drewnianym domu, a raczej baraku z werandą. W obszernej sali na środku ustawiono prowizoryczny ołtarz z dużym krzyżem z zawieszoną na nim stulą. Niemalowana drewniana podłoga aż lśniła. W Związku Sowieckim nie było malowanych podłóg, w każdym razie ja tam takich nie widziałam.

Znaliśmy tę salę, bo chodziliśmy na obiady do kasyna, które znajdowało się tuż obok, i zaglądaliśmy tam, żeby obejrzeć ołtarz, o którym ludzie opowiadali.

– My pójdziemy na to nabożeństwo i do spowiedzi – powiedziała o sobie i Róży Jadzia – a ty zostaniesz z Bogusiem, bo jesteś jeszcze za mała. – To już było do mnie.

– Dziecko, spowiedź jest dla żołnierzy, gdzie tam będziecie się pchać, wy, dwie małe dziewczynki? – ostudził te zapędy ojciec. – Wasze grzechy mogą poczekać na odpuszczenie.

Ostatecznie na mszę wybrała się sama Jadzia. Nie dało się jej w żaden sposób wyperswadować tego pomysłu i wytłumaczyć, że to nabożeństwo jest przede wszystkim dla naszych żołnierzy, którzy poza wszystkim innym, będąc na mszy, mogli choć przez krótki czas przebywać w ciepłym pomieszczeniu, na co dzień bowiem mieszkali w namiotach.

Potem, jak przyjechał do Buzułuku generał Władysław Sikorski – a było wtedy bardzo zimno – Jadzia popędziła też zobaczyć Wodza. To było dla wszystkich wielkie przeżycie, również dla nas, dzieci. Niesamowite, że dzieci tak silnie to odczuwały, tak przeżywały, tak się cieszyły, że nasze polskie wojsko jest, że nie zginęło. Tak więc kiedy Buzułuk odwiedził Naczelnny Wódz, generał Sikorski, my tam jeszcze byliśmy...



Msza dla polskich żołnierzy w Buzułuku z udziałem generała Władysława Andersa

BOGUSŁAW

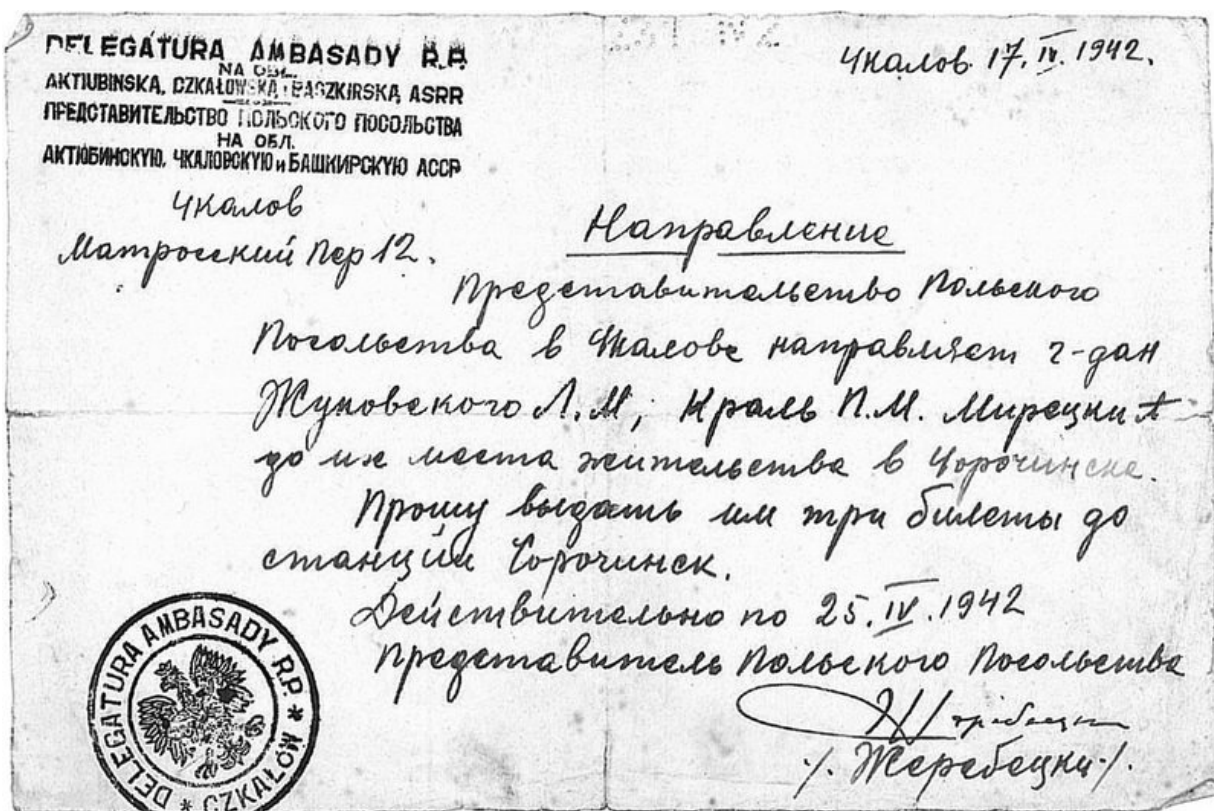
Na kwaterze w Buzułuku mieszkała z nami Polka, której córka zmarła na szkarlatynę na kilka dni przed naszym przyjazdem. Ta dziewczynka miała osiem czy dziewięć lat. Kobieta strasznie rozpaczała. Odchodziła od zmysłów. Chcąc ją pocieszyć, ktoś jej powiedział, że duszę córeczki można przywołać. Ktoś inny zaoferował swoje usługi w kontakcie ze zmarłymi. I tak w sąsiedniej izbie urządzono seans spirytystyczny. Zaciemniono pokój, zapalono świece. Przerazało mnie to i bałem się potwornie.

Przemykając przez miejsce, w którym odbywał się seans – bo to było pomieszczenie przechodnie, trzeba było przez nie przejść, idąc do toalety – zobaczyłem gdzieś w ciemności świecę odbijającą się w lustrze. Przeszył mnie strach. Moja wyobraźnia tak pracowała, że dwa dni później, spiesząc

znowu przez tę izbę do toalety, zobaczyłem dziewczynkę w tym lustrze. Koszmar!

Czy ten seans się powiódł, czy nie – nie wiem. Matka dziewczynki twierdziła, że tak. Szczegółów jednak na szczęście nie zdradzała nam, dzieciom.

Ten obraz – świeca w mroku odbijająca się w lustrze – prześladował mnie bardzo długo. Nie znosiłem przechodzić przez to pomieszczenie. Dlatego ucieszyłem się, gdy ojciec nam oznajmił, że się przenosimy.



Pismo delegatury Ambasady RP w Czkałowie, w języku rosyjskim, dotyczące wydania biletów kolejowych, m.in. dla Bogusława Żukowskiego

DANUTA

Ojcu zaproponowano, aby z Buzułuku przeniósł się w mniej zatłoczone miejsce i stamtąd prowadził swoją działalność jako mąż zaufania.

Naszą rodzinę skierowano do niedalekiego Soroczyńska, oddalonego od Buzułuku o jakieś pięćdziesiąt kilometrów.

BOGUSŁAW

Żeby się utrzymać, w Buzułuku wyzbywaliśmy się resztek rzeczy. Między innymi ojciec za żywność wymienił nasze sztucce. Było to wtedy, gdy wyjeżdżaliśmy do Soroczyńska. Pierwsze jedzenie *chapkami* [drewniane, okrągłe łyżki] pamiętam właśnie z dużej jadłodajni w Soroczyńsku.

Dziwne to było doświadczenie. Zwykłą łyżkę podnosi się do ust i przechyla, wlewając jej zawartość. Do takiego jedzenia byliśmy przyzwyczajeni. Natomiast *chapka* to była okrągła, stosunkowo głęboka łyżka. Próby wiania nią czegokolwiek do ust kończyły się rozlaniem zawartości po brodzie. Trzeba było przybliżyć łyżkę do ust i jedzenie szybko do nich wrzucić. Przy tej czynności wydawało się taki specyficzny dźwięk: chap! Stąd nazwa tej łyżki – *chapka*.

DANUTA

W nielicznych restauracjach, a raczej jadłodajniach, w których dotąd jedliśmy, zawsze były jakieś metalowe łyżki i widelce. A tu po raz pierwszy tylko te drewniane *chapki*.

BOGUSŁAW

Pierwszy posiłek, jaki wtedy jedliśmy *chapkami*, to była – pamiętam – *szczy*, zupa, której nazwa brzmi dla Polaka dość dziwnie. Wywoływała ona u nas beztroski śmiech. W ogóle nie radziliśmy sobie z tymi *chapkami*.

– *Dietiszki niepriwykszyje kuszat' chapkami* [dzieci nie są przyzwyczajone jeść *chapkami*] – skomentowała ze śmiechem kelnerka, widząc nasze nieudolne próby. – Możecie przynosić własne sztucce – dodała.

5. Soroczyńsk

(listopad 1941–kwiecień 1942)

BOGUSŁAW

W Soroczyńsku ojcu kazano zgłosić się do zakładów mięsnych, gdzie miał dostać pracę i miejsce do zamieszkania dla rodziny.

Zaraz po przyjeździe skierowano nas do wszobojni, czyli „rzeźni wszy”. Wszyscy musieli rozebrać się do naga i wejść do dużej, nagrzanej, zaparowanej bani. Tam trzeba było się wyszorować.

Ubrania wieszaliśmy na specjalnych wieszakach, które z odzieżą wjeżdżały do komory – jak u rzeźnika kielbasy do wędzarni – gdzie panowała bardzo wysoka temperatura. Było tam z pewnością powyżej stu stopni Celsjusza. Wszystkie wszy i gnidy pękały jak granaty. Walka z insektami była naszą zmorą, towarzyszyły nam przez cały pobyt na zesłaniu. Nam i wszystkim innym.

DANUTA

Tata zgłosił się, gdzie mu kazano – czyli do kombinatu mięsnego. Skierowali go tam pracownicy naszej ambasady. Było ustalone, że ta praca umożliwi ojcu prowadzenie jego misyjnej działalności, bo jego stała przepustka, którą miał jako mąż zaufania, musiała być przez kierownictwo zakładu honorowana. Ponadto ta praca miała pomóc ojcu w odkarmieniu dzieci.

– One odżyją – mówił o nas pracownik ambasady pan Krupa. – Bo są zagłodzone.

Ojciec faktycznie dostał pracę w tych zakładach i mieszkanie w tak zwanym *obszczeźytcie*. *Obszczeje* – to znaczy „wspólne”, czyli chodziło o wspólne życie z innymi lokatorami.

BOGUSŁAW

Ojca zatrudniono w *miaso-stroj-kombinacie*, czyli w zespole odpowiedzialnym za budowę, a dokładnie rozbudowę zakładów mięsnych. Wtedy budowano tam chłodnię. Ojciec nie był zupełnym dyletantem w sprawach budowlanych, bo na długo przed wojną zdobył w Warszawie uprawnienia czeladnika, a potem mistrza ciesielskiego. Początkowo jednak nie przyznawał się tu do tych umiejętności. Nie należało się wychylać, zawsze bezpieczniej być niewykształconym, prostym człowiekiem, taki nie budził wrogości czy zawiści niewyuczonych przedstawicieli sowieckiej władzy.

Ojciec jednak w końcu nie wytrzymał, patrząc na marnotrawstwo i głupotę tamtejszych poczynań budowlanych. Raz kogoś przypadkiem zastąpił i dobrze coś podpowiedział. Natychmiast to zauważono. Majster pobiegł do kierownictwa zgłosić, że jest fachowiec. Ojciec próbował tłumaczyć, że nie jest żadnym specjalistą budowlanym, a tym bardziej inżynierem. Na nic się to zdało. Z braku innego, lepszego kandydata kazali mu brać się do roboty. Miał być kierownikiem prac i tyle. Od tego momentu uchodził za inżyniera i tak wszyscy go tytułowali.

Tata się śmiał, że gdyby nie praca przy piwniczce w Hajnówce, tej, która tak wyśmienicie nawet w gorące lato trzymała zimno, to nie umiałby zbudować chłodni w zakładach mięsnych w Soroczyńsku.

DANUTA

Miejsce, w którym wtedy zamieszkaliśmy, *obszczeźytie*, to był duży drewniany barak. W środku było jedno pomieszczenie i w nim mieszkało kilka rodzin. Na każdą przypadało niewiele więcej niż trzy–cztery metry kwadratowe.

W tym baraku przetrwaliśmy zimę z 1941 na 1942 rok.

BOGUSŁAW

Na środku stał piec – żelazna beczka. Wierzch tej beczki służył jako płyta grzewcza, miejsce przygotowywania posiłków.

Każda rodzina na tych swoich kilku metrach budowała narę – czworokątną pryczę. Nary zbijano z desek, wyściełano sianem, rzadko gałęziami. Na takiej pryczy spała cała rodzina.

DANUTA

Każdy miał tylko tę narę, pod nią wciskał swoje rzeczy, wszystko, co miał, nawet miski do mycia. Na narach się spało i na narach się żyło. Był piec, ale w nim z powodu trudności z opałem paliło się tylko w dzień i to tylko tyle, na ile starczało przydziałowego opału. W porównaniu do tajgi tutaj było dużo gorzej z opałem. Barak dostawał bardzo skromny jego przydział, który nie starczał na długo.

BOGUSŁAW

W tym baraku nocą woda w wiadrze zamarzała.

Rano, jak się wstawało, na suficie był szron, a na belkach stropowych nawet sople. Zanim ojciec wyszedł do pracy, kazał się nam przykrywać i strącał wszystkie te lodowe nawisy. Robił to, żeby one, spadając, nie poraniły nas czy nie zabiły. Ojciec taką miał naturę, że – społecznie – strącał te sople w całym pomieszczeniu.

DANUTA

W naszym baraku spotkaliśmy znajomą z miejsca zesłania, panią Rzedziową (być może poprawna pisownia tego nazwiska to: Żedź), która już była wdową. Jej mąż zmarł w Gramatusze, tak jak nasza mama, ale dużo wcześniej. Pani Rzedziowa była więc tylko ze swoimi dwiema córkami – starszą Walerią, zwaną przez nas Wala, i młodszą Żenią. Podjęła pracę w tych samych zakładach mięsnych co nasz ojciec i dlatego razem zamieszkaliśmy w tym baraku. Wszyscy się z tego bardzo cieszyliśmy.

BOGUSŁAW

Moje siostry kolegowaly się z Wala, a moją towarzyszką zabaw była Żenia. Byliśmy dokładnie w tym samym wieku. Tak jak się razem bawiliśmy, tak pewnego dnia razem zachorowaliśmy. Na odrę. Razem zalegliśmy na naszych narach. Nie było leków, jedzenie marne, a pomieszczenie w baraku tak niedogrzone, że jak się chuchnęło, to para szła z ust jak na mrozie. Gdy rano rodzice wychodzili do pracy, przykazywali starszym dzieciom, żeby o nas dbały. Wala była proszona o to przez swoją mamę, a moje siostry przez naszego ojca. Oboje się o nas martwili, bo ta choroba trwała i trwała bez końca...

– Wala, Wala, mama na zimny nocnik nie pozwala! – wołała Żenia, gdy siostra ją wysadzała.

Było mi jej żal, bo ja, jej towarzysz w chorobie, nigdy nie miałem takiego problemu. Siostry zawsze dbały, żeby nocnik dla mnie nagrzać przy piecu.

DANUTA

Jak zamieszkaliśmy w Soroczyńsku w jednym baraku z panią Rzedziową, od razu pojawiły się komentarze: on Polak – ona Polka, on wdowiec – ona wdowa. On i ona mają dzieci w podobnym wieku. Dzieciaki wspólnie się

bawią i widać, że się lubią. Oboje śpią łożko w łożko, a raczej nara w narę. Kwitowano to czasami żartami, czasami docinkami. Życzliwi sugerowali niejednokrotnie, że tych dwoje powinno coś z tym zrobić, wzajemnie o sobie pomyśleć. Jej dzieci będą mieć ojca, a jego dzieci matkę.

Mimo że pani Rzedziowa była piękną kobietą, nieprzeciętnie piękną, ojciec czuł się bardzo dotknięty tymi żartami. Oczywiście w pamięci miał jeszcze świeże przeżycia z Gramatuchy.

BOGUSŁAW

Żenia Rzedziowa nie wyzdrowiała... Umarła... Zmarła przy nas, a raczej przy mnie. To było traumatyczne przeżycie, które z brutalną mocą uświadomiło mi, że śmierć dotyka nie tylko dorosłych, ale i dzieci... Po tym doświadczeniu na lata pozostało w mojej pamięci – i czasami powraca – to wołanie Żeni: „Wala, Wala, mama na zimny nocnik nie pozwala!”.

Zawsze powtarzałem, że przetrwałem zsyłkę tylko dzięki moim siostrom. Opiekowały się mną tak, jak by to robiła nasza mama, gdyby żyła. Za przykład zawsze podaję te doświadczenia z Soroczyńska.

DANUTA

Jakiś czas później, kiedy nie mieszkaliśmy już w baraku zakładów mięsnych i nie mieliśmy kontaktu z panią Rzedziową, ojciec w rozmowie z innymi Polakami rozważał ludzkie zachowania. Przywołał wtedy historię pana Rzedzia. Dorośli rozmawiali między sobą, a ja jako „dobrze zorientowana” referowałam to ich dzieciom.

Potem w nocy zdarzyło się coś niezwykłego.

Leżałam w łożku. Byłam pewna, że nie śpię, i wtedy pan Rzedź przyszedł do mnie. Ubrany był w czapkę uszatkę, tak zwaną papacnę, wykończoną rudym futrem. Usiadł na brzegu łożka i roześmiał się złowrogo. Straszny był ten jego szyderczy śmiech, taki jakby z zaświatów.

Przy moim łóżku stało wiadro z kartoflami i on tymi kartoflami zaczął rzucać, ale nie we mnie. Rzucił za mnie, za moją głowę, gdzieś w dal... Rozumiałam, że on chce mnie nastraszyć. Naciągnęłam kołdrę na głowę, żeby go nie widzieć, i tak zamarłam z przerażenia. Wiedziałam przecież, że pan Rzedź nie żyje, więc jakim cudem ta wizyta? Rano powiedziałam tacie, co przydarzyło mi się tej nocy.

Co ciekawe, jak opisałam czapkę, w której odwiedził mnie pan Rzedź, ujrzałam wielkie zdziwienie na twarzy ojca. W Gramatusze nie widywałam pana Rzedzia, znałam jego historię tylko z rozmów dorosłych. Ojciec wiedział, że nie mogłam pamiętać czapki, jaką on nosił w Gramatusze, a tak dokładnie ją opisałam... To przez tę czapkę, jak powiedział mi wtedy tata, przywarło do pana Rzedzia przyzwisko Rudy, słowo, którym często określa się szczwanego lisa.

– Widzisz, przydarzyło ci się to, bo dzieci nie powinny mówić źle o zmarłych – napomniał mnie ojciec. – Dorosli też nie powinni, ale oni odpowiadają za to, co mówią, a dzieci nie do końca rozumieją, co powtarzają.

Ojciec, uspokajając mnie, twierdził, że mi się to przyśniło, że to był tylko zły sen, ale ja jakoś nie byłam o tym przekonana...

Tak bardzo to przeżyłam, że do dzisiaj nigdy z nikim o panu Rzedziu nie rozmawiałam...

BOGUSŁAW

Nieopodal baraku, w którym mieszkaliśmy, stał dom Krasnoarmiejki.

DANUTA

Krasnoarmiejka była bardzo niesympatyczną kobietą: wrzaskliwa, chamska, a na dodatek całkowicie zindoktrynowana przez sowiecką propagandę. Ona sama z Armią Czerwoną nie miała do czynienia, ale jej

mąż był żołnierzem i walczył na froncie. Wszyscy na nią mówili Krasnoarmiejka. Ludzie ten przydomek tłumaczyli wprost, jako „żona krasnoarmiejca”. Ona była bardzo dumna z tego przezwiska. Uważała, że ten zaszczytny tytuł otrzymała w uznaniu wojennych zasług męża. Bardzo się z nim obnosiła, demonstrując przy tym swój przesadnie gorliwy sowiecki patriotyzm.

BOGUSŁAW

U Krasnoarmiejki mieszkał stary, bardzo chory człowiek. Wcześniej go nie znaliśmy, poznaliśmy go w Soroczyńsku. Był polskim Żydem.

DANUTA

Trudno powiedzieć, jak starszy pan trafił do domu Krasnoarmiejki. Może został tam zakwaterowany z nakazu władzy, a może ona sama wynajęła mu kwaterę? Nie wiadomo. Faktem jest, że u niej mieszkał, ona brała za to od niego pieniądze – to wiedzieliśmy na pewno – ale zupełnie nie dbała o warunki, w jakich żył jej lokator. W domu było tak zimno, że woda w wiadrze zamarzała. Zamarznięta stała w dzień i w nocy. To było zadziwiające, bo ta kobieta jako jedna z nielicznych dostawała przydział opału. Zresztą to była bardzo dobrze ustawiona partyjniaczka. Mimo to w piecu paliła tylko wtedy, gdy sama była w domu, a bywała tam bardzo rzadko. Długo pracowała, a do tego prowadziła bardzo intensywne życie towarzyskie i często przez wiele dni nie zaglądała do własnego mieszkania. Ten człowiek siedział więc w strasznej zimnicy. Kiedyś ktoś z dorosłych, spotkawszy ją przed domem, próbował zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu starego człowieka.

– Jak to nie ma nawet wody? Tu nie jest napalone? – zdziwiła się upomniana Krasnoarmiejka, po czym natychmiast przystąpiła do ataku: – Opał, kochaneczku, dużo kosztuje! Bardzo dużo kosztuje! – Mówiąc to,

zupełnie zapomniała, że zaskakująco dużo, jak na panujące warunki, opału widać w otwartej drewnitni za jej plecami. Była po prostu chciwa.

BOGUSŁAW

Jadzia zaopiekowała się tym starszym panem.

DANUTA

Jej opieka nad nim wynikała ze zwykłej ludzkiej życzliwości, choć na pewno nie bez znaczenia była nasza i jego polskość. Jego żydowskie pochodzenie nie odgrywało żadnej roli. Jadzia chodziła do niego codziennie i pomagała mu, jak tylko mogła. Nosila mu też od nas gorącą kawę, aby mógł się trochę rozgrzać.

Kiedyś, idąc do swojego podopiecznego, Jadzia zabrała mnie ze sobą i jak weszliśmy do domu, ona, wskazując na burego kota skulonego na piecu, powiedziała:

– Zobacz, tu nawet kot marznie...

Faktycznie było tam przerażająco zimno.

Nasz tata załatwił, żeby ten pan w ciągu dnia, kiedy większość mieszkańców naszego baraku była w pracy, mógł przychodzić do nas i posiedzieć w cieple. Całymi godzinami, cichutki, przesiadywał na zydelku przy kozie w naszym baraku i się grzał.

BOGUSŁAW

Przez cały ten czas, siedząc przy piecu, kiwał się do przodu i w tył. Bez przerwy. Trudno powiedzieć, czy z bólu, który tymi ruchami koił, czy też modlił się na swój sposób. To był przykry widok.

DANUTA

Za to dobre serce Żyd podarował naszej Jadzieńce swoją starą, bardzo zniszczoną kurtkę. Zrobił to jeszcze wtedy, gdy stan zdrowia mu na to pozwalał. Powtarzał wszystkim wokół, że tę kurtkę, którą się przykrywa, gdy śpi, i którą nosi w dzień, chce po śmierci podarować Jadzi. Jakby się bał, że ona może tego dziedzictwa po jego śmierci nie dostać. A to ubranie było w strasznym stanie, dziurawe, nieudolnie pocerowane, łata na łacie.

Po jego śmierci, trzeba przyznać, Krasnoarmiejka uszanowała wolę starca i chciała Jadzi ten spadek przekazać. Ona jednak powiedziała, że na nic się jej to nie przyda, i lekką ręką zostawiła odziedziczony podarek wrednej Krasnoarmiejce.

BOGUSŁAW

Ojcu się nie spodobało, że Jadzia nie uszanowała ostatniej woli umierającego i nie przyjęła jego podziękowania. Potem dorośli drażnili się z nią, mówiąc, że jeśli starzec miał jeszcze cokolwiek, to musiał to pozaszywać w tym jedynym okryciu...

DANUTA

Tuż obok naszego baraku biegły tory kolejowe. Wokół nich koncentrowało się życie, całe miasto było zbudowane wokół tych torów.

Pamiętam, jak jednego razu poszliśmy z Różą na tory szukać węgla. Czasami zostawało coś na nich po wyładunku albo usypało się z jadącego wagonu.

Przeżyliśmy wtedy koszmarną przygodę. Gonił nas facet z gwintówką. Myślałyśmy, że on ma tę broń naładowaną. Nie wiem, czy miał, czy nie, ale kobiety mówiły, że gdyby miał, toby strzelał.

– *Stojat', stojat', strielat' budu!* [Stać, stać, strzelać będę!] – krzyczał, a my uciekałyśmy.

To był ktoś z ochrony kolei. Chronić to on niczego nie chronił, ale żył z tego, co znalazł na torach, a my przyszliśmy po to, co on uważał za swoją własność. Więc nas pogonił. Na szczęście ruszył stojący nieopodal pociąg towarowy, przebiegłyśmy tuż przed nim i stoczyłyśmy się z nasypu kolejowego. Ścigający został po drugiej stronie torów. Udało się!

BOGUSŁAW

Z Soroczyńska pamiętam wstrząsającą historię dwóch rosyjskich chłopców, którzy w zakładach mięsnych ukradli sól i zostali na tej kradzieży przyłapani. Tam każdy kradł, żeby przeżyć, ale ich spotkało to nieszczęście, że zostali złapani. Prawdopodobnie ktoś musiał się wykazać albo trzeba było skutecznie odwrócić uwagę od innego, dużo większego draństwa. Taki był ten system. Jego ofiarą zawsze padali najmniej winni.

Chłopców oskarżono i skazano bardzo szybko. Jeden miał dziesięć lat, a drugi siedem. Jeden ukradł kilogram soli, drugi osiemdziesiąt dekagramów. Jeden dostał za to dziesięć lat, a drugi osiem lat łagru. Z tego wynika, że każdy z nich za każde dziesięć dekagramów ukradzionej soli dostał rok łagru. Mimo że byli przecież małymi dziećmi. Dzieci dostały wyroki łagru... Takie małe!

DANUTA

Zakłady mięsne w Soroczyńsku pracowały głównie na potrzeby wojska, dlatego podlegały szczególnej ochronie, a raczej ścisłej kontroli. Na bramie, przy wyjściu z przedsiębiorstwa, wszystkich codziennie drobiazgowo kontrolowano. W zakładzie nie tylko sprawiano mięso i wyrabiano wędliny, ale też produkowano garmażerkę. Robiono tam między innymi słynne pielmieni – małe pierożki, podobne do naszych uszek, nadziewane farszem z surowego mięsa wieprzowo-wołowo-baraniego, które przy gotowaniu wydzielalo aromatyczny sok. Te wiktuały wysyłano zamrożone na front.

Innym przysmakiem tam produkowanym był farsz z podrobów baranich, zawijany w pierogowe ciasto i smażony na łożu. Wyśmienite! Pierożki te były jednak smaczne tylko na gorąco, bo łój szybko zastygał. O tych rarytasach dużo się wśród ludzi mówiło, ale się ich nie jadało, nawet nie widywało.

Wyjątkiem były święta. Na Nowy Rok ojciec, tak jak wszyscy pracownicy zakładów mięsnych, dostał deputat: właśnie te *nastojaszczije* pielmieni [prawdziwe pielmieni]. Rarytas!

BOGUSŁAW

Do dziś pamiętam te pielmieni... To był niewiarygodny przysmak. Czegoś takiego – takiego smaku – nigdy przedtem i nigdy potem nie doświadczyłem. To były prawdziwe ruskie pielmieni.

Kiedy po siedemdziesięciu latach, w 2011 roku, jadłem pielmieni w Nowosybirsku, Omsku czy Soroczyńsku, już tak nie smakowały...

DANUTA

Jeszcze przed końcem zimy wyprowadziliśmy się z baraku *miasokombinatu* [zakładów mięsnych]. Ojciec załatwił nam nowe mieszkanie, coś w rodzaju prywatnej kwatery, w domu, przed którym była studnia.

W tamtych czasach w Soroczyńsku wodę do domu nosiło się wiadrami ze studni, które znajdowały się na ulicy. Było ich w całym mieście zaledwie kilka, niektórzy mieli do nich daleko, więc noszenie wody było koszmarnie uciążliwe, szczególnie zimą. A my studnię mieliśmy teraz na wyciągnięcie ręki. Po wodę nie trzeba było daleko chodzić, więc ten dom postrzegaliśmy jako wręcz luksusowy.

Tak jednak nie było. Był parterowy, drewniany, nieduży. W kuchni stał piec. Stamtąd wchodziło się do dużego pokoju, a do niego przylegało

pomieszczenie, które z racji małych rozmiarów trudno było nazwać pokojem, my jednak uważaliśmy je za pokój.

BOGUSŁAW

W tym domu mieszkała kobieta z dzieckiem i swoją matką. Miała na imię Lena. Jej mąż był na froncie. Kobieta dużo pracowała, często przebywała poza domem. Jej matka opiekowała się dzieckiem.

DANUTA

Teoretycznie mieszkaliśmy w kuchni. Tam też jedliśmy posiłki. Dnie spędzaliśmy w dużej izbie, a nocą część z nas spała na łóżku w kuchni. W dużym pokoju spała Lena z dzieckiem, babcia oraz ja z Różą. My nocowaliśmy wspólnie na małej, niewiarygodnie twardej sofie. Jak jedna z nas się obracała, to druga spadała.

BOGUSŁAW

Te kwatery zawdzięczaliśmy dziwnemu przypadkowi. Lena po powrocie z pracy opowiadała matce, że w kombinacie pracują Polacy i że to są bardzo kulturalni ludzie, mają wspaniały stosunek do kobiet, ładnie się do nich odzywają. To właśnie spowodowało, że panie zdecydowały się zamieszkać razem z nami, Polakami.

DANUTA

Lena była bardzo urodziwą niewiastą, bardzo kobiecą. Jej synek miał dziewięć miesięcy. Jak się poznaliśmy, Lena miała zaświadczenie od lekarza, że karmi dziecko piersią, mimo że już tego nie robiła. Uprawniało ją to do godzinnej przerwy na karmienie w godzinach pracy. My wszyscy o tym wiedzieliśmy, ale do głowy by nam nie przyszło powiedzieć o tym komukolwiek.

Jej matka opowiadała, że mąż Leny to straszny brutal. Pił, rozrabiał, wszczywał awantury. Jak się upił, a robił to często, tak się awanturował, że nikt z nim życia nie miał, on niczego i nikogo nie uszanował. Ani matki, ani żony, ani dziecka... Jak Lena była w wysokiej ciąży, kopnął ją w brzuch. W wyniku tego kopnięcia – tak wszyscy mówili – nowo narodzone dziecko miało zniekształconą stópkę.

Jak babcia bawiła się z wnukiem, podrzucając go, wołała: *oj, ty kosołapienkij, kosonożenkij, oj, moj ty, moj*. Płakała bardzo nad dzieckiem, że przez ojca drania jest kalekie. Wspominając zięcia, starsza pani mówiła:

– Życzę mu, żeby przeżył, ale bardzo bym chciała, aby tu nigdy nie wrócił...

Chyba właśnie kulturalnemu odnoszeniu się Polaków do kobiet zawdzięczaliśmy wielką życzliwość starszej gospodyni. Udostępniła ojcu ten maleńki pokoik, ten kantorek, gdzie mógł przyjmować Polaków, którzy do niego przychodzili jako do męża zaufania polskiego rządu. Starsza pani wszystkich zawsze życzliwie i gorąco witała, prowadząc z wielkim namaszczeniem do ojca.

Dla niej ci ludzie, którzy przychodzili, to był zupełnie inny świat...

BOGUSŁAW

Babcia była bardzo dobrym człowiekiem. Kawałki chleba, których sobie odmawiała, suszyła i w lnianym woreczku zanosila sowieckim żołnierzom.

DANUTA

Często przychodził do nas w odwiedziny pan Edward, którego nazwiska niestety nie pamiętam, i załatwiał z ojcem różne sprawy. On miał scyzoryk, który dla nas, dzieciaków, był niezwykły, miał elegancki rogowy trzonek i kilka wysuwanych ostrzy. Ten nożyk fascynował mojego braciszka, więc jak pan Edward przychodził, scyzoryk natychmiast lądował w rękach

Bogusia, który z namaszczeniem go oglądał, z zachwytem wysuwał i chował po kolei wszystkie ostrza.

– Jak chcesz ten scyzoryk mieć na zawsze, to możemy zrobić interes. Wymienimy się. Ja ci dam scyzoryk, a ty mi dasz swoją siostrę Danusię. Co ty na to? Zostawię go u ciebie na tydzień i ty przez ten czas się namyślisz – żartował kiedyś pan Edward, przyglądając się, z jakim zachwytem po raz kolejny Boguś ogląda nożyk.

Perspektywa posiadania przez tydzień tak cudownego przedmiotu zachwyciła małego chłopca. Scyzoryk został u nas na całych siedem dni. Po tygodniu pan Edward przyszedł.

– Podoba ci się scyzoryk? Tak? No to wymienimy się? Mnie bardzo podoba się twoja siostra – żartował.

Ależ Boguś miał dylemat! Ja wiedziałam, że to są żarty, bo akurat ja najmniej się temu panu mogłam podobać. Zawsze niezbyt miło go witałam, nie podejmowałam rozmowy i z ostentacyjną niechęcią podawałam mu krzesło. On nie mógł wiedzieć, że nie chodziło o to, że go nie lubię, tylko o to, że nienawidziłam obowiązku podawania krzesła gościowi, a to należało do mnie jako najmłodszej.

– Dobrze, Danusiu, to ty się pakuj, bo coś czuję, że scyzoryk zostaje u Bogusia – zawyrokował pan Edward, widząc niezdecydowanie mojego brata.

– Nie, nie, nie!!! – krzyknął Boguś, po czym zaniósł się strasznym płaczem i rzucił gościowi scyzoryk.

Trudno go było potem uspokoić. On bardzo chciał mieć ten nożyk i do końca wierzył, że jakoś go wytarguje.

– Boguś, pan żartował. Przecież nikt nie sprzedaje i nie kupuje dzieci. Tak robią tylko zbóje, a pan Edward jest przyjacielem, a nie zbójem, przecież o tym wiesz – uspokajał go tata.

Naszego gościa też sumienie ruszyło, jak zobaczył, co się narobiło z niewinnego żartu. Obiecał się rozejrzeć i jak tylko się uda, zdobyć podobny scyzoryk dla malucha. Bogusia uspokoiła jednak dopiero obietnica ojca:

– Obiecuję ci, że jak wrócimy do Polski, to ja ci kupię dokładnie taki scyzoryk.

BOGUSŁAW

Mnie tam w Soroczyńsku przytrafiło się coś bardzo nieprzyjemnego. Upiłem się i spałem trzydzieści sześć godzin. Miałem wtedy sześć lat.

Jeden głupi Polak dał mi dla draki *stakan* [szkłankę] samogonu. Ojca wtedy nie było w domu, a on przyszedł do nas i czekał na niego w kuchni. Ja nie chciałem tego pić, bo wiedziałem, że alkohol jest dla dorosłych.

– Polak jesteś i nie wypijesz? Ty chyba nie jesteś Polak!

No i ten argument zdecydował. Podbiegłem bez namysłu do nalanego trunku i zanim siostry zdążyły mnie krzykiem powstrzymać, wypilem go duszkiem, po czym pochwiałem się chwilę na nogach i padłem na wznak. Nie dało się mnie dobudzić. Siostry lamentowały, że braciszek zapadł w letarg. Ojciec, jak to zobaczył, to się wściekł.

Jak skończyła się sprawa z tym jegomościem, nie wiem. Spałem. Potem siostry całe życie się ze mnie śmiały, że ja za swoją polskość i swoją męskość jestem gotowy na największe szaleństwa.

DANUTA

Zimą w Soroczyńsku niedogrzone były prawie wszystkie domy. Wszystkim doskwierał brak opału. W ciągu dnia w dużym pokoju naszego nowego mieszkania było zawsze najcieplej, bo tam przebywało dziecko. W piecu paliło się codziennie.

Ten piec ze względu na swoją funkcjonalność nazywano ogrzewalnikiem, a zasługiwał na szczególną uwagę. Wymurowany z cegieł, otynkowany i pobielony. Oddalony był od ściany na tyle, że powstała tam nisza, w której na podłodze gromadzono suchą rozpałkę. Tam były też wieszadła – można było na nich powiesić odzież czy obuwie do wysuszenia. Schły tam również pieluszki dziecka, a nasza babuszka suszyła niewielkie ilości chleba na suchary, które później zanosila głodującym sowieckim żołnierzom. Od tyłu w piecu była wnęka, na tyle duża, że mogły w niej usiąść dwie dorosłe osoby. Dzieci mieściło się więcej. To było bardzo praktyczne rozwiązanie. Gdy cały piec już wystygł, tam nadal utrzymywało się ciepło, tak dobrze to miejsce trzymało temperaturę.

Dziwny to był piec – nigdzie potem już takiego nie widziałam.

Nasza życzliwa, zacna gospodyni pozwalała nam, wręcz zapraszała, żebyśmy korzystali z tego przybytku szczęścia. Zawsze we dnie i – jak żartowała – w nocy, niezależnie od tego, czy ona jest w domu, czy jej nie ma. Mieliśmy się nie krępować, tylko śmiało do woli korzystać z tego siedziska. Było to dla nas wielkim dobrodziejstwem. Dlatego zażywaliśmy tej przyjemności prawie codziennie, zwłaszcza gdy zmarznięci wracaliśmy do domu.

BOGUSŁAW

W kołchozie w pobliżu Soroczyńska uprawiano słoneczniki, ten region się w tym specjalizował. Zimą nasza starsza gospodyni chodziła z Jadzią za miasto na pola kołchozowe po słoneczniki, a właściwie pozostawione na polach łodygi. Masowo znosiły to do domu. Przywoziły na saneczkach, ile tylko zdołały na nie załadować. Tymi łodygami paliło się w piecu. Rozpalały się szybko, ale niestety równie szybko się paliły.

DANUTA

Pobyt w Soroczyńsku był dla nas czasem nadziei i wyczekiwania. Żyliśmy w przekonaniu, że już niedługo opuścimy ten kraj, wyjedziemy z pierwszym transportem naszego wojska. Ojciec jeździł po obwodach i zwoził osieroczone polskie dzieci do powstających dla nich domów dziecka. Był taki plan, że ojciec dołączy do naszej armii, a my do jednego z tych polskich sierocińców.

BOGUSŁAW

Pewnego dnia – a wybuchło to nagle i spadło na nas jak grom z jasnego nieba – zapadła decyzja: nie jedziemy.



Budynek radzieckiego domu dziecka w Soroczyńsku

DANUTA

W dyskusjach, jakie się odbywały w tym małym pokoiku, gdzie za zgodą naszej gospodyni tata przyjmował interesantów – a które były regularnie przeze mnie i siostry podsłuchiwane – często padało nazwisko Krupa. To po rozmowie z panem o tym nazwisku dowiedzieliśmy się, że nie wyjedziemy ze Związku Sowieckiego z pierwszym transportem polskiego wojska.

– Panie Żukowski, trzeba sprawę dokończyć, jest jeszcze wiele miejsc do objechania. – Tu padły nazwy rejonów, których dziś już nie pamiętam, ale było ich sporo. – To duży teren, który jeszcze nie został sprawdzony – mówił do taty pan Krupa.

Tereny, które wymienił, nie należały do obszaru działań ojca, ale według nowego polecenia miał je sprawdzić. Zostało jasno powiedziane, że trzeba wykonać tę pracę za kogoś innego. Nie wiem, czy ktoś się wycofał, zdezerterował, zachorował czy może był inny powód – może po prostu nie podołał obowiązkom, bo wykonywanie ich przecież nie było proste, to były trudne podróże.

– Ja swój teren zjechałem, zrobiliśmy wszystko sumiennie – bronił się ojciec.

Pan Antoni – towarzysz podróży ojca – wyraźnie wspierał go w tej rozmowie, choć nie pamiętam dokładnie jego słów. On też chciał jechać. Dla nich obu było niemiłą niespodzianką, że mimo wykonania ciężkiej pracy muszą za kogoś działać dalej, przez co nie będą mogli dołączyć do polskich jednostek wyjeżdżających ze Związku Sowieckiego.

– Panie Żukowski, pan uratuje swoje dzieci, a inne już Polski nie zobaczą. Jak my będziemy się potem z tym czuć?

Sile tego argumentu pana Krupy uległ i ojciec, i pan Antoni, dalszej dyskusji nie było.

No, podsłuchiwałyśmy, podsłuchiwałyśmy... musiałyśmy być przecież dobrze zorientowane w tak ważnej dla nas sprawie. Ale wiadomo, że nie

wszystko słyszałyśmy, a czasami nie wszystko rozumiwałyśmy. Jednak sens tej rozmowy złapałyśmy w mig i natychmiast przestałyśmy darzyć sympatią pana Krupę. W ramach rewanzu podśpiewywałyśmy potem między sobą: „Oj ten Krupa, oj ta dupa...”.

W podsłuchiwanym przez nas rozmowach padały też inne polskie nazwiska, ale ja chyba przez tę przyśpiewkę tak dobrze zapamiętałam nazwisko tego pana.

To było niezwykle przykre dla nas przeżycie, wielki, przeogromny zawód. Długo nie mogliśmy się z tym pogodzić.

BOGUSŁAW

Po tej rozmowie tata powiedział, że pojedziemy z następnym transportem wojska. Byliśmy bardzo zawiedzeni.

Ojciec na wiele sposobów próbował nam to wytłumaczyć: że nie jesteśmy jeszcze dość silni, że musimy się wzmocnić. Mówił, że prawdopodobnie dostaniemy zastrzyki wzmacniające organizm, które pomogą nam lepiej się zaaklimatyzować na ciepłych terenach.

DANUTA

Aby nas ostatecznie przekonać o słuszności tej decyzji, tata podzielił się z nami okrutną wiadomością:

– Musicie wiedzieć, że w tych południowych republikach sowieckich, gdzie panuje suchy, gorący klimat, dzieci, wycieńczone zsyłką na Syberii, zaczęły masowo umierać. Nasi znajomi pozostali bez dzieci. – Tu ojciec wymienił nazwisko, które znaliśmy, choć dziś go już nie przywołam. – Zmarło im troje.

Te straszne wieści dotyczyły chyba rodziny zesłanej z nami do Gramatuchy. Kto i jak przywiózł tę wiadomość, nie wiem, ale ojciec miał przecież kontakty...

Tym argumentem ojciec ostatecznie nas przekonał, złagodził ból, jakoś pogodziliśmy się z tą decyzją, przestaliśmy rozpaczać. Historia osieroconych rodziców uruchamiała naszą wyobraźnię: a gdybyśmy tak my tam pojechali i wszyscy pomarli... To nas uspokoiło.

Potem tata przytaczał jeszcze przykłady, znane mu z literatury na temat pierwszej wojny światowej, mówiące o tym, że ludzie z północnych terenów przenoszeni nagle na południe zapadali na zdrowiu, że szalał pomór wśród żołnierzy. To nie było już potrzebne... ale jeszcze bardziej nas uspokoiło.

BOGUSŁAW

– Musicie się wzmocnić, tak żebym ja dochował przyrzeczenia danego waszej matce i żebym was wszystkich dowiózł do Polski. – Takich wielkich słów użył wtedy ojciec.

DANUTA

Byliśmy słabi, to nie ulegało wątpliwości. Mieliśmy świadomość, że Boguś, chorując na odrę w baraku *miasokombinatu*, otał się o śmierć.

Ten nowy teren poszukiwań polskich sierot ostatecznie jednak chyba przejął ktoś inny, bo dodatkowa praca ojca wkrótce nie była już potrzebna. Ojciec nie zerwał współpracy, ale nie była ona już taka intensywna – z jakich konkretnie powodów, tego nie wiem.

BOGUSŁAW

Jakiś czas po tych wydarzeniach zapadła decyzja o naszej przeprowadzce z miasta na wieś. Chodziło o to, żeby przenieść nas w lepsze warunki, gdzie byłoby lepsze ogrzewanie, a przede wszystkim szansa na lepsze odżywianie. W mieście o żywność było coraz trudniej. Decyzję tę zapewne

przyspieszyły nasze choroby, wszystkie moje trzy siostry miały czyraki. Oglądał je lekarz, zapisał maść ichtiolową i coś jeszcze.

DANUTA

U Leny i jej matki mieszkało się nam dobrze i zgodnie. Stosunki między nami a gospodyniami układały się bardzo przyjaźnie. Nawet razem świętowaliśmy Wielkanoc. To był 1942 rok, akurat wtedy Wielkanoc katolicka i prawosławna się zbiegały. Siedzieliśmy przy jednym stole. One zegnały się po swojemu, a my po swojemu. Było nam tam bardzo rodzinnie. Ale stosunkowo szybko, bo z nastaniem wiosny, przenieśliśmy się na wieś.

BOGUSŁAW

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Soroczyńska, nadal uważaliśmy, że nasz pobyt w Związku Sowieckim jest tylko tymczasowy, długo już nie potrwa, bo wyjedziemy stąd z następnym transportem Armii Andersa.

Niestety dwa pierwsze transporty polskiego wojska – wiosną i latem 1942 roku – wyszły ze Związku Sowieckiego w kierunku niezgodnym z oczekiwaniami władzy sowieckiej, dlatego Stalin wstrzymał wymarsz ostatniego, trzeciego transportu, w którym ostatecznie miała być nasza rodzina. Transport ten nigdy ze Związku Sowieckiego nie wyjechał. Z tego powodu nasz pobyt na sowieckiej ziemi przedłużył się o kolejnych kilka lat...



Dom Pionierów przy placu Lenina w Soroczyńsku, lata 50.

* * *

Na początku 1942 roku poprawa sytuacji militarnej na froncie wschodnim (odparcie ataku na Moskwę) wpłynęła zaskakująco negatywnie na dotrzymywanie przez Związek Sowiecki umów zawartych z polskimi władzami.

Władza sowiecka konsekwentnie utrudniała Polakom realizację uzgodnień poczynionych w grudniu 1941 roku w trakcie wizyty generała Andersa w ZSRS:

– opóźniano pobór chętnych do polskiej armii, ograniczając go terytorialnie tylko do trzech republik: kirgiskiej, kazachskiej i uzbeckiej,

– uniemożliwiano przyjmowanie obywateli polskich narodowości obcego pochodzenia,

– blokowano zwalnianie Polaków przymusowo wcielonych do Armii Czerwonej i batalionów pracy,

– nie zezwalano na wcześniej uzgodnioną ewakuację do Wielkiej Brytanii i na Bliski Wschód 25 tysięcy polskich żołnierzy przeznaczonych do służby w lotnictwie, marynarce i wojskach pancernych.

Te działania w głównej mierze spowodowały, że liczebność polskiej armii nie rosła zgodnie z oczekiwaniami.

Na początku lutego 1942 roku władze sowieckie zażądały od generała Andersa skierowania na front 5. Dywizji Piechoty. Od tego uzależniały rozpoczęcie uzbrajania kolejnych dywizji. Anders odmówił, argumentując, że jego armia osiągnie gotowość bojową najwcześniej za sześć miesięcy. Nie godził się na wysyłanie na front jednej dywizji.

Sytuacja aprowizacyjna polskiego wojska była bardzo ciężka. Blisko 70 tysięcy żołnierzy otrzymywało tylko 40 tysięcy przydziałów żywnościowych. Ten niewielki przydział Rosjanie w marcu 1942 roku zredukowali do 26 tysięcy racji. Tymi głodowymi porcjami żołnierze dzielili się z napływającą nieustannie do miejsc formowania się wojska polską ludnością cywilną. W tych okolicznościach najważniejszym zadaniem stało się ocalenie polskiej armii i towarzyszących jej cywilów.

Na spotkaniu ze Stalinem – 18 marca 1942 roku – generał Anders ponownie poruszył kwestię ewakuacji części wojska polskiego do Iranu. Tym razem Stalin wyraził zgodę na wyjazd wszystkich polskich żołnierzy, dla których nie wystarcza żywności. W konsekwencji tych uzgodnień na przełomie marca i kwietnia przeprowadzono przy pomocy ze strony ZSRS pierwszą ewakuację Armii Andersa do Iranu. Wyjechało blisko 44 tysiące osób, w tym ponad 33 tysiące wojskowych.

Na terenie Związku Sowieckiego pozostało nadal ponad 40 tysięcy polskich żołnierzy. Ostatecznie na ich losy największy wpływ miała trudna sytuacja frontowa Brytyjczyków w Afryce spowodowana niemiecką ofensywą feldmarszałka Erwina Rommla. Pod jej presją premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill porozumiał się bez wiedzy Polaków ze Stalinem. 2 lipca 1942 roku polski rząd w Londynie poinformowano, że Stalin zdecydował się na wyprowadzenie z ZSRS na Bliski Wschód pozostałych polskich jednostek. Sowiecki przywódca pozbywał się w ten sposób polskiego wojska, lojalnego wobec polskich władz emigracyjnych, a równocześnie zaskarbił sobie wdzięczność Brytyjczyków.

31 lipca 1942 roku w Taszkencie podpisano polsko-sowiecki protokół dotyczący ewakuacji do Iranu Polskich Sił Zbrojnych oraz rodzin oficerów i żołnierzy. Tak rozpoczęła się druga ewakuacja Armii Andersa ze Związku Sowieckiego. W 1942 roku, w czasie tych dwóch akcji, z ZSRS do Iranu wyjechało ponad 70 tysięcy żołnierzy, 37 tysięcy ludności cywilnej, w tym niemal 18 tysięcy dzieci. Łącznie ponad 115 tysięcy osób.

6. Nowoigorowka

(kwiecień 1942–maj 1943)

BOGUSŁAW

Wiosną 1942 roku z Soroczyńska przenieśliśmy się do kołchozu Nowoigorowka, w rejonie taszlińskim, *sielsowiet* [gmina] Błagadarnoje. To było stosunkowo niedaleko od Soroczyńska, jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Pojechaliśmy tam za namową Polaków, którzy już od jakiegoś czasu pracowali w tym kołchozie.

Trwała wojna, mężczyźni byli na froncie. Po wsiach zostali albo starcy, albo dzieci, albo tacy, którzy nie stanowili pełnowartościowej siły roboczej. Brakowało rąk do pracy. Chętnie przyjmowano nowych pracowników. Dla nas podstawowym argumentem było to, że na wsi łatwiej niż w mieście można było zdobyć żywność, łatwiej przeżyć.

DANUTA

Nowoigorowka to była bardzo ładna, zadbana wieś. Dostatnia jak na tamte czasy. Położona wśród bezkresu stepu. Gdziekolwiek spojrzeć, tam step.

W wiosce przebywało kilkoro Polaków, w tym państwo Rzęsowie (być może poprawna pisownia tego nazwiska to: Żęsa) – rodzice i dwóch synów. Ta rodzina przeniosła się potem razem z nami do innej wsi. Było też kilkoro samotnych Polaków: pan Kuźma i pan Jacek – Jacek to nazwisko – oraz pani Maria Stolarczyk.

Pan Jacek był młodym kawalerem, miał około dwudziestu pięciu lat. Pan Kuźma był w wieku naszego ojca i był albo Polakiem, albo spolonizowanym Ukraińcem. Bardzo kochał Polskę, ale znał też wiele ukraińskich pieśni, podobnie jak pani Maria – często razem je śpiewali.

Można powiedzieć, że Nowoigorowka była przyjazna Polakom.

BOGUSŁAW

To była mała wioska, przypominała ukraiński chutor wśród stepów. Z Soroczyńska przyjechaliśmy tam z rodziną Rzęsów wozem zaprzężonym w konie, zorganizowanym przez Polaków, którzy zachęcili nas do tych przenosin.

Wszyscy zostaliśmy zakwaterowani w dość dużym jak na tamte czasy drewnianym baraku. Pełnił on funkcję wiejskiej świetlicy. Mieszkaliśmy w nim jakiś czas, ale, jak się szybko okazało, budziło to zawiść mieszkańców wsi. Poszło o rzekomy luksus, w jakim żyliśmy. W świetlicy była bowiem drewniana podłoga, a w okolicznych domach powszechnie królowało klepisko. I o tę wysoce komfortową podłogę – wykonaną z najzwyklejszych, niedokładnie wyheblowanych desek – poszło... Aby położyć kres tej niesprawiedliwości społecznej, przewodniczący kołchozu – wtedy jeszcze był to mężczyzna – przydzielił nam inne kwatery.

Naszą rodzinę skierowano do domu Paradiny. Jej mąż był na froncie. Miała dwie córki. Jedna była w wieku naszej Jadzi, a druga starsza. W domu był przedsionek i dwie izby. Trudno powiedzieć, która z nich była kuchnią, bo każda miała swój piec z paleniskiem. Jedną z nich przydzielono właśnie nam.

W tym domu dwie rzeczy były niezwykle. W rogu swojego pokoju gospodyni miała zawieszoną małą ikonę. Zawsze w dzień ta ikona była

zakryta kolorową makatką. Nieraz udało mi się zobaczyć naszą gospodynię, jak ukradkiem odsłania tę ikonę i się modli.

Druga niecodziennosc to patefon. Na korbkę, mocno trzeszczący. Patefon to wtedy w wiejskich chatach był sprzęt niespotykany. Do tego patefonu były tylko dwie winylowe, wysłużone płyty. Na jednej stronie każdej z nich nagrana była tylko jedna piosenka. Te piosenki do dziś dźwięczą mi w uszach...

DANUTA

Rodzinę Rzęsów zakwaterowano wtedy u innych kołchoźników, kilka chałup od nas. Byliśmy w stałym kontakcie, a my, dzieci, często razem się bawiliśmy. Młodzi Rzęsowie mieli na imię Gienek i Władek. Ten drugi, dość tęgi, był bardzo mądrym chłopcem, w wieku Jadzi, miał wręcz niecodzienny zmysł wynalazczy. Siedział i myślał... myślał i często coś fajnego wymyślił.

To właśnie jemu udało się w tych spartańskich warunkach dokonać wręcz technicznego cudu: zbudował nam „telefon”. Nie był to oczywiście prawdziwy telefon, ale dla nas wyśmienita zabawa. Drut – gdzie go zdobył, nie wiadomo – przeciągnął z ich chaty do naszej. W domu drut zaczepiliśmy o piec, tak żeby nikomu nie przeszkadzał. Słuchawki domorosły wynalazca zrobił z pudełek po paście do butów, okręcając wokół nich końcówki druta. Była tam jakaś dziurka, jakiś zaczep, detale, na które nikt poza konstruktorem nie zwrócił uwagi.

Między chałupą Rzęsów a naszą była spora odległość, kilka domów, ale „dzwoniliśmy” do siebie, mimo że ten telefon niestety tak naprawdę nie dzwonił. Na rozmowy trzeba się było wcześniej umawiać. Jeden siedział ze „słuchawką” przy uchu w jednym miejscu, a drugi biegł do drugiej chałupy i nadawał.

Krzyczeliśmy do „słuchawki”, naśladowując podsłuchane rozmowy ojca z polską placówką dyplomatyczną:

– Delegatura? Halo, halo...! Delegatura?! – krzyczał jeden do słuchawki.

– Przyślijcie masła, przyślijcie masła! – odkrzykiwał inny w drugim domu.

– Niech wam krowa nasra... – padała żartobliwa odpowiedź.

Ten głos szedł po drucie. Było słyhać, jak się niesie, dźwięki docierały do odbiorcy, były dobrze słyszalne, choć nie rozumiało się wyraźnie poszczególnych słów. Ależ podobała się nam ta zabawa! Telefon w tamtej rzeczywistości to był przedmiot wielkiego pożądania, coś absolutnie nieosiągalnego.

Nie trwało to długo, bo jakieś zwierzę czy człowiek zaplątał się w ten przeciągnięty między chałupami drut i nasz telefon został zniszczony.

BOGUSŁAW

Na stepie – wbrew temu, co można by sądzić – zimy są bardzo mroźne i surowe. Ogrzewanie domostw jest sporym problemem.

DANUTA

Jednak w Nowoigorowce ten problem nas nie dotknął. Nasz dom stał na skraju wsi, a nieopodal był las. Ojcu wypożyczano nawet z kołchozu konia, aby z lasu mógł nawieźć do domu opału, a dodatkowo na zimę dostawał przydział kiziaków z zasobów kołchozu. Kołchozowe cegielki opałowe robiono z odchodów zwierząt hodowlanych. Po rozdzieleniu tych kiziaków na opał dla szkoły i innych budynków administracji kołchozowej to, co zostawało, rozdawano mieszkańcom.

BOGUSŁAW

W kołchozie praca trwała cały dzień, od świtu do nocy. Każdego dnia przydzielano zadania do wykonania. Nasz ojciec był tam woźnicą i opiekował się dwoma końmi. Kary nazywał się Moriak [Marynarz], a klacz kasztanka – Moskwiaczka [Moskwiczanka].

Tymi końmi ojciec każdego dnia woził, co mu kazano. Do Taszły, stolicy naszego rejonu, często zawoził płody rolne, stamtąd przywoził paliwo do kołchozowych traktorów. Czasami odwoził zboże do elewatorów aż do Soroczyńska. Wykonywał wszystko, co było trzeba. Często po powrocie z pracy był tak zmęczony, że wóz zostawiał pod domem, a ja odprowadzałem konie do stajni. Dumny byłem z tego zadania.

DANUTA

Ojciec wykorzystywał wyjazdy do Soroczyńska i kupował tam czasami okazjnie różne produkty, które potem odsprzedawał z zyskiem lub wymieniał na wsi na jedzenie. Kupował najczęściej od ludzi, którzy ewakuowali się ze strefy frontowej i dalej nie mogli tych rzeczy wieźć albo wiezienie ich uważali za bezcelowe, albo po prostu potrzebowali pieniędzy na dalszą podróż czy utrzymanie.

Braki w towarach codziennego użytku były dotkliwie. Handlowano wszystkim. Ojciec przywoził więc przeróżne rzeczy.

Raz z takiej wyprawy przywiózł trzy wielkie, fabryczne szpule białych nici. Te nici nawijałyśmy ręcznie my, dziewczynki, na maleńkie szpuleczki i tak je sprzedawaliśmy. Przewijanie tych nici to nie była przyjemna praca, trwała bez końca. Ale jakie było na to zapotrzebowanie! Wszyscy przybiegali do nas po te nici. Taki produkt to był unikat.

BOGUSŁAW

Pewnego razu ojciec kupił dwie płyty do patefonu. Potem jedna z nich, ta, którą najbardziej lubiliśmy i ciągle nastawialiśmy, zdarła się, a wtedy

z patefonu razem z muzyką wydobywały się trzaski, ale i tak wszystkim bardzo się podobało. A pewnego dnia kupił nam warcaby.

DANUTA

Zimą wieczorami ciągle graliśmy w te warcaby. Boguś na początku nie umiał przegrywać. Jak widział, że przegrywa, biegł do wychodka, wracał i mówił:

– Jak to? Jak to? Coś tu jest nie tak. To tak nie było. Gramy od nowa!

Dopiero gdy ojciec mu powiedział, że przegrywać trzeba umieć, że to męska rzecz potrafić przegrywać, ten argument do Bogusia trafił.

BOGUSŁAW

Nauczyłem się grać w warcaby i grałem tak dobrze, że ogrywałem dorosłych. Niektórzy strasznie się wściekali. Wszyscy nie mogli się nadziwić, że takie małe dziecko umie tak dobrze grać.

DANUTA

Ten patefon, który wszyscy pamiętamy z domu Paradiny, nasz tata kupił zaraz na początku właśnie w Soroczyńsku. Bardzo zachwycił naszą gospodynię, zresztą nas również. Wszyscy kochaliśmy go słuchać, mimo że mieliśmy tylko te dwie płyty. Potem, nie wiem na jakiej zasadzie, ten patefon stał się własnością Paradiny. Może w ramach rozliczenia za mieszkanie i jedzenie?

Ciągle rozliczenia z naszą gospodynią były w naszym odczuciu uczciwe. Jak ona zabiła owcę, dawała nam mięso, a w zamian ojciec albo przywoził jej z Soroczyńska coś, co zamówiła, albo rozliczali się jakoś inaczej – zawsze zgodnie z zasadą, którą tata wyznawał: kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi.

BOGUSŁAW

Tutejsza ludność – tak jak i my, Polacy – była wtłoczona w tryby stalinowskiej maszyny. Tak jak i my często byli głodni, nie mieli czym ogrzać domu.

Ich nastawienie do Polaków z reguły było dobre, często służyli nam radą, jak przeżyć. Czasami uczyli, jak, co i skąd „zorganizować”, czyli sprytnie ukraść, aby nie zostać przyłapanym. Pomagali nam, na ile mogli, no i kiedy się nie bali.

Większość mieszkańców wsi pochodziła z Ukrainy, skąd przyjechali w latach trzydziestych w czasie tak zwanego wielkiego głodu. Pamiętam, jak kobiety opowiadały, że w 1933 roku ludzie na Ukrainie umierali tak masowo, że nie chowano ich w grobach, lecz ciała wrzucano do ambarów, przydomowych spichlerzy, pełniących zarazem funkcję letnich kuchni, i po prostu podpalano budynek. Po tych tragicznych wydarzeniach dużo Ukraińców przesiedlono za Ural, a spora ich część trafiła na tutejsze tereny, w tym do Nowoigorowki.

DANUTA

To byli dobrzy, życzliwi ludzie. Ale zdarzali się też wrogowie Polaków. Tacy, którzy Polaków nie tolerowali. Powody tej niechęci pewnie były różne. Jakże konkretnie, nigdy nie dochodziliśmy. Było wiadomo, że takich trzeba omijać szerokim łukiem.

BOGUSŁAW

Trudno uwierzyć, że pukającemu do drzwi głodnemu dziecku, sierocie, Rosjanka oddaje ostatni kawałek chleba, wiedząc dobrze, że tego chleba nie ma na rano dla własnych dzieci. To nie jest zmyślona historia. Byłem tego świadkiem.

DANUTA

Trzeba powiedzieć, że na wsi nie było wtedy dzieci *bezprizornych* [bezdomnych]. Jeśli się pojawiały, to tylko na chwilę, tak aby władze nie zdążyły ich zlokalizować, bo takie dzieci wyłapywano i przymusowo oddawano do domów dziecka. Bardzo tego przestrzegano. Takie były wytyczne najwyższych władz. Wszystkie dzieci były sowieckie.

BOGUSŁAW

Tą kobietą, która oddała ostatni kawałek chleba, była nasza gospodyni Paradina. Następnego dnia widziałem, jak jej córki chodziły głodne...

DANUTA

Początkowo przyjazna, miła atmosfera pracy i życia w naszej Nowoigorowce zmieniła się diametralnie, kiedy do kołchozu przysłała nowa przewodnicząca – niejaka Karibut. To była komunistka, żona *wysokogo komandira* [dowódcy wysokiej rangi], ewakuowana na te tereny z Leningradu. Co się stało z naszym dotychczasowym *priedsiedatielem* [przewodniczącym], nie wiedzieliśmy. Przepadł.

Obowiązywała wtedy niepisana sowiecka zasada, że wysoko postawionym partyjnym osobom należy dawać kierownicze stanowiska. Karibut na kołchozie i gospodarowaniu na roli znała się jak świnia na gwiazdach. Była jednak partyjna i musiała dostać odpowiednie stanowisko. W kołchozie mogła się wyżywić, a w mieście przymierałaby głodem – racje żywnościowe były przecież podłe. Ona miała trójkę dzieci. Tu mogła sobie porządzić, wyżywić i dzieci, i siebie.

Jak nastąpiły jej rządy, kołchoźnikom i pracownikom najemnym z miejsca znacznie okrojono racje żywnościowe.

BOGUSŁAW

Kołchoźnicy i pracownicy najemni dostawali wynagrodzenie w naturze. *Trudodien'* [dzień roboczy] przeliczało się na produkty. Kołchoz płacił tym, co produkował.

DANUTA

Najchętniej dawano produkty najmniej atrakcyjne. Nikt tam nie dostawał pieniędzy.

Ta baba manipulowała *trudodniami*, tak aby pracownikom wydać jak najmniej żywności. Zrobiła to, dramatycznie obniżając wartość dnia roboczego przeliczaną na produkty żywnościowe, a ponadto wszystkie najwartościowsze produkty w ogóle wyeliminowała z tych rozliczeń. Nie można było już ich dostać jako wynagrodzenie. Te zaoszczędzone produkty w całości przekazywała jako dostawy dla państwa. W wyniku tych jej zabiegów przydział mleka i oleju dla pracowników najemnych zmniejszył się o ponad połowę. W ogóle przestano racjonować masło, podobnie jak mięso baranie, które rzadko, bo rzadko, ale wcześniej było wydawane najemnikom i pracownikom administracji kołchozu.

Towarzyszka Karibut była zwykłą – choć zdecydowanie wyrachowaną – efekciarą. Powtarzała ciągle i na każdym kroku swoje wyświechtane slogany:

- Wszystko dla frontu!
- Wszystko dla Armii Czerwonej!
- Wszystko dla naszej ukochanej ojczyzny...! itp.

Tym, o co faktycznie dbała, był rozgłos. Chciała zdobyć renomę u zwierzchnich władz, aby podnieść u nich swoje notowania, zaskarbić sobie ich przychyłność, licząc na awans na jeszcze lepsze stanowisko i wyższe apanaże. To, że robiła to kosztem całej kołchozowej społeczności, zupełnie jej nie przeszkadzało.

BOGUSŁAW

Zdobywanie pożywienia w kołchozie wcale nie było takie łatwe. O najadaniu się do syta mogliśmy tylko pomarzyć. Dzieci biegały głodne. Za ten stan rzeczy obwiniana była przewodnicząca Karibut.

– *Karibut, nasza Karibut, kiedy chleba nam dadut?* [Karibut, nasza Karibut, kiedy dadzą nam chleba?] – wołały bose dzieci, biegając całymi hordami po wsi i krzycząc niby w powietrze, ale tak, żeby szefowa kołchozu to słyszała.

DANUTA

Wszystkie dzieciaki latem biegały na bosaka. Na wsi uważano, że to wstyd chodzić w butach. Traktowano to jako wywyższanie się.

BOGUSŁAW

W Nowoigorowce obok tradycyjnej produkcji rolnej była olejarnia. Tłoczenie oleju to było wielkie widowisko. Z całej okolicy zbiegały się dzieci, siadały na murku okalającym olejarnię i patrzyły, jak się tłoczy olej. Tylko raz w roku trafiała się ta rozrywka. Wytłoki szły na paszę dla bydła, a olej w ramach obowiązkowych dostaw oddawano państwu. Jedynie niewielka część zostawała w kołchozie do podziału pomiędzy pracowników.

Wtedy pierwszy raz, od kiedy znaleźliśmy się na terenie Związku Sowieckiego, dostawaliśmy ten tłuszcz.

DANUTA

Jadzia pracowała, tak jak cała młodzież w jej wieku. Młodzi wykonywali różne prace, często bardzo ciężkie. W kwietniu szli pielić zachwaszczone płołnem wszystkie uprawiane zboża, z wyjątkiem owsa, który

przeznaczony był tylko dla zwierząt. Potem hakali, czyli okopywali kartofle. Jesienią zrywali słoneczniki. Cały rok było coś do roboty i to najczęściej od świtu do nocy. Co przydzielono do wykonania, trzeba było robić. Często do pracy w polu wołano dzieci ze szkoły.

BOGUSŁAW

Danusia z Różą chodziły do szkoły.

DANUTA

Boguś nawet nie pamięta, że jako mały berbecić ciężko pracował w polu. Już w kwietniu w Nowoigorowce wychodziło się pelić zboża. Trzeba było wyrywać piołuny. Szły wszystkie dzieci w wieku szkolnym, nawet te z pierwszej klasy. Nasz Boguś był jeszcze w wieku przedszkolnym i nie musiał, ale szedł, bo sam chciał pracować... Chciał iść z nami.

W połowie dnia pracy wszyscy pracujący w polu dostawali kołchozową zupę. Właśnie podczas tego posiłku kilka razy zauważyłam, jak nasz nowy nauczyciel z uwagą obserwuje mojego brata. Tak samo było, kiedy wróciliśmy po przerwie do pracy. Śledził go wzrokiem cały czas. A przecież Boguś w polu nic złego nie robił, pracował sumiennie, może nawet za bardzo się przykładał jak na tamte standardy. Był tam wyraźnie najmłodszym kołchoźnikiem. To była ciężka praca...

BOGUSŁAW

Przez cały pobyt w Związku Sowieckim funkcjonowałem jako dziecko o rok młodsze. W sowieckich papierach powielano „odmłodzoną” datę moich urodzin, którą ojciec podał do spisu ludności jeszcze w Gramatusze.

DANUTA

Nauczycielka Zoja Nikiforowna pozwoliła, żeby Boguś, choć nie był jeszcze w odpowiednim wieku, zaczął razem ze mną chodzić do szkoły. To była mądra i dobra kobieta. Nie przesadzę, jeśli powiem, że bardzo przyjaźnie nastawiona do Polaków. Powiedziała ojcu, że zna mojego młodszego brata, że to bardzo mądry, inteligentny chłopiec i trzeba to wykorzystać. Zapewniała, że on wszystkiego szybko się nauczy.

I tak Boguś zaczął chodzić do szkoły jako – jak dziś byśmy to określili – wolny słuchacz. Miał zeszyt, wszystko pisał, pracował tak jak my, uważnie słuchał. Był bardzo dumny i szczęśliwy.

BOGUSŁAW

Kiedy chodziłem z Danusią do szkoły, rozpierała mnie duma, bo ona przecież była cztery lata ode mnie starsza. Wydawało mi się, że jestem niemal w jej wieku, więc prawie dorosły.

Jednak pewnego dnia przyszedł do szkoły wizytator. Popatrzył po klasie swoim przenikliwym okiem i od razu zauważył, że większość dzieci jest wzrostem mniej więcej równa, tylko w jednym miejscu mała głowa ledwo wystaje znad ławki. To oczywiście była moja głowa. Podszedł wtedy do mnie, otworzył książkę, z której się uczyliśmy, i kazał mi czytać.

Ochoczo przystąpiłem do wykonania zadania, zacząłem żarliwie czytać wskazany fragment. Czytałem bardzo szybko, za szybko. Danusia mnie szturchnęła.

– Nie czytaj tak *bystro* [szybko] – powiedziała.

Ja na tego kuksańca odwróciłem się w jej kierunku, jednak czytać nie przestałem. I tak inspektor odkrył, że ja „czytam” z pamięci. Kazał mnie wyrzucić ze szkoły, mówiąc, że na moją naukę jeszcze przyjdzie czas.

Tak zakończyła się moja pierwsza, przyspieszona szkolna edukacja.

DANUTA

Nie wiem, co się stało, ale ta nauczycielka – Zoja Nikiforowna – zniknęła z dnia na dzień. Może to było związane z pojawieniem się w kołchozie nowej przewodniczącej. Jak Karibut przysłała do kołchozu, to pan *priedsiedatiel* poszedł od razu w odstawkę. A nasza nauczycielka zniknęła... Nie wiem, czy to za jej sprawą, ale Karibut była o to podejrzewana.

W poniedziałek nauczycielka niespodziewanie nie przysłała do szkoły. Nie było jej w wiosce, ale był już nowy nauczyciel – mężczyzna. Wszyscy się dziwili, dlaczego on nie w wojsku, doszukiwali się u niego jakichś ukrytych chorób czy wad. Żadnych zewnętrznych defektów nie dostrzeżono, więc spodziewano się, że niechybnie zostanie powołany do armii.

BOGUSŁAW

Zoja Nikiforowna była bardzo sympatyczną nauczycielką. Ale jak zniknęła, lepiej było nie pytać, co się z nią stało. Pytania w tamtych czasach były bardzo niebezpieczne. Kiedy człowiek zaczynał pytać, drążyć, dociekać, wtedy nim samym zaczynało się interesować. Jemu zaczynało zadawać pytania i pojawiało się jak najbardziej realne zagrożenie, że sam pewnego dnia może zniknąć ze wsi.

DANUTA

Gdy pytaliśmy o naszą nauczycielkę nowego nauczyciela, ten rozglądał się nerwowo po klasie, jakby czegoś się bał. Tak samo zachowywał się zawsze, gdy o niej wspominaliśmy.

– *Niet jejo, znaczit ujechała w swoju dieriewniu ili jeszcze kuda nibud'* [nie ma jej, to znaczy, że wyjechała do swojej wioski lub jeszcze gdzie indziej] – zakomunikował w końcu zirytowany naszymi natrętnymi pytaniami.

Tej nauczycielki nikt już więcej nie zobaczył. To była dla nas bardzo duża strata. Do dziś pamiętam, jak ta pani wyglądała.

BOGUSŁAW

Podobnie rzecz się miała z naszym ojcem. Jednego dnia zaprzągnął konie i jak co dzień wyjechał do pracy. I już nie wrócił...

Dopiero po kilku dniach dowiedzieliśmy się, co się stało.

* * *

Wraz z zakończeniem ewakuacji polskiej armii do Iranu dla Polaków pozostałych na terenie Związku Sowieckiego rozpoczął się nowy, trudny okres. Mnożyły się prowokowane przez stronę sowiecką sytuacje konfliktowe, polegające przede wszystkim na nieustannym niedotrzymywaniu warunków układu Sikorski–Majski. Delegatury ambasady polskiej rozsiane na terytorium ZSRS napotykały piętrzące się trudności w prowadzeniu bieżącej działalności charytatywnej na rzecz polskiej ludności cywilnej – głównie blokowano dostarczanie pochodzących z zagranicznych darów leków, żywności i odzieży. Nasiliły się ataki sowieckich tajnych służb na te przedstawicielstwa. Wymuszano zamykanie szkół i placówek opieki, codziennością stały się aresztowania pracowników polskich delegatur. Latem 1942 roku zapadła decyzja władz sowieckich o likwidacji terenowych delegatur ambasady polskiej.

16 stycznia 1943 roku rząd ZSRS poinformował notą dyplomatyczną polski rząd w Londynie, że z chwilą przekazania niniejszego dokumentu polskim władzom wszystkich Polaków przebywających na terytorium Związku Sowieckiego uznaje się za obywateli sowieckich – bez względu na to, w jakim charakterze znaleźli się na terenie ZSRS: czy jako uchodźcy, czy

jako przymusowi przesiedleńcy, czy jako mieszkańcy zagarniętych we wrześniu 1939 roku Kresów Wschodnich.

Dokument ten nosił nazwę: Nota Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych do Ambasady RP w ZSRS w sprawie obywatelstwa polskiego Polaków w ZSRS. Decyzja nie podlegała dyskusji. Od 16 stycznia 1943 roku na mocy tego dokumentu nie było już w Związku Sowieckim żadnych Polaków. W jednej chwili setki tysięcy ludzi straciły wszystkie swoje prawa.

Prześladowania Polaków na terenie Związku Sowieckiego się nasiliły. Nastąpił brutalny okres tak zwanej paszportyzacji: odbierania Polakom polskich dokumentów i zmuszania ich do przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Ambasada polska została pozbawiona prawa do sprawowania nad nimi opieki.

Polacy byli całkowicie bezbronni wobec tych działań. Można ich było bezkarnie wcielać w szeregi Armii Czerwonej, odbierać im dzieci i oddawać je do sowieckich sierocińców. Niemal na masową skalę rozpoczęła się akcja ujawniania przez stronę sowiecką przypadków rzekomej działalności szpiegowskiej polskich dyplomatów, pracowników terenowych delegatur ambasady i mężów zaufania. Mnożyły się ich aresztowania. Aresztowano również wszystkich tych Polaków, którzy odmawiali przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Wielu z nich zaginęło bez śladu.

Rosjanie przygotowali już nowy scenariusz polityczny, w którym wykonawcami polityki Kremla wobec Polski mieli niedługo zostać przebywający na terenie ZSRS polscy komuniści.

* * *

DANUTA

Ojciec został aresztowany, a potem postawiony w stan oskarżenia. Dano mu wybór: albo się zdecyduje i przyjmie sowieckie obywatelstwo, albo zostanie skazany na łagier.

Nasz ojciec, mimo że miał czwórkę dzieci na utrzymaniu, uważał, że nie może przyjąć obywatelstwa sowieckiego.

Według mojej wiedzy, kiedy mieszkaliśmy w Nowoigorowce, ojciec cały czas, aż do momentu aresztowania, był w stałym kontakcie z polską placówką i wydaje mi się, że ciągle pełnił funkcję męża zaufania. Wyjeżdżał ze wsi do miasta także w polskich sprawach. Wyjazdy do Soroczyńska umożliwiały mu załatwianie za jednym razem i spraw kołchozowych, i naszych polskich... Dalej niż do Soroczyńska już nie jeździł, poszukiwanie dzieci, osób samotnych i starszych zupełnie ustało.

BOGUSŁAW

Ojciec spodziewał się aresztowania... Wiosną 1943 roku rozpoczęła się akcja zmuszania Polaków do przyjmowania sowieckiego obywatelstwa, czyli ich paszportu. Rosjanie nie mieli dowodów osobistych, tylko paszporty.

Zmiana obywatelstwa z polskiego na sowieckie odbywała się tak, że władze wydawały ten dokument, a delikwent go przyjmował. W nim było wpisane: „obywatelstwo sowieckie”, a poniżej: „narodowość polska”.

Nasz ojciec nieustannie odmawiał przyjęcia tego paszportu. Liczył się więc z tym, że będzie poddany represjom. Mimo że miał nas pod opieką, będąc Polakiem, byłym legionistą, widocznie nie potrafił się złamać.

DANUTA

To znamienne – legioniści mieli zakodowane, że lepsza śmierć niż hańba. A hańbą było wyrzeczenie się swojej narodowości, swojej Ojczyzny.

Przyjęcie sowieckiego paszportu było dla nich równoznaczne z wyrzeczeniem się polskości, swego narodu, ukochanego kraju.

Jeśli chodzi o nasz – czyli Polaków na wschodzie – stosunek do Rosjan, był on zawsze specyficzny. To przechodziło z pokolenia na pokolenie... Wiadomo, że w prawie każdej polskiej rodzinie na wschodzie, w tym czy w którymś poprzednim pokoleniu, ktoś z rodziny wędrował na Syberię, zesłany przez Rosjan.

Więc mieliśmy szczególny do nich stosunek.

BOGUSŁAW

Dwaj samotni Polacy, którzy wraz z nami mieszkali w Nowoigorowce – pan Jacek i pan Kuźma – podpisali to sowieckie obywatelstwo i od razu zostali powołani do wojska, czyli wcieleni do Armii Czerwonej.

Z naszym ojcem też by tak było. Gdyby przyjął sowieckie obywatelstwo, natychmiast trafiłby do Armii Czerwonej.

DANUTA

Pozostawaliśmy z oboma panami, Jackiem i Kuźmą, w bardzo dobrej komitywie. Oni byli bardzo życzliwymi ludźmi. Przyjaźniliśmy się. Kiedy okazało się, że zostali powołani do Armii Czerwonej, chcieli pobrać należne im produkty żywnościowe i przekazać nam, bo myśmy zostali już wtedy bez ojca. Towarzyszka przewodnicząca Karibut jednak na to nie pozwoliła.

– Idziecie do wojska, wam to jest niepotrzebne. W wojsku dostaniecie wyżywienie – powiedziała.

Nie było jak się temu sprzeciwić. Zresztą sprzeciw i tak nic by nie zmienił.

BOGUSŁAW

Ojca aresztowano 10 marca 1943 roku. Odbyło się to tak jak większość aresztowań. Błyskawicznie, po cichu, bez dokumentów czy wyjaśniania, o co chodzi. Przyjechali po ojca enkawudziści z Taszły. Jak przyjechali i szukali go po wsi, od razu było wiadomo, w czym rzecz, wiadomo było, że go aresztują. Nie zastali ojca w kołchozie, bo już wyjechał z ładunkiem do jakiejś pobliskiej wsi. Złapali go na drodze tuż przed tamtą osadą. Jedyne, na co pozwolili, to odstawić wóz z końmi do wsi, po czym wsadzili go na pakę i powieźli.

Ten wóz z końmi ktoś przyprowadził do naszego kołchozu trzy czy cztery dni później. A my przez te kilka dni nie wiedzieliśmy, co się z ojcem stało.

DANUTA

Jak tata zniknął, nasza sytuacja radykalnie się zmieniła. Przewodnicząca Karibut chyba wiedziała, że ojciec będzie aresztowany, bo jakoś zaskakująco szybko ucięła nam zaliczkowe wydawanie żywności, którą w ramach rozliczeń za przepracowane dni dostawali pracownicy kołchozu. Mogliśmy żyć tylko z zapasów.

Przewodnicząca powiedziała:

– Zgodnie z sowieckim prawem dzieci muszą iść do domu dziecka. Nie może być inaczej.

Gorliwa towarzyszka obiecała podjąć stosowne starania, aby jak najszybciej mogło się to dokonać.

Padł na nas blady strach. Byliśmy przerażeni. Pamiętaliśmy przecież, że jeszcze niedawno nasz ojciec wyciągał polskie dzieci z tych sowieckich przybytków dobroci i dostatku. Wszystkie zabiedzone, głodne, zaszczute. Bardzo się tego baliśmy. Baliśmy się przeraźliwie, że za moment znajdziemy się w takiej samej sytuacji jak tamte dzieci. Przytłaczała nas

wiedza, którą mieliśmy dzięki poprzedniej pracy ojca. Wiedzieliśmy, że więzi rodzinne nie są w sowieckich domach dziecka szanowane, wręcz przeciwnie, rodzeństwo często jest specjalnie rozdzielane. Potem już jako dorośli ludzie mają – przy tak wielkim terytorium, wszechobecnym bałaganie, niedbałości o dokumenty, niechlujstwie i bezduszości urzędników – marne szanse, żeby się odnaleźć.

Wtedy mieszkający w Nowoigorowce Polacy uradzili, żeby samotna Polka – pani Maria Stolarczyk – oświadczyła, że ona z naszym ojcem byli już po słowie i że zgodnie z polską tradycją są małżeństwem, bo sobie to przy świadkach – innych Polakach – przyrzekli. Nie zdążyli tylko pojechać do *raispołkomu* [rejonowego komitetu politycznego] i tam *rozpisat'sia*, czyli zarejestrować w urzędzie związku małżeńskiego. Było z tym spore zamieszanie. Nie wystarczyło oświadczenie pani Marii i ustne zeznania wszystkich mieszkających w Nowoigorowce Polaków. Musiały potwierdzić to dzieci. Róża i Jadzia pojechały furmanką do Taszły, do *raispołkomu*, i tak zrobiły.

– Tak, my na nią mówimy mama, bo to będzie, to już jest nasza mama – powiedziały.

Podpisały to zeznanie, podobne podpisali wszyscy Polacy z Nowoigorowki. Wtedy Rosjanie się zgodzili, żebyśmy zostali pod opieką pani Marii Stolarczyk. To nas uratowało...

BOGUSŁAW

To nas uratowało przed umieszczeniem w sowieckim domu dziecka.

DANUTA

Gdy ojca aresztowali, a my zostaliśmy z panią Marią Stolarczyk, Karibut była nam bardzo nieprzychylna, żeby nie powiedzieć – wrogo do nas nastawiona. Dla niej kobieta z czwórką dzieci – co to za pracownik? Co to

za siła robocza? Jedna kobieta do pracy, a tyle gąb do wyżywienia... Ostatecznie Karibut wyrzuciła panią Marię z pracy.

Wtedy pani Stolarczyk pojechała do *sielsowietu* [rady gminy] i tam się dowiedziała, gdzie jeszcze mieszkają Polacy. Postanowiliśmy się przenieść. Padło na Graznuchę. Zaprzyjaźniona rodzina Rzęsów przeniosła się z nami. I to był bardzo dobry wybór.

BOGUSŁAW

Maria Stolarczyk była samotną kobietą. Pochodziła z Przemyśla. Kiedy 17 września 1939 roku do Polski wkroczyła Armia Czerwona, granica pomiędzy ziemiami zagarniętymi z jednej strony przez Niemców, a z drugiej przez Rosjan przebiegała w okolicach Przemyśla wzdłuż Sanu, w pewnym miejscu wręcz na tej rzece.

Pani Maria miała dwoje dzieci. Aby je utrzymać, trudniła się drobnym przygranicznym handlem. Gdy pewnego dnia przeszła przez granicę na stronę sowiecką, tam ją złapali i oskarżyli, że jest *szpionom*, szpiegiem. W ten sposób trafiła do łagru. Po amnestii na mocy układu Sikorski–Majski została zwolniona, ale nie miała jak my statusu *specpieriesielienca*. To mogło skutkować tym – tak obawiali się wtedy Polacy – że po wojnie nie będzie mogła wrócić do Polski.

DANUTA

W Przemyślu pani Maria zostawiła dzieci. Szczęśliwie przetrwały wojnę. Kiedy ojciec w styczniu 1945 roku leżał ranny w szpitalu, prosił znajomych i rodzinę o pomoc w poszukiwaniu dzieci pani Stolarczyk i udało mu się zdobyć o nich wiadomości.

Ustalił, że dzieci pani Marii zostały wywiezione na przymusowe roboty do Niemiec. One były starsze: dziewczynka miała, z tego, co pamiętam,

szesnaście, a chłopiec osiemnaście lat. Dziś nie jestem pewna, czy oboje, czy tylko syn został wywieziony na roboty.

Najważniejsze, że ojciec odnalazł te dzieci i dostał ich zdjęcia. Kiedy ranny wrócił do nas z wojny, miał te zdjęcia ze sobą. Trudno opisać, jak bardzo pani Maria była wtedy szczęśliwa. Trudno to opisać...

BOGUSŁAW

Ojciec, spodziewając się aresztowania, zawarł z panią Marią umowę. Powiedział jej, że jeżeli ona – gdyby go zabrakło – zaopiekuje się jego dziećmi, pomoże im przetrwać, to on się jej odwdzięczy. Przysiągł jej wtedy, że jeśli będzie mu dane wrócić do Polski – a wierzył w to niezłomnie – ona wróci razem z nim. Jeśli będzie trzeba, jako członek jego rodziny, czyli żona.

Myślę, że właśnie dlatego, gdy ojciec został aresztowany, pojawił się pomysł okłamania Rosjan, że oni zawarli już małżeństwo, tylko nie zarejestrowali tego w urzędzie.

Zarówno pani Stolarczyk, jak i nasz tato dotrzyмали umowy. Ona się nami zaopiekowała, nie dopuściła, by zabrano nas do sowieckiego domu dziecka, a on załatwił jej powrót do kraju.

Pani Maria wróciła do Polski. Na sowieckich listach repatriacyjnych, przechowywanych do dziś w Miejskim Archiwum w Orenburgu, widnieje jako Maria Żukowska. Nigdy nie wzięli z ojcem ślubu. Widzieliśmy się jeszcze dwa czy trzy razy po naszym powrocie do Polski. Odwiedzała nas ze swoimi dorosłymi dziećmi, którym udało się przetrwać wojenną zawieruchę.

DANUTA

To było znamienne dla tamtych czasów, że ludzie bardzo się wspierali i pomagali sobie wzajemnie...

Ona tu, na zesłaniu, opiekowała się jego dziećmi, a on tam, w wojennej połodze, ranny, szukał jej dzieci.

BOGUSŁAW

Po aresztowaniu enkawudziści zawieźli ojca do Taszły i tam odbyły się pierwsze przesłuchania. Z Taszły po kilku dniach przewieźli go do Czkałowa (dziś Orenburg). Tam był już regularnie przesłuchiwany i torturowany do czasu postawienia go w stan oskarżenia, czyli do chwili, kiedy uznali, że ojca nie złamią.

Akt oskarżenia i zarazem wyrok – spisany odręcznie kopiowym ołówkiem na lichym papierze, bez daty, pieczęci i podpisu – który przechowujemy w rodzinnych dokumentach, sporządzono właśnie w Czkałowie. Ten dokument skazywał ojca na dwuletni pobyt w łagrze. Ojciec jednak tego nie wiedział, bo jemu mówiono, że czas pobytu w łagrze jest nieokreślony. To był sposób na łamanie ludzi. W tamtych czasach w Związku Sowieckim ludzie skazywani na łagier często nie byli informowani, za co i jak długi dostają wyrok. W łagrze więźniowie byli całkowicie podporządkowani komendantowi, który decydował o ich losie, w tym także o czasie uwięzienia. Przedłużenie takiego zamknięcia zawsze było możliwe pod byle pretekstem, na przykład z powodu braku rąk do pracy.

Ojca najpierw przewieźli do łagru w Omsku – ile dokładnie miesięcy tam był, tego nie wiem. Jadzia twierdziła, że ojciec przebywał też w łagrze dla więźniów politycznych w miejscowości o nazwie Sytr, lub jakoś podobnie brzmiącej, ale ja nie mam pewności, czy rzeczywiście tak było.

Ostatecznie przetransportowano go do łagru w Tomsku.

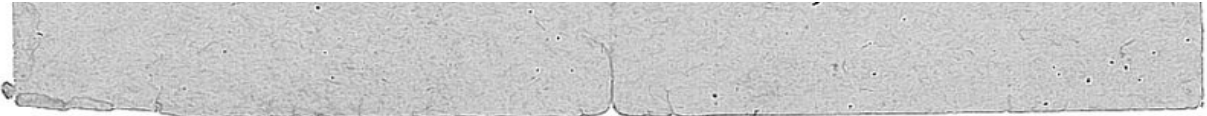


Вырок по обвинению

Мухомекина Леонарда Мамбелбура в
преступлении государственной измены
16-192 ^{н.д.} часть 2-я УК РСФСР

В Государственном РУКВД полученный материал об отказе
в нарушении Советского Закона от 10-го июля 1943 года
произведенных расследований по делу Мухомекина
Мухомекин Леонард Мамбелбур сын освобожденный
Западной Белоруссии и Западной Украины проживает
в Белостокской области Белорусской ССР, которая
на основании Варшавского Договора
Западной Белоруссии от 2 января 1939 года и на основа-
нии указа Президиума Верховного Совета СССР от 29 марта
1939 года вошла в состав Белорусской ССР и подчинена
всем законам Советского Союза. Таким образом
границы населения данной области. Не зависимо от
их расы, вероисповедания и Национальности, вошли
в состав в границах Советского Союза. и пользуются
на равных правах согласно Сталинской Конституции.
На основании выше-изложенного 10 августа 1943 года
Мухомекину было предложено принять Советский Закон,
который он нарушил категорически отказавшись,
Мамбелбур тем, что он является якобы Белорусским
граница и Советские законы для него не
распространяются.
Допрошен по данному делу в качестве обвиняемого и при-
знания обвинение Мухомекин Леонард Мамбелбур
виновным себя не признает и просит оправдания для
чуждые наказания. На основании выше-изложенного
Мухомекин Леонард Мамбелбур. 1899 года рождения,
украинский метрика Пилипове, Покровского
уезда, Любительского воеводства, проживает в Покровском
Покровского р-на Ивановской области, з-н СССР,
гражданин, беспартийный, Находясь в плену с 1940 года,
10 февраля 1940 года был взят органами РУКВД
и освобожден из плена Белостокской области Белорусской ССР
освобожден из ссылки 2 сентября 1941 года по амнистии.
Обвиняется в
В отказе-нарушил Советского Закона на право

Wyrok, jaki otrzymał Leonard Zukowski za odmowę przyjęcia radzieckiego obywatelstwa:
datowany na 10 sierpnia 1943 r., spisany na kartonowym papierze, kopiowym ołówkiem,



Rewers wyroku – taka sama odręczna notka precyzuje, na mocy którego przepisu Leonard został skazany na karę łągru

DANUTA

W Nowoigorowce, jak ojca już zabrali, a nasz los nie był jeszcze przesądzony, Boguś miał kota. Spał z nim, nawet nauczył go spać na wznak, na grzbiecie, z łapkami wyłożonymi na kołdrze. Musiał mieć kogoś, do kogo mógł się przytulić, wyzalić. Kot był całym jego światem i Boguś chodził z nim wszędzie jak z psem. Któregoś dnia kot coś zjadł i zdechł.

Jaka to była rozpacz! A Jadzia żartowała sobie z Bogusia i śpiewała mu: „Męczycielu kociej duszy, dręczycielu kociej duszy, będziesz w piekle siedział po uszy”. A dziecko płakało wniebogłosy. To nie było śmieszne.

Pani Stolarczykowa była już wtedy z nami, ale nie miała odwagi upominać Jadzi. To nasza gospodyni Paradina powstrzymała jej żarty:

– *Jadzinka, ty uże barysznia, a eto malenkij riebionok* [Jadziu, ty już jesteś panienka, a to małe dziecko]. Co ty mu śpiewasz?

Nasza gospodyni była bardzo dobrą, życzliwą kobietą. Bardzo nam współczuła, razem z nami lamentowała, a nocami modliła się przed tą ikoną schowaną w dzień za makatką o odwrócenie naszego losu. To był bardzo dobry człowiek. Ona rozumiała naszą sytuację, a tym bardziej dramat dziecka. Widziała, jak nasz Boguś się męczy. Rozumiała, co się z nim dzieje. Dała mu wtedy mały kłębuszek wełny, żeby nauczył się robić na drutach i miał zajęcie.

BOGUSŁAW

W tej niepewności wolno upływał mi czas. Siedziałem godzinami i robiłem szalik. Jak zrobiłem, to znaczy, jak wełna się skończyła, to go prułem. Robiłem i prułem, robiłem i prułem. Ta czynność bardzo mnie uspokajała.

Zresztą, jak było zajęcie, na którym można się było skupić, to także głód dużo mniej doskwierał.

DANUTA

Tuż przed naszą przeprowadzką do Graznuchy, gdy ojca już aresztowali i przestano wydawać nam żywność, było nam bardzo ciężko. Nie mieliśmy żadnego przydziału mleka, oleju czy innych produktów, kończyło się nam jedzenie. Było przedwiośnie, nasze zapasy szybko topniały.

Koledzy Jadzi opowiadali, że jak był głód w czasie rewolucji, a potem w latach trzydziestych na Ukrainie, to ludzie wchodzili na drzewa i wybierali jajka wronom. Więc Jadzia też się na te jajka wybrała z chłopakami. Wdrapywali się na wysokie drzewa i z gniazd wybierali wronie jajka. Jadzia wcale nie ustępowała swoim kompanom w sprawności, a często nawet ich zawstydziała. Nie tylko zdobywała w ten sposób cenne pożywienie, ale udowadniała miejscowym kawalerom swoją odwagę, budząc w nich niekłamany podziw. Chłopcy wszystkie wybrane przez siebie jajka oddali Jadzi. To była forma koleżeńskiego wsparcia w sytuacji, w jakiej znalazła się ona i jej rodzeństwo. Nasze położenie było przecież wszystkim we wsi dobrze znane.

Jak ona poszła szukać tych jajek, my z Różą bardzo się bałyśmy, żeby nie spadła, bo gniazda wron znajdowały się na samych czubkach wysokich drzew.

BOGUSŁAW

Kiedy potem u taty dociekaliśmy prawdy o jego aresztowaniu, on próbował oszczędzić nam opowieści o przesłuchaniach i pobycie w łagrze. Wiem

jednak od niego, że pozostawianie nagiego człowieka bez jedzenia i picia w zimnej, zawilgoconej norze, gdzie ściany pokryte były zmarzliną, było jednym z łagodniejszych sposobów przekonywania go do sowieckiego obywatelstwa.

Z jego wrywkowych wspomnień z łagru znam historię, jak do ich baraku przydzielono nowego barakowego – starego Rosjanina, zwykłego, ale hardego kryminalistę. To była powszechna praktyka. Takim ludziom dawano stanowisko i obiecywano, że jak będą dobrze rządzili barakiem, będą odpowiednio bezwzględni wobec innych osadzonych, to szybciej odzyskają wolność.

Ten barakowy okazał się jednak człowiekiem.

– A wy czemuście brody pozapuszczali? Czemu jesteście zarośnięci jak starcy? – zapytał, gdy tylko przyszedł do baraku i zobaczył hordeę wymizierowanych brodaczy w wieku zupełnie nie do określenia.

– Jak to? Co mamy zrobić? Noża nie dają nam nawet do jedzenia, czym się mamy ogolić?

Na środku baraku stała metalowa *pieczka* [piec], czyli zaadaptowana na ten cel metalowa beczka z wyciętym otworem na palenisko i rurą odprowadzającą dym do komina. Piec stał na blasze, na którą spadał popiół. Barakowy podszedł do pieca, wyłamał kawałek blachy od spodu. Na *kirpiczu* [cegłe] czy kamieniu wyostrzył ten kawałek metalu tak, że stał się ostry jak brzytwa.

Najpierw sam się ogolił, a potem ogolili się pozostali. To, że będzie z tego afera, było oczywiste. Barakowy też to wiedział. Na koniec wziął tę ich „brzytwę”, ubrudził w ziemi i popiele, a następnie odłożył w miejsce, skąd została wyłamana. Dla niepoznaki przysypał jeszcze to miejsce ziemią. Enkawudziści mogli szukać „brzytwy”, ile chcieli. A szukali zaciekle, przez wiele godzin następnego dnia, kiedy łagiernicy

w dwuszeregu stali na baczność przed barakiem i wysłuchiwali na przemian gróźb i obietnic za wyjawienie barakowego sekretu. Bez skutku. Nie znaleźli...

To było jedno ze zdarzeń z łagru, o którym nam ojciec opowiadał. Druga była historia o tym, jak uznano go za inżyniera. Skazańcom kazano stawiać nowy barak. Najpierw postawiono słupy, które wyznaczały narożniki ścian, a potem przystąpiono do konstrukcji więźby dachowej. Prace prowadzone były pod nadzorem łagrowych strażników. Ci wysłali kilku więźniów na górę. Kazali im tam wciągać nieociosane belki o podobnych rozmiarach, przycinać je i pasować. Poza tym, że było to bezsensowne i mało efektywne działanie, taka praca była niebezpieczna i bardzo ciężka. Wygłodzeni ludzie szybko tracili przy niej siły. Skazaniec jednak nie miał prawa poprawiać sowieckiego człowieka, od którego widzimisię zależało jego życie. Ojciec powiedział więc strażnikom, że jak zmienią sposób pracy, szybciej uda się zbudować ten barak i szybciej wykonają ustaloną normę. Wykonanie pracy ponad wyznaczoną normę – najczęściej już mocno zawyżoną – w Związku Sowieckim uwielbiano.

Nadzorcom nadarzyła się więc okazja do wykazania się przed zwierzchnikami. Zaczęli się dopytywać:

– Da się tak? Jak to zrobić?

– Trzeba belki na więźbę dachową przyciąć i ociosać na ziemi – powiedział ojciec.

Ten pomysł z jednej strony zainteresował strażników, ale z drugiej przeraził.

– Jak to na ziemi? – osłupieli.

Zabrakło im wyobraźni, a tym bardziej wiedzy, żeby wpaść na taki pomysł.

– A skąd ty będziesz wiedział, jak przycinać te belki, jak ich tam na górze wcześniej nie przymierzysz?

– To można obliczyć – powiedział ojciec.

Po dłuższych targach zapadła decyzja:

– Dobra, spróbujmy! Ale jak się nie uda, to ty, Żukowski, będziesz odpowiedzialny i poniesiesz karę za sabotowanie władzy sowieckiej.

Skazańcy wzięli się do pracy. Szybko się okazało, że nie tylko się da, ale tak poprzycinane belki składają się idealnie w więźbę dachu. Jednak to, co było sukcesem, mogło też stać się porażką ojca. Po pracy został wezwany na przesłuchanie, które zaczęło się od słów:

– Żukowski, znowu okłamaliście władzę sowiecką!

– Ja? Jak to? W jaki sposób?

– Twierdziliście, że macie podstawowe wykształcenie, a teraz wyszło na jaw, że jesteście inżynierem!

– Nie jestem inżynierem.

– Milczeć, Żukowski! Wy myślicie, że władza sowiecka jest głupia? Obrażacie władzę sowiecką! Mamy uwierzyć, że jakiś tam głupi Polak bez wykształcenia potrafi zrobić to, co u nas potrafi tylko inżynier?

Większych konsekwencji tego zdarzenia jednak nie było.

To szybsze i dokładne wybudowanie baraku okazało się zbawienne dla przetrwania ojca. Rosjanie nigdy nie uwierzyli, że ojciec nie ma technicznego wykształcenia, byli głęboko przekonani, że to polski inżynier. Do końca pobytu kazali mu nadzorować wszystkie prace budowlane, co bardzo oszczędzało jego siły, nie był już kierowany do najcięższych fizycznych, wycieńczających organizm zadań. Niestety z tego łagru przewieźli ojca wraz z grupą innych więźniów do innego.

DANUTA

Ojciec w pierwszy dzień pobytu w łagrze w Omsku wpadł w oko pewnemu człowiekowi. Zainteresował się nim starszy Rosjanin, jak się potem okazało z zawodu szewc.

Panowie szybko nawiązali kontakt. Ten człowiek siedział dlatego, że jego brat, z zawodu nauczyciel, powiedział, że nie wierzy w *podwigi*, to znaczy we frontowe sukcesy Armii Czerwonej, propagandowo rozgłaszane przez władze. Ów szewc słyszał tę wypowiedź brata i nie doniósł władzy. I właśnie za to trafił do łagru. Ktoś inny musiał też słyszeć te wywrotowe słowa. Jak przyszło NKWD, to nauczyciela na miejscu tak zmasakrowali, że – jak to określał szewc – utopił się we własnej krwi. Dlatego był przekonany, że brat nie żyje.

– Im krócej żył, tym mniej się męczył – zakończył opowieść o bracie i historii swojego skazania, kiedy pierwszej nocy leżeli na pryczy i rozmawiali.

Potem poszli jeszcze pogadać do latryny, bo dobrze im się rozmawiało, a obaj nie mogli zasnąć. Nie chcieli rozmową budzić śpiących wokół umordowanych łagierników.

W latrynie szewc powiedział do ojca:

– Słuchaj, jeżeli ty pójdziesz na zewnątrz pracować, to zginiesz i już swoich dzieci nie zobaczysz. Przemarznieš, o głodzie i chłodzie długo nie pociągniesz, jak większość ludzi tutaj. Widzisz, ja siedzę, wszystkim enkawudzistom buty łątam, komendantowi zrobię nowe, jego żonie pantofle. Pracuję w baraku, dostaję więcej obozowej zupy, *dobawku* [dolewkę], a czasami nawet kawałek chleba – mówił szewc. – Ty powiedz, że też jesteś szewcem.

– Mam brata szewca, ale sam na tym rzemiośle zupełnie się nie znam. Nie mam o tym pojęcia – odpowiedział ojciec.

– Ale ty jesteś Polak, ty jesteś inteligentny, pomogę ci. Z początku, dopóki się nie nauczysz, będę robił na dwóch kopytach. Przy kontroli będę ci odpowiednio podrobione buty podrzucał – przekonywał szewc. – Ja z komendantem dobrze żyję, powiem mu, że potrzebuję pomocnika i że właśnie taki się trafił, dobry szewc.

Ojciec na to przystał. Rano szewc zgłosił swój postulat komendantowi i ojciec już tego dnia nie wyszedł do pracy na zewnątrz, został w baraku. Jak się panowie umówili, tak pracowali. Początkowo, dopóki ojciec nie nauczył się fachu, szewc, co zrobił najtrudniejsze elementy, to podrzucał swojemu „pomocnikowi” do wykończenia.

Ojciec bardzo się starał, podpatrywał jego pracę, bo się bał, że ten szwindel wyjdzie na jaw, a on zapłaci za to olbrzymią cenę: w najlepszym razie od razu go zabiją, w najgorszym zmasakrują, a jak przeżyje, trafi do jeszcze gorszego łagru, takiego, którego nie da się przetrwać. Dlatego szybko się wszystkiego nauczył, a z czasem stał się dobrym, w pełni wykwalifikowanym pracownikiem. Obaj stanowili nierozłączny duet. Ojciec z wdzięczności chciał oddawać szewcowi część swojego przydziału jedzenia, ale ten odmówił.

– Ty przecież musisz przeżyć, nic mi nie dawaj.

BOGUSŁAW

Po wojnie ojciec zawsze powtarzał, że temu człowiekowi zawdzięcza życie, bo widział, co działo się z tymi, którzy pracowali poza obozem.

DANUTA

Ten szewc i jego kolega z pryczy, który był jego pomocnikiem, umieli wróżyć, i z rąk, i z kart. Wróżyli nocą. Mieli na to siły, bo choć kręgosłup od pracy bolał, ale siedzieli w jakim takim cieple. Nie dojadali, ale nie byli

tak fizycznie wycieńczeni, poodmrażani jak ci, którzy pracowali na zewnątrz.

Oni wywróżyli ojcu dobre wiadomości: że już niedługo wyjdzie na wolność. To było tak nieprawdopodobne, że ojciec nie uwierzył. Nie docierały do nich żadne wieści z zewnętrznego świata, więc nie mógł wiedzieć, że załamał się front i Stalinowi potrzeba armatniego mięsa.

Kolejne wróżby mówiły to samo.

I tak wywróżyli mu „wolność”.

* * *

W marcu 1943 roku w Moskwie z inicjatywy polskich działaczy komunistycznych została powołana organizacja polityczna – Związek Patriotów Polskich – mająca zrzeszać Polaków przebywających na terenach sowieckich. Związkowi przewodniczyli Wanda Wasilewska i Alfred Lampe. Oficjalnym powodem powstania organizacji było prowadzenie działalności kulturalno-socjalnej na rzecz polskiej ludności przebywającej w Związku Sowieckim, faktycznie zaś – przygotowanie warunków do przejęcia władzy przez komunistów w powojennej Polsce.

Komitet Organizacyjny ZPP już na etapie tworzenia zarysu swojego programu politycznego opowiadał się za „wolną Polską połączoną braterskimi więzami z ZSRS” oraz za ponownym formowaniem na terytorium sowieckim polskich jednostek wojskowych z Polaków pozostałych na tych terenach po ewakuacji Armii Andersa na Bliski Wschód. Tym razem chodziło o stworzenie polskiego wojska niezależnego od rządu polskiego na emigracji, w pełni podległego władzy sowieckiej.

W kwietniu 1943 roku stosunki dyplomatyczne między rządem polskim w Londynie a ZSRS zostały zerwane w związku z ujawnieniem zbrodni

katyńskiej.

Kilka dni później władza sowiecka podjęła decyzję o tworzeniu po raz drugi oddziałów polskich na swoim terenie, tym razem pod kierownictwem polskich komunistów.

Formowanie nowych polskich jednostek wojskowych rozpoczęło się już w maju 1943 roku. Nowa formacja, Polskie Siły Zbrojne, powstawała w Sielcach nad Oką.

To wojsko miało być całkowicie zależne od władz w Moskwie.

* * *

BOGUSŁAW

Jedzenie w łagrze było bardzo liche. Nawet spożywając przydzieloną rację i nie pracując na zewnątrz, człowiek był w żalosnej kondycji. W listopadzie 1943 roku do łagru przyjechała polsko-sowiecka komisja rekrutująca spośród polskich więźniów kandydatów do nowo powstającego polskiego wojska. Kiedy ojciec stanął przed tą komisją, to załamali nad nim ręce i początkowo nie chcieli go zakwalifikować.

– To kościotrup, jedynie skóra i kości – skwitował wygląd ojca jeden z członków komisji.

– Ale kości ma całe, niepołamane, odkarmi się go i będzie z niego żołnierz na schwał – drugi uratował ojca tym stwierdzeniem.

Ostatecznie komisja zakwalifikowała go jako rekruta, miał trafić z łagru do Sielc nad Oką, gdzie po raz drugi formowało się polskie wojsko.

7. Graznucha

(maj 1943–wrzesień 1945)

BOGUSŁAW

Za radą Polaków my i rodzina państwa Rzęsów przenieśliśmy się do sąsiedniej wsi o nazwie Graznucha, odległej od Nowoigorowki o około dwunastu kilometrów. Ja i moje siostry jechaliśmy tam pod opieką pani Marii, która wobec władz udawała żonę naszego ojca i zarazem naszą prawowitą opiekunkę.

DANUTA

Jak dziś o tym myślę i wyobrażam sobie siebie na jej miejscu – to chylę czoło przed nią. Co my byśmy zrobili bez jej pomocy? Poszlibyśmy do domu dziecka... Tam zapewne by nas rozdzielili, a Jadzia poszłaby pracować do jakiejś fabryki, bo na pewno nie pozwoliliby jej zostać samej w kołchozie. Prawdopodobieństwo odnalezienia nas po wojnie przez ojca byłoby zerowe. Nigdy byśmy nie opuścili Związku Sowieckiego. Szeźlibyśmy tam. Zostalibyśmy na zawsze.

BOGUSŁAW

Pani Maria była trochę oschła, twarda, ale bardzo rzeczowa. Jaka jednak w tych warunkach mogła być? Wokół bieda, głód, obcy i nieprzyjazny kraj, a ona miała pod opieką nas, czwórkę nie swoich dzieci, i świadomość, że gdzieś daleko, w ogarniętym wojną kraju, są jej własne dzieci pozostawione na łasce losu. Jaka miała być?

Pamiętam, że czasami, tęskniąc za matczynym ciepłem, przytulałem się do niej. Nie odtrąciła mnie nigdy. To były miłe chwile.

DANUTA

W Graznusze większość mieszkańców stanowili Ukraińcy – czyli Chachły. Tak nazywali ich Rosjanie. Za to Chachły na Rosjan mówili Kacapy. Tatarzy to Tatarzy, a Polak to Poliak. I jak w Graznusze ktoś powiedział: „Tu mieszka Mańka Kacapka”, to wszyscy wiedzieli, o co chodzi, i nikt nie miał o to nazewnictwo pretensji.

Mieszkańcy wsi nie czuli niechęci do Polaków, wręcz przeciwnie – duży sentyment. Podziwiali naszą niezłomną wiarę w powrót do ojczyzny. Oni wiedzieli, że swojej ojczyzny już nigdy nie będą mieli, że wpadli w żelazny uścisk Sowietów i już się z niego nie wyzwolą.

Jednak rodzina, u której nas początkowo zakwaterowano z nakazu *priedsiedatiela* kołchozu, nie była nam życzliwa.

Było to bardzo nieprzyjemne starsze małżeństwo. Kobieta była okropnie zgorzkniała, gderliwa, niesympatyczna. Mieli jednego syna i ona żyła nadzieją, że jako jedynaka nie powołają go do wojska. Powołanie jednak przyszło i syn wyjechał na front. Ona chyba z tego powodu była taka nie do życia. Właśnie kiedy ich syn wyjechał na wojnę, my u nich zamieszkaliśmy i mimo że oni się na to zgodzili – ani oni nas, ani my ich nie lubiliśmy. Gospodarze byli nam nieprzyjaźni, żeby nie powiedzieć wręcz wredni. Robili wszystko, żeby się nas pozbyć. Szybko zmusili nas do poszukania innego lokum.

Wtedy pani Maria jakoś załatwiła naszą przeprowadzkę do innego domu – do Iwanowych. Warunki na pewno nie były tam lepsze, ale atmosfera zupełnie inna.



Graznucha z lotu ptaka, lata 50.

BOGUSŁAW

Dom Iwanowych to była licha lepianka. Z przedsionka wchodziło się do kuchni, a dalej do jedynej izby.

Początkowo nasza rodzina zamieszkała w *ambarze*. *Ambar* to przybudówka znajdująca się tam przy niemal każdym wiejskim domu. W czasach, kiedy nie było jeszcze kołchozów, spełniała funkcję spichlerza, przydomowego magazynku, a w czasach sowieckich służyła przede wszystkim jako letnia kuchnia. Były tam prowizoryczne nary, na których można było spać gorącym latem w przerwie od pracy w polu.

W porze letniej, która nadchodziła, kiedy przenieśliśmy się do domu Iwanowych, było to dogodne miejsce, bo podczas upałów było tam bardzo przyjemnie, chłodno.

Z nadejściem jesieni przenieśliśmy się do kuchni, a w izbie mieszkała rodzina Iwanowych. Mieszkaliśmy „kątem”, za pomoc w domu, ogrodzie i obejściu.

DANUTA

Pani Iwanowa to był fantastyczny człowiek. Fantastyczny! Bardzo dobry! Samotnie wychowywała czwórkę dzieci: Nadję, Jewgienija, Wiktora i Ninę. Wiktor wyglądał na dziecko najlepiej odkarmione z całego rodzeństwa, ale nie tyle był dobrze odżywiony, ile odziedziczył po matce taki pucułowaty typ urody. Z tego powodu inni, gdy chcieli mu dokuczyć, wołali na niego Agronom Puzatj [Brzuchaty Agronom]. Reszta rodzeństwa była chudzieńka.

Nasza gospodyni była kobietą szczególnie mocno doświadczoną przez sowieckie realia, a mimo to miała w sobie jakiś niewiarygodny stoicki spokój. Była w niewzruszony sposób – nie do końca przez nas zrozumiały – pogodzona z tą okrutną rzeczywistością, ze swoim losem.

BOGUSŁAW

Gospodyni Iwanowa bardzo życzliwie przyjęła nas pierwszego dnia i nie ustawała w tej swojej życzliwości tak długo, jak długo razem żyliśmy... Bardzo ją szanowaliśmy. Nazywaliśmy ją „ciocia Iwanowska”.

DANUTA

Kiedy przyjechaliśmy do Graznuchy, pierwszą żywność dostaliśmy na kredyt, bo to był przednówek. Było bardzo głodno, ciężko, nie mieliśmy nic do jedzenia. Pani Maria poszła do *priedsiedatiela*, aby wypisał przydział zaliczkowy na kaszę czy mąkę. Przewodniczący wypisał ten przydział, nie było tego jednak zbyt wiele, na długo nie wystarczyło. Potem po te zaliczkowe produkty poszła Jadzia. Następna oczywiście Róża i wreszcie – o litości! – kolej przyszła na mnie. Prosiłam Różę, żeby mnie wyręczyła, ale ona poradziła, żebym zwróciła się z tym do Jadzi. Jadzia stwierdziła, że ja nie jestem święta i też mam iść po zaliczkową żywność. O Boże! Jak ja to przeżywałam, jak się męczyłam, żyć dłużej nie chciałam, spać nie mogłam. Z tego zmartwienia aż się pochorowałam, dostałam biegunkę, gorączkę i wymioty jednocześnie... ale poszłam. Czułam się strasznie upokorzona. Myślę, że wtedy po raz pierwszy w życiu poznałam siłę i ból tego uczucia.

BOGUSŁAW

W kuchni w domu Iwanowych spałem razem z Różą i Danusią na piecu, jego górna część była płaska i wykorzystywana jako legowisko. Piec opalano kiziakami.

DANUTA

W stepie jest olbrzymi problem z opałem. Domy opala się zwierzęcym łajnem. Latem chodziliśmy na drogi i pastwiska zbierać krowie, końskie

i bawole placki. Suszyliśmy je na słońcu.

Proces przygotowywania opału na zimę wyglądał dla nas dość egzotycznie. Siekało się słomę. Tak rozdrobnioną mieszało się z ususzonym łajnem i układało w okrąg, a potem polewało wodą. Następnie dookoła tego okręgu chodziły zwierzęta w kieracie, mieszając nawóz z posiekaną słomą, żeby wyrobić to na w miarę zespoloną masę. Taką masę kładło się w drewniane foremki, dokładnie takie, jakie kiedyś służyły do wyrobu cegieł. W ten sposób uformowane bloczki trzeba było wyłożyć na trawę i suszyć na słońcu. Tak powstawały kiziaki – opałowe cegiełki. Potem te cegiełki układało się w stosy przy domu. Trzeba było tego przygotować odpowiednio dużo, żeby wystarczyło na całą zimę.

Nie śmierdziało. Tak przerobione już nie. Wbrew obawom taki opał nie cuchnął.

Palono w piecach chlebowych. Na górze każdego takiego pieca mieściło się legowisko, na którym się spało. Paliło się tylko raz dziennie, nawet w najsroźsze mrozy. Piec wyśmienicie trzymał temperaturę.

Cegły na te piece wyrabiano się podobnie jak cegiełki opałowe. Tylko z innej masy. Na cegły mieszało się glinę, piasek i również pociętą słomę, a uformowane cegły też suszyło się na słońcu. Piec wyklejało się w środku ogniotrwałą gliną.

BOGUSŁAW

Pani Maria od pierwszego dnia pobytu w Grażnusze pracowała w kołchozie. Pracy w polu przez cały sezon było co niemiara.

Jadzia z Różą zaraz po naszym przyjeździe do wioski próbowały założyć przydomowy ogródek. Miejsce wskazał *priedsiedatiel*. Obok domu wyrywały darninę, wykopywały korzenie. Próbowały przygotować ziemię i zasiać tam trochę warzyw z nasion, które podarowali im sąsiedzi.

Niewielkie to było poletko, liche, bo co lepsze pozajmowali już kołchoźnicy.

Ziemniaki, buraki, za wiele tego potem nie wyrosło, ale zawsze coś.

DANUTA

Męża naszej gospodyni nie było. Został oskarżony – o co, nie wiedzieli ani on, ani jego żona – i skazany na obóz pracy o zaostrowym rygorze. Prawdopodobnie ktoś na niego doniósł. Słusznie czy niesłusznie – to już nie miało znaczenia.

Był urzędnikiem, przed aresztowaniem pracował jako księgowy. Prawdopodobnie zgubiła go ludzka zawiść, bo ukraść to on nic nie ukradł – w ich domu było niewyobrażalnie biednie.

BOGUSŁAW

W kołchozie pracowały wszystkie moje siostry. Jadzia zatrudniona była na stałe. Różę i Danusię zatrudniali czasami do sezonowych, dorywczych robót, ale zdarzało się to zadziwiająco często, biorąc pod uwagę, że były jeszcze dziećmi.

Jadzia miała w kołchozie bardzo odpowiedzialne stanowisko. Była *wodowozczikom* [osobą wożącą wodę]. Powoziła zaprzężonym w dwa woły wozem, na którym stała olbrzymia beczka. Była odpowiedzialna za dowożenie wody dla ludzi pracujących w polu i dla zwierząt hodowlanych – krów, wołów, koni – we wsi. Pracowała bardzo ciężko. Często jej pomagałem i razem z nią jeździłem na tym wozie. To nie była jedyna praca, jaką wykonywała. Wozila, co było akurat trzeba. Na przykład latem zwoziła do spichlerzy zboże skoszone i wymłócone przez kombajny.

– Cob – krzyczała Jadzia, żeby woły skrećły w lewo. – Co be – nawoływała, żeby je pogonić w prawo.

Były to komendy azjatyckiego pochodzenia, co nie dziwiło, bo nieopodal rozciągały się już tereny Kazachstanu.

DANUTA

Ani ja, ani Róża nie miałyśmy zbyt wiele wolnego czasu. Poza tym, że wołano nas do różnych prac polowych, takich przeznaczonych dla dzieci, miałyśmy co niemiara pracy w domu, i to bardzo różnorodnej.

To my byłyśmy odpowiedzialne na przykład za robienie ługu, który służył do prania. Wyrabiało się go z palonego drewna. Zbierałyśmy patyki i gałązki, które paliłyśmy, i z tego właśnie powstawał ług. Wcześniej jednak trzeba było porządnie wysprzątać palenisko, żeby popiół był czysty. Róża była bardzo dokładna, dlatego w tych pracach niezrównana.

My odpowiadałyśmy też za mleko i na zmianę je gotowałyśmy, raz ja, raz ona. Na zmianę, bo obie jakoś bardzo nie lubiłyśmy tego zajęcia. Mleko się gotowało, żeby się nie popsulo. Część mleka, które dostawaliśmy z kołchozu, piliśmy słodkie, a drugą część zakwaszaliśmy na jogurt. Jak w domu nie było zakwasu, to się szło po niego do którejś cioci. Do wszystkich kobiet z sąsiedztwa zwracaliśmy się „ciociu”. Taki zakwas dawało się do przegotowanego, wystudzonego mleka, odstawiało i po trzech godzinach było już zsiadłe.

Róży mleko nigdy nie wykopiało, starannie go pilnowała. Nie wiem, jak to się działo, ale mnie zawsze kopiało. Pilnowałam, pilnowałam i tylko na moment w bok spojrzałam, a mleko już wykopiało i spłynęło aż do popielnika. Uważam, że to nie do końca była moja wina. Oszczędzało się opał i w piecu paliło się wszystkim, co się do tego nadawało: słomą, szyszkami olchowymi i innymi... Ogień był więc raz mocniejszy, raz słabszy, mleko długo nabierało temperatury, ale jak już jej nabrało, to migiem uciekało z garnka. Mleko z centryfugi kipi błyskawicznie.

BOGUSŁAW

Z centryfugi, czyli po odciążeniu tłuszczu. Tylko takie mleko dostawaliśmy. Śmietany to myśmy tam nawet nie widzieli, co wyprodukowano, szło dla wojska.

DANUTA

Wszystkie dzieci zatrudniane w polu były łączone w grupy wiekowe. Tej zasady przestrzegano w Nowoigorowce, a potem też w Graznusze. Inne prace były przewidziane dla młodzieży, rówieśników naszej Jadzi, a inne dla dzieci nieco młodszych, na przykład tych, które ukończyły już czteroletnią edukację. Do takiej grupy należały Róża i Nadia, córka naszej gospodyni. Jeszcze inne zajęcia przeznaczone były dla dzieci najmłodszych, czyli tych w wieku szkolnym, podlegających tej czteroletniej podstawowej edukacji. Ja chodziłam do szkoły, więc brałam udział we wszystkich zajęciach przewidzianych dla najmłodszych pracujących w polu.

BOGUSŁAW

Od zasady pracy w grupach wiekowych odstępowano, gdy tylko zachodziła taka potrzeba. Wtedy wszystkie grupy uczestniczyły w takich samych pracach w tym samym czasie. To była tak zwana pełna mobilizacja. Do takich prac należało wiosną, w kwietniu i maju, pielenie zbóż, a konkretnie usuwanie krzaczastych piołunów. Piołun to była plaga pól kołchozowych. Musiał zostać usunięty we właściwym czasie. Pozostawiony w zbożu rozrastał się, a ścięty i wymłócony w kombajnach razem ze zbożem niszczył plony. Ziarno z zachwaszczonych piołunem pól było gorzkie jak chinina. Nie nadawało się do niczego. Z tego powodu pielono zboża i jare, i ozime, bez wyjątku: pszenicę, żyto, jęczmień i proso.

DANUTA

Dla dzieci to była bardzo ciężka praca. Krzaki piołunu, nawet te małe, miały potężne kłącza i niełatwo było je wyrwać. Większego okazu jedno dziecko samo nie wyrwało. Rośliny te były tak silnie ukorzenione, że częstokroć dwoje dzieciaków, ciągnąc razem, nie mogło takiego krzaka wydostać z ziemi. Mieliśmy pokaleczone dłonie, bąble i pozdzieraną skórę.

BOGUSŁAW

Jesienią zajęciem, do którego też angażowano wszystkich bez wyjątku, były wykopki. Goniono do nich ogół kolchozowej społeczności, od dzieci z pierwszej klasy aż do przedstawicieli najstarszego pokolenia, nawet tych schorowanych, słabych i nie w pełni sprawnie się poruszających. Wszystkich. Jeśli była ładna pogoda, to było znośnie, najgorzej, gdy padało. Nawet w ulewę nikt z pola nie schodził. Robocza dzieńka trwała do zmroku. W strugach deszczu brnęło się nieporadnie w polu, ślizgając się i zataczając w gliniastej, mokrej ziemi.

DANUTA

Grupa wiekowa Róży i Nadii miała szerszy niż moja zakres obowiązków. Oni musieli również wiosną sadzić ziemniaki, potem je pielnić, hakać i obsypywać. Latem przy sianokosach grabili i przewracali siano, a po jego przesuszeniu układali w kopki. Były oczywiście i inne prace, które dzieci z tej grupy wykonywały na wezwanie brygadzystów.

BOGUSŁAW

Do pracy w polu wychodziło się o świcie, a wracało o zmierzchu. Wszyscy przychodzili do domów skonani, a tam czekało jeszcze mnóstwo zajęć.

DANUTA

Przerwa w pracach kołchozowych następowała w czasie żniw, kiedy kombajnem koszone zboża. Wytchnienia dla nas jednak nie było – przeciwnie – wtedy miałyśmy wyraźne spiętrzenie prac na rzecz naszej rodziny.

My z Różą całe lato bez ustanku zbierałyśmy krowi nawóz. Buszowałyśmy po polnych drogach, polach i pastwiskach, ciągnąc za sobą dwukołowy wózek. Musiałyśmy nazbierać sporo tego dobra, aby zrobić z niego kiziaki – dużo kiziaków. Potrzebowaliśmy naprawdę sporego zapasu opału na długą mroźną zimę.

Najbardziej żmudne, bo mało wydajne, było zbieranie drobnych kawałków drewna. W pobliżu Graznuchy nie rósł las, wszystkie zostały wytrzebione zaraz po rewolucji, pozostały po nich tylko dzikie jary. Tam rosły jedynie marne krzewy i mogłyśmy znaleźć coś, co nadawało się do spalania. Drobne kijki, patyczki, a nawet korzenie – wszystko to zbierałyśmy bardzo starannie, bo latem tylko tym paliliśmy pod blaszaną płytą w *ambarze*, gdzie gotowało się posiłki i prało. Tego chrustu trzeba było nazbierać dużo więcej, niż było potrzeba na letnie opalenie kuchni, bo musiałyśmy zrobić zapasy rozpałki na całą zimę.

Najważniejszym naszym obowiązkiem było jednak robienie zapasów żywności na zimę. Konkretnie chodziło o gromadzenie wszelkiego rodzaju ziarna zbóż. W tym celu chodziłyśmy „na kłosy”.

BOGUSŁAW

Dzieciom pracującym w kołchozie zapisywano jakieś ochłapy *trudodni*, a potem płacono za nie rodzinie w żywności. Kiedy tylko mogli, gonili więc dzieci do roboty. Robiono spisy, kto ma się danego dnia stawić do pracy. W polu dorośli, grupy młodzieży i dzieci pracowali pod dozorem

brygadzysty. Ten miał ze sobą listę podległych mu osób, którą po zakończeniu roboczego dnia przekazywał rachmistrzowi.

Zawsze też – trzeba to przyznać – w polu w południe, podczas przerwy, dawano pracownikom kołchozowy posiłek – z kotła jakąś zupę lub kaszę. A rano przed rozpoczęciem pracy brygadzysta dzielił chleb i każdy członek jego zespołu roboczego dostawał kawałek.

DANUTA

Latem, gdy kombajny skosiły zboża, szłyśmy z Różą na pola zbierać kłosa. To, co zostawił kombajn, zbierałyśmy my. Zebrane kłosa jeszcze na polu kładło się na worek i tłukło kijankami, czyli kijami służącymi do prania. Tak wyglądała nasza młócka. Wymłócone ziarno zsypywałyśmy do worka, ręcznie odsiewając plewy. Tak zdobyte ziarno suszyliśmy potem we wnęce na naszym zapiecku.

BOGUSŁAW

Wszyscy wiedzieli, że ludzie chodzą „na kłosa” i że tego robić nie wolno. Generalna zasada była taka: co leży na kołchozowym polu, należy do kołchozu, kołchoz należy do państwa, więc to wszystko jest państwowe. Może się zmarnować, ale jeśli ktoś to weźmie, jest złodziejem i wrogiem państwa.

Powszechnie było wiadomo, że na polach zalegają niezebrane kłosa, ale nikt nic z tym nie robił. Ludzie chodzili po kryjomu je zbierać. Przymykano na to oko. Nie było jednak pewności, że ktoś którego dnia nie zareaguje.

DANUTA

Dlatego, jak chodziłyśmy zbierać kłosa, to byłyśmy bardzo ostrożne, chodziłyśmy daleko, żeby nikt nas nie wypatrzył, i codziennie w inne miejsce. Ludzie byli różni. Trzeba było uważać. Oficjalnie mogłyśmy

chodzić po drogach pod pretekstem zbierania krowich odchodów na kiziaki na zimę. To wolno było robić. Nikt nie kwestionował potrzeby gromadzenia opału.

Wyszło zarządzenie, że między kołchozami muszą powstać wyraźne miedze. Miało to zapobiec wzajemnemu oszukiwaniu się przez pracowników konkurencyjnych kołchozów. Na tych miedzach zasadzono klonowe żywopłoty. Taki żywopłot składał się z pięciu rzędów niskich drzewek, przyciętych też stosunkowo nisko. To nie były – jak u nas – wysokie drzewa, miały też inne liście, takie w kształcie samolociku, jasne. Idąc kiedyś z Różą „na kłosa”, weszliśmy na taką miedzę na górcie. Nie pomyślałyśmy, że jesteśmy stamtąd, na tle jasnej zieleni liści, dobrze widoczne nawet z daleka. Wypatrzył nas chłopak, który z racji swojego upośledzenia nie miał pracy tak jak inni, tylko jeździł konno po polach, doglądając je, a ze sprawozdaniami biegał do *priedsiedatiela*. Szarogęsił się strasznie. Wszyscy to tolerowali, bo wiedzieli, że jego starszy brat jest wysoko postawiony w NKWD. Obchodzili go z daleka, ale po cichu sobie z niego mocno żartowali.

– A co wy, polskie panie, tu robicie? – Podjechał do nas i pyta.

– Chodzimy sobie – odparowała Róża. – Nie możemy sobie chodzić?

– Jak to sobie chodzicie? Ja jeszcze raz pytam, co robicie – dociekał.

– Nic nie robimy, stoimy. Chciałyśmy przez miedzę zobaczyć, czy tamten kołchoz jest lepszy niż nasz. A przy okazji kłosa zbieramy, bo zimą tylko by się zmarnowały – nie wytrzymała Róża.

– Tego nie wolno robić. To jest państwowe! O wy, polskie panie, przyszło wam chleba szukać – zaczął gardłować. – *W gorodach po trotuaram s ridikiulczikami chodili* [w miastach po chodnikach z torebkami paradowałyście] – tu zrobił gest, jakby niósł torebkę pod pachą – *a tiepier´*

nado wam naszego sowieckiego chleba iskat' [a teraz musicie szukać naszego sowieckiego chleba]! *Priedsiedatiel* się o tym dowie!

– Może się dowiedzieć. Nie mamy polskiego chleba, więc ruski musimy jeść – odparła Róża.

Przyznam, że takiej Róży nie znałam. Nie wiem, skąd się u niej wzięło tyle odwagi, żeby tak rozmawiać z donosicielem. Ten odjechał z przekleństwami na ustach, złorzecząc na polskie panie. Pojechał prosto do *priedsiedatiela*. Przewodniczący kołchozu go wysłuchał, ale nie zareagował.

BOGUSŁAW

Na końcu wsi mieszkała pani Lida, Tatarka, która bardzo nas lubiła, szczególnie Różę. Miała dwa rodzaje żaren do mielenia zboża.

DANUTA

Jedne małe, przenośne, które można było wypożyczyć i przenieść do innego domu. Te miały grubo, tylko na kaszę. Często wypożyczaliśmy je od pani Lidy. Drugie były bardzo duże, zainstalowane na stałe, a miały ziarno drobno na mąkę. Mogły je obsługiwać tylko dorosłe osoby, a z dużym wysiłkiem dwoje dzieci. To była jednak dla dzieci bardzo ciężka praca.

BOGUSŁAW

W Graznusze skończyłem siedem lat, ale nie poszedłem do szkoły. W sowieckich dokumentach ciągle figurowałem jako dziecko sześciolatnie. Mogłem pójść do szkoły albo poczekać jeszcze rok. Pani Stolarczyk zaproponowała, żebym jednak poczekał. Kiedy kobiety chodziły do pracy w kołchozie, dzieci miały całodzienną opiekę w *dietskom sadu* [przedszkolu] połączonym ze żłobkiem. I ja właśnie tam chodziłem,

ponieważ dzieci dostawały tam posiłek – nie najlepszy, ale jednak. A w szkole żadnego wyżywienia nie było. Trzeba było wybrać: coś za coś. Proza tamtejszego życia zadecydowała, że zostałem w przedszkolu. Do szkoły poszedłem rok później.

DANUTA

Na przednówku, gdy chleb był na wagę złota, personel przedszkola, do którego chodził Boguś, żeby nie zostać posądzony o niedokarmianie dzieci, bardzo dbał o to, żeby każde dziecko, wychodząc do domu, miało w ręku kawałeczek chleba. Boguś na pewno też chętnie zjadłby ten chleb, zwłaszcza że rano wychodził z domu bez jedzenia, a tam dostawał dwa razy dziennie małą miseczkę cienkiej zupy lub jakiejś kaszy. Boguś z tym chlebem zawsze przychodził do domu i mówił, że jest tak najedzony, że aż go brzuch boli. Wiedziałyśmy, że to nieprawda. Chciał nas tym chlebem obdarować. Kochane dziecko.

BOGUSŁAW

Któregoś dnia biegłem do przedszkola. To był czas, kiedy zaczynały się roztopy. Woda spływała z pól do stawów, a przy tych stawach była grobla porośnięta łożyną. W połowie drogi zobaczyłem, że na łące tuż przed groblą coś się rusza. Podbiegłem, patrzę, a to *szczuka* [szczupak] miota się w płytkiej wodzie, z grzbietem na wierzchu. Złapałem kij, z całych sił uderzyłem rybę w głowę i wyrzuciłem na brzeg. Duży szczupak, okazały, ale śliski. Jak go nieść? Zrobiłem to, co zawsze najpierw robili dorośli, złamałem mu kark. Widziałem też, jak Rosjanie przez skrzela ryby przeciągają patyk. Tak zrobiłem i potaszczyłem zdobycz do domu. Dumny byłem z siebie niezmiernie, że zdobyłem jedzenie dla całej rodziny. Zupełnie nie zauważyłem, że po tej akcji jestem cały mokry. Zostawiłem szczupaka w domu i taki przemoczony pobiegłem do przedszkola.

Wieczorem była i zupa rybna, i mięso z ryby. Najedliśmy się do syta.

DANUTA

W domu Iwanowych czuliśmy się naprawdę dobrze. Mimo biedy, w jakiej żyliśmy zarówno my, jak i ich rodzina. Nawiązała się między nami wręcz przyjaźń. Pani Maria i nasza gospodyni wspomagały się wzajemnie w trudach codziennego życia. My przyjaźniliśmy się z dziećmi Iwanowej. Jak na przykład myśmy się modlili – śpiewaliśmy Godzinki czy Gorzkie żale – to najstarsza córka Iwanowej, Nadia, śpiewała i odmawiała modlitwę razem z nami po polsku. Jej młodszy brat, Gienka, młodszy od Bogusia o dwa lata, tak sobie go upatrywał na kompana, że wszędzie się za nim szwendał.

BOGUSŁAW

Któregoś dnia do przedsionka, gdzie bawiliśmy się z Gienką, wlaź byk. Zaczęliśmy krzyczeć, ale nikogo nie było w domu. Nasz krzyk, zamiast wypłoszyć byka, tylko go rozwścieczył – zaczął wierzgać tylnymi kopytami z taką siłą, że którymś kopnięciem zamknął za sobą drzwi. Próbowaliśmy je otworzyć i uciec, ale byk wbił w nie rogi i się zaparł. My ciągnęliśmy drzwi w jedną stronę, a byk napierał w przeciwną. Oj, długo siedzieliśmy w tym przedsionku w towarzystwie rozsierzonego byka. Wymarziliśmy okrutnie, bo przedsionka się nie ogrzewało, a było jeszcze zimno. Wreszcie wróciła z pracy pani Maria – byka wygoniła, a nas oswobodziła.

DANUTA

Obaj – i Boguś, i Gienka – byli zachwyceni swoim towarzystwem.

BOGUSŁAW

Chciałem kiedyś zrobić przyjemność Gience. Miałem już siedem lat, a on tylko pięć. Kolegowałem się z Rosjaninem, który miał na imię Waśka. Razem chodziliśmy na susły. Przynosiłem je do domu już zabite. Mały Gienka się im przyglądał i któregoś dnia powiedział, że on chciałby takiego susełka żywego. Postanowiłem mu go przynieść. Były dwa sposoby łapania susłów. W łapkę – *kapkan*, który z reguły zabijał susła, a wiosną można je też było łapać, zalewając wodą nory.

To był czas, kiedy już były małe susełki. Łapaliśmy i dorosłe, i małe, bez różnicy. Jak człowiek głodny, to nie ma humanitarnych dylematów. Co wylazło z nory, to się łapało.

I kiedy na tym naszym polowaniu wylazł mi mały suseł, złapałem go i postanowiłem nie zabijać, tylko podarować Gience. On chyba kombinował, że spróbuje susły hodować. Zawiniętego w szmatę przyniosłem do domu. Gienka wybiegł mi na powitanie, śmieszny to był widok – dzieciak w koszuli, bez spodni, z siusiakiem na wierzchu... Nikt wtedy nie zwracał na to uwagi, bo większość małych dzieci tak właśnie po wsi ganiała.

Uwolniłem susła, Gienka się wystraszył, a suseł zaczął uciekać. Chciałem go złapać, a ten wtedy jak nie haratnie mi palca. Zęby miał jak brzytwa. Nawet nie poczułem, tylko krew siknęła jak z fontanny. Złapałem susła drugą ręką i trzasnąłem o ziemię. Życie susła się skończyło, a z nim hodowlane plany małego Gienki. Gienka nie rozpaczał. Wszystko, co się nadawało do jedzenia, było do jedzenia, i tyle.

DANUTA

Łapanie susłów to było zajęcie głównie młodzieży i starszych chłopców. Boguś był w tym wielkim specjalistą, choć w kompanii młodych myśliwych zdecydowanie był najmłodszy i najmniejszy. Czasami jadaliśmy

mięso baranie, ale było wielką rzadkością. Mięso generalnie stanowiło rarytas, bez względu na to jakiego zwierzęcia.

BOGUSŁAW

Na wiosnę po roztopach na polach stała woda. Na susły chodziło się wtedy z wiadrami, zawsze we dwójkę, bo to było zajęcie dla dwojga. Wodę nabierało się z rozlewiska. Jeden łał ją z wiadra do nory, a drugi czekał w gotowości, aby – gdy podtopiony suseł wychyli łeb – złapać zwierzę za szyję i szybko uderzyć nim o ziemię, tak żeby pękł mu kręgosłup.

Susły na wiosnę były bardzo chude. Same kości, piec nie było co, tak mało po zimie było na nich mięsa. Ale wszystko się objadało, a i kości długo się ssało.

Później, w okolicach zniw, susły łąpało się w łapki. Wtedy były tłuste, wypasione, to już było porządne jedzenie. Na wiosnę, jak suseł złapał się w *kapkan*, to odgryzał sobie łapę i uciekał. A jesienią, jak złapał się w *kapkan* za pazur, to taki był gruby i leniwy, że pazura sobie nie ułamał, żeby uciec.

DANUTA

Za oddanie siedmiu skórek z susłów dostawało się w kołchozie za darmo *kapkan*. Tak walczone z tymi szkodnikami – wydawano na nie łapki, a ludzie sami robili, co trzeba. Byłyśmy bardzo dumne z tego, że Boguś łąpał susły. Spryciarz był z niego, nigdy z pustymi rękami nie wrócił do domu. Sam potem obdzierał zwierzaki ze skóry i je patroszył.

Jadzia z kolegami też chodziła na susły. Pamiętam pierwsze patroszenie. Przyszedł do nas kolega Jadzi i pokazał, jak trzeba to robić, żeby nie rozlać żółci. Jak żółć się rozlała, to mięso było zmarnowane, nie do zjedzenia.

BOGUSŁAW

Szkoła w Graznusze to był mały drewniany budynek z niedużymi oknami i dachem krytym deskami. Przez to wyróżniał się wśród zwykłych mieszkalnych lepianek. Sień dzieliła szkołę na pół. Po obu stronach znajdowały się izby nagrzewane tylko na czas lekcji. W nich uczyły się dzieci. Klasy były łączone: pierwsza uczyła się z drugą, a trzecia z czwartą.

DANUTA

Jak chodziłam do szkoły w Graznusze, przerabialiśmy naprawdę trudne lektury. W trzeciej klasie zajmowaliśmy się na przykład utworem *Ruslan i Ludmiła* Puszkina. Mieliśmy przeczytać fragment, a potem go zinterpretować. Jak to czytałam, nic nie rozumiałam, a przecież chodziłam do szkoły już w Nowoigorowce. Jadzia, która chodziła do rosyjskiej szkoły tylko w Gramatusze przez jeden rok szkolny 1940/1941, płynnie i ze zrozumieniem czytała po rosyjsku. Róża czytała bardzo dobrze, bo uczyła się rosyjskiego już dwa lata. Siostry siedziały ze mną na piecu i czytały mi te wszystkie lektury. Sama sobie nie radziłam. Pewnie byłam mniej zdolna, ciągle miałam kłopoty z rosyjską składnią. Byłam bardzo nerwowa. Nerwica, jakiej się nabawiłam na zesłaniu, przeszkadzała mi w nauce.

Słuchałam tych lektur, siedząc na piecu, i zastanawiałam się, jak to się dzieje, że moje siostry tak płynnie czytają po rosyjsku, a ja nie. *Bukwy* nieustannie myliły mi się z polskimi literami.

BOGUSŁAW

Jak przeprowadziliśmy się z Nowoigorowki do Graznuchy, popadłem w konflikt z jednym wrednym chłopakiem, nieco starszym ode mnie i zdecydowanie lepiej odżywionym, większym. Na imię miał akurat tak jak mój dobry kumpel, też Waśka. Mieszkał w domu po drugiej stronie drogi. Jak mnie widział, to od razu gonił, a jak dopadł, to mnie tłukł. Waga ciężka

do mojej piórkowej. Jak mi wtłukł, to ja sobie popłakiwałem. Pewnego dnia Jadźka na mnie wsiadła. To było wtedy, gdy ojciec był w łagrze.

– Co? Ojca ci w łagrze gnębią, a ty Polak jesteś! Jak długo będziesz przed tym Kacapem uciekał? Sposobem go przechytrz, jak nie masz siły, żeby mu oddać.

To była myśl! Myślałem, myślałem, jak by go tu sposobem załatwić, i wymyśliłem. Zasadziłem się na niego na dachu naszego *ambaru*. *Ambar* miał płaski dach i właśnie suszyły się na nim jagody nazbierane przez Danusię i Różę. To był nasz zapas witamin na zimę. Wlazłem na ten daszek i podjadając jagody, siedziałem i czekałem na mego prześladowcę.

Kacapek zobaczył, że jestem w jego zasięgu, i jak zawsze zaczął biec w moim kierunku. A do mnie wróciły słowa Jadźki i dały mi silny bodziec do spontanicznego działania. Wyczekałem, aż on podbiegł pod mur *ambaru*, i wtedy na niego skoczyłem – nogami na głowę. Upadł, a ja tłukłem go, gdzie popadło, tak długo, jak długo się ruszał. Efekt tej mojej młócki był taki, że od tego dnia nie miałem problemu z Waską. Jak widziałem go z daleka, wystarczyło, że tupnąłem albo zaświstałem, i on brał nogi za pas. Nie miałem już z nim żadnych problemów. To ja stałem się jego problemem. Teraz ja zacząłem mu dokuczać.

DANUTA

Było takie zdarzenie w Graznusze – moment niezwykły. Nie wiem, jakim cudem to się stało. Pan Iwanow, mąż naszej gospodyni, był chyba – tak się później domyślaliśmy – transportowany z jednego obozu karnego do drugiego. Wtedy to się wydarzyło...

Pewnej nocy zastukał do kuchennego okna. Jak on dotarł do Graznuchy – zimą, w trzaskającym mrozie, zaspach – to ja nie wiem. Może kogoś udało się mu ubłagać, a może przekupić? Nie mam pojęcia. Ale to takie bardzo

sowieckie, wpisane w tamtą rzeczywistość. Coś niemożliwego nagle się wydarzało.

Czy to była życzliwość, czy chciwość, a może jeszcze coś innego? Faktem jest, że ktoś, mimo panującego wokół donosicielstwa, powszechnego szpiclowania i terroru, prawdopodobnie zaryzykował życie, żeby łągiernika, który na chwilę wydobył się z łagru, podwieźć potajemnie do domu, aby mógł pobyc z bliskimi choćby tylko przez parę nocnych godzin.

BOGUSŁAW

A w listopadzie 1943 roku naszego ojca zwolniono z łagru i pod konwojem NKWD odtransportowano do powstającego – kolejny raz na terenie Związku Sowieckiego – polskiego wojska. Został wcielony do 5. Brygady Artylerii Ciężkiej.

DANUTA

Pan Iwanow zapukał do kuchennego okna. Nie wiedział, że w ich domu mieszka na kwaterze polska rodzina. Nie mógł zajrzeć do środka, bo na zimę okno się prowizorycznie zamurowywało – zostawała tylko wąska szybka przepuszczająca trochę dziennego światła. Pani Stolarczykowa zawołała ciocię Iwanowszą, bo nie wiedziała, kto to po nocy stuka do okna. Ta natychmiast poznała, że to jej mąż. Szybko wprowadziła go przez kuchnię, w której mieszkaliśmy, do izby, gdzie mieszkała ona z dziećmi.

BOGUSŁAW

Kiedy ojca zwolniono z łagru, do wojska odstawiał go konwojent. Strażnik obozowy. Przed wyjazdem z łagru wydano ojcu z magazynu nową watowaną kufajkę i watowane spodnie. Nie chcieli, żeby po drodze do

wojska swoimi łachmanami uświadamiał ludziom sowiecką łagierną rzeczywistość.

Do Sielc nad Oką, gdzie formowała się 1. Dywizja Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki pod dowództwem generała Zygmunta Berlinga, jechali pociągiem. W pewnym momencie ojciec zorientował się, że jedzie przez Soroczyńsk. Stamtąd było stosunkowo niedaleko do miejsca, gdzie mieszkaliśmy, do Graznuchy. Tata nie miał nic poza tym co na sobie – był listopad. Chciał jednak koniecznie dać nam znać, że żyje, że nie jest już w łagrze, że jedzie do wojska. Ubłagał konwojującego go strażnika i on pozwolił mu wysiąść na chwilę z pociągu podczas postoju na stacji w Soroczyńsku.

Ojciec złapał pierwszego lepszego człowieka, ściągnął z siebie tę nową kufajkę – a to była wtedy wartościowa rzecz – powiedział, że czwórka jego dzieci przebywa we wsi Graznucha nieopodal Taszły, podał nazwisko i prosił, aby dzieciom tę kufajkę przekazać.

Niewiarygodne jest to, że ta kufajka do nas dotarła! To było niewiarygodne! Od tego dnia wiedzieliśmy, że ojciec żyje, został zwolniony z łagru i wstąpił do nowo powstającego polskiego wojska.

DANUTA

Zanim nastał świt, pan Iwanow już wychodził, musiał wracać tam, skąd przyszedł. Zapewne z kimś umówił się na transport, ale tego nie wiedzieliśmy. W ciągu tych kilku godzin, kiedy był w domu, gospodyni pobiegła do swojej siostry, która mieszkała kilka domów dalej. Przyniosła jedzenie, jakie tamci mieli. To były jakieś lepieszki [przaśne placki zagniatane z jakiegokolwiek mąki, pieczone na rozgrzanym palenisku pieca chlebowego]. Chleba to ludzie tam raczej nie mieli.

My też daliśmy mu wszystko, co mieliśmy do jedzenia. Ważne było, żeby się najadł, odbudował siły i żeby zabrał ze sobą na drogę jak najwięcej. Niestety nie mieliśmy żadnych trwałych produktów żywnościowych, więc daliśmy mu wszystkie swoje pieniądze. Tego nasza gospodyni od nas nie oczekiwała – wręcz nie chciała, żeby pan Iwanow te pieniądze wziął. Zresztą on sam też wziąć nie chciał. Jednak pani Stolarczykowa ich przekonała:

– Naszym *rodnym* [krotnym] też ktoś gdzieś pomoże – powiedziała.

To wszystko było bardzo znamienne. W nocy był we wsi człowiek, ale nikt poza wtajemniczonymi nie miał o tym pojęcia. Wiedzieliśmy, że należymy do tego kręgu wtajemniczonych, i nie trzeba nam było mówić, że nikomu nie wolno o tym wspomnieć.

* * *

Nową polską jednostkę wojskową na terenie Związku Sowieckiego zaczęto formować pod nazwą 1. Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki. Do miejsca jej tworzenia – Sielc nad Oką koło Riazania – szybko zaczęli napływać kandydaci. Wśród nich byli zarówno Polacy kierowani przez sowieckie wojskowe komendy uzupełnień, jak i deportowani w latach 1939–1941 w głąb ZSRS ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej oraz zwolnieni z sowieckich więzień czy łagrów. Ludzie ci z różnych przyczyn – głównie z powodu stawianych im przez władzę sowiecką przeszkód – nie dotarli do ośrodków formującej się w latach 1941–1942 Armii Andersa lub nie zdążyli się z tym wojskiem ewakuować na Bliski Wschód. W szeregi Dywizji stawili się też Polacy, którzy po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zostali przymusowo zmobilizowani do Armii Czerwonej lub skierowani do batalionów budowlanych. Na dowódcę nowo powstającego wojska

powołano pułkownika Zygmunta Berlinga, mianowanego później generałem – był on jednym z żołnierzy, którzy nie ewakuowali się wraz z Armią Andersa.

Pomimo faktycznego podporządkowania 1. Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki zwierzchnictwu Armii Czerwonej formacji nadano wszelkie cechy wojska narodowego. Były to między innymi: biało-czerwony sztandar i polskie mundury z godłem narodowym – białym orłem, ale bez korony; zachowano też zwyczajowy polski sposób salutowania. Polityczny nadzór nad 1. Dywizją Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki objął Związek Patriotów Polskich. Oficerami oświatowymi, czyli politycznymi, zostali polscy komuniści.

Powstająca Dywizja cierpiała na braki polskiej kadry oficerskiej. Większość oficerów wymordowano w 1940 roku w Katyniu i Charkowie, a inni opuścili Związek Sowiecki w szeregach Armii Andersa. Na stanowiska dowódcze kierowano więc oficerów Armii Czerwonej, często nieznających języka polskiego, mimo że część z nich była potomkami polskich zesłańców, miała więc polskie korzenie.

W rocznicę bitwy pod Grunwaldem, 15 lipca 1943 roku, żołnierze złożyli przysięgę: ślubowali wierną służbę ojczyźnie, dochowanie wierności Związkowi Sowieckiemu i braterstwo broni z Armią Czerwoną. W tym dniu Dywizja otrzymała ufundowany przez Związek Patriotów Polskich sztandar z polskim białym orłem – bez korony – który przez komunistyczną propagandę był nazywany orłem piastowskim.

W lipcu 1943 roku Dywizja liczyła ponad 11 tysięcy żołnierzy.

1. Dywizja Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki przeszła chrzest bojowy 12–13 października 1943 roku pod Lenino, ponosząc ciężkie straty. Udział w bitwie miał charakter polityczny. Na polu walki zginęło i umarło od ran 510 żołnierzy, 652 uznano za zaginionych – część z nich trafiła do niewoli

niemieckiej, 1776 zostało rannych. Stanowiło to około 20 procent stanu Dywizji. Na taki rozmiar strat wpłynęło niedostateczne wykształcenie i nieudolne dowodzenie.

* * *

BOGUSŁAW

Z wojska ojciec mógł pisać do nas listy. Były one bardzo specyficzne. Nie było przecież kopert. Zapisaną kartkę składało się w trójkąt, adresowało i naklejało znaczek. Nie wolno jej było zakleić, bo przecież cenzura. Wszystkie listy, te z wojska i te do wojska, musiały być napisane po rosyjsku. Te, które tata nam wysyłał, przychodziły bardzo rzadko.

Pamiętam, że jeszcze w pierwszej klasie napisałem do ojca list z prośbą, żeby mnie do siebie zabrał. Zakończyłem go zdaniem: *Kogda wmiestie wozmiom, wskorie Giermanca rozobjom* [Jak razem się weźmiemy, szybko Niemców pobijemy]. Kiedy ojciec czytał ten list, przechodził komisarz wojskowy. Wziął go od ojca i przeczytał. Zachwycił się. Potem kazał dla przykładu wywiesić mój list na ponad miesiąc na gazetce ściiennej w koszarach.

Ja, pisząc, nie chciałem uprawiać propagandy – tylko tak jakoś górnolotnie po sowiecku samo mi wyszło...

DANUTA

Trwała sroga zima, której końca nie było widać. Mieliśmy co prawda zapas przygotowanych latem kiziaków, ale sytuacja stawała się ciężka z innej przyczyny. Zgromadzone w lecie z wielkim trudem przeróżne drobne drewnienka, niezbędne do rozpalania pod piecem, zupełnie już nam się skończyły. Nie mieliśmy czym podpalić kiziaków. To było niebywale

kłopotliwe. Nasza gospodyni, ciocia Iwanowska, miała ten sam problem. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak go rozwiązać.

Nieopodal naszej chaty, zupełnie na końcu wsi, rozpoczęto, ale nie dokończono budowę *ambaru*. Przerwała ją wojna, budujący *ambar* mężczyźni poszli na front. Solidną – jak na tamte warunki – konstrukcję wykonano z drewna. Po nocach chodzili tam ludzie i rozkradali drewno, odbijając mniejsze elementy od głównego szkieletu. Nieoficjalnie, po cichu, wszyscy wiedzieli o tym procederze.

Postanowiliśmy i my wybrać się tam w tym samym celu. Po dłuższych rozważaniach ostatecznie postanowiono, że na wyprawę pójdą ciocia Iwanowska i pani Maria z Jadzią, ale mnie też muszą zabrać, bo ktoś musi stać na czatach. Czuwać miałam ja, a nie Róża czy Nadia, bo ja miałam dobre walonki. Moim zadaniem miało być obserwowanie, czy ktoś nie wchodzi lub nie wychodzi z domu pani Lidy. Jej chata była położona na samym skraju wsi, najbliżej tej niedokończonej budowy, a do jej domu ludzie przychodzili nawet bardzo późnym wieczorem pożyczać żarna.

Wyprawa ruszyła. Noc była mroźna, bardzo jasno świecił księżyc. Kiedy dotarliśmy z sankami pod szkielet *ambaru*, ja zostałam na czatach, a pani Maria, Jadzia i ciocia Iwanowska zagłębiły się w czeluść konstrukcji. Nie potrafię określić, jak długo przebywały pod dachem tej rozgrabianej budowli, ale mnie się wydawało, że trwało to wieczność – bałam się tak bardzo, że ze strachu nawet nie czułam przeraźliwego zimna.

Wreszcie zobaczyłam, że moje współtowarzyszki wychodzą i bardzo szybko ładują na sanki zdobyte drewno, przywiązują je sznurkiem i jeszcze mocują jakimś drutem. A zrobiły to tak sprawnie, jak gdyby były wyspecjalizowane w tym procederze. Dobrnęliśmy szczęśliwie do domu z naszą zdobyczą. Poczuliśmy odprężenie. Udało się.

Ale zaraz przyszła refleksja, bo w domu zastałyśmy czekające na nas Nadię i Różę – obie bardzo przestraszone, bo były pewne, że nas przyłapano, skoro tak długo nie wracamy. Dziewczynki były przygotowane na najgorsze i nawet zdążyły stworzyć cały czarny scenariusz tego, co teraz z nami, przestępcami, będzie. Róża rozpaczała, że nasz ojciec jest w polskim wojsku, a jego najstarszą córkę razem z opiekunką zamknął w więzieniu i pozostałe dzieci rozesłał po różnych sowieckich domach dziecka. Taka perspektywa nie tylko ją przeraziła, ale nas również. Dlatego, nie zwlekając, jeszcze tego samego wieczoru, a właściwie już nocy, zaczęłyśmy się naradzać, co dalej począć. Wiedziałyśmy, że tego drewna, które właśnie przytaszczyłyśmy do domu, nie starczy do końca mrozów. Wiadomo było, że iść po drwa na rozpałkę trzeba będzie jeszcze zapewne niejedną raz. Różne miałyśmy pomysły, różne padały propozycje, ale najbardziej racjonalne, bo pozwalające wybrać mniejsze zło, były argumenty cioci Iwanowszej, która mówiła:

– Jak złapią sowiecką kobietę, matkę samotnie wychowującą czwórkę dzieci, kolchożnicę (my mieliśmy status jedynie pracowników najemnych), i nieletnią dziewczynkę (Jadzia miała wtedy nieco ponad piętnaście lat), to jest szansa, że nic nie zrobią. A jak złapią dorosłą Polkę, to nie odpuszczą. Ukarzą ją pokazowo, zapewne wyślą do karnego obozu albo do łagru. To, że ma czwórkę dzieci pod opieką, nie będzie miało znaczenia. Wywłoką natychmiast fakt, że dzieci nie są jej, i szybko zaopiekuje się nimi władza sowiecka, twierdząc, że w domu dostawały od tej kobiety zły przykład.

Potem, po dłuższej chwili ciszy, dodała jeszcze:

– W ten sposób władza ostentacyjnie przypomni wszystkim wokół, czego robić nie wolno. Idealna metoda na zniechęcanie ludności do kradzieży. Jedyne koszty to jakaś Polka...

Tak ryzykować nie było można! Więc ciocia Iwanowska zaproponowała, że najbezpieczniej będzie, jeśli ona będzie chodziła po drewno tylko z Jadzią. Przyjęliśmy tę propozycję z dużą ulgą. Nie pamiętam, ile razy jeszcze wybrały się do tego *ambaru* – ale z pewnością jakieś dwa, trzy razy.

BOGUSŁAW

Przednówek 1944 roku był ciężki, wszystkim doskwierał brak jedzenia. Wtedy ktoś wywęszył, że na polu przy Błagadarnoje leży niezbrane proso. Śniegi topniały i zboże zaczęło powoli kiełkować. To była bardzo wczesna wiosna. Poszło po nie kilka osób, w tym Jadzia i Danusia.

DANUTA

Leżało tam sporo tego prosa. Duże, dorodne kłosa porozrzucane po polu, które teraz, gdy topniał śnieg, zostały odkryte. Zbierałyśmy kłosa, wymłóciłyśmy tego niemało i przyniosłyśmy do domu. Pani Maria kazała przesuszyć ziarno za piecem, zanim żarnami będzie można je zemleć.

Proso to był stosunkowo łatwy łup, więc planowałyśmy już następną wyprawę, wiedząc, że jeszcze sporo ziarna zostało. Ale tym razem wyprawa była dużo trudniejsza. Wyruszyłyśmy z domu skoro świt i dotarłyśmy na miejsce jeszcze po zamarzniętym polu. Namłóciłyśmy trochę zboża, ale zorientowałyśmy się, że trzeba szybko wracać, bo słońce grzało mocno i pola zamieniały się w wielkie kałuże. Wracając, musiałyśmy obchodzić je szerokim łukiem, podobnie jak pojawiające się potoki.

Tymczasem ci, którzy mieli proso z poprzedniej wyprawy, zjedli robione z niego placki i się pochorowali. Dostali wymiotów i czarnej wysypki na plecach. Poszła wtedy po wsi fama, że proso zostało zatrute przez Niemców bombą chemiczną, której opary zawiąło na pola. Propaganda głosiła, że tak chcą wytruć ludzi sowieckich. Szybko jednak jakiś lekarz ustalił zupełnie

inną przyczynę. Jak spadł pierwszy duży śnieg i przykrył proso, nie było jeszcze mrozu, długo było stosunkowo ciepło. Więc przed nastaniem dużych mrozów proso się sparzyło i wytworzył się gaz, który zatrzał ziarno. Przytomnie zachował się w tej sytuacji *priedsiedatiel*, który o całym zamieszaniu już wiedział i ogłosił, że każdy, kto ma to proso, ma je zdać, a w zamian dostanie tyle samo dobrego zboża. Tak wymieniliśmy nasze proso na prawdziwą mąkę.

BOGUSŁAW

Nauczeni doświadczeniem wiedzieliśmy już, że kłosy trzeba zbierać najpóźniej jesienią, przed pierwszymi opadami śniegu.

DANUTA

Po tym wypadku z prosem pani Lida, która nas lubiła i od której pożyczaliśmy żarna, w wielkiej tajemnicy dała pani Marii dobrą radę.

– Dzieci chodzą, błądzą po polu, szukając tych kłosów, napracują się strasznie, a niewiele zdziałają – mówiła. – Trzeba sprawdzać wysypiska, które powstają przy czyszczeniu sit w kombajnie. Na spodzie takich hałd plew może być zdrowe, dorodne ziarno. Tam trzeba szukać.

Nie wiem, czy te porzucone w polu kupy plew to była taka przypadkowa sprawa. Znając ten system i jego mechanizmy, można podejrzewać, że pracownicy sami wyrzucali plewy, żeby potem ich rodziny miały co zbierać. Mogło tak być.

W każdym razie za radą pani Lidy już latem, zaraz po żniwach, zaczęliśmy tak właśnie przeczesywać pola. Trafiliśmy wtedy na dużą kupę wyrzuconych przez kombajn plew z pszenicą kubanką. Kubanka to był najlepszy gatunek pszenicy, ziarno było żółte, piękne, słoneczne.

Kiedy zebrałyśmy już spory zapas, to i pani Lidzie, i naszej cioci Iwanowskiej powiedziałyśmy o tym odkryciu, żeby i one mogły skorzystać

z tego dobrodziejstwa. Chodziła tam Nadia, córka cioci Iwanowszy, pani Lida i my. Ale chodzić trzeba było w pojedynkę, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

Dzięki tym wyprawom zgromadziłyśmy naprawdę spory zapas zboża. Starczyło go na całą zimę, którą przetrwaliśmy dzięki temu dużo łatwiej niż poprzednią. Ilość naszych zapasów była tej zimy nieporównanie większa.

BOGUSŁAW

Wiosną 1944 roku doszło do miłego dla nas zdarzenia. *Priedsiedatiel* dał nam *bachczę*. *Bachcze* to były zagony dla kołchoźników przeznaczone do ich prywatnego użytku. Dzielono kawałek kołchozowego pola na małe poletka i oddawano je do uprawy pracownikom kołchozu.

DANUTA

Uprawiało się tam melony, kawony i dynie, ale w dość szczególny, przemyślny sposób. Pole leżało na górcie i to takiej, żeby był odpowiedni spadek i nasłonecznienie. Wszystkie rośliny uprawiało się jednocześnie. Na samym dole rosły dynie, wyżej melony, najwyżej kawony. Melony i kawony trzeba było zjeść jesienią, bo nie nadawały się do dłuższego przechowywania. A dynie, pomarańczowe, zielone, ciemnozielone i seledynowe, przechowywać można było długo. Te pomarańczowe były najlepsze, największe i najsmaczniejsze. Rosły tak wielkie i twarde, że trzeba było rozrąbywać je siekierą. W smaku wyborne, słodziutkie, z kaszą jaglaną smakowały wyśmienicie.

Prymitywne piwnice w ziemi umożliwiały przechowywanie dyni bardzo długo. Otulone słomą, niektóre mogły przetrwać do wiosny, tak jak kopcowane tam ziemniaki. Jesienią każdy właściciel takiego poletka miał zagwarantowane zwiezienie swoich płodów do domu przez kołchozowych

wozaków. Zwózka odbywała się zawsze wieczorem, po zakończeniu kołchozowych prac.

To poletko to było duże żywnościowe wsparcie, zapewniało witaminy.

BOGUSŁAW

Niestety rzeczywistość nie była sielanką. Plonów trzeba było bardzo pilnować, bo kołchoźnicy wzajemnie się okradali. Trzeba dodać, że były dwa rodzaje *bachczy*: kołchozowe i kołchoźników. Kołchozowe zbiory szły jako dostawy państwowe.

DANUTA

Patrząc od strony wsi, najpierw leżały *bachcze* kołchoźników, a dalej rozciągały się te kołchozowe. Między jednymi a drugimi stała buda, szałas, w którym mieszkał pilnujący obu pól stróż z bronią. Był to dziarski dziadek z Leningradu, może emerytowany milicjant albo żołnierz w stanie spoczynku. Zawsze towarzyszyła mu córka. Nie radzili sobie z tym pilnowaniem, bo jak gonili złodziei z jednej strony, to z drugiej ginęły plony. Stróż poprosił więc o wsparcie, o jeszcze jedną osobę do pomocy. Jego córka, ładna dziewczyna, zaproponowała na pomocnika naszą najstarszą siostrę. Jadzia bardzo się z tego ucieszyła.

Od lipca do późnej jesieni pracowała tam, śpiąc w tym szałasie i broniąc zbiorów przed rabunkiem. Bardzo jej to odpowiadało, bo pracując na *bachczach*, całe lato nie musiała harować w polu. Udało się jej tym razem, trzeba przyznać. My z Różą zbierałyśmy zboże, szukałyśmy odchodów, wyrabiałyśmy ług, nosiłyśmy mleko, a ona jak księżniczka w szałasie brylowała. A jeszcze trzeba było dostarczać jej regularnie czystą bieliznę.

BOGUSŁAW

W 1944 roku wszyscy we wsi nabrali już do nas zaufania i traktowali jak swoich. Odczuwaliśmy to w konkretny sposób. Dwa razy w tygodniu, a czasami nawet trzy, dostawaliśmy po pięć litrów odtłuszczonego mleka spod centryfugi. To mleko było dla nas wielką frajdą.

Były też odtopki. Ze śmietany produkowano głównie masło, ale ono nie szło na front takie świeże. Ze względu na upały najpierw topiono je w dużym murowanym kotle, zbierano z tego szumowinę – odtopki – a czyste, klarowane masło wlewano do małych baniek na mleko.

Te odtopki czasami dostawaliśmy, ale nie za często.

DANUTA

Kiedy Boguś poszedł w końcu do szkoły, uczyła go młoda i bardzo życzliwa nauczycielka o imieniu Raisa. W starszych klasach uczyła kierowniczką szkoły, która była dziwnym człowiekiem. Surowa, zimna kobieta. Bardzo nie lubiła Polaków i nie kryła się z tym, wręcz to demonstrowała. Muszę jednak powiedzieć, że jeśli chodzi o wystawianie ocen, nigdy mnie nie skrzywdziła – nigdy niesprawiedliwie nie zaniżyła mi stopnia. Była naprawdę obiektywna.

– Jak to? Ja tak pięknie napisałam, a Danusia tak brzydko naskrobała i to ona ma piątkę, a ja trójkę? – powiedziała kiedyś moja koleżanka Zoja z Leningradu.

– Dzisiaj nie jest lekcja kaligrafii. Dzisiaj należało odpowiedzieć na zadane pytania. Ona dobrze i wyczerpująco odpowiedziała. Dużo lepiej od ciebie, więc nie może dostać gorszego stopnia – odparowała kierowniczką.

BOGUSŁAW

W szkole byliśmy regularnie poddawani sowieckiej indoktrynacji – każdego dnia, każdej godziny. Dzień zaczynał się od śpiewania sowieckich propagandowych pieśni. Jednej nie znosiłem szczególnie. Słowa refrenu

brzmiały: *pomniat psy atamany, pomniat polskije pany...* [pamiętają psy atamani, pamiętają polscy panowie]. Choć lubiłem śpiewać, to zawsze kiedy zaczynali tę piosenkę, ja i Danusia podnosiliśmy ręce, że musimy wyjść pilnie za potrzebą, i biegliśmy na zewnątrz do toalety. Nauczycielka wiedziała, o co chodzi. Wściekała się... Ale nigdy nie zaryzykowała sanitarnego incydentu.

DANUTA

Kiedyś kierowniczka szkoły zaproponowała mi, żebym zapisała się do pionierów, sowieckiej organizacji dziecięcej – odpowiednika polskiego harcerstwa – w wysokim stopniu upolitycznionej.

– Ja to muszę rozważyć! Ale dobrze, dobrze, zapiszę się – odpowiedziałam jej.

Przyszłam do domu i zaczęłam rozpaczać, jeść i spać nie mogłam, ciągle o tym myślałam. Wiedziałam już, że jak każą ci coś zrobić, a ty odmówisz, to będą niemiłe konsekwencje.

Pani Maria Stolarczyk zaczęła mi doradzać:

– Powiesz, że jeszcze pomyślisz, że na pewno się zapiszesz, ale jeszcze trochę musisz sobie pomyśleć.

Tak też zrobiłam.

– Ja myślę nad tym, proszę pani. Jeszcze trochę pomyślę i się zapiszę – powiedziałam, gdy po raz kolejny nauczycielka zaczęła na mnie naciskać.

– Myślisz? Ty myślisz, Danusia? No, jak będzie z tymi pionierami? – ponaglała mnie. – Czy ty naprawdę myślisz, że ten twój polski Bóg obrazi się za to na ciebie?

– Bóg jest jeden! – zawołał wtedy z ławki nasz kolega Fiodor.

– *Mołczy ty, durak!* [Milcz, durniu!] – krzyknęła nauczycielka, ucinając dalszą dyskusję na ten temat.

Tak kierowniczką szkoły rozprawiła się z polskim Bogiem. Jednak przestała mnie nękać.

Pionierów prowadziła nie kierowniczką, lecz nauczycielką, która uczyła Bogusia, Raisa. Ona wynajmowała izbę w domku babci mojej bliskiej koleżanki. Koleżanka z rodzicami i bratem mieszkała obok, więc gdy chodziłam po szkole ją odwiedzać, czasami spotykałam nauczycielkę. Jak tylko ją widziałam, sama zaczynałam:

– Ja jeszcze trochę pomyślę, proszę pani, i zapiszę się do pionierów.

– Dobra, dobra, zapiszesz się, Danusia, jak będziesz chciała. Pomyśl jeszcze, pomyśl, Danusia – mówiła, klepiąc mnie dobrotliwie po ramieniu.

Myślę, że rozumiała mój problem, była życzliwa – zupełnie inaczej niż kierowniczką. Pani Stolarczyk mówiła, że kierowniczką prawdopodobnie miała kogoś bliskiego, kto zginął na wojnie w 1920 roku, i dlatego tak wrogo reaguje na Polaków.

BOGUSŁAW

Jak sięgnę pamięcią, zawsze był problem z butami. Zdobyć je było bardzo ciężko.

DANUTA

Mimo to raczej zawsze mieliśmy buty. My, dziewczynki, nosiłyśmy jedna po drugiej, gorzej było z Bogusiem. On rósł i z butami dla niego zawsze był kłopot. Kiedyś zimą nie miał ich w ogóle i siedział w domu. Czasami tylko pożyczał ode mnie walonki i wtedy biegł do chłopaków pojeździć na sankach.

BOGUSŁAW

Buty, które sprawdzały się podczas surowych zim, były bardzo cenne. Takie porządne, trzymające ciepło nawet w największe mrozy, były te ichniejsze

walonki. Poznaliśmy je już w Gramatusze. Rewelacyjny wynalazek. Walonki były podobne do naszych kaloszy, ale bardziej toporne. Robione z wołoku, czyli ze sfilcowanej wełny.

Długo marzyłem o takich butach. Moje marzenie spełniło się dopiero latem 1944 roku za sprawą pani Marii i organizacji UNRRA*. Wtedy w ramach pomocy mnie i siostram przydzielono cztery koszulki, a ja dodatkowo dostałem buty. Innych rzeczy jakoś nie pamiętam, ale pewnie otrzymaliśmy też jedzenie. Koszulki były typowo bieliźniane, na ramiączkach i, jak to mówią chłopcy, „dziewczyńskie”. Nosilem moją, mimo że miała damski krój.

– Cycuszki ci wyrosły – natrzęsały się ze mnie siostry, widząc mnie w tej koszulce.

A buty dostałem piękne! To były botki, bardzo solidne, skórzane, w czarnym kolorze. Niestety za małe.

Pani Maria wymieniła mi je na targu na upragnione walonki i jeszcze dodatkowo dostała za nie kartofle. Jakież wspaniałe były te walonki! Nie *kazionnyje* [państwowe], tylko ręcznie wykonane przez rzemieślnika, a raczej domorosłego znawcę sztuki ich wyrobu. Te wytwarzane w fabrykach miały jasny, prawie biały kolor, a moje były ciemnopopielate, eleganckie.

DANUTA

Kiedy tylko temperatura na to pozwalała, chodziliśmy na bosaka. Buty latem wyśmiewano jako „pański” wynalazek, a noszenie ich było uważane za wywyższanie się. Nam chodziło o akceptację ze strony tubylców, mieszkaliśmy wśród nich, potrzebowaliśmy ich pomocy i życzliwości, więc na co dzień butów nie nosiliśmy. Zresztą oszczędzało się je.

BOGUSŁAW

W swoim życiu dwa razy się topiłem. Dwa razy na zesłaniu. Raz w Gramatusze, gdy jako mały brzdąc wybrałem się po kołbę na drugi brzeg rzeki, a drugi raz w Graznusze.

Były tam dwa stawy. Jeden bardzo duży, położony w centralnym punkcie wsi. Wokół niego stały najważniejsze obiekty gospodarcze: obory, chlewnie, stodoły, ale i budynki administracyjne. Drugi, mniejszy, był stawem hodowlanym, w którym latem było sporo ryb. Znajdował się bardziej na obrzeżu wsi, niedaleko domu Iwanowych.

Szkoła stała nad tym większym stawem. Dzieci, czekając na zajęcia, często zbierały się na jego brzegu. Pewnego razu, gdy zaczynała się zima i nastąpiły pierwsze mocniejsze przymrozki, staw pokrył się lodem. Jak zwykle przed szkołą spotkaliśmy się z chłopakami. Do rozpoczęcia lekcji było jeszcze trochę czasu. Koledzy zaczęli ostrożnie wchodzić na lód. Wydawało się, że jest mocny. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy da się po lodzie przejść na drugą stronę stawu. Padły zakłady. No i poszliśmy z drugim takim zadziórą. Uszliśmy dość daleko, jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów od brzegu. Ja niestety szedłem pierwszy i jak lód się załamał, wpadłem do wody. Kolega zdążył się cofnąć. Byłem ubrany w kozuch, czapkę, moje walonki. Ubranie natychmiast namokło i zrobiło się ciężkie. Próby wydostania się z wody nie przynosiły rezultatu, nie mogłem się wydobyć, nogami nie dotykałem dna, ale ręce utrzymywałem rozpostarte na lodzie. Wtedy byłem już mądrzejszy i umiałem zachować zimną krew. Zacząłem rękami bić w lód przede mną. On się kruszył, a ja tak brnąłem w kierunku brzegu. Trwało to do momentu, kiedy dotarłem do miejsca, gdzie nie mogłem rozłuc lodu rękami, bo był już tam bardzo twardy. Wtedy wydobyłem się ze stawu. Byłem tak zmarznięty, a ubranie na mnie tak ciężkie od wody, że ledwo się wyciągnąłem na brzeg, gdzie padłem jak martwy.

DANUTA

Gdy Boguś się topił, to kierowniczka szkoły pokazała jednak, że ma nie tylko zimną krew, ale i serce. Boguś był w kozuchu. Kozuch pije wodę, szybko robi się ciężki – szczęście, że Boguś nie poszedł na dno... Kiedy go podnieśli, to takiego mokrego przywlekli do szkoły. Tam były dwie klasy i dwie nauczycielki. W klasie, w której uczyły się starsze dzieci, w tym ja, piec był solidniejszy, z dużym zapiekiem i sporą wnęką na opał. Przeprowadzili więc Bogusia do naszej klasy.

Kierowniczka, widząc, co się dzieje, szybko wysłała dwóch chłopców do naszego domu po suchą odzież. Przybiegła Raisa, nauczycielka Bogusia. Obie go ratowały. Najpierw ściągnęły z niego kozuch i buty. Zdjąć nasiąknięte wodą walonki było dość trudno. Wepchnęły go do wnęki za piecem i tam kazały mu zdjąć resztę ubrania, wszystko, do rosołu.

– *Rozdiewajsia, bystro, bystro rozdiewajsia!* [Rozbieraj się, szybko, szybko się rozbieraj!] – krzyczały do niego.

Kierowniczka wzięła duży płaszcz, chyba własny. Dwóm chłopcom kazała go trzymać jak parawan, żeby osłonić Bogusia. Pobiegła do swojego domu – mieszkała tuż przy szkole – i przyniosła ciepłą, grubą derkę, żeby go ogrzać. Było duże zamieszanie.

– *Nie podgladywat', nie podgladywat'!* [Nie podglądać, nie podglądać!] – krzyczała, grożąc palcem rozemocjonowanej tym niecodziennym wydarzeniem klasie.

Bardzo zadbała o niego – mimo że był jednym z Polaków, których tak nie lubiła. Potem wyraźnie się cieszyła, że udało się pomóc, że jest zdrowy, nie zachorował. To groziło zapaleniem płuc, śmiertelną wówczas chorobą.

Potrafiła się cieszyć tym, że Boguś się nie utopił!

BOGUSŁAW

W całej wsi był tylko jeden człowiek, który miał prawdziwe metalowe łyżwy, takie mocowane do butów. Były one obiektem westchnień wszystkich dzieciaków. Pewnego dnia z Gienkiem Rzęsą ukradliśmy mu te łyżwy na jeden dzień. Każdy z nas założył sobie jedną: ja na lewą nogę, a Gienek na prawą. Trzymaliśmy się za ramiona i tak jeździliśmy po zamrzniętej rzece łączącej dwa stawy we wsi. Jej brzegi były porośnięte krzakami i myśleliśmy, że nikt nas nie zobaczy i sprawa się nie wyda. Zabawa była przednia. Było dużo śmiechu, zanim nauczyliśmy się w ten sposób ślizgać i nie wywracać się.

Ktoś nas jednak przyuważył i doniósł właścicielowi łyżew. Ten zjawił się u nas w domu. Powiedział moim siostrze, że wie, kto buchnął mu łyżwy, i jak się do wieczora nie znajdą, to zgłosi, komu trzeba. Ależ dostałem burę, jak wróciłem do domu! Piorunem podrzuciliśmy te łyżwy pod drzwi właściciela.

Potem sam wystrugałem sobie drewniane łyżwy i chciałem namówić miejscowego kowala, żeby od spodu podbił mi je kawałkami blachy. Na drewnianych też dało się ślizgać, ale daleko im było do prawdziwych.

DANUTA

Boguś biegł do kowala, życie mu uprzykrzał, prosił, żeby on w drewnianej łyżwie wyciął rowek i wprowadził w niego metal, żeby był dobry poślizg.

Kowal był zachwycony i jego pomysłem, i jego uporem, i nim samym. Chwalił go przed panią Marią i tłumaczył się, że nie ma odpowiedniego kawałka metalu i że tego nie da się zrobić. Twierdził, że nawet próbował, ale nic z tego nie wyszło.

– Ale jak ten mały myśli, wie pani! – zachwycał się kowal. – Oj, to kiedyś będzie inżynier.

Tam jak ktoś myślał, to od razu był inżynierem.

BOGUSŁAW

Generalnie trudno było w Graznusze o godziwe rozrywki. Trzeba było samemu je sobie organizować. Ja potem zrobiłem sobie również narty z desek, a moje siostry same talię kart.

DANUTA

Różnie organizowaliśmy sobie rozrywki. Karty zrobiliśmy pod kierunkiem Jadzi z najzwyklejszego papieru gazetowego. To była pełna talia, pięćdziesiąt dwie sztuki. Najpierw z mąki i wody ugotowaliśmy klej. Potem sklejałyśmy warstwy gazety, aby uzyskać w miarę sztywną „tekturkę”, i trzymałyśmy to pod płaskimi kamieniami, żeby schnąc, dobrze się skleilo. „Tekturkę” pocięłyśmy na pojedyncze karty, a oznaczenia wartości i kolorów: czerwień, żółdź, wino i dzwonek, narysowałyśmy kopiowym ołówkiem. Na koniec każdą kartę trzeba było na moment zanurzyć w mleku i postawić w pionie do wyschnięcia. Papier zrobił się jak *łuszczonaja bumaga* [gładzony papier]. Karty dopiero wtedy nabrały elegancji i sztywności.

Przeważnie grywałyśmy z koleżankami w czmycha, a Boguś wręcz nałogowo z kolegami w durnia.

BOGUSŁAW

Zabawy dzieci we wsi były na dość prymitywnym poziomie. W zimie jedną z takich wiejskich rozrywek było rzucanie *katiaszkami*. Przy kilkustopniowym mrozie można ze śniegu zrobić śnieżkę, jak jest poniżej -20°C , kulki się nie ulepi, bo śnieg się nie klei.

W tej temperaturze zachodzi jednak inne zjawisko. Jak koń się wypróżnia, to na ziemię spadają zamarzniete „końskie jabłka”. To właśnie

były owe *katiaszki*. Takimi „śnieżkami” chłopcy obrzucali dziewczynki. Ot, takie końskie zaloty, przy których można było nabić komuś solidnego guza.

DANUTA

Nasze imiona były dla Rosjan niecodzienne. Stawały się czasem przedmiotem dowcipów miejscowych rozrabiaków. Imię Róża zruszczali dla żartu na podobne w brzmieniu ich słowo *rużjo* [karabin]. Chłopcy wołali:

– *Rużjo, rużjo...* Pa-pa-pa... – Tu padała wyimaginowana seria strzałów z karabinu maszynowego, po czym uciekali.

Czasami przedrzeźniali Różę, wołając:

– *Rużjo, rużjo, kiedy pojdziesz na wojnu?* [Karabin, karabin, kiedy pójdiesz na wojnę?]

BOGUSŁAW

Ulubioną rozrywką małych dzieci było czepianie się wszystkiego, co tylko jechało przez wieś. Cokolwiek to było, byle posuwało się do przodu, natychmiast oblepiały to dzieciaki, zawisały jak małpki na pojeździe, głównie od tyłu, żeby nie rzucać się w oczy prowadzącemu, ale żeby choć trochę, troszeczkę pojechać do przodu. Nie odstraszały ich krzyki i przestrogi dorosłych ani nawet to, że nieraz od woźnicy dostawały cięgi batem. Tylko Danusia nie uczestniczyła w tych zabawach, była bardzo strachliwa...

DANUTA

Na mnie z reguły wszyscy mówili Danusja, ale „Danka” chłopcy przerabiali na rosyjskie imię *Damka*, a ono było wtedy bardzo popularne dla psów.

– *Damka, Damka, na ciu ciu* – wołali chłopcy.

To było takie nawoływanie psa, wabienie go obietnicą psiego smakołyku. Boguś i Jadzia mieli lepiej, bo nie mieli przezwisk. To przedrzeźnianie naszych imion było jak ciągnięcie dziewcząt za warkocze, również na porządku dziennym. Nie było w tym żadnego podtekstu politycznego ani prześladowania nas ze względu na polskie pochodzenie. Te nawoływania miały charakter amorów wiejskich podrywaczy.

BOGUSŁAW

W tym czasie świetnie mówiłem po rosyjsku, znałem cyrylicę, z pisaniem i czytaniem nie miałem problemu, mimo że byłem zaledwie ośmiolatkiem. Problemem był dla mnie język polski w piśmie. Znałem litery, bo siostry mnie nauczyły, ale nie miałem polskich książek, żeby nauczyć się czytać. Ćwiczyłem więc wieczorami na jedynej polskiej książce, jaką mieliśmy – książeczce do nabożeństwa.

DANUTA

Jako rodzeństwo nie mieliśmy przed sobą tajemnic, byliśmy blisko, wzajemnie się wspierając. Dzieliliśmy troski, zmartwienia, lęki, jak i małe rzadkie radości. Czasami wspólnie marzyliśmy. Najczęściej wieczorami. Różne to były marzenia, dziecinne, ale niemal zawsze związane z naszym powrotem do Polski.

BOGUSŁAW

My w trójkę – ja, Danka i Róża – leżeliśmy na zapiecku. Jadzia spała na dole. Blisko pieca miała posłanie, panowała ostra zima. Na dworze szalał mróz i przenikliwy ziąb. Chłodno było również w chałupie, mimo że piec ciągle był rozgrzany od tłących się kiziaków. Emanował przyjemnym ciepłem. Wokół panowała ciemność.

Jakoś wszyscy nie mogliśmy zasnąć, zaczęliśmy rozmawiać najpierw o mijającym dniu, a potem, tak od słowa do słowa, przenieśliśmy się w przyszłość. Wszyscy wraz z ojcem, po wojnie, byliśmy w naszym kraju. Zaczęliśmy wymyślać, jak to tam będzie wspaniale – tak grupowo, na głos – i każdy z nas w tych marzeniach posuwał się coraz dalej.

Początek tym fantazjom dałem ja:

– Jak wrócimy do Polski, to sobie zjem kawałek chleba! Zjem tak wielką kromkę, taką pajdę, taką... o jakiej tylko zamarzę!

Na moment zapadła wymowna cisza.

– A ja wtedy też ukroję sobie wielką kromkę chleba, tak dużą, że prawie nie dam rady jej zjeść, i... posmaruję ją masłem – potwierdziła z dziwnie smutnym westchnieniem leżąca na piecu obok mnie Danusia.

– Eee... A ja to nie tylko ukroję sobie taką wielką kromkę chleba, nie tylko posmaruję ją masłem, ale jeszcze położę na nią kawałek świeżego białego sera! – wypaliła dobitnie na dobre już rozmarzona Róża, leżąca na piecu za Danką.

Tym razem cisza zapanowała na długo. Myślę, że, tak jak ja, wszystkie moje siostry smakowały w myślach ten widok, ten zapach, ten smak. Wszyscy byliśmy w tym jakże wymarzonym, utęsknionym świecie... i wtedy do nas, leżących na ciepłym piecu trójki głodnych marzycieli, dobiegł z dołu głos naszej najstarszej siostry:

– A jak już będziemy w Polsce, to ja też przygotuję sobie wielką kromkę świeżego, ciepłego jeszcze chleba. Olbrzymią. Posmaruję ją grubo masłem, obłożę plastrem tłustego białego sera... a wiecie, co jeszcze zrobię? – Dla spotęgowania napięcia na chwilę teatralnie zawiesiła głos. – Wiecie? Poleję ten ser miodem!

Jadzia nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo z zapiecka, zza moich pleców, rozległ się zboląły, tłumiony płaczem okrzyk Róży:

– O nie! Tak nie wolno, tak to już nie wolno!!!

Błyskawicznie wróciliśmy do rzeczywistości. Zapadła głucha, gęsta cisza. Nikt się już więcej nie odezwał. Uciekliśmy w sen. Róża jeszcze sobie chwilę pochlipała.

DANUTA

Pamiętam, jak było zaćmienie słońca. Wszyscy o nim wcześniej wiedzieli, bo w gazecie było ogłoszenie. Gazeta to w kołchozie ważna rzecz, choć nie każdy zwracał uwagę na to, co tam pisano. Papier gazetowy najchętniej wykorzystywano do robienia skrętów.

Jadzia okopciła nam wszystkim szkiełka, żebyśmy mogli to zjawisko oglądać. Mieliśmy to robić przed domem.

Wielu ludzi jednak nie wiedziało, że takie zdarzenie nastąpi, albo je zlekceważyło. Jak w każdy dzień wygonili krowy na pastwiska. We wsi były dwa stada krów, jedno kołchozowe, a drugie z bydła należącego do kołchoźników. Jednego i drugiego pilnował pastuch, ale stada się nie mieszały, pasły się na oddzielnych pastwiskach. Jak wieczorem pastuch gonił krowy do wsi, to każda krowa wiedziała, do którego domu ma iść albo do której kołchozowej obory. Nie trzeba było ich gonić na samo miejsce.

Gdy doszło do zaćmienia, a my wylegliśmy przed dom cioci Iwanowszy, nagle dobiegł nas straszny rumor, dziwny hałas, któremu towarzyszyło wielkie poruszenie. To były spłoszone krowy, które całym tabunem, jak oszalałe, dzikim galopem biegły przez wieś, tratując wszystko po drodze. Jedno stado pędziło z jednej strony, a drugie z przeciwnej. Za każdym stadem biegł bezradny pastuch. Nie wiadomo, kto był bardziej przestraszony: krowy czy pastuchowie. Obrazek jak z najlepszej komedii... Ale widok wsi po tym incydencie był żałosny. Powywracane płoty, pobite

naczynia, stratowane ogródki, gdzieś czyjeś pranie razem ze sznurkiem wiszące na wysokim kominie... Zupełnie jakby przeszło tornado.

* * *

1. Dywizja Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki wzięła udział w walkach o przyczółki na Wiśle w rejonie Dęblina i Puław (lipiec–sierpień 1944), o warszawską Pragę (wrzesień) i o Wał Pomorski (luty 1945), między innymi w rejonie Mirosławca. Uczestniczyła również w zdobyciu stolicy Trzeciej Rzeszy. Żołnierze polscy u boku Armii Czerwonej szturmowali Berlin i obok sowieckiej flagi zatknęli na Kolumnie Zwycięstwa w stolicy Niemiec polską flagę (maj 1945).

Rozrastająca się liczebnie 1. Dywizja początkowo przekształcona została w Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, a w marcu 1944 roku, licząc już 107 tysięcy żołnierzy, przemianowana na 1. Armię Polską w ZSRS.

Po wkroczeniu na ziemie polskie 1. Armia Polska połączona została z Armią Ludową, tworząc Wojsko Polskie.

Armia Ludowa – wcześniej Gwardia Ludowa – była konspiracyjną organizacją zbrojną Polskiej Partii Robotniczej, która działała w czasie wojny na okupowanych przez Niemcy polskich terenach obok innych polskich zbrojnych organizacji, w tym dwóch największych: Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej.

* * *

BOGUSŁAW

W styczniu 1945 roku ruszyło natarcie pod Warszawą. Jak polskie wojsko przeprawiło się przez Wisłę, to w którymś momencie przemieszczano też

baterię ojca. Ojciec jechał w szoferce samochodu wiozącego amunicję. Nadjechał dowódca, zbeształ go, kazał jechać na pace i obserwować, jak posuwa się cała bateria. Ojciec wykonał rozkaz i się przesiadł. Chwilę potem niemiecki pocisk artyleryjski trafił w samochód. Potężny wybuch wyrzucił tatę dwieście pięćdziesiąt metrów od drogi, daleko w pole obsiane oziminą. Znaleźli go ciężko rannego. Z samochodu nic nie zostało. Podobno poza rannym ojcem znaleźli tylko nogę z butem po dowódcy, który złażał ojca, a sam usiadł w szoferce.

Tak ojciec trafił do przyfrontowego szpitala.

Wojskowy Szpital Rozdzielczy Nr 67
dnia 3.2.1945r.


Z a ś w i a d c z e n i e

Stwierdzam, że st. sierż. Żukowski Leonard z Jednostki Wojskowej
nr 55940 przebywał na leczeniu w tut. Szpitalu od dnia 24.1.1945 r.
do dnia 2.2.1945 r. na kontuzja prawej strony klatki piersiowej z katar-
strofy samochodowej.

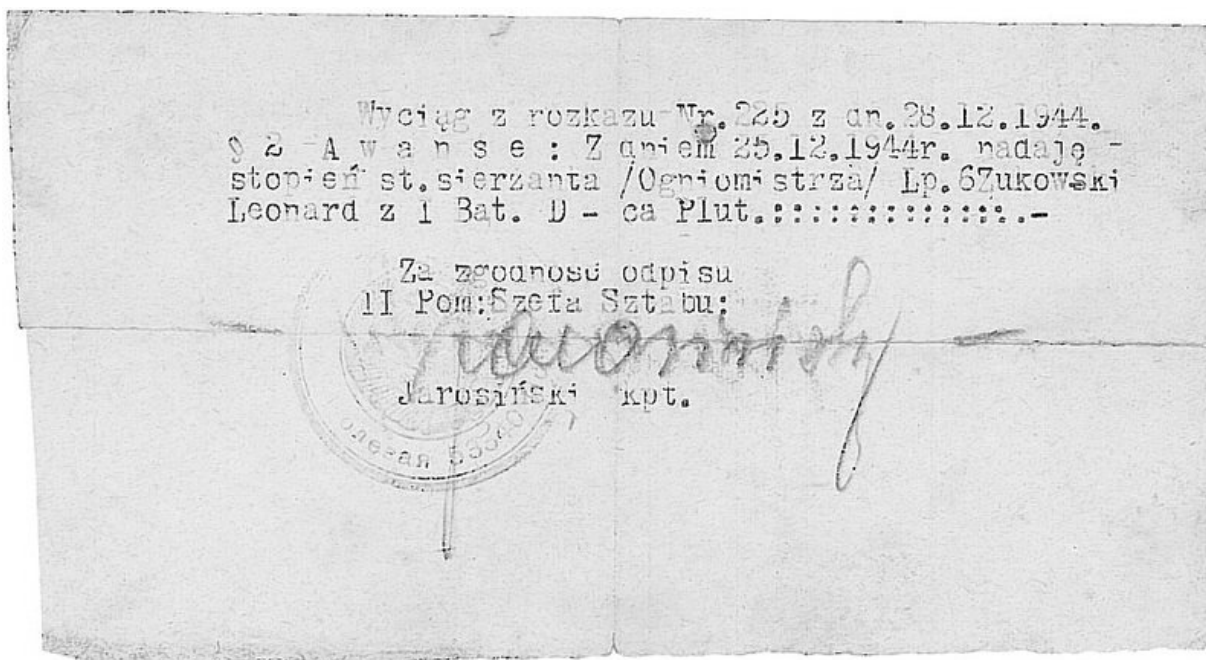
Wypisany po wyleczeniu do jednostki macierzystej.

Z-ca K-ty do Spraw
Leczniczych
[Signature]
/dr. doc. Chimieł kpt. lek./

Komendant Szpitala
[Signature]
/r. Derecki ppłk. lek./



Zaświadczenie o pobycie w szpitalu Leonarda Żukowskiego, 3 lutego 1945 r.



Pismo dotyczące awansu Leonarda Żukowskiego na sierżanta

DANUTA

Gdy ojciec wrócił z frontu do Graznuchy, nie był zdemobilizowany. Był rannym żołnierzem. Żołnierzem, który po wielkich staraniach u sowieckich władz frontowych dostał pozwolenie na odwiedziny dzieci mieszkających w Związku Sowieckim. Władze bardzo się starały do tego nie dopuścić, nie wydać zezwolenia, ale niepolitycznie było odmawiać rannemu żołnierzowi, ojcu czwórki dzieci, przyjacielowi Armii Czerwonej, bo tego typu informacje roznosiły się lotem błyskawicy. Podważały twierdzenia o polsko-sowieckiej przyjaźni i braterstwie broni, obniżały morale Polaków walczących na froncie wschodnim pod dowództwem w dużej części sowieckich oficerów.

Ojcu próbowano wyperswadować ten pomysł.

– Będzie repatriacja, dzieci na pewno ci przywiozą – mówili.

Ale ojciec nie ustępował. Wiedział, jak to jest, ile są warte obietnice tej władzy. Wiedział, że jeśli zgarną dzieci do sowieckiego domu dziecka, to

nigdy ich już nie znajdzie. Był nieugięty, starał się nie tylko o pozwolenie na wjazd do Związku Sowieckiego, ale i o zgodę na indywidualny powrót rodziny do Polski. Tłumaczono mu wtedy, że nie wiadomo, jak długo po wojnie Polska – jako kraj – będzie dochodziła do siebie. Wynajdywano różne przeszkody. Ostatecznie wymyślono, że ktoś musiałby się zobowiązać, że będzie nas, dzieci, utrzymywał przez rok albo i dłużej.

– Jesteś poważnie ranny, niesprawny, kto wie, ile czasu potrwa rekonwalescencja i dzieci nie będą mogły na ciebie liczyć – tłumaczyli „życzliwie” ojcu.

Wtedy wujostwo Garnarczowie z Kalinowic Ordynackich spod Zamościa, z którymi tata był w kontakcie, napisali zobowiązanie, że będą utrzymywać całą rodzinę Żukowskich przez dwa lata od dnia jej przyjazdu do Polski. Rosjanie nie mieli już argumentu i zgodzili się na przyjazd ojca do Związku Sowieckiego. Jednak dokumentów repatriacyjnych do ręki mu nie dali.

– Ty masz jechać, przepustkę na drogę masz, a twoje dokumenty repatriacyjne zostaną wysłane do wszystkich kompetentnych władz właściwego rejonu – powiedzieli.

Ojciec wyruszył w drogę do Graznuchy.

BOGUSŁAW

Zobaczyliśmy się pod koniec lutego 1945 roku, kiedy w zakrwawionych bandażach na głowie i piersiach pojawił się niespodziewanie w Graznusze.

DANUTA

Dzień, kiedy tatuś wrócił ranny z frontu, to był dla nas najszczęśliwszy dzień w Graznusze.

Błyskawicznie rozniosła się po okolicy wiadomość, że z frontu wrócił żołnierz. Każdy chciał go zobaczyć, pozdrowić, zapytać, jak na tym froncie

sprawy się mają. Jak ludzie zaczęli przychodzić do domu w południe, tak skończyli nad ranem. Przed chałupą stała kolejka tych, którzy przyszli się przywitać z powracającym z wojny żołnierzem. Nieważne, że to był żołnierz polskiego wojska, ważne, że żołnierz, który wrócił z frontu!

Pamiętam, że zmianę opatrunku można było ojcu zrobić w Błagadarnoje dopiero następnego dnia.

BOGUSŁAW

Mimo że ojciec był rannym żołnierzem w mundurze sojuszniczego wojska, walczącego ramię w ramię z żołnierzami rosyjskimi, ze Związku Sowieckiego wyjechać nie mógł. Nie mógł ot, tak zabrać dzieci i wyjechać do Polski.

Obiecane ojcu przez frontowe władze dokumenty zezwalające na indywidualną repatriację naszej rodziny nie dotarły do tutejszych władz. A może dotarły i zostały przetrzymane? A może dotarły rozkazy wręcz przeciwne?

DANUTA

Wzruszające było spotkanie ojca z Bogusiem.

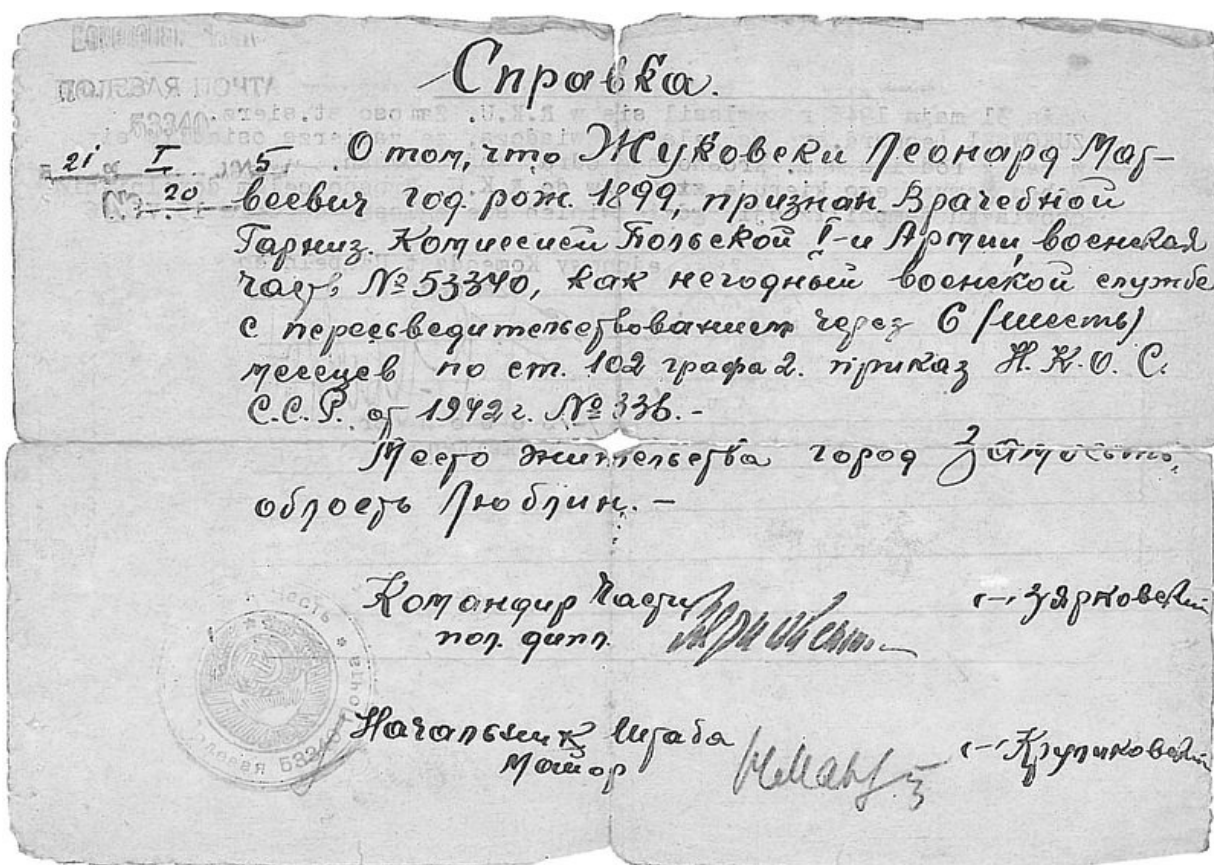
– Synku, ty mi nie urosłeś – powiedział ojciec, patrząc na niego z nieukrywanym wzruszeniem... Ale zaraz się z tego wycofał, żeby Bogusiowi nie było przykro, bo to zabrzmiało jak wyrzut. – Spodziewałem się, że będziesz wyższy. Ale urośniesz, jeszcze masz czas. Pojedziemy do Polski, to na swojej ziemi dopiero będziesz rósł. – Potem mówił do pani Marii: – No nie rośnie, nie rośnie Boguś.

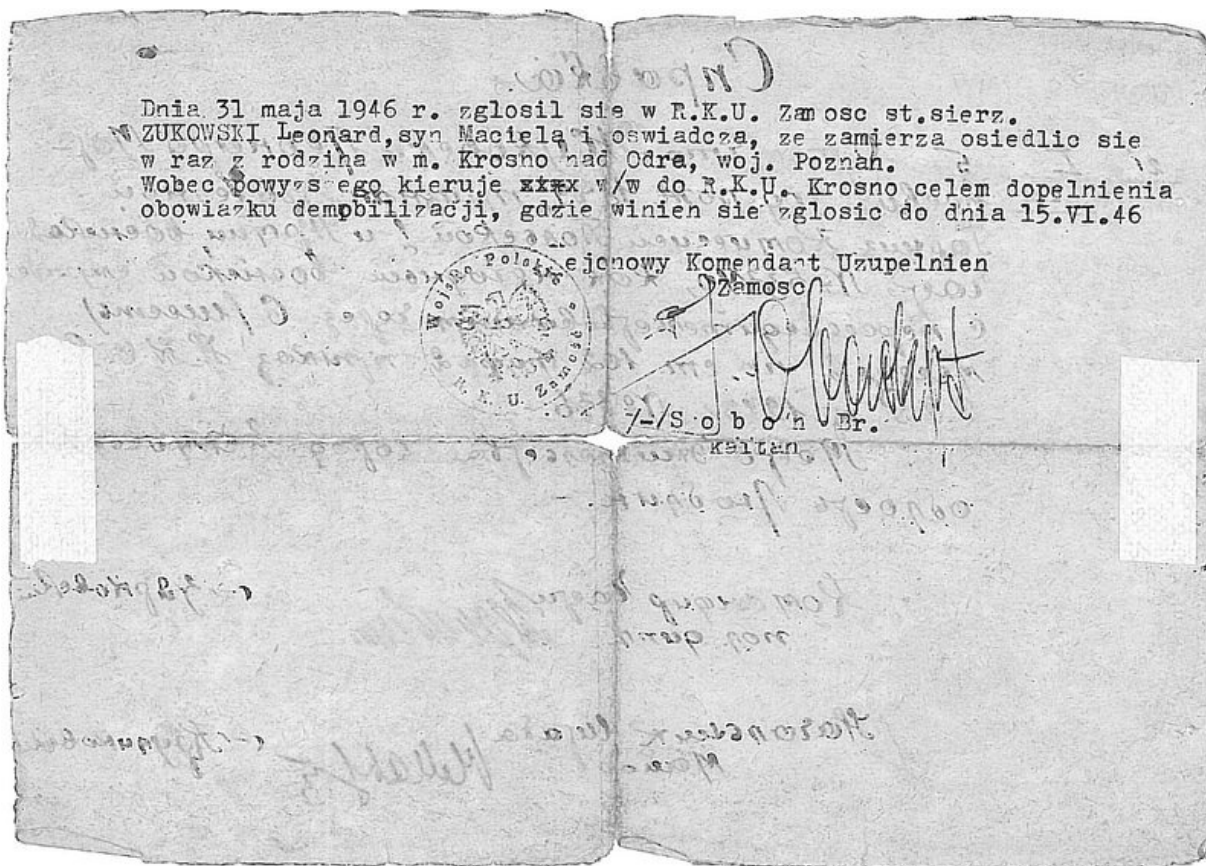
A od czego on miał, biedny, rosnąć?

BOGUSŁAW

Ojcem bardzo się interesowali w *raispołkowie* i *wojenkomacie* [wojskowej komendzie rejonowej]. Przyjechał z Polski i wiedział wszystko o Katyniu. To była bardzo niebezpieczna wiedza. Tacie palił się grunt pod nogami. Bardzo się bał, że go w ogóle nie wypuszczą ze Związku Sowieckiego. Mieli go na oku. Musiał się regularnie meldować w *wojenkomacie* w Soroczyńsku.

Spotkania te nazywano rozmowami z żołnierzem frontowym, choć faktycznie miały one charakter przesłuchań. Przesłuchiwali go po kilka godzin, a raz nawet przetrzymali w areszcie przez całą noc – rannego żołnierza w mundurze sojuszniczego wojska!





Sprawka (awers – w języku rosyjskim, z datą 21 stycznia 1945 r., i rewers – adnotacja po polsku z 31 maja 1946 r.), dokument Rejonowego Komendanta Uzupełnień w Zamościu wskazujący Krosno Odrzańskie jako miejsce demobilizacji Leonarda Żukowskiego

DANUTA

Naszego tatę nazywali we wsi pułkownikiem – z podziwu dla munduru i szacunku dla rannego. Ojciec cieszył się dużym poważaniem, ale trzeba powiedzieć, że był życzliwy, pomocny i miał bardzo dobry kontakt z ludźmi. Pamiętam, jak został kiedyś poproszony o odegranie roli jakby księdza. Zmarła ośmioletnia dziewczynka, jedynaczka. Jej matka bardzo rozpaczała. Ojciec na prośby ludzi zgodził się z nią porozmawiać i pomóc jej pogodzić się z tą stratą. Ta kobieta mówiła potem, że nawet sam Pan Bóg nie wytłumaczyłby jej lepiej śmierci dziecka.

BOGUSŁAW

Śmierć jak upiór cały czas krążyła wokół. Dotarła też do naszej chaty, do domu ciotki Iwanowskiej. Zmarła najmłodsza córka naszej gospodyni – Nina. Była chora od dłuższego czasu. Miała chyba nowotwór, bo jej twarz była strasznie zniekształcona: miała jakby wyżarty nos. Wtedy nikt tam nie leczył takich chorób. Rodzina Iwanowich była tak biedna, że nie miała w co owinąć zwłok, żeby jakoś godnie ją pochować. Nie było też trumny. Szacunek dla zmarłego był, tylko desek na trumnę nie było. Podarowaliśmy Iwanowej prześcieradło. Na ziemi w dole położono słomę, tak aby nie na syruju ziemi [surową ziemię] kłaść zwłoki. Matka zawinęła w prześcieradło zmarłą dziewczynkę i tak ją pogrzebaliśmy.

DANUTA

Kiedyś zmarła rówieśnica Róży, poszliśmy na uroczystości pogrzebowe do jej domu. W chacie były już miejscowe kobiety. Uklękaliśmy i zaczęliśmy się modlić. I tak odmawialiśmy wspólnie modlitwy, my po naszemu, a Rosjanki po swojemu. Matka zmarłej zaczęła zawodzić: „Oj, teraz ty już nie będziesz ze mną, oj, teraz już nie będziesz gęsi pasła, oj, teraz już ty nie będziesz kur karmiła...”. Jak one zaczęły tak zawodzić, bardzo nas to zdziwiło.

Ze śmiercią wszyscy byliśmy obeznani. Najpierw na Syberii, a teraz i tu, ciągle odchodzili ludzie, ale myśmy nie wiedziały, że tak się oplakuje zmarłego.

BOGUSŁAW

Kiedy ojciec wrócił, miałem prawie dziewięć lat. Machorkę paliłem jak lokomotywa. Tak zabijało się głód. Ze zdobyciem jedzenia był problem, a trochę tytoniu zawsze jakoś można było dostać. Kawalek gazety i skręt gotowy.

Ojciec szybko mnie na tym nakrył – to było w niedzielę. Krzyżeć ani tym bardziej bić mnie nie chciał, bo domyślał się, czemu pałę. Chciał mnie jednak tego oduczyć. Dostałem dziwną karę, kazał mi stanąć przed piecem i gadać do niego: „Piecu, piecu, ja w niedzielę paliłem papierosy i więcej palić nie będę”.

– Dalej, dalej, powtarzaj, powtarzaj – mówił, gdy tylko przestawałem klepać swoją obietnicę.

Siostry, siedząc na piecu, żartowały sobie ze mnie, ile wlezie. Mimo że tę formułkę zapamiętałem na całe życie, wtedy na niewiele się to zdało. Tytoń skutecznie tłumił głód... Palić nie przestałem.

DANUTA

Tata po powrocie z wojny bardzo nas zaskoczył swoimi nowymi umiejętnościami, które, jak się okazało, były skutkiem jego łagrowych doświadczeń. Umiał nie tylko reperować, ale i robić buty. Zdobył fach szewca. Wykorzystywał go nie tylko na nasze potrzeby, ale i innych ludzi. Pani Marii zrobił pantofle z czarnej skórki, którą gdzieś pokątnie zdobył w Soroczyńsku, jak jeździł meldować się do *wojenkomatu*. Cała wieś się zleciała oglądać te pantofle. Kolejne miał zrobić dla Jadzi, która już przecież była panienką.

– Panienska jeszcze musi się dużo uczyć – wykręcił się ojciec, bo wiedział, że nie ma więcej skóry i Jadzia na swoje pantofle będzie musiała sporo poczekać...

W Hajnówce buty nosiliśmy do szewca, który miał siedmioro dzieci. O obuwiu bardzo się dbało. Każdej soboty ojciec wszystkie buty czyścił i nam kazał to robić, a jak coś było nie tak, to zawsze wyczyszczone nosił do naprawy. Musiały być czyste, bardzo tego pilnował, mówił, że trzeba pamiętać, że szewc to też człowiek.

* * *

Wiosną 1945 roku przełamanie Wału Pomorskiego przez wojska sowieckie – w których skład wchodziły też 1. i 2. Armia Wojska Polskiego – oraz przekroczenie Odry i Nysy Łużyckiej dało początek operacji berlińskiej. 30 kwietnia 1945 roku Adolf Hitler popełnił samobójstwo. 2 maja po ciężkich walkach Armia Czerwona zdobyła Berlin.

7 maja 1945 roku we francuskim Reims Niemcy podpisali przed przedstawicielami armii Stanów Zjednoczonych i Wspólnoty Brytyjskiej akt kapitulacji i zobowiązali się przerwać działania wojenne 8 maja. Na żądanie Stalina dzień później – 9 maja 1945 roku – w Berlinie Niemcy powtórnie podpisali akt kapitulacji. Wojna w Europie dobiegła końca.

Los Polski przesądzono na długo przed oficjalnym zakończeniem działań wojennych...

Pierwsze rozmowy w tak zwanej sprawie polskiej odbyły się już w listopadzie 1943 roku w Teheranie na spotkaniu przedstawicieli państw koalicji antyhitlerowskiej: ZSRS, USA i Wielkiej Brytanii.

Na konferencji w Jałcie (4–11 lutego 1945 r.) – podczas kolejnego spotkania przywódców państw koalicji antyfaszystowskiej – podjęto szczegółowe decyzje najwyższej wagi, w tym dotyczące przyszłego państwa polskiego. Stalin, Roosevelt i Churchill ustalili nowe granice Polski, ostatecznie oddając kraj pod sowiecką strefę wpływów.

Zgodnie z postanowieniami konferencji jałtańskiej Polska traciła Kresy Wschodnie na rzecz Związku Sowieckiego, a jako rekompensatę otrzymywała dotychczasowe ziemie niemieckie: Ziemię Lubuską, Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie i Śląsk, a także Gdańsk. Mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej zgodziły się też na utworzenie w Polsce Tymczasowego

Rządu Jedności Narodowej zobowiązanego do przeprowadzenia powszechnych wolnych wyborów (których wynik sfałszowano). Roosevelt i Churchill dali legitymację prawną dla działań sowieckiego NKWD na terytorium Polski pod pretekstem zapewnienia bezpieczeństwa i porządku na tyłach Armii Czerwonej. Zgodzili się również na siłowe zniszczenie polskiego zbrojnego podziemia walczącego przeciw Niemcom, a zorganizowanego głównie wokół Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych.

Ustrój powojennej Polski został przesądzony.

* * *

BOGUSŁAW

W 1945 roku, niedługo po powrocie do Graznuchy, ojciec dowiedział się, że w Soroczyńsku zorganizowany jest polski dom dziecka, taka szkoła z internatem. Placówka przeznaczona była przede wszystkim dla polskich sierot i półsierot. Była tam polska szkoła, uczono języka, dlatego ojciec postanowił, że tam pojedziemy, gdy we wrześniu 1945 roku rozpoczynać się będzie nowy rok szkolny.

DANUTA

Na czas, w którym mieliśmy przebywać w internacie w Soroczyńsku, tata wysłał Jadzię do Błagadarnoje – to był nasz *sielsowiet* [gmina] – żeby zdobyła podstawowe wykształcenie zawodowe. Miała już siedemnaście lat, a dotychczasowe warunki, w jakich żyliśmy na zesłaniu, nie pozwalały na zdobycie solidnego wykształcenia czy dobrego zawodu. Nie sprzyjały myśleniu o przyszłości w perspektywie dłuższej niż przeżycie bieżącego dnia, a najwyżej kilku dni.

Jadzia odbywała kurs zorganizowany przy tamtejszym szpitalu. Nazywało się to w skrócie FZO [*fizyczne zawodowe obrazowanie*]. Miała zostać *miedsiestroj* [pielęgniarką]. To był bardzo dobry i szanowany zawód, więc wszyscy się cieszyliśmy, że ojcu udało się wysłać ją na taki prestiżowy kurs. Ona sama też była z tego ogromnie dumna.

Pani Maria Stolarczyk została w Graznusze w domu Iwanowych i pracowała w kołchozie, podobnie jak nasz ojciec.

* United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy – powstała w USA w 1943 roku. Jej celem było niesienie pomocy krajom alianckim zniszczonym w wyniku drugiej wojny światowej.

8. Soroczyńsk... raz jeszcze

(wrzesień 1945–luty 1946)

BOGUSŁAW

I tak we wrześniu 1945 roku ponownie trafiliśmy z Różą i Danusią do Soroczyńska. Zostaliśmy tam przyjęci do polskiego domu dziecka, będącego jednocześnie szkołą z internatem. Mogliśmy się uczyć w rodzimym języku, byliśmy między Polakami i, co istotne, mogliśmy liczyć na skromne utrzymanie.



Ulica Karola Marksa w Soroczyńsku, przy której w 1945 r. mieściła się polska szkoła z internatem, gdzie od sierpnia tego roku przebywali Róża, Danuta i Bogusław

DANUTA

Placówka była położona w centrum miasta. Mieściła się w dużym drewnianym domu, który można by śmiało nazwać dworem. Stał on u zbiegu dwóch ulic. Z ulicy widać było przede wszystkim wysoki płot szczelnie okalający parcelę. Dopiero po pokonaniu bramki widziało się dom i całą posesję. Drzwi frontowe, dwuskrzydłowe, reprezentacyjne, prowadziły do sporego holu. Naprzeciw wejścia znajdowały się drzwi prowadzące na podwórze. Tamtędy biegało się między innymi do położonych na uboczu w głębi posesji drewnianych toalet. Z holu odchodziły dwa korytarze.

W korytarzu po lewej stronie najpierw mieścił się magazynek. Tam przechowywano żywność, bieliznę, odzież, obuwie i inne rzeczy, na przykład naczynia. Na końcu korytarza po dwóch stronach znajdowały się dwie duże sale wykorzystywane jako sypialnie: osobne dla dziewcząt i chłopców. Co ciekawe, piece ogrzewające te pomieszczenia ustawione były w taki sposób, że ciepło oddawały do sypialni, ale napełniano je opałem i czyszczono z korytarza. Miały solidny ogrzewalnik, palenisko, popielniki, a przede wszystkim spore rozmiary. Nie sięgały sufitu, ale były bardzo wysokie. Nieopodal nich w korytarzu stały małe szafki, w których trzymaliśmy swoje rzeczy. Obok na ścianach były wieszaki na wierzchnią odzież.



Dziewczynki z internatu po obowiązkowym strzyżeniu włosów

Na końcu tego korytarza, zaraz za piecami, wciśnięty między dwie sypialnie, mieścił się wąski, długi pokój – gabinet dyrektora, gdzie urzędowały również nasze wychowawczynie i pielęgniarka.



Polski dom z internatem: dzieci podczas wspólnego świętowania rosyjskiej jółki i polskiego Bożego Narodzenia, 1945/1946 r.

Drugi korytarz, biegnący w prawo od holu, prowadził do kuchni, łazienek i do najbardziej reprezentacyjnego pomieszczenia budynku – dużej sali o zaskakująco wielkich oknach. Zresztą wszystkie okna w budynku były ładne, duże. Salę tę nazywaliśmy aulą. Tam wisiało na ścianie polskie godło – ale orzeł nie miał korony.

Lekcje odbywały się w dwóch grupach: jedni uczyli się przy długim stole w sypialni chłopców, a drudzy w auli. Zadania domowe odrabialiśmy w sypialniach.

BOGUSŁAW

Ile nas tam było, trudno powiedzieć. Dziewczynek około dwudziestu, a chłopców trochę mniej.

DANUTA

W internacie mieszkały dzieci polskiego i żydowskiego pochodzenia. Wszystkie mocno dotknięte przez los. Rzadko które miało oboje rodziców. Przeważnie były to półsieroty, które straciły jedno z rodziców na Syberii. Dla przykładu: Sikorom zmarł ojciec, Zosia Sołocha też była bez ojca, my bez matki, Stefka i Gienek mieli tylko matkę, Etle straciła ojca.

Matka Alika albo siedziała w łagrze, albo w zawierusze wojennej w inny sposób rozłączyła się ze swoim dzieckiem. Nie potrafię powiedzieć, jak rozeszły się ich drogi. Jednak matka długo go szukała i szczęśliwie, po wielu trudach, odnalazła go pod opieką rodziców zastępczych. Oni jednak uważali chłopca za swoje dziecko, nie wiedzieli, że jego matka żyje. Ona chciała syna odzyskać, a rodzice zastępczy za żadną cenę nie chcieli go jej wydać. Wywiązała się z tego okropna wojna. Alik był bardzo przestraszony, bo nie pamiętał swojej mamy. To był śliczny i przemiły chłopiec, uderzająco podobny do matki. Wszyscy bardzo mu współczuliśmy.

To były dzieci mocno poobijane przez życie.

BOGUSŁAW

To prawda, że w internacie były dzieci różnego pochodzenia, ale trzeba uczciwie powiedzieć, że obowiązywała tam cicha hierarchizacja. Nikt o tym głośno nie mówił, ale tak było.

DANUTA

Za każdym z tych dzieci wlokła się jakaś straszna przeszłość. Historia każdego z nich była wstrząsająca. Mnie najbardziej poruszyły przeżycia Stefci. Zimą płynęli statkiem po Wołdze. Ten statek gdzieś na odludziu przymarzył do rzeki. Cudem ktoś ich odnalazł. Większości ludzi nie dało się już uratować. Stefcia miała od odmrożeń pomarszczoną całą twarz. Mała dziewczynka o twarzy jak staruszka. Jak chłopcy chcieli jej dokuczyć, wołali na nią „babcia”. Był z nami również jej cudem ocalały brat Gienek.

BOGUSŁAW

W internacie były dzieci „lepsze” i „gorsze”. Dzieci, które zdaniem pracowników powinny tam przebywać, czyli dzieci Polaków i zamożnych Żydów, były szanowane przez personel. Chyba wynikało to z przedwojennego statusu społecznego ich rodziców. Etla, Żydówka, córka sprzątaczkii w naszym internacie, była dużo gorzej przez personel traktowana. Takie mieliśmy odczucie.

DANUTA

Była też rodzina, w której ojciec był Białorusinem. Może i nie był, ale zdeklarował się jako Białorusin i podpisał obywatelstwo sowieckie. Oni nie mieli już szans na powrót do Polski, chociaż pewnie jakaś mała nadzieja jeszcze się w nich tliła. W tej rodzinie było dwoje dzieci – Zosia i Alik. To było właściwie tak: Polka – matka Zosi i Alika – wyszła za Białorusina. Potem jego prawdopodobnie wcielono do Armii Czerwonej, bo dzieci odwiedzała tylko matka.

Białorusinów i Ukraińców traktowano lepiej niż Polaków. Zawsze dostawali lepszą pracę, lepsze zakwaterowanie. Rodzina ta, podając swoje dane do sowieckich dokumentów, podała narodowość białoruską. Wielu

ludzi dokonywało takiego wyboru. Myśleli zapewne – tak jak mówiła nasza mamusia – że Polska znowu na długie lata popadnie w niewolę, więc chcieli ulżyć swojej doli.

Po wojnie zostali w Związku Sowieckim, a Alik stał się tancerzem o światowej sławie.

BOGUSŁAW

Nauczycielami byli pan Fuks i Ida Kamińska, oboje żydowskiego pochodzenia. Pamiętam, że Ida Kamińska uczyła Danusię języka polskiego. Wychowawczynią była Białorusinka – Ala Wołkowyska. Drugą wychowawczynią i zarazem naszą pielęgniarką – Róża Kuczyńska, również pochodzenia żydowskiego.

DANUTA

Ala Wołkowyska uczyła się w szkole dla pielęgniarek w Soroczyńsku. Miała tak ułożony grafik naszych zajęć, aby móc pracować w internacie i zarazem uczyć się w tej szkole. Róża Kuczyńska kwalifikacje zdobyła jeszcze w Polsce. Z tego, co pamiętam, szkołę pielęgniarską zdążyła chyba ukończyć przed wojną.

BOGUSŁAW

Była też kucharka – pani Pieńkowska – oraz intendentka i nasza nocna opiekunka w jednej osobie – pani Karola Lisowska, obie były Polkami. Pani Maria – sprzątaczką i praczką – nie mówiła po polsku, nie posługiwała się też czystym językiem rosyjskim, nie znaliśmy jej narodowości. Był jeszcze pan żydowskiego pochodzenia o nazwisku Rozenberg, magazynier. Co pani Karola na wózku przywiozła jako przydział do magazynu, on przyjmował na stan.

DANUTA

W internacie uczyliśmy się wyłącznie po polsku. Jakichś szczególnie przygotowanych do uczenia nas nauczycieli tam nie było. Pana Fuksa tytułowano inżynierem, ale czy faktycznie nim był, trudno powiedzieć. Nauczycielem na pewno nie był. Starsze dzieci, jak nasza Róża, która skończyła cztery klasy szkoły podstawowej w języku rosyjskim, a polski język znała bardzo dobrze, mogły się uczyć dalej. Nauczyciele prędko się zorientowali, że ona i Idka, Żydówka, są pod względem wiedzy na wysokim poziomie. Wtedy skierowano je do piątej klasy sowieckiej dziesięcioletniej szkoły. Dziewczynom bardzo dobrze szła tam nauka. Kiedy dyrektor, pan Marek Lewkowicz, wrócił z wywiadówki, kazał nam gratulować koleżankom, że przynoszą nam chlubę, bo dobrze się uczą i wzorowo zachowują.

To były takie cudowne momenty, jakich nie było – nie mogło być – w kołchozie.

BOGUSŁAW

Uczyliśmy się po polsku i mieliśmy polskie podręczniki, choć najczęściej tłumaczone z rosyjskiego.

DANUTA

Początkowo mieliśmy rosyjskie podręczniki, dopiero potem dostaliśmy polskie. Najpierw używaliśmy tych rosyjskojęzycznych. I tak w rosyjskim podręczniku do przyrody było napisane, że Kopernik był Niemcem. A jak wymienili nam ten podręcznik na wersję polską, to Kopernika w ogóle w nim nie znaleźliśmy. Nie było go. Ja od sióstr przecież wiedziałam, że ten, co wstrzymał Słońce, a ruszył Ziemię, był Polakiem.

BOGUSŁAW

Personel dbał o nasz wygląd, odzież i obuwie. Pamiętam jednak, że z butami było ciężko, jak wtedy w całym Związku Sowieckim. Reperowali nam te, które mieliśmy, jeśli tylko zupełnie się nie rozlatywały.

DANUTA

Mąż Idy Kamińskiej, typowy polski inteligent, był kierownikiem zakładu szewskiego. W jego zakładzie zelowano buty dla dzieci z całego internatu. To była wówczas niezwykle prestiżowa posada. Szewc w tamtych czasach to był bardzo szanowany zawód. Taki fachowiec zawsze miał w bród roboty. Wtedy nowych butów nie kupowało się ot, tak, nie było gdzie i za co. Naprawiało się obuwie i naprawiało, łątało od góry, zelowało od spodu.

BOGUSŁAW

Wszyscy mieliśmy takie same ubrania, jakby mundurki, a odwszawiani byliśmy w miarę regularnie. Kolejka kandydatów do tego zabiegu zawsze była długa. Priorytetowo traktowano szpitale, szkoły, domy dziecka i internaty. One miały bezwzględne pierwszeństwo. Byliśmy więc w tym odwszawianiu uprzywilejowani. To była ta sama wszobojnia, do której trafiliśmy z tatą po pierwszym przyjeździe do Soroczyńska.

DANUTA

Na co dzień miałyśmy granatowe sukienki z karbowanej bawełny, byle jakie. Ale potem nasi opiekunowie zdobyli belę szarego materiału, wełenkę w bardzo dobrym gatunku, z darów UNRRY. Poszyli nam w szwalni piękne sukienki na miarę. Te sukienki razem z nami przyjechały do Polski i jeszcze długo po tym, jak już z nich wyrosłyśmy, podlegały przeróbkom.

W internacie zbiorowo zmieniano się pościel i bieliznę – do prania zabierała wszystko pani Marysia, która prawie nie mówiła po polsku, słowa

„prześcieradło” nie umiała wymówić. W jej ustach prześcieradło brzmiało „usieradli”.

Dyrektor i nauczyciele dochodzili. W internacie po zmroku zostawała z nami tylko dwudziestoletnia pani Karola, której łóżko stało w sypialni dziewcząt, oddzielone lichym parawanem od rzędów naszych łóżek.

Pani Karola pilnowała, żebyśmy sobie nawzajem nie kradli zapasowych kołder.

BOGUSŁAW

To była prosta kobieta. Gdy którejs nocy przyłapała dzieciaki na wykradaniu kołder, to jeszcze rano na nas pomstowała:

– Dzieciory, cholerne dzieciory, żeby ich święta ziemia nie nosiła.

– Karola, bój się Boga! Czy ty wiesz, co mówisz? Jak ty te biedne dzieci przeklinasz? – wołała na to oburzona pani Pieńkowska, nasza kucharka, delikatna i mądra osoba. – Niech dzieci biegają i zabierają sobie te kołdry.

Mimo wszystko bardzo lubiliśmy panią Karolę. Ona uwielbiała śpiewać polskie, rosyjskie i ukraińskie piosenki. Często opowiadała nam ciekawe historie, jeszcze z Polski sprzed wojny, one nas zawsze nieziemsko fascynowały.

DANUTA

Każde dziecko miało jedną kołdrę u siebie na łóżku – były bardzo skąpe, trudno się było nimi otulić, żeby jakiś kawałek ciała nie wystawał. Oprócz tego były dwie kołdry zapasowe dla chłopców i dwie dla dziewczynek. Korzystano z nich, gdy ktoś był chory, ale na co dzień też mogliśmy ich używać. Chętnych na te zapasowe kołdry było zawsze wielu, bo w salach, w których spaliśmy, było zimno. Podkradaliśmy więc je sobie wzajemnie.

Śmieszne było to podkradanie, bo odbywało się bezgłośnie. Wszyscy bali się obudzić panią Karolę. Ten, kto się skradał, żeby zagarnąć dla siebie

kołdrę, zachowywał się cichutko i cichutko był ten, któremu się ją zabierało. Obrabowany z zapasowej kołdry często czekał chwilę, po czym ruszał, również się skradając, aby kołdrę odzyskać lub upolować jakąś inną z tych zapasowych. Tak te zapasowe kołdry wędrowały potajemnie nocą z łóżka na łóżko jak w niemym filmie... To była niezła zabawa.

Mieliśmy jednak przykazane, że nie wolno zabierać kołdry Olkowi, bo on bardzo marzył. Nie miał oka. Syn jakiegoś enkawudzisty strzelił mu w oko z procy. W drodze łaski Olek dostał szklane, które załatwił mu ojciec tamtego chłopaka. Olkowi nigdy kołdry nie zabieraliśmy.

BOGUSŁAW

W tym internacie odżyliśmy. Poczuliśmy się pewniej. Poczuliśmy się bezpieczni.

DANUTA

Poczuliśmy się tam, jakbyśmy znaleźli swoją Małą Ojczyznę. Bardzo dobrze nam tam było. Myśmy się po prostu jako dzieci bardzo szanowali. Myśmy się kochali. Bardzo sobie nawzajem pomagaliśmy, nawzajem sobie współczuliśmy. Było tak swojsko. Tak swojsko i dobrze...

BOGUSŁAW

Rozkoszy jednak nie było – od stołu wstawało się głodnym.

DANUTA

Posiłki dostawaliśmy trzy razy dziennie. Ale nie dojadaliśmy do syta.

My, starsze dziewczyny, miałyśmy na to sposób, bo szłyśmy do pani Pieńkowskiej i zgłaszałyśmy się po kolei do mycia naczyń.

– Ja będę dzisiaj myła naczynia, ja będę...

– A jutro ja...

Ustawialiśmy się w kolejkę.

Zawsze istniała szansa, że z garnka będzie można coś tam wydłubać, wyskrobać, jakąś odrobinę ziemniaków, kaszy bądź czegoś innego.

Po jedzeniu zostawialiśmy głodni. Ale trzy skromne posiłki zawsze były. Dla nas żaden dramat. To był luksus. Głód taki jak w Gramatusze – w tajdze na Syberii – taki straszny głód tu nam już nie groził.

Jest olbrzymia różnica między cierpieniem głodu a niedojadaniem.

BOGUSŁAW

Z tego, co wiem, ta polska szkoła z internatem była finansowana przez Związek Patriotów Polskich – organizację polityczną powołaną do życia w marcu 1943 roku przez polskich komunistów w Związku Sowieckim – który bazował na środkach uzyskiwanych z UNRRY.

DANUTA

Z jedzeniem wtedy nie mogło być dobrze, ale wydaje mi się, że jak na ówczesne warunki nie mieliśmy takich małych przydziałów żywności. Było nam tam dużo lepiej niż w kolchozie. Czuliśmy się Polakami i wszyscy między sobą mówiliśmy po polsku. Wszyscy mieliśmy jedno pragnienie i jeden cel – powrót do Ojczyzny. Żyliśmy nadzieją, że będzie na to szansa.

BOGUSŁAW

W naszym domu dziecka było dużo lepiej niż w sąsiednim, sowieckim. Tam panowała straszna bieda, wręcz głód.

DANUTA

W sowieckich domach dziecka była wtedy dramatyczna sytuacja. Pani Karola, która była naszym zaopatrzeniowcem, знаła intendentkę

sowieckiego domu dziecka, bo spotykały się często, gdy przyjeżdżały ze swoimi wózkami do magazynu po zaopatrzenie.

Często my, dzieci, na ochotnika towarzyszyłyśmy pani Karoli w tych wyprawach. To była okazja, żeby przejść się po mieście, a i cicha nadzieja na otrzymanie jakiegoś kawałka ogórka czy czegoś innego w ramach podziękowania za pomoc. Były wyznaczone ściśle pory wydawania produktów żywnościowych dla domów dziecka i innych instytucji. Panie się więc spotykały. Stąd wiedzieliśmy, że tamtejsze racje były dużo mniejsze, a ponadto było dużo więcej „gąb” do wyżywienia.

Każdy z personelu miał rodzinę. Każdy chciał się wyżywić. Żeby przeżyć, musiał tu uszczknąć, tam ukraść, wynieść po kryjomu. Ot, okrutna sowiecka rzeczywistość. Tak okradali te biedne dzieci.

BOGUSŁAW

Tam było bardzo źle. Wiosną tamte dzieci zostały przyłapane, jak o świcie wykopywały z pola świeżo posadzone ziemniaki. Rozpaliły ognisko i w ten sposób je namierzono. Podobno jadły na polu te surowe brudne ziemniaki. Musiało tam być strasznie biednie.

DANUTA

U nas tak nie było – nie dojadaliśmy do syta, ale za to atmosfera była wspaniała. Gościnnie śpiewaliśmy po polsku w miejscowym radiu, na Święto Pieśni występowaliśmy w soroczyńskim teatrze, prezentując polskie tańce: krakowiaka, trojaka i piękny taniec polskiego marynarza, czyli układ taneczny do słów piosenki „Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec...”. Ten ostatni taniec był najbardziej efektowny, mieliśmy do niego specjalnie uszyte marynarskie stroje i dostawaliśmy po nim największe oklaski.

Nasze panie w ogóle przygotowały nam wspaniałe stroje. Gdzieś wyszperały jakieś serdaczki i poobszywały je kolorowymi nićmi. Bluzki były niestety ukraińskie, ale spódniczki miałyśmy obszyte skrawkami tasiemek. Tak pięknych strojów nikt tam nie widział. Nikt też nie widział takich występów. Za nasze pokazy dostawaliśmy od widowni gromkie brawa. Myśmy czuli, że jesteśmy w swojej polskiej szkole, prawdziwej polskiej szkole, bo nawet tańczyć i śpiewać możemy po polsku. To była dla nas wszystkich duża sprawa – wszyscy to rozumieliśmy – nawet najmłodsze dzieci.

BOGUSŁAW

W internacie funkcjonowała swoista poczta służąca komunikacji personelu placówki z miastem. Telefonów nie było. Nas, wychowanków, wysyłano więc z kartkami pod wskazany adres.

DANUTA

Wysyłanie dzieci z wiadomościami było szybkim i pewnym sposobem porozumiewania się. Kartek nawet nie wkładano do kopert, może dlatego, że ich nie było, a może się nam ufało? Faktycznie nikt z nas tych kartek nigdy nie próbował czytać. Z wiadomościami wysyłała nas i Ida Kamińska, i Róża Kuczyńska, i dyrektor Lewkowicz, a najczęściej biegaliśmy z kartkami Ali Wołkowyskiej. Z nich wszystkich w centrum miasta mieszkał tylko Lewkowicz, inni mieszkali na obrzeżach.

Wysyłane były tylko „zaufane” dzieci – Januszek Sikora, ja i Róża, Zosia Sołocha czy Ewa Paszkiewicz. Chyba dla bezpieczeństwa zawsze biegaliśmy parami.

BOGUSŁAW

Pani Wołkowyska miała przyjaciółkę Rosjankę, która mieszkała w pobliżu elektrowni. Chciała kiedyś coś jej przekazać i na posłańców wybrała mnie i mojego najbliższego kumpla z internatu Cześka. Wytłumaczyła, jak i gdzie mamy iść. To było przed Bożym Narodzeniem 1945 roku. Zapaliliśmy się bardzo do tej misji.

Poszliśmy, znaleźliśmy dom i przekazaliśmy, co trzeba. Rosjanka życzliwie przyjęła nas herbatą i nawet po jakimś maleńkim ciastku dostaliśmy. Wyszliśmy od niej bardzo zadowoleni, ale już po zmroku.

Kiedy wracaliśmy, w zaułku napadła nas banda *bezprizornych* [tu w znaczeniu: łobuzy] chłopców. Najgorsze było to, że starsi nas trzymali, a dwóm najmłodszym kazali bić nas po twarzy. Pozostali wyzywali nas w tym czasie od Polaczonków. Dopiero jak ja, zalany łzami i mocno już napuchnięty, wykrzychałem:

– Ty gnoju! Mój ojciec za ciebie na froncie walczył, a ty mnie bijesz? Jak taki jesteś bohater, to zmiataj Niemca bić!

Wtedy herszt bandy powstrzymał tę akcję, bez słowa nas uwolnili i się zwinęli.

Popłakaliśmy jeszcze trochę pod osłoną ciemności, a wracając do internatu, poprzysięgliśmy zemstę na Rosjanach. Nie dokuczał nam ból, ale to, że zostaliśmy pohańbieni.

Od następnego dnia rozpoczęliśmy z Cześkiem akcję odwetową. Sierociniec stał na rogu dwóch ulic, więc płot był z dwóch stron. Z nastaniem zmroku przychodził czas naszej zemsty. Jeden z nas, stojąc na podwyższeniu, czatował z jednej strony płotu i kiedy szedł rosyjski chłopak w naszym wieku, dawał sygnał i biegł w stronę furtki, a drugi już z niej wyskakiwał, żeby zatrzymać ofiarę, jak wyjdzie z rogu. Rzucaliśmy się na chłopaka i okładaliśmy ile wlezie. Kiedy uznaliśmy, że już wystarczy,

uciekaliśmy za bramkę, zamykaliśmy ją i udawaliśmy niewiniątka. To trwało dobrych kilka dni, aż poczuliśmy, że nasza hańba została zmyta.

Jakoś nikt nas na tym nie nakrył, prawdopodobnie dlatego, że żaden dzieciak się nie poskarżył, że dostał łomot od Polaków.

DANUTA

Pan Lewkowicz mieszkał w domu kobiety, której mąż poszedł na wojnę, a ona była wysokim urzędnikiem państwowym. Mieszkała tam też młoda kobieta, chyba siostrzenica gospodyni.

Dziwne to było mieszkanie: każde pomieszczenie na innym poziomie i wszystkie pokoje przechodnie. Schodkami schodziło się z pokoju do pokoju albo wspinało w górę, do kolejnego... Tak się obchodziło dookoła cały dom.

W tym domu bardzo dobrze się wiodło. W niektóre dni bywała tam nawet gospodyni, a na dodatek podpatrzyliśmy, że zdumiewająco często mieli tam baranie mięso. Robili z niego malutkie jak orzeszki kotleciki. Dużo tego było w garnku przykrytym solidną pokrywką, ustawionym w chłodnej przechodniej sieni, zawsze w tym samym miejscu.

BOGUSŁAW

W tym czasie grasowały w Soroczyńsku bandy tak zwanych żuli. Jak wyśledzili, że nikogo nie ma w domu, to się włamywali. Robili to na przeróżne, bardzo przemyślne sposoby i wcale nie czekali zmroku, tylko kradli za dnia.

Dom, w którym mieszkał pan Lewkowicz, często stał pusty, bo on sam wychodził do pracy w naszym internacie, gospodyni, zrobiwszy, co do niej należało, wracała do siebie, a właścicielka domu i jej siostrzenica z reguły długo pracowały.

Dlatego czasami pan Lewkowicz, nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy na prośbę właścicielki, wysyłał nas tam dwójkami, żeby było widać, że dom nie stoi pusty. Dzieciaki siedziały tam, nudziły się, to i zaglądały w różne kąty. I w ten sposób odkryły tę niezwykłą rzecz – ciężki żeliwny garnek pełen malutkich baranich kotlecików.

DANUTA

Kiedyś zostałam wysłana do domu pana Lewkowicza z Januszkiem.

– My, jak tu ostatnio pilnowaliśmy, znaleźliśmy taki garnek, w którym były kotleciki. Bardzo chcieliśmy ich popróbować – zaczął nieśmiało Januszek.

– Zjedliście? – zapytałam.

– Ale tylko po jednym.

Ja o tym już oczywiście wiedziałam, bo to się zdarzyło, jak Januszek był tu z Zosią. Potem Zosia pilnowała z Ewą i też sięgnęły po te kotleciki. Ewa mi to w wielkiej tajemnicy opowiedziała.

No i wtedy wszyscy się zgadaliśmy, że każdy buchnął te kotleciki. Ale się z tego śmialiśmy!

– No tak, a jak są policzone? – martwiłam się. – Powiedzą, że polskie dzieci wykradły kotleciki sowieckiej lejtnantce.

BOGUSŁAW

Z Cześćkiem urządzaliśmy sobie specyficzną zabawę. Chodziło o wszy – wszyscy byliśmy zawszeni. One były wszędzie, gryzły nas niemiłosiernie. Nie było sposobu, żeby je zwalczyć. Wszy ubraniowe są białe i chowają się w szwach. Wszy żyjące na głowie są jak kameleony i zawsze przybierają kolor odpowiedni do włosów.

Każdego ranka po obudzeniu mieliśmy pięć minut na gimnastykę. Ten czas wykorzystywaliśmy na naszą koszmarną grę. Jeden z nas zrzucał

z siebie koszulę i bił wszy. Jak wesz pęka, to dobrze słyhać. Liczyliśmy je. Następnego dnia drugi po pobudce zrzucał koszulę i bił wszy. Znowu liczyliśmy. Ten, który ubił więcej wszy, wygrywał i dostawał połowę chleba ze śniadania tego przegranego. Były to moje pierwsze i ostatnie zakłady w życiu.

Ale chlebem potrafiłem też płacić za swoją pasję. Byłem zwariowany na punkcie piosenek. Na tyle, że byłem gotów zrezygnować z posiłku i za jedzenie nauczyć się jakiejś nowej. Za chleb właśnie nauczyłem się od Cześka takiej komsomolskiej piosenki: *Tam w dali za rieką zabliستيeli ogni, w niebie jasnaja łuna zagorięła...* [Tam w dali za rzeką zabłyśły ognie, na niebie jasny księżyc zapłonął...] – do dziś dobrze ją pamiętam. Szybko jednak zrozumiałem, że to pieśń o oddziałach, które wsławiły się w wojnie bolszewickiej przeciwko Polakom. Ot, padłem ofiarą mojej pasji. Przestałem śpiewać tę piosenkę.

DANUTA

Bardzo lubiłam młodszego brata Stefci. On też ocalał z tego przymarzniętego do rzeki statku. Był taki wzruszający. Słabo się uczył, miał z nauką duże kłopoty. Rozbawił mnie do łez, kiedy któregoś dnia źle odrobił zadanie domowe, a pan Fuks zamiast oceny napisał mu w zeszytce: „Tuman!”. Gienek nie mógł tego zrozumieć.

– Co on mi tu napisał, Danusia? Tuman? Przecież „tuman” to znaczy „mgła”. Danusia, czy ja jestem mgłą?

Faktycznie, tuman to znaczy „mgła”, tyle że po rosyjsku.

BOGUSŁAW

Raz z Cześkiem zrobiliśmy straszną podłość. Ukradliśmy z magazynku szwajcarski ser. Nie dojadaliśmy. W brzuchach burczało nam już przez wiele dni. Byliśmy okropnie głodni. Marzyliśmy, żeby najeść się do syta.

Jeden jedyny raz. Wstaliśmy w środku nocy i dorwaliśmy się cichaczem do magazynku w internacie. Nie było tam wiele jedzenia, żeby nie powiedzieć, że świecił pustkami, bo chleb dostarczano dopiero rano, ale był tam krążek żółtego szwajcarskiego sera. Trudno powiedzieć, ile ważył, może trzy-cztery kilo? Myśmy cały ten ser zjedli, początkowo bardzo ochoczo, potem już resztkami sił, popijając wodą. Wosk i twardą skórę odrywaliśmy rękami, bo noża przecież nie mieliśmy. Te dowody naszego łajdactwa spaliliśmy w piecu w naszej sypialni.

Rano było wielkie dochodzenie. Nigdy nikomu o tym naszym draństwie nie powiedzieliśmy. Nigdy, nikomu. Żaden chłopiec, żadna dziewczyna, żadna z moich sióstr o tym nie wiedziała, mimo że byliśmy ze sobą bardzo blisko.

Nigdy tego nikomu nie powiedziałem, ale sera szwajcarskiego nie byłem w stanie przełknąć przez wiele lat po wojnie.

DANUTA

Kumplowałam się też z Januszkiem Sikorą. On był o rok ode mnie młodszy. Bardzo fajny chłopak, fantastyczny. Jego matka, która odwiedzała w internacie jego i jego rodzeństwo, też była przemiłą kobietą.

W internacie przebywali jeszcze siostra Januszka Halinka i starszy brat Kazik, który miał już siedemnaście lat. Spał we wnęce w holu na drewnianej skrzyni z opałem. Z racji jego zaawansowanego wieku uczyniono go odpowiedzialnym za opał – nie tylko za jego dowóz do internatu, ale i za palenie w piecach. Był mrukowaty. Pozował na dorosłego. Dokuczali mu, że ta jego mrukowatość bierze się z faktu, że jest starym kawalerem i szuka żony, co go bardzo stresuje. My, dziewczynki, śmiałyśmy się z niego, że nie może się ożenić, bo nie ma nawet porządnego łóżka.

BOGUSŁAW

Miejskie magazyny żywnościowe, opałowe i te z materiałami przemysłowymi, znajdowały się na peryferiach. Pani Karola chodziła tam po zaopatrzenie z dwukołowym wózkiem na długim dyszlu. Z reguły zabierała ze sobą do pomocy dwie osoby, a kiedy produktów miało być więcej, to nawet troje spośród nas.

DANUTA

Pewnego razu wybraliśmy się z panią Karolą właśnie we trójkę: ja, Wala i Januszek. W mieście wszyscy zaopatrzeniowcy się znali. Byli to najczęściej młodzi ludzie, jak Karola czy Kazik, który zaopatrywał nas w opał. Musieli mieć dużo siły, aby wykonywać swoje obowiązki, ciągnąc codziennie wózki z ciężkim towarem. Zawsze dobrze wiedzieli, co się dzieje w mieście, bo czekając na wydanie przydzielonych produktów lub na otwarcie magazynu, skrzętnie wymieniali się informacjami. Tą wiedzą, jak się okazało, Kazik czasami dzielił się z młodszym bratem.

Nam tego dnia przytrafił się postój przed magazynem. Nie pamiętam, czy towaru jeszcze nie dostarczyli, czy trzeba było poczekać na magazyniera. Dostaliśmy zgodę pani Karoli, żeby sobie pobiegać i rozejrzeć się po okolicy.

– Jak przysięgniecie, że nigdy nikomu o tym nie powiecie, to wam coś pokażę – powiedział Januszek. – Przysięgnijcie, bo może być z tego straszna bieda.

Tak więc i ja, i Wala złożyliśmy uroczystą przysięgę.

– Pokażę wam, jak się chowa sowieckich bohaterów.

Niedaleko magazynów, na samym skraju miasta, znajdował się cmentarz. Januszek poprowadził nas na jego koniec, gdzie był wykopany długi rów, szerokości stojącego człowieka. Tam wrzucano zwłoki zmarłych

w soroczyńskim szpitalu sowieckich żołnierzy. Czasami ciała odziane były w zakrwawioną bieliznę, inne tylko w kalesony, bez koszul. Ciała okrutnie okaleczone. Leżeli tam w tym rowie, jedni na drugich, w powykręcanych kuriozalnie pozach. Nie byli nawet przysypani wapnem. Trudno opisać, jaki przeżyliśmy wstrząs na ten widok.

– Może czekają, aż rów się wypełni, i wtedy zasypią – powiedział Januszek, który wiedział, co idzie oglądać, więc nie był aż tak poruszony jak my.

Nagle usłyszeliśmy wrzask:

– *Zadierzys´, zadierzys´!* [Zatrzymaj się, zatrzymaj się!]

To nadbiegał dozorca.

– Widzicie, jaki grób czeka na sowieckiego żołnierza – zdążył jeszcze dodać Januszek.

Na wrzaski pędzącego w naszym kierunku cmentarnego ciecica ocknęliśmy się natychmiast i wzięliśmy nogi za pas. Januszek uciekał w jedną, a my z Wałą w przeciwną stronę – co było wcześniej uzgodnione – tak by stróż zgłupiał i nie wiedział, kogo ma gonić. Nikt z nas nie biegł w stronę magazynu, przed którym czekała pani Karola. Zataczając duży krąg, wróciliśmy pod magazyn, gdzie był już Januszek. On się najbardziej przejął pogonią dozorca. Bał się lania od brata i tego, że potem jeszcze mama przyłoży mu od siebie za ten numer. Miejsce, które nam pokazał, widział kiedyś po zmroku, przyprowadzony tam przez Kazika w wielkiej tajemnicy.

– W berka graliśmy, dlatego jesteśmy tacy zziajani – wytłumaczyliśmy się z naszej zadyszki.

To było dla mnie wielkie przeżycie – mój ojciec właśnie wrócił z miejsca, gdzie ci ludzie już oddali swe życie.

* * *

Narzucona Polsce po wojnie zmiana granic wymusiła masowe przemieszczenia ludności. Pierwsze decyzje o repatriacji zapadły jeszcze w trakcie działań wojennych. W dniach 9 i 22 września 1944 roku podpisano układy repatriacyjne z rządami Ukraińskiej, Białoruskiej i Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, a 6 lipca 1945 roku zawarto czwarty, najważniejszy dla osób masowo deportowanych w głąb terytorium sowieckiego układ repatriacyjny – z rządem ZSRS.

Układy te przewidywały wymianę ludności pomiędzy stronami. Do Polski mogły wyjechać tylko osoby narodowości polskiej i żydowskiej, które do 17 września 1939 roku były obywatelami polskimi i wyraziły chęć takiego przesiedlenia. Zakładano dobrowolność przemieszczeń. Osoby te miały prawo, ale nie obowiązek wyjazdu do Polski. Ta dobrowolność była – wobec panującej sytuacji politycznej – mocno iluzoryczna, a zapisy umów zdecydowanie niekorzystne dla strony polskiej. Władze sowieckie dążyły do maksymalnego ograniczenia zasięgu repatriacji Polaków, stosując różnego rodzaju manipulacje, wybiegi i kruczki interpretacyjne.

Kandydaci do powrotu do Polski musieli ponadto udowodnić swoją polskość, co było bardzo trudne na skutek wcześniejszej konfiskaty przez władze sowieckie wszelkich polskich dokumentów.

Z tych powodów porozumienie repatriacyjne nie objęło wielu polskich obywateli wywiezionych z terytorium Rzeczypospolitej w ramach represji politycznych w latach 1939–1941, a potem 1944–1945.

W 1946 roku – na mocy układu z 6 lipca 1945 roku – w ramach tak zwanej pierwszej repatriacji powróciło do Polski z zesłania niespełna 300 tysięcy osób.

* * *

BOGUSŁAW

Od czasu przyjazdu z frontu ojciec musiał meldować się regularnie w Soroczyńsku w *wojenkomacie* i *raispołkomie*. Zawsze wtedy odwiedzał nas w internacie. Rozmowy w tych urzędach określano jako wyjaśniające.

Pewnego dnia, będąc w *wojenkomacie*, zrozumiał, że „zmienił się klimat” tych rozmów, że zaczyna być przesłuchiwany w dziwny sposób. Ojciec miał duże doświadczenie i rozeznanie w metodach postępowania władzy sowieckiej, więc szybko zorientował się, w jakim kierunku to zmierza. Dociekają nie wiedzieć czego... Węszą... Niby pytali o front, a przy okazji drążyli, dopytywali o różne sprawy, czekając, aż ojca na czymś złapią. Czyhali na „niepoprawne” nastawienie polityczne. Dobrze wiedzieli, że ojciec wie o Katyniu, i czekali, aż się z tym zdradzi... To było jak gra w pokera. Wtedy ojciec zaczął się obawiać nie o to, czy wrócimy do Polski przed zbiorową repatriacją, lecz o to, czy w ogóle nas do Polski wypuszczą.

DANUTA

Przy którymś wizycie w Soroczyńsku tata zabrał mnie do *wojenkomatu*. Kazał mi zostać w poczekalni, a sam poszedł się zameldować. Po dłuższej chwili zza drzwi, za którymi wcześniej zniknął ojciec, wyszedł sowiecki oficer, podszedł do mnie i kazał mi wracać do internatu.

– Przyszłam tu z tatą i mam na niego czekać – powiedziałam.

– Idź! My tu musimy z tatą dłużej porozmawiać – stwierdził kategorycznie. – W *dietskom domie* [domu dziecka] na pewno będzie posiłek, powinnaś wracać.

Nie wiem, skąd wiedział, że siedzę w poczekalni. Może ojciec mu powiedział, że się spieszy, bo jest z dzieckiem. Jak to usłyszałam,

pobiegłam w te pędy do internatu, do dyrektora Lewkowicza. Musiałam mu powiedzieć, że mojego tatusia chyba zatrzymali. Wtedy dyrektor poprosił o pomoc swojego kolegę Godlewskiego.

BOGUSŁAW

Godlewski był polskim Żydem. Przystojny pan, nosił wąsy. Jedni nazywali jego urodę „fryzjerską”, co było wtedy komplementem, a inni określali ją jako urodę „starego szlachciury”. Godlewski opiekował się naszym internatem z ramienia NKWD. On też przejął potem opiekę nad Polakami repatriowanymi do Polski w 1946 roku. Na pewno miał wgląd we wszystkie dokumenty repatriantów. Prawdopodobnie on zajął się sprawą ojca.

DANUTA

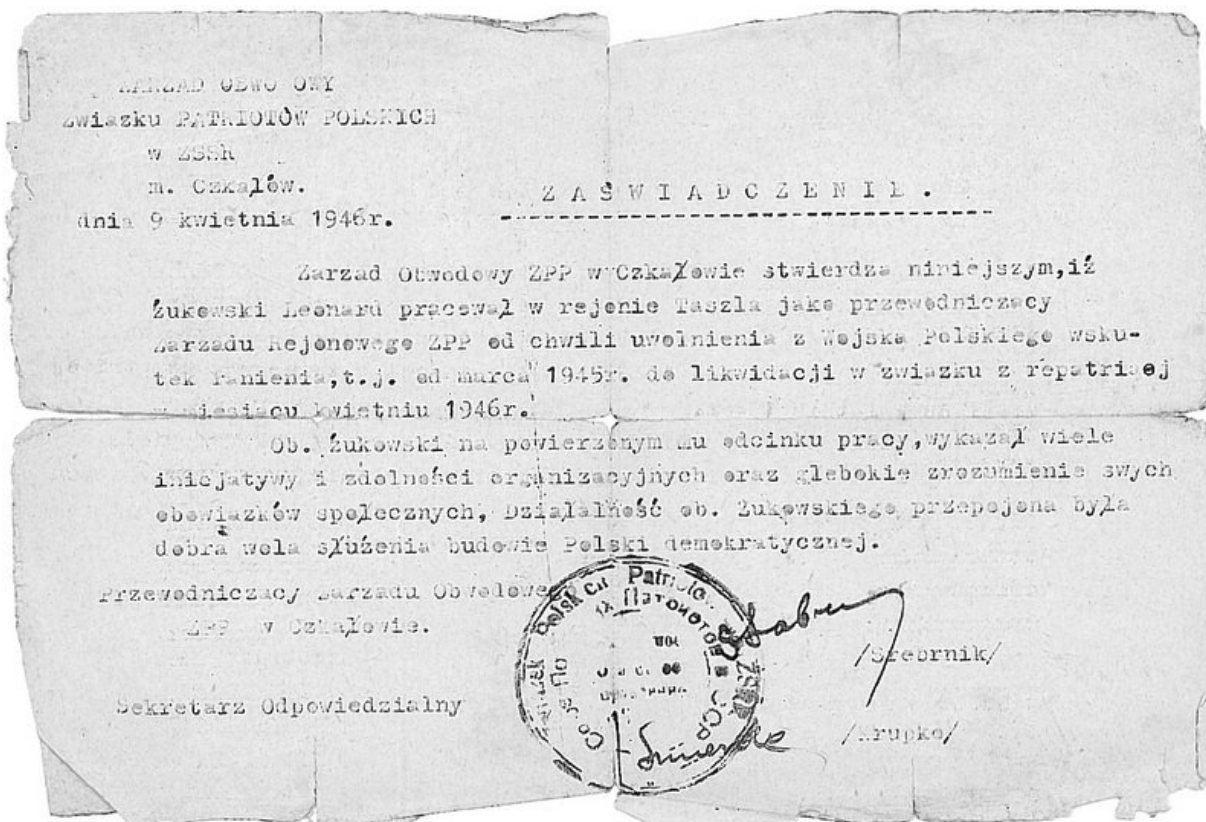
Mieszkając w internacie, braliśmy udział w demonstracji – wydaje mi się, że to było po zakończeniu wojny z Japonią – chodziliśmy po Soroczyńsku i manifestowaliśmy. Polegało to na tym, że musieliśmy krzyczeć:

– Śmierć Japońcom! Śmierć Japońcom!

Mniej więcej w tym samym czasie odbyła się też manifestacja dla dorosłych. Pan Godlewski zasugerował, żeby nasz ojciec podczas niej wystąpił. Idea była taka, że ojciec miał wystąpić jako Polak, żołnierz w mundurze, który ramię w ramię z rosyjskim żołnierzem bił „pruskiego zwierza”. Pan Godlewski poradził, aby ojciec podziękował gościnnej ziemi sowieckiej, która, gdy on walczył za ojczyznę, zaopiekowała się jego dziećmi.

Tak też się stało. Wystąpienie ojca było zgodne z sugestiami pana Godlewskiego. Wszystko było ustawione. Godlewski wiedział, co trzeba mówić, żeby odpowiednio wpłynąć na nastawienie tamtejszych aparatczyków do naszego ojca. Dopiero po tym wystąpieniu Godlewski

mógł zacząć działać w jego sprawie. Ale nie mógł być pewien, czy uda mu się pomóc i ojca wyratować.



Zaświadczenie Związku Patriotów Polskich z 9 kwietnia 1946 r., wystawione na potrzeby repatriacji, potwierdzające właściwą postawę społeczną Leonarda Żukowskiego

BOGUSŁAW

Ojciec, odmawiając przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, popadł w stan oskarżenia jako wróg sowieckiego państwa i miał wyrok. Panowała zasada, że ludzie z wyrokami „nieodsiedzianymi do końca” nie podlegali repatriacji – można im było odmówić prawa powrotu do Polski.

Władza źle patrzyła na tę jego odmowę. Wiedzieli, że dobry, kochający, dbający o dzieci ojciec, zamiast przyjąć sowieckie obywatelstwo, wolał zostawić czworo dzieci i wybrał łagier, który nie wiadomo, czy uda mu się

przeżyć. Konkluzja była jasna: to jest wróg państwa sowieckiego – polski patriota.

DANUTA

Na szczęście panu Godlewskiemu się udało.

To on doprowadził do tego, że ostatecznie wyjechaliśmy do Polski z transportem repatriowanych do kraju Polaków z rejonu Orska. Jak się później dowiedzieliśmy, wyjechaliśmy trzy miesiące wcześniej niż inni Polacy z naszego rejonu.

Zawdzięczamy to panu Godlewskiemu. Ojciec sam nie mógł nic zrobić ani nikogo przekupić, bo ani nie miał czym, ani nie wiedziałby kogo. Jeśli ktoś kogoś przekupił, to właśnie pan Godlewski. Tam prawdopodobnie odbyły się jakieś targi, enkawudziści byli przekupni. Jak taki wiedział, od kogo może wziąć, to na pewno wziął i jeszcze sam ten haracz wymusił – jak nie pieniądze, to przysługę za przysługę.

BOGUSŁAW

Likwidacja naszego domu dziecka nastąpiła na początku 1946 roku i była jednym wielkim draństwem.

Dyrektor Lewkowicz i jego prawa ręka, pan Fuks, tuż po Nowym Roku zwołali nas w największej sali i oznajmili, że placówka zostaje rozwiązana. Rozdzielili między nas całą żywność z magazynu. Oraz inne rzeczy: podręczniki i stroje, których używaliśmy podczas naszych występów. Po czym się zmyli.

DANUTA

O ile pamiętam, internat został rozwiązany w połowie lutego 1946 roku.

BOGUSŁAW

Dopiero co rozpoczęły się repatriacje. Oni po prostu załatwili sobie wyjazd do Polski jednym z pierwszych transportów, spakowali się i pojechali. Część dzieci, niewielka, wyjechała z nimi. Większość została. Zostawili nas samym sobie. Przecież Janusz Korczak wiedział, że idzie na śmierć, ale dzieci nie zostawił!

Tym sposobem zostaliśmy sami w internacie. Po „wyparowaniu” naszego personelu nikt oficjalnie nie przejął nad nami opieki. Nikt też nas stamtąd nie wyganiał. Na krótko została z nami kucharka, pani Pieńkowska, ale na drugi czy trzeci dzień po exodusie personelu wyższego szczebla, przerażona sytuacją, też już nie przyszła do pracy. Zostaliśmy tylko z dwudziestoletnią panią Karolą.

DANUTA

Ale wszyscy żyliśmy już tym, że jedziemy do Polski.

BOGUSŁAW

Byliśmy jednak dziećmi wojny. Zorganizowaliśmy się. Zrobiliśmy zebranie i ustaliliśmy dalsze działania. Sprzedając na targu zostawione nam rzeczy, próbowaliśmy kupić jak najwięcej żywności. Każdego dnia ktoś inny wyruszał zdobyć pożywienie dla całego internatu. Pani Karola gotowała dla nas wszystkich posiłki z tego, co udało się przynieść.

Dobieraliśmy się dwójkami. Staraliśmy się tworzyć takie pary, żeby zawsze młodsze dziecko szło ze starszym, aby nie zostało oszukane. Mieliśmy rozeznanie, co i za ile można sprzedać. Ja byłem w parze z Cześkiem, bo myśmy się przyjaźnili i chcieliśmy chodzić razem.

DANUTA

Ja przy dzieleniu rzeczy dostałam puszkę mleka – nie wiem, czy na rodzinę przypadła jedna puszka. Wymieniłam ją na rynku podstępnie, bo Rosjanie

nie chcieli kupować normalnego mleka w puszcze. Dlatego postanowiliśmy sprzedać nasz towar jako słodkie mleko. Udało się.

Bardzo podle się potem czułam. Gryzło mnie, że Rosjanie powiedzą: „Polskie dziecko tak nas oszukało”.

Pamiętam, że za tę podstępnie sprzedaną puszkę mleka kupiłam sobie na podróż powrotną do Polski bawełniane pończochy.

BOGUSŁAW

Ja podczas tego dyrektorskiego podziału dobytku dostałem dwie książki – rosyjską do matematyki i jakąś polską – a z ubrań górę od stroju marynarskiego, coś jak bluzę. Za tę bluzę wyhandlowaliśmy na targu aż wiadro kartofli. A inne rzeczy wymieniliśmy na kaszę. Ile jej było, nie pamiętam.

Ta sytuacja ciągnęła się – jak dla dzieci – naprawdę długo. W tym czasie dzieci ubywało, bo zgłaszały się po nie rodziny szykujące się do repatriacji. Dla mnie i moich sióstr trwało to do momentu, gdy przyjechał po nas ojciec, który nic nie wiedział o tym, co się stało w internacie.

Wydaje mi się, że utrzymywaliśmy się w ten sposób ponad miesiąc, ale mogły to być dwa tygodnie – jak dziś się nad tym zastanawiam – bo przecież ojciec przyjeżdżał co dwa tygodnie meldować się w *wojenkomacie* i wtedy zawsze nas odwiedzał.

Z dokumentów Miejskiego Archiwum w Orenburgu, których uwierzytelnione kopie dostaliśmy w lipcu 2011 roku, wynika, że likwidacja domu dziecka nastąpiła 10 marca 1946 roku. A więc wtedy, gdy nie było tam już personelu ani nas. Czy zostało tam jakieś porzucone polskie dziecko, niemające nikogo bliskiego, kto upomniałby się o nie czy mu pomógł – nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

Z dokumentów orenburskiego archiwum wynika również, że tuż przed zniknięciem kierownictwa dla naszej placówki został zakupiony koń – nie wiadomo po co – za niebagatelną jak na tamte czasy kwotę tysiąca pięciuset rubli. My, wychowankowie domu dziecka, nigdy konia tam nie widzieliśmy!

DANUTA

Absolutnie nie! Nikt z nas nigdy żadnego konia tam nie widział.

9. Repatriacja

(luty–marzec 1946)

DANUTA

Jak wyjeżdżaliśmy do Polski, to dzięki umiejętnościom ojca i jego operatywności w zdobywaniu kawałków skóry nie mieliśmy na nogach, jak większość Polaków, walonek. Dlatego wydawało mi się, że jesteśmy niezwykle eleganccy, odpowiednio przygotowani do powrotu, do powitania naszego kraju.

BOGUSŁAW

Ojciec przyjechał po nas do Soroczyńska już z Jadzią. Byli gotowi do repatriacji. Mieli zapakowane dla nas wszystkich skromne bagaże. Ich ilość była ograniczona do absolutnego minimum. Liche wiązane tobołki dla każdego z nas. Co tylko się dało, ojciec sprzedał, żeby mieć pieniądze na drogę.

DANUTA

Jechaliśmy sami, w wielkiej tajemnicy. Nie podróżowała z nami nawet pani Stolarczyk, która dołączyła do nas później, już podczas załadunku do wagonu repatriacyjnego – na listach widnieje jako Maria Żukowska.

Wiedzieliśmy, że wokół ojca piętrzą się problemy. Myśmy to wszystko czuli. Ojciec nic nam nie mówił, ale wiedzieliśmy dobrze, o co chodzi... Słyszałam, jak mówił do kolejarzy, że jest wdowcem i jedzie do rodziny.

Dzieci wiezie, żeby je tam zostawić, bo sam musi wracać do swojej jednostki.



Czkałow (dzisiaj Orenburg) – budynek stacji kolejowej

BOGUSŁAW

Z Soroczyńska pojechaliśmy do Czkałowa, dzisiejszego Orenburga. Ojciec tak załatwił, że podróżowaliśmy na otwartych lorach ze sprzętem wojskowym. Armaty, czołgi pod plandekami i my... z tym sprzętem. Była noc, jeszcze na dobre królowała zima. Pęd lodowatego powietrza przeszywał nas na wskroś.

DANUTA

Pewien odcinek jechaliśmy na buforach. Przeróżające... Marzliśmy potwornie w porywach lodowatego zimowego wiatru. Dramat. Tata kazał

nam podskakiwać, ruszać szczękami, palcami u rąk i nóg – tego nas uczył od samego początku, od wywózki z Hajnówki. Nie wiem, co było z naszymi bagażami, bo wtedy z nami nie jechały. Kiedy już dotarliśmy na plac, gdzie zbierali się repatrianci, była tam pani Stolarczyk i nasze bagaże. Prawdopodobnie ona lub może też inni Polacy te nasze tobołki tam przynieśli...

* * *

Tu zgodne do tej pory wspomnienia rodzeństwa „rozchodzą się” na moment: Bogusław uważa, że podróż repatriacyjną – już tę konkretną, w towarzystwie innych polskich repatriantów, w składzie wagonów przeznaczonym przez Rosjan tylko do tego celu – rozpoczęli w Czkałowie. Wagon lub może dwa dołączono wtedy do transportu repatriacyjnego jadącego z Orska w czasie postoju w Czkałowie, z przeznaczeniem dla Polaków, którzy na tamtejszym dworcu oczekiwali na repatriację.

Danuta natomiast uważa, że aby wsiąść do transportu repatriacyjnego, musieli pojechać do Orska. Tak więc – według niej – z Czkałowa pojechali do Orska, cofając się kilkaset kilometrów w głąb Rosji, i tam dołączyli do transportu, który potem, jadąc w kierunku Polski, ponownie musiał przejechać przez Czkałow. Nie sposób rozstrzygnąć, które z nich ma rację.

* * *

BOGUSŁAW

Dojechaliśmy do Czkałowa. Tam jakieś dwa tygodnie koczowaliśmy na dworcu kolejowym, czekając na sposobność przyłączenia się do któregoś

z transportów repatriacyjnych do Polski. Żyliśmy w ciągłym strachu, w obawie, czy nam się uda, czy będziemy mogli wyjechać.

DANUTA

Z Soroczyńska przez Czkałów udaliśmy się koleją do Orska. Jechaliśmy nocą kilkoma różnymi pociągami towarowymi, przynajmniej dwukrotnie się przesiadając. Do Orska dotarliśmy nad ranem. Na placu przy dworcu kolejowym był punkt zborny, gdzie gromadzili się Polacy. Dookoła piętrzyły się ich bagaże. Większość powiązana jak nasze w toboły, tobołki, tobołeczki. Dołączyliśmy do tłumu naszych rodaków.

Znajdowała się tam jakaś ubikacja, pamiętam, jak szłam do niej, po prostu śpiąc. Jak wsiadaliśmy do wagonu, cały skład stał nie na peronie – nasze transporty nigdy nie podjeżdżały na peron – tylko na bocznicę kolejowej. To był skład wagonów towarowych, takich samych, jakimi kilka lat temu wieziono nas w głąb Rosji. Zmarznięci pakowaliśmy się do wagonów, zgodnie z przydziałem.

Pociąg wyruszył jeszcze przed zmrokiem.

BOGUSŁAW

Na dworcu kolejowym w Czkałowie razem z nami koczowały hordy ludzi. Spaliśmy na ziemi, na naszych tobołkach. Dworzec w dzień i w nocy był zatłoczony. Panował wielki zamęt. Jedni wracali tam, skąd zostali ewakuowani w trakcie działań wojennych, byli tacy, którzy wracali z niewoli, ludzie szukali na dworcu zarówno swoich bliskich, jak i informacji o nich, bo to było miejsce, przez które trzeba się było przewinać, przyjeżdżając, wyjeżdżając, zmieniając kierunek podróży lub rodzaj transportu. Na dworcu wisały kartki z informacjami – olbrzymia masa skrawków papieru – kto kogo poszukuje, kto gdzie dalej jedzie, kto

z rodziny przeżył wojnę, a kto nie... Ludzie ze sobą rozmawiali, wypytywali się, starali się sobie wzajemnie pomóc... Wrzało tam jak w ulu.

Za dnia szwendałem się, obserwując dworcowe życie. Wpadł mi w oko żołnierz. Młody, dwudziestokilkuletni marynarz, całą pierś miał w medalach i odznaczeniach. Miał harmonię. Dla zabicia czasu grał na niej i śpiewał. Jak się okazało, był to zdemobilizowany marynarz Floty Czarnomorskiej czekający na pociąg w jego rodzinne strony. Szybko do niego dołączyłem. Raz on śpiewał piosenkę, raz ja, a te, które znaliśmy obaj, śpiewaliśmy razem. Walczył w obronie Sewastopola. Znał pieśń na melodię *starinnoj piesni* [starej pieśni] z tekstem napisanym przez sowieckich żołnierzy podczas oblężenia miasta. Do dziś pamiętam jej słowa. Pierwsze brzmiały: *Ja wstrietil jego pod Odiessoj rodnoj, kogda nasza rota wstupala...* [Spotkałem go pod rodzinną Odessą, kiedy nasza kompania wkraczała (do boju)]. Nasza znajomość trwała dwa czy trzy dni. W końcu się mną zainteresował:

– Gdzie jedziesz, że tak długo czekasz na pociąg? – zapytał.

– My tu czekamy na pociąg do Polski.

– A czemu ty tam jedziesz? – spytał zdziwiony.

Jak mu wyjaśniłem, to on zrobił wielką aferę, że Polacy wywożą ze sobą do Polski sowieckie dziecko. Interweniowała komendantura dworca. Awantura była na dziesięć fajerek. Żołnierz nie wierzył, że polskie dziecko może tak czysto mówić w jego ojczystym języku.

Trochę czasu to trwało, wokół zebrał się tłum gapiów, a zarazem sędziów w sprawie. Gdzieś w tłumie w końcu odnalazł się ojciec, który wszystko wyjaśnił. Żegnając się, podali sobie ręce. Miałem się więcej z nikim „nie bratać”, żeby nie było kłopotów... Ostatecznie wszystko się udało. Któregoś dnia, a właściwie nocy, dołączono wagon do jadącego z okolic Orska transportu repatriacyjnego Polaków i pojechaliśmy w stronę kraju.

* * *

Tu wspomnienia rodzeństwa wracają na wspólne tory.

* * *

DANUTA

Godlewski zrobił coś jeszcze – dzięki niemu ojciec miał papiery zastępcy naczelnika naszego repatriacyjnego transportu. Wykorzystano zasadę, że pod latarnią zawsze najciemniej i nigdy władzy się tak nie prześwietla jak kogoś z „szarego tłumu”.

Ojciec przez cały ten czas – w trakcie naszej repatriacji – miał przy sobie wycięte z gazety swoje przemówienie, które wygłosił na słynnej manifestacji i które potem zostało opublikowane.

To było ważne, bo jak Godlewski załatwiał ojcu stanowisko zastępcy naczelnika, mógł posłużyć się argumentem, że promuje aktywistę, który tak wspaniale wypowiada się o Związku Sowieckim.

BOGUSŁAW

W wagonie panowała podniosła atmosfera i wielka radość. W pewnym momencie, gdy pociąg już jechał, skierowałem się do naszej „toalety”, czyli dziury w podłodze, mówiąc do siostry, że chce mi się kupę. Usłyszał to młody chłopak i mówi:

– Ty! Młody! Osraj im ten ich kraj jako wolny człowiek.

Zawtórował mu kolega. Uchylili drzwi wagonu, trzymali mnie za ręce, a ja wsparty o próg – prawie wolny prawie dziesięcioletek – załatwiałem swoją potrzebę. Pociąg z wolna toczył się przez długi kolejowy most. Przejeżdżaliśmy przez rzekę Ural, mijaliśmy Uralsk.

– Na pożegnanie osralesz Ruskom Ural, bohaterze – śmiali się do rozpuku Polacy.

Moją radość zgasił tata, bo ochrzanił mnie za te głupawe ekscesy.

DANUTA

Wielkanoc spędziliśmy w pociągu jeszcze po stronie sowieckiej. Pamiętam, że w lany poniedziałek była piękna słoneczna pogoda. Gdzieś na postoju, na jakiejś stacji kolejowej, ludzie szeroko rozsunęli drzwi wagonu i wyskoczyli na perony rozprostować kości. Młodzi zaczęli polewać się wodą. W tych harcach ochoczo uczestniczyła nasza Jadzia.

I tak w ferworze zabawy Jadzia chlusnęła wodą na młodego ortodoksyjnego Żyda. Ten zamarł w przerażeniu. Polacy zaczęli żartować, że przeraził się tak, bo myśli, że ona go w ten sposób ochrzciła i stał się katolikiem.

– Panie komendancie, nie życzyłem sobie oblewania – skarżył się oficjalnym tonem naszemu ojcu jako szefowi repatriacyjnego transportu.

– Jadziu, powinnaś uszanować to, że ktoś sobie takich zabaw nie życzy – natychmiast zaczął strofować ją ojciec.

– Czysta woda nikomu jeszcze nie zaszkodziła. – W obronie Jadzi stanął przystojny kolega czy brat oblanego wodą nieszczęśnika, wykazując się większym poczuciem humoru.

W ciekawy sposób przyłączył się do zabawy: biegał za naszą Jadzią z wiadrem wody i podawał jej, aby mogła zaczerpnąć kubkiem i polewać następnych kawalerów.

BOGUSŁAW

Kiedy słyszę krytykę Związku Patriotów Polskich, to się zżymam. To prawda, że związek ten założyli polscy komuniści. Jednak tylko on organizował wyjazdy repatriacyjne syberyjskich zesłańców do Polski.

Co miał zrobić Polak niekomunista? Jaki miał wybór? Zgłosić się i mieć szansę powrotu do kraju czy obrazić się na organizację odpowiadającą za repatriację, bo jest komunistyczna, i na zawsze zostać na zesłaniu?

DANUTA

W drodze do Polski, ale jeszcze po stronie sowieckiej, minęliśmy się z transportem Polaków wiezionych w przeciwną stronę – na Syberię. Rosjanie nam powiedzieli, że to są zdrajcy, Polacy i Ukraińcy, którzy kolaborowali z Niemcami. Wtedy ludzie z naszego transportu zaczęli do nich krzyczeć:

– Zdrajcy! Zdrajcy!

– Nie krzyczeć – powiedział do nas ojciec cicho, ale ostro. – Nie krzyczeć! Nie wiecie, kto i dlaczego tam jedzie.

A to prawdopodobnie byli wiezieni na zesłanie nasi akowcy, opluwani przez Rosjan...

To dowodzi, że Rosjanie są najbardziej przebiegłymi intrygantami politycznymi. Podobno są w tym niezrównani...

BOGUSŁAW

Drogę powrotną do Polski odbyliśmy w dobrze nam znanych wagonach. Była jednak zasadnicza różnica: wagony nie były zaryglowane i nie pilnowali ich żołnierze z bronią. Pilnowaliśmy się sami.

DANUTA

Na granicy ojciec był bardzo niepewny i zdenerwowany, robił tam, co mógł, chodził w wojskowym mundurze, na głowie miał jeszcze bandaże.

Podczas kontroli na granicy wszyscy się modliliśmy.

Ojciec poszedł do odprawy z dokumentami, a my się modliliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co może nas spotkać. Byliśmy przerażeni tym bardziej, że

widzieliśmy, jak zabrali z naszego transportu jednego Polaka w polskim mundurze, który z wojska jechał do rodziny.

Ojciec miał nienaturalnie zaciśnięte szczęki. Bardzo się bał! Bardzo. Ale udało się.

POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA
 DO SPRAW EWAKUACJI
 osób narodowości polskiej i żydowskiej
 na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

ZAŚWIADCZENIE N. B. 00862

Ob. *Lukowski*
Leonard i Marija

zamieszkały (a) w *5200 Sam Lin*
obw. Okręgowy

udaje się wraz z członkami swej rodziny
córka Jadwiga r. ur. 1929
syn Bogusław r. ur. 1937
córka Danuta r. ur. 1932

na stały pobyt do Polski, na podstawie Umowy
 Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

P. R. B. I. A. N. O. S.

miasto *Orkisz*

21. lutego 1946 r.
 na dosytnie 2 dekret
 400 zł Orkisz 21.

17.5.46
 17.5.46

Desygnacja przeprowadzona
 Poznań, dn. *21.2.46*
 ZAREJESTROWANO
 pod Nr. *9044/52/R/46*

Josephine
Juliusz
podpis

Z Repomogę zjawioną
 2 punkty 24 zł 21.12.46
 słownie złotych

wypłacono.

siewowane pod Nr.

Państwowy Urząd Repatriacyjny
 Punkt Etapowy
Orkisz

dn. 1945

P. zył na E. U. R. 21.12.46
 Gn. *26.6.46* K. M. *1649*

C. K. O. S.
 Powiatowy Komitet C. K. S. społecznej
 ZAMOŚĆ

21/2-46-400zł-7poc

1 p. pomoc dziecięcych 1 wiatówka
 2 plany kamienie 1 p. obora.
 1 spodnie nowe

wypłacono.

siewowane pod prz. Nr.

Państwowy Urząd Repatriacyjny
 Punkt Etapowy
Orkisz

17.5.46
 17.5.46

21.2.46
 21.2.46

Zaświadczenie repatriacyjne, 21 lutego 1946 r.

BOGUSŁAW

Sowieckimi wagonami dojechaliśmy do przedwojennej granicy polsko-sowieckiej. Tam nastąpiła przesiadka do polskich wagonów.

DANUTA

Był słoneczny, pogodny dzień, gdy przejeżdżaliśmy przez Lwów. Jechaliśmy już wtedy w osobowych wagonach z przedziałami i oknami po obu stronach. Nagle zapanował tumult i wielkie poruszenie. Pamiętam, jak Polacy nieprawdopodobnie tłoczyli się przy oknach. Rodzice podsadzali pchające się dzieci, które za wszelką cenę chciały zrozumieć, co się dzieje, i zobaczyć, czemu tak przyglądają się dorośli.

Pierwszeństwo w dostępie do tego widoku starano się zapewnić lwowiakom, żeby po raz ostatni mogli spojrzeć i pożegnać swoje ukochane rodzinne miasto. Niektórzy z nich płakali, inni cicho mówili: „Boże, to już nie nasze miasto...”.

BOGUSŁAW

Polskimi wagonami dotarliśmy do Przemyśla.

DANUTA

Jak przyjechaliśmy i wysiedliśmy, to wszyscy całowali ziemię – polską ziemię. I wszyscy od razu poszli do kościoła. Nieważne, czy ktoś się modlił, czy nie modlił, czy był wierzący, czy też nie – wszyscy poszli do kościoła.

Siedzieliśmy w tym kościele i płakaliśmy.

BOGUSŁAW

Naszą podróż repatriacyjną do Polski rozpoczęliśmy 28 lutego 1946 roku. Do Przemyśla dotarliśmy 22 marca, po ponad sześciu latach tułaczki.



DANUTA

I tu Boguś się myli. Faktycznie dotarliśmy do Polski dwudziestego drugiego dnia miesiąca, ale to był kwiecień – 22 kwietnia 1946 roku. Choć jakie to dziś ma znaczenie? Ważne, że wróciliśmy do kraju.

BOGUSŁAW

Jaka to była radość! A w ojca jakby nowe życie wstąpiło.

Najpierw udaliśmy się do Zamościa, do naszej rodziny. Tam ojciec zameldował się w jednostce wojskowej, a zaraz potem pojechał na zachód i tak trafił do Zemsza, przemianowanego potem na Lubsko. Tam zamieszkaliśmy na stałe.

<p>Na skutek orzeczenia wydanego dnia <u>10</u> / <u>VII</u> 194<u>6</u> r. przez <u>Kom. Sek. Szpik Garmin</u> (wsk. nazwę oddz. wojsk.) <u>Zielona Góra</u> (miejscowość) został uznany za niezdołnego do służby wojskowej na podstawie przepisów sanit. <u>Rok. Nau. D. w. 14/45</u> § 102 i jest skreślony z ewidencji wojskowej. Podlega <u>Kontrolnej Komisji</u> powołanej przez</p> <p>  <u>Wojtko</u> (podpis) <u>1946</u> r.</p> <p>Miejsce na odcisk palca wskazującego</p>	<p>Krótki przebieg służby wojskowej: <u>1915r.-1918r. 4 p. p.</u> <u>18. VI. 43r. Zmoła i wciel. do 5 Bryg. Art. Ciężkiej</u> <u>7. II. 44r. Kondukcja i odesłanie do szpitala. 3. VII. 44r. Odesłanie do Szp. p. p. awans na st. sierżanta. Miał w swoim wst. 6. I. 44r. do 21. I. 45r. 12. 7. 46r. Zwolniony ze służby wst. z rejestru Rok. Nau. D. w. K. P. Nr. 14/45</u></p>	<p>Zaświadczenie № <u>933981</u> Seria <u>C</u> o zwolnieniu od obowiązkowej służby wojskowej</p> <p>Niniejsze zaświadczenie wydane przez <u>R. W. U. Hrosno Wlkp.</u> pobor. rezerw. <u>Żukowski Leonard</u> syn <u>Marija i Łopin</u> (imię rodziców) urodz. <u>31</u> / <u>X</u> 18<u>99</u> r. w <u>Tynowce</u> gm. <u>Tynowce</u> (miejscowość) powiat. <u>wojewódz.</u> zamiesz. w <u>Zem. G.</u> (miejscowość) ul. <u>Poznańska 33</u> pow. <u>Hrosno</u> (gmina—powiat) <u>poznański</u> (województwo)</p>
--	--	--

Zaświadczenie o zwolnieniu ze służby wojskowej Leonarda Żukowskiego, 10 sierpnia 1946 r.

WOJSKO POLSKIE
R. K. U. Krośno Wlkp.

Nr. 208
26. lutego 1947 r. 8/mob.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Zaswiadcza się, że *st. sier. Lukowski Leonard i Macieja r. 1899*
pełnił służbę w Wojsku Polskim w *5 Bryg. Art. C.*
od dnia *7 czerwca 1944 r.* do dnia *10 lipca 1946 r.*
i brał udział w walce z Niemcami.
Został zdemobilizowany dnia *10 lipca 1946 r.*

Rejonowy Komendant Uzupelnien
[Signature]
Luczak mjr.

R. K. U. Krośno Wlkp.

Zaświadczenie o służbie wojskowej i zdemobilizowaniu Leonarda, 26 lutego 1947 r.

DANUTA

Z Przemyśla do Zamościa jechaliśmy pociągiem osobowym, wagonem z drewnianymi prostymi ławkami stojącymi pod ścianami przestronnego przedziału, takiego cztery na cztery metry. A może trzy na cztery?

Mieliśmy niewiele rzeczy. Biedny był ten nasz bagaż. To było jednak wszystko, co przetrwało razem z nami na zesłaniu.

Na jakiejś stacji do naszego przedziału zaczął wkładać bagaże bardzo elegancki pan w angielskim berecie. Pakuje jedną, drugą i trzecią walizkę...

– Pozwoli pan, że pomogę – powiedział ojciec.

– Ach, dziękuję, jak to miło spotkać polski mundur – odpowiedział. – Panie sierżancie, jak nas tu witają. Człowiek jedzie z obczyzny i nikt nie

chce mu pomóc. Wie pan, każdy jakoś zabiegany wokół siebie – skarżył się ojcu elegancki pan.

Kilka jego szykownych walizek stało obok naszych mizernych bagaży. Panowie zaczęli rozmawiać, a na pytanie, skąd jedziemy, padła odpowiedź:

– Z syberyjskiego zesłania.

– Przepraszam, a małżonka gdzie? – zapytał.

– Niestety, nie jesteśmy w komplecie – odpowiedział mu ojciec.

– Oj, to przepraszam, ale gdzie państwo macie bagaż?

– To wszystko, co mamy. – Ojciec wskazał nasz nędzny ekwipunek. – To jednak nie ma znaczenia. Najgorsze jest to, że nie jesteśmy w komplecie.

Widać było, że głupio się zrobiło temu wytwornemu panu. Pamiętam wyraz zaskoczenia i zmieszania na jego twarzy.

Wojenne losy ludzi były tak różne...

* * *

Kolejny układ o repatriacji podpisano ze Związkiem Sowieckim dopiero 25 marca 1957 roku.

Dokument ten – podobnie jak poprzedni, z 6 lipca 1945 roku – przewidywał repatriację osób, które przed 17 września 1939 roku posiadały obywatelstwo polskie, oraz ich współmałżonków i dzieci. Tak jak poprzednio, polskie obywatelstwo należało udowodnić. Brakowało dokumentów, często świadomie zniszczonych przez komunistyczne władze w okresie stalinowskim, strona sowiecka utrudniała dotarcie do rozrzuconej na całym terytorium ZSRS ludności polskiej oraz uniemożliwiała prowadzenie skutecznej akcji informacyjnej.

Masowa tak zwana druga repatriacja, przeprowadzona na podstawie zapisów układu z 25 marca 1957 roku, zakończyła się 31 grudnia 1958

roku. Do Polski wróciło wtedy ze Związku Sowieckiego około 250 tysięcy osób. Jedyne nieznaczna ich część – niewiele ponad 22 tysiące – pochodziła z łagrów i miejsc położonych w głębi ZSRS, większość wywodziła się z Kresów Wschodnich.

Wielu Polaków nigdy nie powróciło do Polski.

* * *

Po powrocie do kraju nikt poza najbliższą rodziną nie witał zesłańców. Wrócili jak winowajcy, nie jak ofiary. Propaganda komunistyczna przez lata twierdziła, że ci, którzy przeżyli wojnę w Związku Sowieckim, mieli szczęście przetrwać ją poza obszarem największej zawieruchy wojennej. O zesłaniach syberyjskich nikt nie mówił. Przez lata zbywano je milczeniem.

Rodzina Żukowskich zamieszkała na „ziemiach odzyskanych”, w małym miasteczku niedaleko Zielonej Góry. Dostali tam wyszabrowany dom z powyłamywanymi podłogami, bez mebli. Nazwę miasteczka Zemsz szybko zmieniono na Lubsko. Tam Leonard Żukowski był członkiem założycielem i pierwszym prezesem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, potem kierownikiem jej punktu skupu, a jeszcze później – aż do emerytury – kierownikiem filii Spółdzielni Inwalidów.

Od lat pięćdziesiątych miał własną pasiekę i był działaczem Związku Pszczelarzy.

Jego dzieci od dnia przyjazdu do Polski nadrabiały, jak mogły, edukacyjne zaległości.

W Lubsku w 1946 roku Leonard w niezwykle sposób poznał swoją przyszłą żonę Joannę. Kobieta ze swą – przysposobioną, jak się potem okazało – córką Helenką przyszła do niego na dyżur w Państwowym

Urzędzie Repatriacyjnym. Interweniowała w sprawie zaniżonego przydziału węgla. Od słowa do słowa zaczęła się wymiana zdań, zakończona wyrzutem:

– Nie chciałby pan być tam, gdzie ja spędziłam wojnę.

– I pani z pewnością nie chciałaby być tam, gdzie ja ją spędziłem – odpowiedział nasz ojciec.

Oboje wiedzieli, co mówią. On wrócił z Syberii, ona z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Pobrali się w lipcu 1948 roku. Dzieci Leonarda nie tylko zaakceptowały Joannę, ale i ją pokochały. Wszystkie mówiły do niej „mamo”. A ona była dla nich rzeczywiście jak matka. Rok po ślubie Joannie i Leonardowi urodził się syn Łucjan – na którego wołano Lutek – co było niemal cudem po tym wszystkim, co Joanna przeszła w obozie. Przeżyli ze sobą kilka szczęśliwych lat. Podupadłego zdrowia Joanny nie dało się jednak odbudować. Zmarła w 1956 roku w Lubsku, Łucjan nie ukończył jeszcze wtedy ośmiu lat.

Leonard zmarł w 1969 roku, również w Lubsku, dokładnie w dniu, w którym na Syberii rozpoczęła się pierwsza, ta przzerwana, agonia jego żony Sylwestry – 16 lipca. Zmarł dwadzieścia osiem lat po niej. Odszedł rozczarowany powojenną Polską. Krajem nie takim, o jakim marzył na zesłaniu i o jaki walczył jako legionista. Krajem pozostającym pod hegemonią Związku Sowieckiego.

Dzieci Leonarda i Sylwestry przenosiły się po kolei z Lubaska do Zielonej Góry. Najdłużej w Lubsku mieszkała Jadzia. Jej, jako najstarszej, w najmniejszym stopniu udało się nadrobić zaległości w edukacji. Pracowała w Lubsku, potem w ówczesnej NRD, a przed emeryturą w Zielonej Górze. Miała dwoje dzieci: syna Waldka i córkę Ulkę. Doczekała się pięciorga wnucząt i czwórki prawnucząt. Zmarła w styczniu 2010 roku w Zielonej Górze.



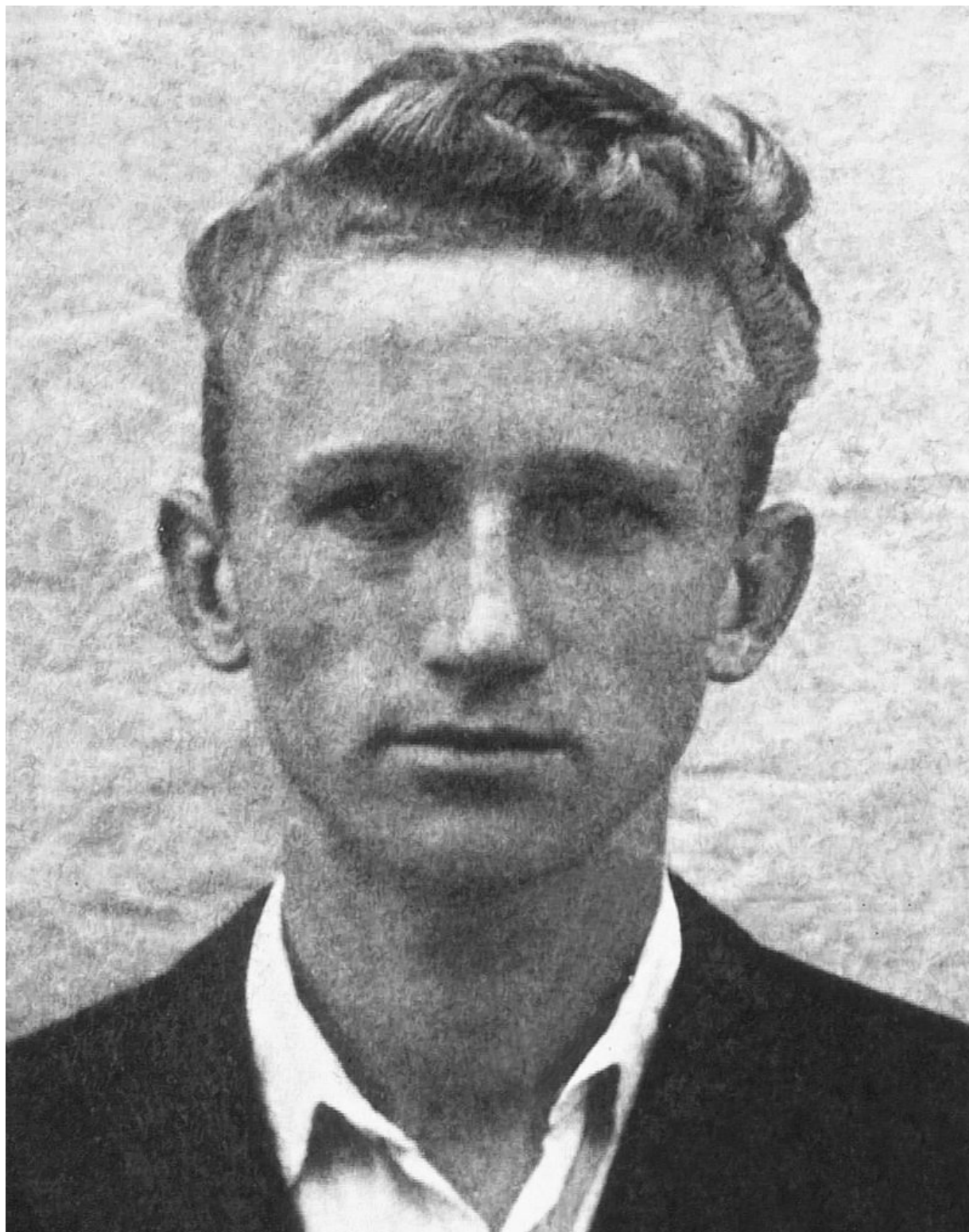
Fotografia ślubna Leonarda i jego drugiej żony Joanny: od prawej – Bogusław, Joanna, Leonard, Helenka (przybrana córka Joanny), Zofia (matka Leonarda), w drugim rzędzie od prawej – Danuta, Jadwiga i Róża

Róża ukończyła studia i była nauczycielką języka rosyjskiego. Miała dwóch synów: Olka i Krzysia, i dwoje wnucząt. Zmarła w 2009 roku w Zielonej Górze, tam ją pochowano.

Danusia pracowała przez lata jako ekonomistka w Wojewódzkim Wydziale Finansowym (odpowiedniku dzisiejszego Urzędu Skarbowego), w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Rolniczych, a na końcu w budownictwie. Ma córkę Hanię i wnuczkę Olę. Mieszka w Zielonej Górze.

Bogusław ukończył studia prawnicze, jako sędzia cywilista przez lata pracował w Wydziale Rodzinnym w Sądzie Rejonowym, a potem

Okręgowym w Zielonej Górze. Ma dwie córki, Julitę i Dagmarę, oraz wnuczkę Sonię. Mieszka, jak jego siostra Danusia, w Zielonej Górze.





Bogusław Żukowski w wieku 19 lat

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze był i jest w roku jeden dzień i jedno miejsce, w którym nasza rodzina spotyka się w licznym składzie – to 1 listopada i cmentarz w Lubsku, miejsce spoczynku Leonarda i Joanny Żukowskich, a od 2010 roku również Jadwigi.

10. Podróż do Rosji

(lato 2011 roku)

Śladami zesłania rodziny Żukowskich

Na początku lipca 2011 roku wyruszyliśmy w długą, trwającą niemal cztery tygodnie podróż na Syberię. Było nas czworo: najważniejszym uczestnikiem wyprawy był mój ojciec – Bogusław Żukowski (ur. 1936 r.), który w latach 1940–1946 wraz z rodziną przebywał na syberyjskim zesłaniu. Dalej ja – jego córka – Dagmara Dworak, Marek Dworak – mój mąż, oraz organizator wyprawy, doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie – Łukasz Stachnik. Mimo że nasze przygotowania trwały długo, i tak wyruszyliśmy w nieznane...

Przebyliśmy daleką drogę samolotem z Krakowa przez Moskwę do Irkucka. Dalej podróżowaliśmy różnymi środkami transportu, odwiedzając kolejno: Sludiankę, Port Bajkał, Chuzyr na wyspie Olchon i polską wieś Wierszynę, aby ostatecznie powrócić do Irkucka. To była naprawdę warta przeżycia rekreacyjna część naszego wyjazdu. Najbardziej zachwyciło nas wszystkich surowe piękno Bajkału, soczystość zieleni, chłód jeziora, potęga i dzikość natury. Ale nie to stanowiło główny cel naszej podróży.

W trakcie dalszej, trwającej ponad dwa tygodnie ekspedycji podążaliśmy już tylko śladami moich dziadków, Sylwestry i Leonarda Żukowskich, oraz czworga ich dzieci z lat ich przymusowego pobytu w Związku Sowieckim. Najpierw wyruszyliśmy na miejsce zsyłki rodziny. Naszym celem była mała wioska Gramatucha położona nad rzeką o tej samej nazwie, nieopodal

wsi Udarnoje nad rzeką Kiją, w powiecie Tisul. Poszukiwaliśmy grobu babci Sylwestry, aby w siedemdziesiątą rocznicę jej śmierci – dokładnie w ten dzień (babcia zmarła 19 lipca 1941 r.) – zapalić znicze na jej mogile, spełniając w ten sposób marzenie jej syna, a mojego ojca.

Nie było to łatwe. Przez dwa dni walczyliśmy z naturą, wiosłując na dmuchanych łodziach po rzece Kii, po osiem–dziewięć godzin dziennie. Niski poziom wody w rzece utrudniał spływ i wymuszał nieustanne zmaganie się z jej nurtem. Ogromnie zmęczeni, staraliśmy się nie dopuścić, aby nasze łodzie utknęły na kamieniach lub osiadły na mieliźnie. Jednym z wiosłarzy był siedemdziesięciopięcioletni Bogusław – walczył z rzeką jak każdy z nas, bez słowa skargi czy sprzeciwu. Płynęliśmy przez obszar najściślej chronionego dziś w Rosji rezerwatu przyrody, na wjazd tam potrzebne było specjalne zezwolenie. Nasze wysiłki wynagradzały przepiękne widoki i cudowna słoneczna pogoda.

Niestety, nie odnieśliśmy pełnego sukcesu. Chyba nie było to możliwe. Natura i czas zrobiły swoje. Od 1953 roku, kiedy to zlikwidowano kopalnię złota w Udarnoje, nikt nie mieszka ani w poszukiwanej przez nas wsi Gramatucha, ani w sąsiadującym z nią Udarnoje. Nikt nie żyje nawet w promieniu dziesiątek kilometrów, wokół jest tylko tajga.

Dotarliśmy jednak do miejsca, gdzie rzeczka Gramatucha wpływa do rzeki Kii. Zabrakło kilometra, dwóch, może trzech, aby dotrzeć do wioski Gramatuchy. Mimo naszych prób, brnięcia przez prawie dwumetrową kwitnącą, dziką syberyjską roślinność nie dało się przedrzeć w górę rzeki bez specjalistycznego sprzętu. Tajga zamknęła przed nami swe tajemnice.

Musiła nam, przede wszystkim mojemu ojcu i mnie, wystarczyć bliskość poszukiwanego miejsca. Na zastępczej mogile zapaliliśmy w dniu śmierci babci świece ustawione w znak krzyża. Po chwili zadumy

i modlitwy, będąc pewni, że świece będą się palić przez cały dzień, odpłynęliśmy...





Podróż na miejsce zesłania: spływ rzeką Kiją

Rzeką dotarliśmy do Makaraku, skąd wyruszyliśmy dalej do Marińska i najbliższej stacji kolejowej. Stamtąd podróżowaliśmy dalej Koleją Transsyberyjską przez Nowosybirsk, Omsk, Orenburg, zatrzymując się w każdym z tych miejsc.

W Orenburgu (dawniej Czkałow), skąd w marcu 1946 roku rodzina Żukowskich rozpoczęła swą repatriacyjną podróż do Polski, spotkaliśmy się z charyzmatyczną prezes Orenburskiego Obwodowego Kulturalno-Oświatowego Centrum „Czerwone Maki” – panią Wandą Seliwanowską. Ona jako jedyna reprezentantka polskich organizacji na tym terenie odpowiedziała na nasz list z prośbą o pomoc w zorganizowaniu naszej wyprawy, wysłany na etapie jej planowania. Zadała nam wiele pytań, aby dokładnie poznać cel naszej podróży. Pomoc pani Wandy okazała się nieoceniona. To dzięki niej pracownicy Miejskiego Archiwum w Orenburgu, zarażone jej entuzjazmem, tropiły ślady dokumentów dotyczących rodziny Żukowskich. Dzięki niej władze archiwum zdecydowały później o wydaniu ojcu i mnie bezcennych dla nas uwierzytelnionych kopii trzydziestu sześciu tych dokumentów.



Bogusław nad symboliczną mogiłą matki

Pani Wanda potrafiła natchnąć ideą poszukiwań władze Soroczyńska, Błagardnoje, a także powiatu Taszła. Sposób, w jaki nas tam przyjmowano, przeszedł nasze najsmielsze oczekiwania. W Soroczyńsku, dzięki pomocy i zaangażowaniu miejscowych władz, odnaleźliśmy miejsce, gdzie w czasie wojny znajdował się polski dom dziecka, w którym przebywał mój ojciec z dwiema siostrami. Zobaczyliśmy, wyglądające inaczej niż siedemdziesiąt lat wcześniej, ale ciągle funkcjonujące zakłady mięsne, w których pracował dziadek Leonard, a nawet odwiedziliśmy baraki robotnicze tych zakładów, które nadal istnieją, a w których Żukowscy spędzili zimę z 1941 na 1942 rok. Tu również z miejscowego archiwum otrzymaliśmy kopie dokumentów dotyczących naszej rodziny.

Pod dalszą opieką pani Wandy udaliśmy się z Soroczyńska do powiatu Taszła, gdzie w gminie Błagadarnoje, we wsiach Nowoigorowka i Graznucha, mieszkali niegdyś Żukowscy. W te miejsca przygnał ich głód panujący wtedy w Soroczyńsku i oferta pracy w kołchozach dla każdego chętnego.

W Taszle ponownie zaskoczyła nas gościnność i serdeczność miejscowych władz oraz zwykłych ludzi i ich zaangażowanie w nasze poszukiwania. Nie tylko serdecznie nas przywitano, ale w miejscowym muzeum sporządzono też poświęconą rodzinie ojca tablicę wspomnień. W jej centralnym miejscu umieszczono zdjęcie rodziny Żukowskich z dawnych lat, a obok zdjęcie Jewgienija Iwanowa (Gienki), syna kobiety, w której domu mieszkali Żukowscy we wsi Graznucha. Były też fotografie stawów i pól oraz pozostałości drewnianej szkoły, w której uczył się ojciec, gdy poszedł w 1944 roku do pierwszej klasy, a także narysowane plany jego domu i Nowoigorowki, sporządzone przez jednego z żyjących mieszkańców wsi. To był bardzo wzruszający gest.



Makarak (obecnie Makaraskij)



Soroczyńsk, baraki zakładów mięsnych, gdzie rodzina Żukowskich spędziła zimę 1941/1942 r.

I tu przekonaliśmy się, że czas poczynił wielkie zmiany. Dziś Graznucha nazywa się Majskoje, a wieś Nowoigorowka nie istnieje od 1948 roku. Na tym jednak niespodzianki się nie skończyły. Zawieziono nas do Majskoje, gdzie w miejscowej szkole odbyło się wspaniałe zorganizowane spotkanie ojca z dawnymi mieszkańcami obu wsi, pamiętającymi rodzinę Żukowskich. Byliśmy świadkami wielkich emocji i niezwykłych wspomnień. Płakali mężczyźni i kobiety, których los zetknął ze sobą w czasach dzieciństwa, a którzy teraz, jako sędziwi ludzie, po siedemdziesięciu latach nieoczekiwanie się zobaczyli. To było spotkanie dzieci wojny.

I wzruszające wydarzenie także dla jego świadków, w tym dla mnie.

Płakałam, gdy ojciec witał się z Nadią Paradiną, córką gospodyni, u której Żukowscy mieszkali w nieistniejącej już wsi Nowoigorowce. Osiemdziesięcioletnia pani Nadia przybyła na to spotkanie aż z Orenburga, pod opieką syna, który przyjechał z Omska, by towarzyszyć matce do Majskoje. Wspominali wręcz niewiarygodną historię spódniczki, którą Nadia dostała od mojego dziadka Leonarda. Dziadek prosił o jej przydział polską organizację, na co istnieje pisemny dokument w orenburskim Miejskim Archiwum, którego uwierzytelnioną kopię też dostaliśmy. Spytałam potem ojca, dlaczego dziadek o to prosił. „Nadia po prostu była dużą dziewczynką, wstyd było, bo spódnicę powinna mieć już dawno” – odpowiedział.



Wieś Majskoje (dawniej Graznucha), spotkanie Bogusława z dawnymi mieszkańcami po 70 latach... Bogusław i Nadieżda Paradina, u której mieszkał w Nowoigorowce

Płakałam też, gdy płakał ojciec, witając się z Jewgienijem Iwanowem, młodszym od niego o dwa lata synem ich gospodyni z Graznuchy. Po krótkiej chwili wahania padli sobie w objęcia jak bracia, jak najwięksi przyjaciele, ciesząc się ze spotkania, na które nigdy nie liczyli. Jewgienij, Gienka, pamiętał, jak otworzyły się drzwi ich domu i usłyszał gromki głos jakiegoś żołnierza: *Zdies´ budut żyt´ Polaki* [tutaj będą mieszkać Polacy]. Pamiętał również, jak dziadek Leonard wrócił ranny z wojny, a przez bandażę na głowie sączyła mu się krew. Wiele takich opowieści płynęło podczas tego niezwykłego spotkania. Dzieci wojny wspominały dawne dni.



Powitanie Bogusława i Gienki Iwanowa, u którego mieszkał w Graznusze



Majskoje (Graznucha), uczestnicy spotkania po latach...

Byli tam też obecni inni znamienici goście dobrze pamiętający rodzinę Żukowskich: siostry Riepiech, pan Korownikow, pan Zurwianow i wielu innych. Temperaturę wspomnień łagodził śpiew wokalistki wykonującej przy akompaniamencie harmonii piękne stare rosyjskie pieśni. Jedną z nich, pieśń o żołnierzach wracających z wojny, śpiewali wspólnie ojciec z Gienką Iwanowem. Wszystkim zgromadzonym trudno było ukryć wzruszenie.

Później podano obiad, na który władze powiatu Taszła zaprosiły wszystkich gości. Były też prezenty, a na koniec wspólne pamiątkowe zdjęcie. Czas biegł jednak nieubłaganie. Musieliśmy jechać... Ale zdążyliśmy obejrzeć w Majskoje ważne dla ojca miejsca: rozpadający się budynek drewnianej szkoły, miejsce, w którym kiedyś stał dom

Iwanowych, staw, w którym ojciec nauczył się pływać. Dalej pojechaliśmy w stepy, gdzie kiedyś leżała nieistniejąca już wieś Nowoigorowka.

Do dziś wspominamy ze wzruszeniem przebieg tamtej wizyty i jesteśmy wdzięczni miejscowym władzom. Bez ich pomocy nigdy nie spotkalibyśmy tych wszystkich ludzi, nie znaleźlibyśmy tych wszystkich miejsc.

Z Taszły pojechaliśmy do Buzułuku, dokąd w 1941 roku przybyła rodzina Żukowskich – podobnie jak inni Polacy – by z nowo powstającą Armią Andersa zakończyć okres swojego zesłania. To się jednak nie udało. Dziadek Leonard, ojciec czwórki dzieci, pólsierot, otrzymał funkcję męża zaufania i zadanie poszukiwania polskich sierot – do ostatniej chwili, do wyjazdu ostatniego transportu polskiego wojska. Ale ten, zatrzymany decyzją Stalina, nigdy ze Związku Sowieckiego nie wyjechał. To przedłużyło zsyłkę rodziny o następne pięć lat.

W Buzułuku odwiedziliśmy miejsca związane z pamięcią o polskich żołnierzach. Prowadziła nas niestrudzona pani Wanda, wspomagana przez życzliwych sprawom Polski miejscowych przyjaciół. Byliśmy w buzułuckim muzeum, a w nim w małej sali poświęconej formowanym tu siedemdziesiąt lat wcześniej wojskom generała Andersa. To miejsce szczególne dla każdego Polaka, przypominające o nadziei, wierze i oddaniu sprawom kraju. Pojechaliśmy również do leśnej bezimiennej zbiorowej mogiły zwanej Aleją Oficerów w Buzułuckim Borze oraz odwiedziliśmy zbiorową – imienną – mogiłę szesnastu polskich żołnierzy we wsi Kołubanowka.

Buzułuk stanowił przedostatni etap naszej podróży. Pojechaliśmy pociągiem jeszcze tylko do oddalonej o cztery godziny jazdy Samary, skąd samolotem przez Frankfurt nad Menem wróciliśmy do Krakowa.

W Samarze zatrzymaliśmy się na dwa dni. To ja tego chciałam, bo, jak mówił mój drugi dziadek, ojciec mamy, Edward: „Samara jest piękna”.

Skąd wiedział, że Samara jest pięknym miastem? Ano, w 1905 roku był jako dziecko zesłany z rodziną na Syberię. Ale to już zupełnie inna historia...

Czego nie zapomnę z tej podróży?

Trudno to zawrzeć w kilku słowach... Przepiękne widoki ogromnych przestrzeni, niewiarygodnie dzikiej i niezniszczonej cywilizacją przyrody. Wspaniali zwykli, prości ludzie, których piękno zawarte jest w ich wnętrzu. Otwarci i serdeczni dla drugiego człowieka. Rozumiejący sprawy, które w innych krajach nie znajdują takiego zrozumienia. Podążanie za wspomnieniami z dzieciństwa, za potrzebą serca, na mogiłę matki uważają za naturalną ludzką potrzebę.



Pozostałości szkoły w Graznusze, do której w 1944 r. chodził Bogusław



Step – miejsce, gdzie kiedyś była wioska Nowoigorowka

W Rosji zaskakuje jednak brak dbałości o zwykłego człowieka. Widoczny jest on w tworzeniu bzdurnych, niezyciowych przepisów. Według jednego z nich bagaż może przejść odprawę celną tylko w Moskwie. Ten przepis, zupełnie niezrozumiały dla człowieka Zachodu, zatrzymał w Moskwie nasz bagaż, który został omyłkowo odprawiony przez pracownika lotniska w Krakowie bezpośrednio do Irkucka. Mimo kilkukrotnej interwencji polskiego konsula w Irkucku nic się nie dało w tej sprawie zrobić.

Naszą podróż, trwającą dwadzieścia sześć dni, odbyliśmy więc bez bagażu, kupując jedynie to, co było najpotrzebniejsze...

W Rosji nieprawdopodobne zawsze jest możliwe.

Uważajcie, drodzy turyści!

Dagmara Dworak



Malownicza rzeka Kija



Kija i leżący nad nią Makarak (obecnie Makarakskij)



Góra wiecznego śniegu – Bolszoi Taskił, widok z rzeki Kii



Poszukiwania w tajdze śladów życia dawnych zesłańców: wieś Udarnoje, fragment drogi, którą budowały polskie kobiety, poniżej pozostałości po kopalni złota









Udarnoje, krzyż z ryngrafem ku pamięci Sylwestry Żukowskiej

Epilog

Niewiele ponad dziesięć miesięcy później odbyła się druga wyprawa do miejsca zesłania rodziny Żukowskich.

Wczesną syberyjską wiosną 2012 roku, kiedy roślinność dopiero budziła się do życia, rzeką Kiją raz jeszcze popłynęli córka Bogusława Dagmara i jego zięć Marek. Towarzyszył im przewodnik i organizator ekspedycji, Rosjanin Igor Ilin.

Weszli głęboko w tajgę, niejednokrotnie natykając się na świeże ślady niedźwiedzich łap. Po wielekroć przeprawiali się w bród przez lodowato zimną górską rzekę Gramatuchę.

Ustalili dokładne położenie maleńkich wiosek Kija i Spasobnyj, należących niegdyś do kompleksu Udarnoje. W odległości pięciu–sześciu kilometrów od rzeki Kii, w głębi tajgi zobaczyli miejsca, gdzie dawniej znajdowały się duża wieś Udarnoje, kopalnia i zakład obróbki złota.

Stanęli na leżącej na wzgórzu, powoli zarastającej tajgą polanie, na której kiedyś była wioska Gramatucha – miejsce zesłania rodziny Żukowskich. Zlokalizowali dawny cmentarz polskich zesłańców, dziś porośnięty młodym brzozowym lasem, na którym ponad siedemdziesiąt lat wcześniej pochowana została matka Jadwigi, Róży, Danuty i Bogusława, babcia Dagmary – Sylwestra Żukowska.

Nieopodal owego cmentarza, na pięknym wzgórzu w sercu tajgi, postawili drewniany krzyż z ryngrafem ku pamięci Sylwestry Żukowskiej. Zapalili znicze.

Spis treści

KROMKA CHLEBA

Cytat

Od autorki

Hajnówka

1. Hajnówka – tu wszystko się zaczęło

(do 10 lutego 1940)

2. W drodze na miejsce zesłania

(10 lutego–marzec/kwiecień 1940)

3. Gramatucha

(marzec/kwiecień 1940–wrzesień 1941)

4. Buzułuk

(październik–listopad 1941)

5. Soroczyńsk

(listopad 1941–kwiecień 1942)

6. Nowoigorowka

(kwiecień 1942–maj 1943)

7. Graznucha

(maj 1943–wrzesień 1945)

8. Soroczyńsk... raz jeszcze

(wrzesień 1945–luty 1946)

9. Repatriacja

(luty–marzec 1946)

10. Podróż do Rosji

(lato 2011 roku)

Epilog

Spis treści

Strona redakcyjna

Text copyright © by Dagmara Dworak 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: Ze zbiorów autorki

Fotografie w książce pochodzą ze zbiorów autorki, z wyjątkiem:

Leśnicy z Hajnówki ze zbiorów Jadwigi i Stanisława Chorąży

Obchody Święta Niepodległości w Hajnówce, Dworzec kolejowy w Hajnówce ze zbiorów

Miejskiej Biblioteki Publicznej im. dr. Tadeusza Rakowieckiego w Hajnówce

Mężczyźni przy drewnianej chacie na Syberii, Drewniany barak na Syberii ze zbiorów

Muzeum Wojska w Białymstoku

Obóz w Tockoje, Ochotnicy do Armii Andersa (2), Msza dla polskich żołnierzy w Buzułuku,

Czkałow (dzisiaj Orenburg) – budynek stacji kolejowej ze zbiorów Wandy Seliwanowskiej

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Kromka chleba, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-788-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl